

Mario Puzo

Omertà

Omertà

Przełożył: Marek Fedyszak

Wydanie oryginalne: 2000

Wydanie polskie: 2003

TMN

Omertà

Sycylijski kodeks honorowy, zabraniający informowania o przestępstwach, uważanych za wewnętrzną sprawę osób w nie wmieszanych.

World Book Dictionary

Prolog

1967

W kamiennym miasteczku Castellammare del Golfo na Sycylii, zwróconym ku ciemnemu Morzu Śródziemnemu, leżał na łożu śmierci wielki mafijny don. Vincenzo Zeno był człowiekiem honoru, którego przez całe życie kochano za sprawiedliwość i bezstronność w wyrokach, pomoc potrzebującym oraz nieubłagane karanie tych, którzy ośmielili się sprzeciwić jego woli.

Znajdowali się przy nim trzej jego dawni uczniowie, z których każdy sam zdobył później władzę i sławę: Raymonde Aprile z Nowego Jorku, Octavius Bianco z Palermo oraz Benito Craxxi z Chicago. Każdy był mu winien ostatnią przysługę.

Don Zeno był ostatnim z prawdziwych szefów mafii, którzy przez całe życie hołdowali starym tradycjom. Wymuszał opłaty od wszystkich firm, nigdy jednak nie czerpał zysków z narkotyków ani prostytucji. Nigdy też biedak, który przyszedł do jego domu po pieniądze, nie wyszedł z pustymi rękami. Don Zeno naprawiał niesprawiedliwości prawa - najwyższy sędzia na Sycylii mógł wydać swoje orzeczenie, ale jeżeli racja była po twojej stronie, don Zeno sprzeciwiał się wyrokowi siłą własnej woli i oręża.

Żaden flirtujący młodzieniec nie mógł zostawić na lodzie córki biednego wieśniaka, nie ryzykując interwencji don Zena, który przekonywał go do zawarcia świętego związku małżeńskiego. Żaden bank nie mógł wnieść zastrzeżenia hipotecznego wobec bezradnego farmera, nie ryzykując interwencji don Zena, który doprowadzał wszystko do porządku. Żaden młody chłopak łaknący wykształcenia uniwersyteckiego nie mógł być go pozbawiony z powodu braku pieniędzy bądź nawet uzdolnień. Jeżeli byli związani z jego *coscą*, ich marzenia się spełniały. Prawa z Rzymu nie mogły usprawiedliwiać sycylijskich tradycji i tutaj nie miały znaczenia; don Zeno unieważniłby je bez względu na koszt.

Lecz w ostatnich paru latach jego wpływy zaczęły maleć, on sam zaś w chwili słabości poślubił młodą dziewczynę, która urodziła wspaniałego chłopca. Zmarła przy porodzie, a chłopiec miał teraz dwa lata.

Stary don, wiedząc, że koniec jest blisko i że bez niego jego *cosca* zostanie starta na proch przez potężniejsze *coski* Corleonesich i Clericuziów, rozważał przyszłość syna.

Wezwał trzech przyjaciół do swego łoża boleści, ponieważ miał do nich ważną sprawę i prośbę, lecz najpierw podziękował im za uprzejmość i szacunek, jakie okazali, przebywając tysiące kilometrów. Powiedział, że pragnie, aby jego mały syn Astorre został zabrany w bezpieczne miejsce i wychowany w innych warunkach, ale w tradycji człowieka honoru, jak on sam.

- Mogę umrzeć z czystym sumieniem - rzekł, choć jego przyjaciele wiedzieli, że w swym życiu zdecydował o śmierci setek ludzi - jeżeli zapewnię mojemu synowi bezpieczeństwo. Bo w tym dwulatkę dostrzegam serce i duszę prawdziwego mafiosa, cechę rzadką i zanikającą.

Wyjaśnił, że jednego z nich wybierze do roli opiekuna tego niezwyklego dziecka, a wraz z podjęciem tej odpowiedzialności przyjdą wielkie nagrody.

- To dziwne - powiedział don Zeno, spoglądając na nich zaszepionym wzrokiem. - Zgodnie z tradycją to właśnie pierwszy syn jest prawdziwym mafiosem. Ale ja dopiero w osiemdziesiątym roku życia mogłem ziszczyć swoje marzenie. Nie jestem człowiekiem przesadnym, ale gdybym był, mógłbym sądzić, że to dziecko wyrosło wprost z sycylijskiej ziemi. Jego oczy są zielone jak oliwki, które pojawiają się na moich najlepszych drzewach. Ma również sycylijską wrażliwość, jest romantyczny, muzykalny, radosny. Jeżeli ktoś go obrazi, nie zapomina, choć jest taki mały. Trzeba nim jednak pokierować.

- Czego więc życzysz sobie, don Zeno? - zapytał Craxxi. - Bo ja z przyjemnością zabiorę twoje dziecko i wychowam jak własne.

Bianco z urazą niemal popatrzył na Craxxięgo.

- Znam tego chłopca od urodzenia. Nie jestem mu obcy. Będę go traktował jak własnego syna.

Raymonde Aprile spojrzał na don Zena, lecz nic nie rzekł.

- A ty, Raymonde? - zapytał don Zeno.

- Jeżeli właśnie mnie wybierzesz, twój syn będzie moim synem.

Don brał pod uwagę trójkę zacnych ludzi. Craxxięgo z pewnością uważał za najinteligentniejszego. Bianco z pewnością był najbardziej ambitny i najgwałtowniejszy. Raymonde Aprile to człowiek bardziej powściągliwy i prawy, bardziej zamknięty w sobie, ale bezlitosny.

Don Zeno, umierając, rozumiał, że właśnie Raymonde najbardziej z nich potrzebuje dziecka. Najwięcej skorzystałby na jego miłości i dopilnował, żeby jego syn nauczył się, jak przeżyć w zdrażliwym świecie.

Długo milczał. W końcu rzekł:

- Raymonde, będziesz jego ojcem. A ja mogę odpoczywać w pokoju.

Pogrzeb don Zena był godny cesarza. Wszyscy szefowie mafijnych rodzin na Sycylii, członkowie gabinetu z Rzymu, właściciele wielkich posiadłości ziemskich oraz setki poddanych jego *coski* przybyli złożyć hołd zmarłemu.

Na wysokim siedzeniu ciągniętego przez kare konie karawanu, majestatycznie, niczym rzymski cesarz, jechał Astorre Zeno, dwuletni chłopczyk o płomiennych oczach, ubrany w czarny surdut i czarny toczek.

Nabożeństwo odprawił osobiście kardynał z Palermo.

- W chorobie i w zdrowiu, w nieszczęściu i rozpacy don Zeno pozostał dla wszystkich prawdziwym przyjacielem - oznajmił dla przypomnienia, po czym z odpowiednią intonacją przytoczył ostatnie słowa don Zena: „Bogu siebie powierzam. On wybaczy mi moje grzechy, albowiem codziennie starałem się być sprawiedliwy”.

Tak więc Raymonde Aprile zabrał Astorre Zeno do Ameryki i uczynił go częścią własnej rodziny.

Rozdział 1

1995

Gdy bliźniacy Franky i Stace Sturzwowie zajechali pod dom Heskowa, ujrzeli czterech bardzo wysokich nastolatków grających w koszykówkę na małym przydomowym boisku. Bracia wysiedli z potężnego buicka. John Heskow wyszedł im na spotkanie. Był wysokim mężczyzną o gruszkowatych kształtach. Rzadkie włosy zgrabnie okalały mu łysinę na czubku głowy, a małe błękitne oczy błyszczały.

- W samą porę - rzekł. - Jest tu ktoś, kogo powinniście poznać.

Mecz został przerwany. Heskow dumnie dodał:

- To mój syn Jocko. - Najwyższy z nastolatków wyciągnął wielką rękę do Franky'ego.

- Hej, a może zagralibyście z nami krótki mecz? - zaproponował Franky.

Jocko popatrzył na dwóch gości ojca. Mieli blisko sześciu stóp wzrostu i wydawało się, że są w dobrej formie. Obaj nosili koszulki polo od Ralphi Laurena - jeden czerwoną, a drugi zieloną - oraz spodnie khaki i buty na kauczukowej podeszwie. Byli sympatycznie wyglądającymi przystojnymi mężczyznami o ostrych rysach twarzy, zastygłych w wyrazie wdzięcznej pewności siebie. Rzucali się w oczy, że są braćmi, ale Jocko nie mógł wiedzieć, iż to bliźniacy. Oceniał ich na niewiele ponad czterdzieści lat.

- Oczywiście - odparł z chłopięcą życzliwością.

Stace uśmiechnął się szeroko.

- Wspaniale! Przejechaliśmy pięć tysięcy kilometrów i musimy się odprężyć.

Jocko skinął na swych mierzących grubo ponad sześć stóp kompanów i powiedział:

- Zagram z nimi przeciwko wam trzem. - Ponieważ był graczem znacznie lepszym od nich, wydawało mu się, że to da szansę znajomym ojca.

- Potraktujcie ich ulgowo - rzekł John Heskow do chłopaków. - To tylko starzy, źle prowadzący się faceci.

Był środek grudniowego popołudnia, a powietrze dostatecznie chłodne, by pobudzić krążenie krwi. Zimne, charakterystyczne dla Long Island, bladożółte światło słońca błyskało na szklanych dachach i ścianach oranżerii Heskowa, jego oficjalnego przedsiębiorstwa.

Młodzi kumple Jocka byli dobrodusznymi i grali tak, aby dać fory starszym mężczyznom. Lecz nagle Franky i Stace zaczęli śmigać obok nich, gotując się do rzutów spod tablicy. Jocko stanął zdumiony szybkością czterdziestolatków; potem zrezygnował z rzutów i podawał piłkę jemu. Nigdy nie rzucali spoza „trumny”. Wydawało się, że za punkt honoru stawiają sobie uwolnienie się zwodem do swobodnego rzutu spod tablicy.

Ich przeciwnicy zaczęli wykorzystywać przewagę wzrostu, żeby obejść obronę starszych mężczyzn, ale dość nieoczekiwanie zaliczali niewiele zbiórek. W końcu jeden z chłopców zdenerwował się i mocno trącił Franky’ego łokciem w twarz. Nagle chłopak znalazł się na ziemi, a Jocko, obserwujący całą sytuację, nie bardzo wiedział, jak do tego doszło. Wtedy jednak Stace trafił brata piłką w głowę i powiedział:

- Daj spokój i graj, dupku jeden. - Franky pomógł chłopcu wstać, poklepał go po pośladkach i rzekł:

- Przepraszam. - Grali jeszcze przez blisko pięć minut, ale starsi mężczyźni byli już wyraźnie zmęczeni i chłopcy nie pozwalali im przechwycić piłki. W końcu bracia dali za wygraną.

Heskow przyniósł im na boisko napoje gazowane, a nastolatki otoczyli Franky’ego. Miał charyzmę i zademonstrował profesjonalne umiejętności. Franky objął chłopca, którego przed chwilą zwał z nóg. Potem, gdy się rozstawali, posłał im uśmiech światowca, sympatycznie przyklejony do kanciastej twarzy.

- Przyjmijcie, panowie, parę rad od starego wyjadacza. Nigdy nie dryblujcie, gdy można podać. Nigdy nie rezygnujcie z walki, gdy w czwartej kwarcie macie dwadzieścia punktów straty. I nigdy nie zadawajcie się z kobietą, która ma więcej niż jednego kota.

Chłopcy wybuchnęli śmiechem.

Franky i Stace uścisnęli im ręce i podziękowali za grę, po czym weszli z Heskowem do ładnego, okolonego zielenią domu.

- Dobrze gracie, panowie! - zawołał za nimi Jocko.

John Heskow zaprowadził braci do przygotowanego dla nich pokoju na piętrze. Gdy otworzył drzwi, wpuścił ich do środka i zamknął je za sobą, zauważyli, że są grube i mają porządny zamek.

Był to duży pokój, a właściwie apartament z łazienką. Stały w nim dwa pojedyncze łóżka. Heskow wiedział, że bliźniacy lubią spać w jednym pokoju. W kącie znajdował się wielki kufer. Był opasany stalowymi taśmami i zaopatrzony w ciężką metalową kłódkę. Heskow otworzył ją kluczem i gwałtownie podniósł wieko. Ukazało się kilka pistoletów, automatów i skrzynek z amunicją, wyglądających jak szereg czarnych figur geometrycznych.

- Czy to wystarczy? - zapytał Heskow.

- Nie ma tłumików - stwierdził Franky.

- Do tej roboty nie będą wam potrzebne.

- To dobrze - odparł Stace. - Nie znoszę tłumików. Z tłumikiem nie umiem w nic trafić.

- Okay. Weźcie prysznic i rozgoście się, a ja pozbędę się chłopców i ugotuję kolację. Co sądzicie o moim synu?

- Bardzo miły chłopiec - odparł Franky.

- A jak się wam podoba jego gra? - zapytał gospodarz z rumieńcem dumy, dzięki któremu jeszcze bardziej przypominał dojrzałą gruszkę.

- Nadzwyczajna - stwierdził Franky.

- A ty, Stace, co o niej sądzisz?

- Niesamowita.

- Ma stypendium do Villanovy - rzekł Heskow. - I otwartą drogę do NBA.

Gdy bliźniacy zeszli do salonu, Heskow już czekał z kolacją. Przyrządził cielecinę *sauté* z grzybami i wielką ilością zielonej sałaty. Czerwone wino stało na stole.

Zasiedli we trójkę do posiłku. Byli starymi przyjaciółmi i znali swoje życiorysy. Heskow od trzynastu lat był rozwiedziony. Jego ekszona i Jocko mieszkali kilka kilometrów na zachód, w Babylon. Lecz syn stale go odwiedzał, a Heskow pozostawał wiernym i kochającym ojcem.

- Mieliście przyjechać jutro rano. Gdybym wiedział, że zjawicie się dzisiaj, pozbyłbym się dzieciaka. Po waszym telefonie nie mogłem już wyrzucić go razem z jego kumplami.

- Nic się nie stało - uspokoił go Frank. - To bez znaczenia.

- Dobrze sobie z nimi radziliście - zauważył Heskow. - Nigdy nie zastanawiacie się, czy nie zrobilibyście kariery wśród zawodowców?

- Nie - odparł Stace. - Byliśmy za niscy, tylko sześć stóp. Asfalty były dla nas za wysokie.

- Nie mów takich rzeczy przy chłopaku - rzekł przerażony Heskow. - On musi z nimi grać.

- Ależ nie - zachnął się Stace. - Nigdy bym tego nie zrobił.

Heskow odprężył się i wypił mały łyk wina. Zawsze lubił pracować z braćmi Sturzo. Obaj byli tacy towarzyscy, nigdy nie robili się nieprzyjemni, jak większość mętów, z którymi musiał mieć do czynienia. Poruszali się w świecie ze swobodą, która odzwierciedlała swobodę w ich wzajemnych braterskich stosunkach. Czuli się bezpiecznie i przyjemnie promienieli tym uczuciem. Cała trójka jadła powoli i niedbale. Heskow dokładał na talerze prosto z patelni.

- Zawsze chciałem cię zapytać, dlaczego zmieniłeś nazwisko - wyznał Franky.

- To było dawno temu - odparł Heskow. - Nie wstydziłem się, że jestem Włochem, ale wiesz, wyglądam jak jakiś Szwab. Blond włosy, błękitne oczy, no i ten nos. Moje włoskie nazwisko wydawało się naprawdę podejrzane.

Obaj roześmiali się; ich śmiech był swobodny, wyrozumiały. Wiedzieli, że łże jak pies, ale to im nie przeszkadzało.

Gdy zjedli sałatę, Heskow przyniósł świeżo zaparzone podwójne espresso i wyciągnął talerz z włoskimi ciastami. zaproponował cygara, ale odmówili. Byli wierni swoim marlboro, które pasowały do ich wyrazistych jak z westernu twarzy.

- Czas przejść do interesów - rzekł Stace. - To musi być duża robota, bo inaczej po co mielibyśmy przejeżdżać pięć tysięcy pieprzonych kilometrów? Mogliśmy polecieć samolotem.

- Nie było tak źle - wtrącił Franky. - Podobało mi się. Zobaczyliśmy Amerykę na własne oczy. Dobrze się bawiliśmy. Ludzie w małych miastach byli wspaniali.

- Nadzwyczajni - przyznał Stace. - Ale mimo wszystko to szmat drogi.

- Nie chciałem zostawiać żadnych śladów na lotniskach, to pierwsze miejsce, jakie sprawdzają - wyjaśnił Heskow. - A będzie gorąco. Wam, chłopaki, to nie przeszkadza?

- Mnie ani trochę - rzekł Stace. - No więc kto to, kurwa, jest?

- Don Raymonde Aprile - rzekł Heskow i mówiąc to omal nie udławił się kawą.

Zapadła długa cisza i wtedy po raz pierwszy Heskow wychwycił chłód śmierci, którym potrafili emanować bliźniacy.

- Kazałeś się nam tłuc taki kawał drogi, żeby zaproponować tę robotę? - zapytał spokojnie Franky.

Stace uśmiechnął się do gospodarza i powiedział:

- John, znajomość z tobą była bardzo miła. A teraz po prostu zapłać nam za uśmiercenie pomysłu i spadamy. - Obaj bracia roześmiali się z tego drobnego żartu, ale Heskow go nie zrozumiał.

Jeden z przyjaciół Franky'ego w Los Angeles, niezależny publicysta, tłumaczył kiedyś bliźniakom, że choć magazyn może mu pokryć koszty napisania artykułu, wcale nie musi go kupić. Po prostu zapłaci drobną część uzgodnionego honorarium, by uśmiercić tekst. Bliźniacy przyswoili sobie ten zwyczaj. Liczyli za samo wysłuchanie propozycji. W tym wypadku, z powodu długiej podróży i wciągnięcia ich obu, zapłata za uśmiercenie pomysłu wynosiła dwadzieścia tysięcy.

Zadaniem Heskowa było jednak przekonanie ich do przyjęcia zlecenia.

- Don od trzech lat jest na emeryturze - powiedział. - Wszyscy jego dawni znajomi siedzą w więzieniu. On już nie ma żadnej władzy. Jedyńm człowiekiem, który mógłby nam przysporzyć kłopotów, jest Timmona Portella, ale tego nie uczyni. Zarobicie milion dolców, połowę po robocie, a drugą za rok. Ale przez ten czas nie możecie rzucać się w oczy. Wszystko jest przygotowane. Wy musicie tylko pociągnąć za spust.

- Milion dolarów - zauważył Stace - To kupa forsy.

- Mój klient wie, że sprzątnięcie don Aprilego to spory wyczyn. Potrzebuje najlepszego wsparcia. Opanowanych strzelców i cichych, dojrzałych wspólników. A wy jesteście po prostu najlepsi - wyjaśnił Heskow.

- I niewielu jest gości, którzy zaryzykowałiby w ten sposób - dodał Franky.

- Owszem - potwierdził Stace. - Musisz z tym żyć przez resztę swoich dni. Pościg, plus gliny i agenci federalni.

- Przysięgam wam, że tą sprawą zajmie się tylko paru nowojorskich policjantów, a FBI nie będzie ingerować - powiedział Heskow.

- A dawni przyjaciele? - zapytał Stace.

- Nieboszczyki nie mają przyjaciół. - Heskow zawahał się przez chwilę. - Don wycofał się trzy lata temu, zerwał wszelkie kontakty. Nie ma się czego obawiać.

- Czy to nie zabawne? We wszystkich naszych transakcjach zawsze nam mówią, że nie ma się czego obawiać - rzekł Franky do brata.

Stace roześmiał się.

- To dlatego, że nie są strzelcami. John, jesteś starym przyjacielem. Ufamy ci, ale jeżeli się mylisz? Każdy może się mylić. A jeśli don nadal ma przyjaciół? Przecież wiesz, jak on działa. Bez litości. Nie zostaniemy po prostu zabici. Ukrzyżują nas. Najpierw spędzimy parę godzin w piekle. W dodatku na mocy jego prawa zagrożone są nasze rodziny. To oznacza, że twój syn również. W grobie nie będzie mógł grać w NBA. Może powinniśmy się dowiedzieć, kto za to płaci.

Heskow pochylił się ku nim, jego jasna skóra przybrała purpurowy kolor, jakby się zarumienił.

- Wiecie, że tego nie mogę wam powiedzieć. Jestem tylko pośrednikiem. I myślałem o całym tym gównie. Uważacie, że jestem takim pieprzonym idiotą? Kto nie zna don Aprilego? Ale on jest teraz bezbronny. Zapewniono mnie o tym na najwyższych szczeblach. Policja będzie tylko udawać, że coś robi. FBI nie może sobie pozwolić na śledztwo. A szefowie mafii nie będą się wtrącać. Włos nie spadnie nam z głowy.

- Nigdy mi się nie śniło, że don Aprile będzie jednym z moich celów - stwierdził Franky. Taki czyn poruszał go. Zabić człowieka, który wzbudzał taki strach i szacunek w swoim świecie.

- Franky, to nie jest mecz koszykówki. W razie przegranej nie będzie tak, że podajemy sobie ręce i schodzimy z boiska - przestrzegł Stace.

- Stace, chodzi o milion dolców. A John nigdy nas nie wpuścił w maliny. Zdecydujemy się na to.

Stace czuł, jak rośnie ich podniecenie. Psiakrew! On i Franky potrafiliby zadbać o swoje bezpieczeństwo. Ostatecznie chodziło o milion dolarów. Prawdę powiedziawszy, Stace był bardziej wyrachowany, bardziej interesowny i ten milion go podniecił.

- W porządku - rzekł - wchodzimy w to. Ale niech Bóg zlituje się nad naszymi duszami, jeżeli się mylisz. - Kiedyś był ministrantem.

- A jeśli don jest pod nadzorem FBI? Mamy się tym martwić? - zapytał Franky.

- Nie - odparł Heskow. - Gdy wszyscy jego dawni przyjaciele trafili do mamra, don wycofał się jak dżentelmen. FBI doceniło ten gest. Dali mu spokój. Ręczę za to. A teraz pozwólcie, że przedstawię wam plan.

Wyjaśnienie zajęło mu pół godziny. Bliźniacy słuchali.

- Kiedy? - zapytał w końcu Stace.

- W niedzielę rano. Przez pierwsze dwa dni zostajecie tutaj. Później odlatujecie prywatnym samolotem z Newark.

- Musimy mieć bardzo dobrego kierowcę - powiedział Stace. - Kogoś wyjątkowego.

- Ja poprowadzę - rzekł Heskow, potem zaś, niemal usprawiedliwiająco dodał: - To bardzo duża wypłata.

Przez następne dni Heskow opiekował się braćmi Sturzo, gotując im posiłki i załatwiając sprawunki. Trudno było zrobić na nim wrażenie, ale Sturzowie czasami mrozili mu serce. Przypominali żmije, stale mieli się na baczności, a mimo to byli sympatyczni i nawet pomagali mu pielęgnować kwiaty w oranżerii.

Tuż przed kolacją bracia grali w koszykówkę jeden na jednego i Heskow jak urzeczony patrzył, gdy ich ciała ocierały się o siebie niczym węże. Franky był szybszy i miał nadzwyczaj celny rzut. Stace nie był taki dobry, ale przejawiał więcej sprytu. Heskow pomyślał, że to właśnie Franky mógłby dostać się do NBA. Ale tutaj nie chodziło o mecz koszykówki. W naprawdę krytycznej sytuacji strzelcem musiałby być Stace. On wystąpiłby w głównej roli.

Rozdział 2

Z wielkiego nalotu na rodziny mafijne w Nowym Jorku w latach dziewięćdziesiątych ocalało tylko dwóch mafiosów. Don Raymonde Aprile, najpotężniejszy i wzbudzający największy strach, wyszedł nietknięty. Drugi ocalały, don Timmona Portella, który niemal dorównywał mu potęgą, lecz był znacznie późniejszym człowiekiem, uniknął kary przez, jak się wydawało, czysty przypadek.

Lecz przyszłość była jasna. Wobec ustaw o gangsterskich organizacjach przestępczych (RICO), tak niedemokratycznie wprowadzonych w 1970 roku, gorliwości zespołów śledczych FBI oraz uśmiercenia wiary w *omertà* wśród żołnierzy amerykańskiej mafii, don Raymonde Aprile zrozumiał, że nadszedł czas, by z wdziękiem zejść ze sceny.

Don rządził swą Rodziną przez trzydzieści lat i był teraz legendą. Wychowany na Sycylii, nie miał fałszywych wyobrażeń o sobie ani wyniosłej arogancji szefów mafii urodzonych w Ameryce. W rzeczywistości stanowił wcielenie pierwotnych cech Sycylijczyków z XIX wieku, którzy rządzili miastami i wioskami dzięki osobistej charyzmie, poczuciu honoru oraz nieubłaganemu i ostatecznemu osądzeniu każdego podejrzanego o wrogie zamiary. Dowiedział również, że dorównuje tym dawnym bohaterom talentem strategicznym.

Obecnie, w wieku sześćdziesięciu dwóch lat, wiodł uporządkowane życie. Pozbył się wrogów i wypełniał obowiązki przyjaciela i ojca. Z czystym sumieniem mógł się cieszyć starością, odseparować od zwad swego świata i wejść w stosowniejszą rolę nobliwego bankiera i filaru społeczeństwa.

Troje jego dzieci skryło się bezpiecznie za parawanem udanych i uczciwych karier zawodowych. Najstarszy syn Valerius, obecnie czterdziestoletni, mający żonę i dzieci, był pułkownikiem w armii Stanów Zjednoczonych i wykładał w West Point. O jego karierze zadecydowała nieśmiałość w dzieciństwie. Don zapewnił mu miejsce w szkole kadetów w West Point, żeby naprawić tę wadę jego charakteru.

Drugi syn, Marcantonio, wcześniej, bo w wieku trzydziestu ośmiu lat został - zapewne wskutek jakiejś tajemniczej zmiany w układzie genów - dyrektorem krajowej stacji TV. Jako chłopiec był markotny i żył w świecie fikcji, ojciec zatem sądził, że nie podoła on żadnemu poważnemu przedsięwzięciu. Teraz często pojawiał się w gazetach jako twórczy wizjoner, co

sprawiało don Aprilemu przyjemność, ale go nie przekonywało. Ostatecznie był ojcem chłopca. Czyż nie znał go najlepiej?

Córkę don Raymonde, Nicole, w dzieciństwie nazywano czule Nikki, ale na jej własne żądanie w wieku lat sześciu zaczęto zwracać się do niej pełnym imieniem. Ją lubił najbardziej ze swoich dzieci. Miała trzydzieści dwa lata, była pełnomocnikiem prawnym spółek, feministką oraz adwokatem *pro bono* tych biednych i zrozpaczonych przestępców, którzy inaczej nie mogliby sobie pozwolić na odpowiednią obronę prawną. Szczególnie skutecznie ratowała morderców od krzesła elektrycznego, zabójczynie mężów od zamknięcia w więzieniu, a notorycznych gwałcicieli od wyroków dożywocia. Bezwzględnie sprzeciwiała się karze śmierci, wierzyła w resocjalizację każdego kryminalisty i była surowym krytykiem struktury gospodarczej Stanów Zjednoczonych. Sądziła, że kraj tak bogaty jak Ameryka nie powinien być obojętny na los biednych, bez względu na ich wady. Przy tym wszystkim Nicole była bardzo wprawnym i twardym negocjatorem reprezentującym interesy spółek, kobietą imponującą i energiczną. Don nie zgadzał się z nią w niczym.

Jeśli chodzi o Astorre, to należał do jego rodziny i był mu najbliższy jako tytułarny bratanek. A pozostałym wydawał się rodzonym bratem, z uwagi na swą wielką żywotność i urok. Od drugiego do szesnastego roku życia - aż do emigracji na Sycylię przed jedenastoma laty - był ich serdecznym, ukochanym najmłodszym braciszkiem.

Don starannie zaplanował własną emeryturę. Rozdzielił swoje imperium, żeby zjednać sobie potencjalnych wrogów, ale również złożył daninę lojalnym przyjaciółom, wiedząc, że wdzięczność jest najmniej trwałą z cnót i stale trzeba dawać nowe prezenty. Zadbał zwłaszcza o ugłaskanie Timmony Portelli, niebezpiecznego z powodu swoich dziwactw i zamiłowania do niepotrzebnych czasem morderstw.

To, w jaki sposób Timmonie Portelli udało się ująć cało z nalotu FBI w latach dziewięćdziesiątych, stanowiło dla wszystkich zagadkę. Urodził się w Ameryce i brakowało mu wyrafinowania, był człowiekiem nieostrożnym i niepohamowanym, o wybuchowym usposobieniu. Miał ogromny brzuch i ubierał się jak palermeński *picciotto*, młody uczący się rzemiosła zabójca, barwnie i w jedwabie. Jego potęgą opierała się na dystrybucji zakazanych narkotyków. Nigdy się nie ożenił i w wieku pięćdziesięciu lat wciąż był nierozważnym kobieciarzem. Prawdziwą miłość okazywał tylko młodszemu bratu Bruno, który sprawiał wrażenie nieco opóźnionego w rozwoju, ale był równie brutalny jak starszy brat.

Don Aprile nigdy nie ufał Portelli i rzadko robił z nim interesy. Ten człowiek był niebezpieczny z powodu braku charakteru, należało go więc uczynić nieszkodliwym. Wezwał Timmonę Portellę na spotkanie.

Mafioso przybył z bratem. Aprile przyjął ich ze zwykłą u niego kurtuazją, ale szybko przystąpił do rzeczy.

- Mój drogi Timmono. Wycofuję się ze wszystkich interesów z wyjątkiem moich banków. Teraz znajdziesz się na widoku publicznym i musisz być ostrożny. Gdybyś kiedyś potrzebował rady, zwróć się do mnie, bo nawet na emeryturze nie będę zupełnie pozbawiony możliwości.

Bruno - mała kopia zwałistego Timmony - w którym sława don Aprilego wzbudzała lęk, uśmiechnął się z zadowoleniem na myśl o tym, jak szanowany jest jego starszy brat. Lecz Timmona znacznie lepiej zrozumiał te słowa. Wiedział, że don Aprile go ostrzega.

Skinał z uszanowaniem głową i odparł:

- Zawsze najlepiej z nas wszystkich oceniałeś sytuację. I szanuję twoją decyzję. Możesz liczyć na moją przyjaźń.

- Bardzo dobrze - rzekł don. - A teraz proszę, byś w nagrodę przyjął tę oto przestrożę. Ten Cilke z FBI to bardzo przebiegły człowiek. Nie ufaj mu w żaden sposób. Jest upojony sukcesem, a ty będziesz jego następnym celem.

- Ale ciebie i mnie nie dostał, mimo że doprowadził do upadku wszystkich naszych przyjaciół - zauważył Timmona. - Nie boję się go, ale dziękuję za ostrzeżenie.

Wypili ceremonialnego drinka i bracia Portella wyszli. W samochodzie Bruno powiedział:

- Cóż za wspaniały człowiek.

- Tak - potwierdził Timmona. - Był wspaniałym człowiekiem.

Jeśli chodzi o don Aprilego, był zadowolony. Widział trwogę w oczach Timmony i miał pewność, że nie będzie już więcej stanowił zagrożenia.

Don Aprile poprosił Kurta Cilkego, szefa FBI w Nowym Jorku, o spotkanie na osobności. Z zaskoczeniem stwierdził, że w duchu podziwia tego człowieka. Cilke posłał większość mafijnych bossów ze Wschodniego Wybrzeża za kratki i niemal całkowicie rozbił ich potęgę.

Don Raymonde Aprile wymknął się Cilkemu, gdyż znał tożsamość jego tajnego informatora, który umożliwił mu odniesienie sukcesu. Ale jeszcze bardziej podziwiał Cilkego za to, że zawsze grał czysto, nigdy nie próbował niczego knuć ani stosować zmasowanych szykan, nigdy nie nadawał rozgłosu powiązaniom rodzinnym jego dzieci. Don Aprile uznał teraz, że należy go ostrzec.

Spotkanie odbyło się w wiejskim domu dona w Montauk. Cilke musiał przyjechać sam - z pogwałceniem zasad Biura. Dyrektor FBI zaaprobował to osobiście, ale nalegał, by Cilke wykorzystał specjalne urządzenie nagrywające, wszczepione w ciało poniżej klatki piersiowej, którego nie byłoby widać na tułowiu; było znane wyłącznie specjalistom, a jego produkcja odbywała się pod ścisłym nadzorem. Cilke zdawał sobie sprawę, że prawdziwym celem podsłuchu jest zarejestrowanie tego, co on sam powie don Aprilemu.

Spotkali się w złociste październikowe popołudnie na werandzie domu. Cilkemu nie udało się go spenetrować za pomocą urządzenia podsłuchowego, a sędzia zakazał stałego nadzoru. Tego dnia Cilke nie został przeszukany przez ludzi dona. Zaskoczyło go to. Najwyraźniej don Raymonde Aprile nie zamierzał składać mu nieuczciwej propozycji.

Jak zwykle został zaskoczony, a nawet trochę zaniepokojony wrażeniem, jakie robił na nim ten człowiek. Mimo świadomości, że potrafił on zlecić sto morderstw i złamać ogromną liczbę praw, Cilke nie potrafił go znienawidzić. A przecież uważał takich ludzi za wcielenie zła, nienawidził ich za niszczenie gmachu cywilizacji.

Don Aprile ubrany był w ciemny garnitur, ciemny krawat i białą koszulę. Jego twarz, naznaczona delikatnymi zmarszczkami cnotliwego człowieka, miała poważny a zarazem wyrozumiały wyraz. Cilke zastanawiał się, jak tak litościwa twarz może należeć do kogoś tak bezlitosnego.

Don przez delikatność nie wyciągnął dłoni do uścisku, nie chcąc krępować swego gościa. Ruchem ręki poprosił go, żeby usiadł, i uklonił się na powitanie.

- Postanowiłem oddać siebie i moją rodzinę pod pańską opiekę - to znaczy opiekę społeczeństwa - powiedział.

Cilke zdumiał się. Co u licha ten starzec miał na myśli?

- W ciągu ostatnich dwudziestu lat stał się pan moim wrogiem. Ścigał mnie pan. Ale byłem panu wdzięczny za stosowanie reguł uczciwej gry. Nigdy nie próbował pan spreparować dowodów ani zachęcać do krzywoprzysięstwa przeciwko mnie. Wpakował pan do więzienia prawie wszystkich moich przyjaciół i usiłował zrobić to samo ze mną.

Cilke uśmiechnął się i rzekł:

- Nadal próbuję.

Don z uznaniem skinął głową.

- Pozbyłem się wszystkiego, co podejrzane, z wyjątkiem paru banków, branży z pewnością godnej szacunku. Poddałem się opiece waszego społeczeństwa. W zamian spełnię wobec niego swój obowiązek. Może pan mi to znacznie ułatwić, jeżeli nie będzie mnie pan ścigał. Nie ma już bowiem takiej potrzeby.

Cilke wzruszył ramionami.

- To Biuro decyduje. Ścigałem pana tak długo. Czemu miałbym teraz przestać? Może mi się poszczęści.

Twarcz don Aprilego stała się jeszcze bardziej poważna i zmęczona.

- Mam dla pana coś w zamian. Na moją decyzję wpłynęły pańskie olbrzymie sukcesy z paru minionych lat. Rzecz jednak w tym, że znam pana cennego informatora, wiem, kim jest. I jeszcze nikomu nie powiedziałem.

Cilke zawahał się tylko na parę sekund, zanim beznamiętnie odparł:

- Nie mam takiego informatora. A poza tym nie ja decyduję, tylko Biuro. Tak więc zmarnował pan mój czas.

- Nie, nie - zastrzegł don. - Ja nie usiłuję zdobyć przewagi, tylko doprowadzić do ugody. Proszę mi pozwolić, przez wzgląd na mój wiek, bym powiedział panu, czego się w życiu nauczyłem. Niech pan nie korzysta z władzy dlatego, że jest to panu na rękę. I niech pan nie daje się ponieść pewności zwycięstwa, gdy pański umysł podpowiada, że istnieje choćby cień ryzyka zapowiadającego tragedię. Proszę pamiętać, że teraz uważam pana za przyjaciela, nie wroga, i pomyśleć, co ma pan do zyskania lub stracenia, odrzucając tę propozycję.

- Jeżeli naprawdę się pan wycofał, na co mi pańska przyjaźń? - zapytał z uśmiechem Cilke.

- Zyska pan moją życzliwość. Jest coś warta nawet ze strony najskromniejszego z ludzi.

Później Cilke odtworzył nagranie rozmowy Billowi Boxtonowi, swemu zastępcy, który zapytał:

- O co u diabła w tym wszystkim chodziło?

- Tego musisz się nauczyć. Aprile informował mnie, że nie jest całkowicie bezbronny, że nie spuszcza mnie z oka.

- Co za brednie - zachnął się Boxton. - Nie mogą tknąć agenta federalnego.

- To prawda. Właśnie dlatego nie dawałem mu spokoju, bez względu na to, czy się wycofał, czy nie. Jestem jednak ostrożny. Nie możemy mieć całkowitej pewności...

Przestudiowawszy dzieje najbardziej szanowanych rodów w Ameryce, owych zbójeckich baronów, którzy bezlitośnie gromadzili swoje fortuny, łamiąc prawa i nakazy etyki ludzkiej społeczności, don Aprile stał się, podobnie jak oni, dobroczyńcą wszystkich ludzi. Jak oni, miał swoje imperium - był właścicielem dziesięciu banków w największych miastach świata. Szczodrze łożył zatem na budowę przytułku dla ubogich. I wspierał nauki humanistyczne. Na Uniwersytecie Columbia utworzył katedrę badań nad renesansem.

To prawda, że Yale i Harvard nie przyjęły jego dwudziestu milionów dolarów na bursę imienia Krzysztofa Kolumba, który wówczas cieszył się złą sławą w kręgach intelektualnych. Uniwersytet Yale zaproponował jednak, że przyjmie pieniądze i nazwie bursę imieniem Sacca i Vanzettiego, ale don Aprilego nie interesowali Sacco i Vanzetti. Gardził męczennikami.

Człowiek mniejszego formatu poczułby się urażony i taił w sobie żal, ale nie Raymonde Aprile. Po prostu dał te pieniądze Kościołowi katolickiemu na codzienne msze, odprawiane z udziałem chóru, za swą żonę, od dwudziestu lat przebywającą w niebie.

Podarował milion dolarów Stowarzyszeniu Dobroczynnemu Policji Nowojorskiej i jeszcze jeden milion towarzystwu na rzecz ochrony nielegalnych imigrantów. Przez trzy lata po przejściu na emeryturę obsypywał świat dobrodziejstwami. Jego portfel był otwarty dla wszystkich próśb z wyjątkiem jednej. Odmówił błaganiom swej córki Nicole o wsparcie Kampanii Przeciwno Karze Śmierci - jej krucjaty zmierzającej do wstrzymania kary głównej.

Zdumiewające, jak trzy lata dobrych uczynków i szczodrobliwości potrafią niemal całkowicie zatrzeć w pamięci trzydziestoletnią złą sławę sprawcy bezlitosnych czynów. Lecz wielcy ludzie kupują przekonanie o własnej życzliwości i bezinteresowności oraz przebaczenie płacąc zdradą przyjaciół i wykonywaniem wyroków śmierci. Również don Aprile przejawiał tę powszechną słabość.

Był bowiem człowiekiem żyjącym według ścisłych zasad własnej osobliwej moralności. Jego kodeks postępowania zapewnił mu szacunek na ponad trzydzieści lat i wzbudził niezwykle strach, który leżał u podstaw jego potęgi. Naczelną zasadę owego kodeksu stanowił całkowity brak litości.

Nie wynikał on z jakiegoś wrodzonego okrucieństwa, jakiegoś psychopatycznego pragnienia sprawiania bólu, lecz z bezwzględnego przekonania, że ludzie zawsze odmawiają posłuszeństwa. Nawet Lucyfer, anioł, zbuntował się przeciwko Bogu i został strącony z niebios.

Tak więc ambitny osobnik walczący o władzę nie miał innego wyjścia. Oczywiście, stosowano perswazję, robiono pewne ustępstwa na rzecz korzyści własnej innego człowieka. Tak nakazywał rozsądek. Ale jeżeli wszystko to zawodziło, pozostawało jedynie karanie śmiercią. Nigdy nie pojawiały się groźby innych kar, bo to mogłoby zachęcać do odwetu. Po prostu wygnanie z tej ziemskiej sfery, by nie trzeba było się już więcej liczyć z ukaranymi.

Zdrada wyrządzała największe szkody. Cierpiała rodzina zdrajcy, krąg jego przyjaciół, cały jego świat obracał się w ruinę. Wielu jest bowiem śmiałych, dumnych ludzi gotowych ryzykować życie dla własnej korzyści, ale i oni dobrze by się zastanowili, zanim naraziliby swoich ukochanych. I w ten sposób don Aprile wzbudzał wielki postrach. Wolał szczodre obdarowywanie dobrami doczesnymi, by zdobyć, mniej już potrzebną, miłość.

Trzeba jednak powiedzieć, że równie bezlitosny był wobec siebie. Obdarzony ogromną władzą, nie potrafił zapobiec śmierci swej młodej żony, która urodziła mu troje dzieci. Umierała powolną i straszną śmiercią na raka, a on opiekował się nią przez sześć miesięcy. Doszedł wówczas do przekonania, że to ona ponosi karę za wszystkie śmiertelne grzechy, które popełnił, sam zadał więc sobie pokutę: nigdy nie ożeni się powtórnie. Wyprawi dzieci z domu, by uczyły się zwyczajów funkcjonującego zgodnie z prawem społeczeństwa i nie dorastały w jego świecie, tak pełnym nienawiści i niebezpieczeństw. Pomoże im znaleźć własną drogę, ale nigdy nie zostaną wciągnięte w jego działalność. Z wielkim smutkiem postanowił, że nigdy nie pozna istoty ojcostwa.

Tak więc postarał się, by troje jego dzieci - dziewczynkę Nicole oraz dwóch chłopców Valeriusa i Marcantonia - posłano do prywatnych szkół z internatem. Nie dopuszczał ich do sekretów swego życia osobistego. Przyjeżdżały do domu na wakacje, podczas których don Aprile grał rolę kochającego, lecz pełnego rezerwy ojca, nigdy jednak nie stały się częścią jego świata.

Mimo wszystko dzieci kochały go, choć zdawały sobie sprawę z jego złej sławy. Nigdy nie rozmawiały o tym między sobą. Była to jedna z tych rodzinnych tajemnic, która nie stanowiła tajemnicy.

Nikt nie mógł nazwać don Aprilego człowiekiem sentymentalnym. Miał bardzo niewielu przyjaciół, nie trzymał zwierząt domowych, a spotkań świątecznych i towarzyskich w większym gronie unikał, jak mógł. Tylko raz, przed wielu laty, dokonał aktu litości, który zdumiał jego kolegów w Ameryce.

Gdy powrócił z Sycylii z małym Astorre, stwierdził, że ukochana żona umiera na raka, a trójka dzieci jest zrozpaczona. Nie chcąc wychować wrażliwego dziecka w takich warunkach z obawy, że mu to w jakiś sposób zaszkodzi, postanowił umieścić je pod opieką jednego z najbliższych doradców, człowieka nazwiskiem Viola, i jego żony. Ten wybór okazał się nieroztropny. Frank Viola aspirował wówczas do roli jego następcy.

Jednak wkrótce po śmierci żony don Raymonde mający trzy lata Astorre Viola stał się członkiem rodziny Aprile, ponieważ jego „ojciec” popełnił samobójstwo w bagażniku własnego samochodu, w dziwnych okolicznościach, a „matka” zmarła na wylew krwi do mózgu. Wtedy właśnie don Raymonde zabrał Astorre do swego domu i nazwał się stryjem.

Kiedy Astorre na tyle dojrzał, by zacząć pytać o swoich rodziców, don powiedział mu, że został osierocony. Lecz Astorre był ciekawym i nieustępliwym dzieckiem, więc żeby położyć kres wszelkim pytaniom, wyjaśnił, iż rodzice chłopca byli wieśniakami nie będącymi w stanie go wykarmić i zmarli w jakiejś małej sycylijskiej wiosce. Don zdawał sobie sprawę, że to wyjaśnienie nie w pełni zadowoliło malca, i miał wyrzuty sumienia, ale wiedział, że w okresie młodości bratanka ważne jest utrzymanie mafijnych korzeni Astorre w sekrecie - dla jego własnego bezpieczeństwa i dla bezpieczeństwa własnych dzieci.

Don Raymonde był przewidującym człowiekiem i wiedział, że jego powodzenie nie może trwać wiecznie; ten świat był zbyt zdradliwy. Od początku zamierzał przejść na drugą stronę, wstąpić w bezpieczne szeregi zorganizowanego społeczeństwa. Nie żeby miał prawdziwą świadomość swego celu, ale wielcy ludzie instynktownie wyczuwają, czego będzie wymagała przyszłość. A w tym wypadku naprawdę działał z litości, gdyż wówczas nie można było się domyślić, kim trzyletni Astorre Viola stanie się jako mężczyzna, ani jak ważną rolę odegra w Rodzinie, i nic w jego zachowaniu nie mogło w tym pomóc.

Don rozumiał, że wielkie rody są chlubą Ameryki i że najlepsza klasa społeczna zrodziła się z ludzi, którzy z początku popełniali wielkie zbrodnie przeciwko amerykańskiemu społeczeństwu. To właśnie tacy ludzie, dążący do bogactwa, zbudowali Amerykę i pozwolili niecnym postępom pójść w zapomnienie. Jakże inaczej można było tego dokonać? Zostawić wielkie równiny Ameryki Indianom, którzy nie potrafili sobie wyobrazić dwupiętrowego domu mieszkalnego? Zostawić Kalifornię Meksykanom, którzy nie mieli żadnych technicznych zdolności, żadnej wizji wspaniałych akweduktów zasilających w wodę ziemie,

które pozwoliłyby milionom wieść dostatnie życie? Ameryka miała zdolność przyciągania milionów biednych wyrobników z całego świata, wabienia ich do niezbędnej ciężkiej pracy przy budowie linii kolejowych, zapór i drapaczy chmur. Statua Wolności była genialnym posunięciem promocyjnym. I czyż nie okazało się to najlepszym rozwiązaniem? Oczywiście, zdarzały się tragedie, ale było to częścią życia. Czyż Ameryka nie stanowiła największego rogu obfitości, jaki znał świat? Czy pewna doza niesprawiedliwości nie była niską ceną? Zawsze jest tak, że jednostki muszą się poświęcić dla dalszego postępu cywilizacji i swego społeczeństwa.

Istnieje jednak inna definicja wielkiego człowieka. Podkreśla ona to, że on się nie podejmuje dźwigania tego brzemienia. W pewien sposób - przestępczy, niemoralny bądź dzięki zwykłemu sprytowi - bez poświęceń wspina się na grzbiet tej fali ludzkiego postępu.

Don Raymonde był takim człowiekiem. Stworzył własną potęgę dzięki inteligencji i całkowitemu brakowi litości. Wzbudzał strach, stał się legendą. Lecz jego dzieci, już dorosłe, nigdy nie wierzyły w prawdziwość najokropniejszych opowieści.

Krążyła legenda o początku jego panowania w roli szefa Rodziny. Don kontrolował firmę budowlaną prowadzoną przez podwładnego, Tommy'ego Liotti, którego uczynił bogatym za młodu dzięki kontraktom na prace budowlane dla miasta. Liotti był przystojny i dowcipny, prawdziwy czarodziej, i don zawsze lubił jego towarzystwo. Miał tylko jedną wadę: za dużo pił.

Ożenił się z najlepszą przyjaciółką żony don Aprilego, Lizą, staromodną przystojną kobietą o ciętym języku, która uważała za swój obowiązek powściągnąć oczywiste samozadowolenie swego męża. Doprowadziło to do paru niefortunnnych incydentów. Tommy dość dobrze znosił jej uszczypliwości, gdy był trzeźwy, ale po pijanemu policzkował ją tak mocno, że raniła sobie język.

Niefortunny był również fakt, że mąż Lizy, dzięki ciężkiej i długiej pracy na budowach w młodości, dysponował ogromną siłą. Nosił nawet koszule z krótkimi rękawami, żeby zademonstrować swoje wspaniałe ramiona i bicepsy.

Niestety, jak to się często zdarza, w okresie dwóch lat incydenty te się nasiliły. Pewnej nocy Tommy złamał Lizie nos i wybił kilka zębów, konieczny był kosztowny zabieg chirurgiczny. Kobieta nie śmiała prosić przyjaciółki o pomoc, ponieważ taka prośba przypuszczalnie uczyniłaby ją wdową, a ona nadal kochała męża.

Don Aprile nie miał ochoty ingerować w domowe kłótnie swoich podwładnych. Takich problemów nie dawało się rozwiązać. Gdyby mąż zabił żonę, on nie przejąłby się tym. Ale bicie stanowiło zagrożenie dla ludzi z którymi współpracował. Rozwścieczona żona mogłaby złożyć pewne zeznania, udzielić szkodliwych informacji. Mąż przechowywał bowiem w domu duże kwoty pieniędzy na owe nieprzewidziane łapówki, tak niezbędne do realizacji kontraktów z miastem.

Don Aprile wezwał więc męża Lizy do siebie. Z największą kurtuazją wyjaśnił, że wtrąca się do prywatnego życia Liottiego tylko dlatego, iż wpływa ono na interesy. Poradził mu, żeby od razu zabił żonę lub rozwiódł się z nią albo już nigdy więcej nie traktował jej źle. Mąż Lizy zapewnił go, że to się już nigdy nie powtórzy. Lecz don nie dowierzał. Dostrzegł ów błysk w jego oczach, błysk wolnej woli. Uważał za jedną z wielkich tajemnic życia, że człowiek robi to, na co ma ochotę, nie bacząc na koszty. Wielcy ludzie sprzymierzali się z aniołami za straszliwą dla siebie cenę. Nikczemnicy folgowali swojej najmniejszej zachciance dla drobnych satysfakcji, godząc się na śmierć w ogniu piekielnym.

Tak też okazało się w przypadku Tommy'ego Liottiego. Przez prawie rok pobłażliwości męża język Lizy zrobił się jeszcze bardziej cięty. I mimo przestrogi, mimo miłości do dzieci i żony, Tommy bardzo brutalnie ją pobił. Znalazła się w szpitalu z połamanymi żebrami i przebitym płucem.

Dysponując majątkiem i koneksjami politycznymi, Tommy przekupił jednego ze skorumpowanych już przez don Aprilego sędziów ogromną łapówką. A potem namówił żonę, by do niego wróciła.

Don Aprile obserwował wszystko z pewną złością i z żalem zajął się tą sprawą. Najpierw zapoznał się z jej praktycznymi aspektami. Zdobył kopię testamentu Lottiego i dowiedział się, że ten, niczym porządny mąż i ojciec, zapisał cały majątek żonie i dzieciom. Liza byłaby bogatą wdową. Potem wysłał specjalny zespół ze ściśle określonymi instrukcjami. Po niespełna tygodniu sędzia otrzymał długie pudło przewiązane wstążkami. W nim jak para drogich długich jedwabnych rękawiczek leżały dwa potężne ramiona męża Lizy, z kosztownym rolexem, który don przed laty dał Tommy'emu w dowód szacunku, na przegubie jednego z nich. Nazajutrz znaleziono resztę ciała, unoszącą się na wodzie w pobliżu mostu Verrazano.

Inna legenda z powodu swej zagadkowości przyprawiała o dreszcze, niczym dziecinna opowieść o duchach. W okresie gdy troje jego dzieci przebywało w szkole z internatem, pewien przedsiębiorczy i utalentowany dziennikarz, znany z dowcipnego obnażania słabości sławnych ludzi, wyśledził je i zachęcił do niewinnej, jak się wydawało, rozmowy. Autora ubawiła ich naiwność, szkolne ubrania, młodzieńczy idealizm pomysłów na ulepszenie świata. Zestawił je ze złą sławą ich ojca, przyznając co prawda, że faktycznie don Aprilemu nigdy nie udowodniono przestępstwa.

Tekst jeszcze przed opublikowaniem stał się sławny i krążył po wszystkich redakcjach kraju. Artykuł odniósł sukces, o jakim marzy każdy autor. Wszystkim bardzo się spodobał.

Dziennikarz był typem człowieka, który uwielbiał przyrodę i co roku zabierał żonę i dwójkę dzieci do chaty na północy stanu, żeby polować, łowić ryby i wieść proste życie.

Spędzali tam długi weekend po Dniu Dziękczynienia. W sobotę chata, położona szesnaście kilometrów od najbliższego miasta, zajęła się ogniem. Pomoc nadeszła po blisko dwóch godzinach. Do tego czasu z domu zostały dymiące kłody, a z dziennikarza i jego

rodziny tylko zwęglone i spopielone członki. Podniósł się wielki krzyk i wszczęto gruntowne śledztwo, ale nie udało się znaleźć żadnego dowodu uzasadniającego podejrzenie morderstwa. Wywnioskowano, że ofiary zaczadziały, zanim zdołały uciec.

Potem wydarzyła się dziwna rzecz. Parę miesięcy po tragicznym pożarze zaczęły krążyć bardziej lub mniej ciche pogłoski. Anonimowe informacje docierały do FBI i policji i przeciekały do prasy. Wszystkie sugerowały, że był to akt zemsty nikczemnego don Aprilego. Prasa, polująca na gorący temat, energicznie domagała się wznowienia sprawy. Co też zrobiono, lecz znowu bez rezultatu. I mimo braku dowodów ta historia stała się jeszcze jedną legendą o jego okrucieństwie.

Tak jednak sądził ogół; władze w tym wypadku były przekonane, że nie można mu nic zarzucić. Wszyscy wiedzieli, że wobec dziennikarzy nie stosuje się środków odwetowych. Trzeba by pozabijać tysiące, więc jaki to miało sens? Don był zbyt inteligentny, by tak ryzykować. Ale legenda nie umarła. Niektóre zespoły śledcze FBI uważały nawet, że to sam don Aprile rozsiewał pogłoski, by uczynić zadość swej legendzie. I w ten sposób rosła.

Ale don znany był też z innej strony - ze swej hojności. Jeżeli ktoś mu wiernie służył, stawał się bogaty i miał potężnego obrońcę w ciężkich czasach. Nagrody były sowite, lecz kary nieodwołalne. To tworzyło jego legendę.

Po spotkaniach z Portellą i Cilkem don Aprile musiał uporządkować szczegóły. Uruchomił mechanizm, który miał sprowadzić Astorre Violę do domu po jedenastoletniej emigracji na Sycylii.

Potrzebował swego bratanka i prawdę powiedziawszy, przygotował go na ten moment. Astorre był jego ulubieńcem, w większym nawet stopniu niż własne dzieci. Jako dziecko, nad wiek towarzyski, jakby już wtedy dorosły, zawsze przewodził grupie rówieśników. Kochał don Aprilego i nie bał się go, co czasem zdarzało się jego dzieciom. I choć Valerius i Marcantonio mieli osiemnaście i siedemnaście lat, gdy ich kuzyn miał dziesięć, potrafił być od nich niezależny. Mało tego, gdy Valerius, mając zadatki na wojskowego służbistę, próbował go bić, Astorre nie pozostawał dłużny. Marcantonio był bardziej przywiązany do Astorre i kupił mu pierwsze banjo, żeby zachęcić go do śpiewania. Chłopiec przyjął je jako grzeczność jednego dorosłego wyświadczoną drugiemu.

Polecenia przyjmował jedynie od Nicole. I choć była dwa lata starsza, traktowała go jak starającego się o względy konkurenta, czego domagał się nawet jako mały chłopiec. Nicole polecała mu załatwianie swoich sprawunków i ze wzruszeniem słuchała włoskich ballad, które jej śpiewał. I policzkowała go, gdy próbował ją pocałować. Gdyż Astorre już od dziecka zachwycał się kobiecą urodą.

A Nicole była piękna. Miała duże ciemne oczy i zmysłowy uśmiech; jej twarz ujawniała każdą odczuwaną emocję. Rzucała wyzwanie wszystkim, którzy próbowali sugerować, że jako kobieta nie jest tak samo ważna jak każdy mężczyzna w jej otoczeniu. Nie znosiła

świadomości, że nie dorównuje braciom i kuzynowi siłą fizyczną, że swą wolę może narzucić jedynie urodą. Wszystko to sprawiało, że była nieustraszona i naigrawała się z nich wszystkich, nawet z ojca, mimo jego strasznej reputacji.

Po śmierci żony, zanim dzieci dorosły, don Aprile miał zwyczaj spędzać jeden letni miesiąc na Sycylii. Bardzo lubił życie w swej rodzinnej wiosce w pobliżu miasta Montelepre i nadal miał tam nieruchomość - dom, który dawniej stanowił wiejskie schronienie hrabiego, zwany Villa Grazia.

Po paru latach zatrudnił gospodynię, Sycylijkę, wdowę imieniem Caterina. Była bardzo przystojną kobietą, o wspaniałej wieśniaczej urodzie, umiejącą doskonale prowadzić gospodarstwo i zyskiwać szacunek mieszkańców wioski. Caterina została jego kochanką. Don Aprile utrzymywał ten związek w tajemnicy przed rodziną i przyjaciółmi, choć był już czterdziestoletnim mężczyzną i panował niepodzielnie w swoim świecie.

Astorre Viola miał dziesięć lat, gdy po raz pierwszy towarzyszył don Raymonde Aprilemu w podróży na Sycylię. Don został poproszony o przybycie na wyspę, żeby pośredniczyć w wielkim konflikcie między *coscą* Corleonesich a *coscą* Clericuziów. Z prawdziwą przyjemnością spędził również spokojny miesiąc w Villa Grazia.

Astorre w wieku dziesięciu lat był grzecznym chłopcem - tylko tak można go określić. Zawsze pogodny, a jego ładna krągła twarz o oliwkowej cerze promieniała miłością. Niemal bez przerwy śpiewał melodyjnym tenorowym głosem. A gdy nie śpiewał, toczył ożywione rozmowy. Miał w sobie jednak porywczosć urodzonego buntownika i siał strach wśród swoich rówieśników.

Don przywiózł go na Sycylię, ponieważ Astorre stanowił najlepsze towarzystwo dla mężczyzny w średnim wieku, co osobiście ilustrowało ich wzajemne stosunki, jak również odzwierciedlało sposób, w jaki don wychowywał trójkę własnych dzieci.

Gdy tylko załatwił swoje służbowe sprawy, doprowadził, pośrednicząc w sporze, do chwilowego pokoju. Teraz cieszył się wolnym czasem, na nowo przeżywając dzieciństwo w rodzinnej wsi. Jadł cytryny, pomarańcze i słone oliwki prosto z beczek oraz odbywał z Astorre długie spacerunki w posępnym, zabójczym świetle sycylijskiego słońca, które napępniało wszystkie kamienne domy i niezliczone skały otepiającym skwarem. Opowiadał małemu chłopcu dawne historie o sycylijskich Robin Hoodach, ich walkach z Maurami, Francuzami, Hiszpanami i samym papieżem. Potem zaś snuł opowieści o miejscowym bohaterze, wspaniałym don Zeni. Wieczorem na tarasie Villa Grazia obserwowali razem lazurowe niebo Sycylii, rozświetlone tysiącem spadających gwiazd i błyskawicami przelatującymi przez pobliskie góry. Astorre natychmiast nauczył się sycylijskiego dialektu i zjadał czarne oliwki z beczki, jakby były cukierkami.

W ciągu zaledwie paru dni stanął na czele grupy miejscowych chłopców. Zadziwił tym opiekuna, gdyż sycylijskie dzieci były dumne i nikogo się nie bały. Wielu z tych

dziesięcioletnich cherubinków potrafiło już posługiwać się *luparą*, wszechobecną sycylijską dubeltówką.

Don Aprile, Astorre i Caterina spędzali długie letnie wieczory, jedząc i pijąc na świeżym powietrzu, w bujnym ogrodzie; drzewa cytrynowe i pomarańczowe nasycaly powietrze cytrusową wonią. Czasem don zapraszał dawnych przyjaciół z dzieciństwa na kolację i karty. Astorre pomagał wówczas Caterinie podawać drinki.

Caterina i don nigdy nie okazywali łączącego ich uczucia publicznie, ale w wiosce wszystko wiedziano, więc żaden mężczyzna nie śmiał zalecać się do niej i okazywano jej cały szacunek należny pani domu. Był to najprzyjemniejszy okres w życiu don Aprilego.

Zaledwie na trzy dni przed końcem wizyty stała się rzecz niewyobrażalna: don został porwany podczas spaceru ulicami wioski.

W sąsiednim okręgu Cinesi, jednym z najbardziej odosobnionych i najmniej rozwiniętych na Sycylii, szefem wiejskiej *coski*, miejscowym mafiosem był okrutny i nieustraszony bandyta nazwiskiem Fissolini. Panując niepodzielnie na swym terenie nie utrzymywał żadnego kontaktu z resztą mafijnych rodzin na wyspie. Nie wiedział zbyt wiele o sile władzy don Aprilego, nie sądził też, że mogłaby ona zagrozić jego odległemu i bezpiecznemu światu. Jedyną regułą, którą w tym wypadku świadomie łamał, był zakaz wkraczania na terytorium sąsiedniej *coski*, ale Amerykanin wydawał się wystarczająco bogaty, by zaryzykować.

Cosca to podstawowy element tego, co nazywa się mafią, i zazwyczaj tworzą ją krewni. Prawomyślni obywatele, jak prawnicy lub lekarze, wiążą się z *coscą*, aby chronić swoje interesy. *Cosca* jest organizacją niezależną, lecz może się sprzymierzyć z inną *coscą*, silniejszą i bardziej wpływową. I właśnie owe wzajemne powiązania potocznie nazywa się mafią. Nie ma w niej jednak ogólnego szefa ani komendanta.

Cosca zazwyczaj specjalizuje się w określonej działalności przestępczej na swym terytorium. Jest więc *cosca*, która kontroluje cenę wody i nie dopuszcza do realizacji rządowych planów budowy tam w celu jej obniżenia. Inna *cosca* kontroluje rynki żywności i płodów rolnych. W tym czasie najpotężniejszymi na Sycylii były *cosca* Clericuziów z Palermo, która sprawowała nadzór nad budowami na całej wyspie, oraz *cosca* Corleonesich z Corleone, która trzymała w garści polityków w Rzymie i organizowała transport narkotyków na całym świecie. Poza tym istniały drobne *coski* domagające się na przykład haraczu od romantycznych młodzieńców za prawo śpiewania pod balkonami ukochanych. Wszystkie *coski* ustalały reguły przestępczości. Nie tolerowały leniwych nicponi okradających domy niewinnych obywateli, którzy uiszczali swoje należności wobec *coski*. Ci, którzy posługiwali się nożem, by ukraść portfel, lub gwałcili kobiety, karani byli śmiercią. Nie tolerowano również cudzołóstwa w obrębie *coski*. Zarówno mężczyzn, jak i kobiety czekała za nie egzekucja. Było to zrozumiałe samo przez się.

Cosca Fissoliniego żyła w biedzie. Kontrolowała sprzedaż świętych obrazów, płacono jej za obronę żywego inwentarza, organizowała też porwania nieostrożnych bogaczy.

Tak więc doszło do tego, że don Aprile i mały Astorre, przechadzający się ulicą swojej wioski, zostali zgarnięci przez nieświadomego Fissoliniego i jego bandę do dwóch starych amerykańskich ciężarówek z demobilu.

Dziesięciu mężczyzn w chłopskich ubraniach było uzbrojonych w karabiny. Poderwali don Aprilego z ziemi i wrzucili do pierwszej ciężarówki. Astorre bez wahania wskoczył na otwartą pakę, żeby zostać ze stryjem. Bandyści próbowali go wyrzucić, ale on kurczowo trzymał się drewnianych słupków. Ciężarówki jechały godzinę do podnóża gór wokół Montelepre. Potem wszyscy przesiedli się na konie i osły i zaczęli wspinać skalnymi tarasami ku lazurowemu niebu Sycylii. Przez całą podróż chłopiec patrzył badawczo dużymi zielonymi oczyma, ale nie odezwał się ani słowem.

O zmierzchu dotarli do grotty osadzonej głęboko w zboczu góry. Tam podano im kolację złożoną z jagnięcia przypiekanego na ruszcie, chleba domowego wypieku i wina. W miejscu obozowiska stał wielki posąg Maryi Panny, zamknięty w ręcznie rzeźbionej kapliczce z ciemnego drewna. Mimo okrucieństwa Fissolini był pobożnym człowiekiem. Odznaczał się również naturalną chłopską grzecnością i przedstawił się obu porwanym. Nie mieli wątpliwości, że jest szefem bandy. Był niski i zbudowany potężnie jak goryl, nosił karabin i dwa rewolwery na pasie. Jego twarz sprawiała wrażenie wyciosanej z sycylijskich kamieni, ale oczy iskrzyły się wesoło. Cieszył się życiem i drobnymi figlami, jakie ono płało, szczególnie że miał w swych rękach bogatego Amerykanina, wycenianego na wagę złota. Nie żywił jednak niechęci.

- Ekscelencjo - rzekł - nie chcę, żeby się pan martwił o tego chłopca. Jutro rano zanieś do miasta list z żądaniem okupu.

Astorre zjadał łapczywie. Jeszcze nigdy nie kosztował czegoś równie pysznego, jak to jagnię z rusztu. W końcu jednak przemówił z pogodną śmiałością:

- Zostanę ze stryjkiem Raymonde.

Fissolini roześmiał się.

- Dobrze jedzenie daje odwagę. Żeby okazać szacunek Waszej Ekscelencji, przyrządziłem ten posiłek własnoręcznie. Użyłem specjalnych przypraw mojej matki.

- Zostanę z moim stryjkiem - powtórzył Astorre, a jego głos zabrzmiał czysto i wyzywająco.

Don Aprile rzekł do mafiosa surowym, lecz uprzejmym tonem:

- To był wspaniały wieczór - jedzenie, górskie powietrze, twoje towarzystwo. Już teraz cieszę się na widok świeżej wiejskiej rosy. Ale radzę ci zawieźć mnie z powrotem do mojej wioski.

Fissolini uklonił się mu z szacunkiem.

- Wiem, że jest pan bogaty. Ale czy aż tak wpływowy? Mam zamiar poprosić tylko o sto tysięcy dolarów amerykańskich.

- To mi ubliża - odparł don. - Narażasz na szwank moją reputację. Podwój tę sumę. I dodaj pięćdziesiąt za chłopca. Zapłacą ci. Ale potem twoje życie stanie się nieprzerwanym pasmem nieszczęść. - Zawahał się przez chwilę. - Jak mogłeś być tak nierozważny?

Fissolini westchnął.

- Musi pan zrozumieć, Ekscelencjo, jestem ubogim człowiekiem. W moim okręgu mogę oczywiście brać, co chcę, ale Sycylia jest tak przeklętym krajem, że bogaci są zbyt biedni, by dawać utrzymanie ludziom takim jak ja. Musi pan zrozumieć, że jest pan dla mnie szansą na zdobycie majątku.

- W takim razie powinieneś być przyjść do mnie i zaproponować swoje usługi - odparł don. - Utalentowani ludzie są mi zawsze potrzebni.

- Mówi pan tak teraz, bo jest pan słaby i bezradny. Słabi zawsze są tacy hojni. Ale usłucham pańskiej rady i zażądam dwa razy więcej, choć czuję, że to trochę niewłaściwe. Żaden człowiek nie jest tyle wart. A chłopca puszczyć wolno. Mam słabość do dzieci, sam mam czworo własnych, które muszę wykarmić.

Don Aprile spojrzał na bratanka.

- Pójdiesz?

- Nie - odrzekł chłopiec pochylając głowę. - Chcę być z tobą. - Uniósł wzrok i popatrzył na stryja.

- Więc pozwól mu zostać - rzekł don do bandyty.

Fissolini pokręcił głową.

- On wraca. Nie mogę zepsuć sobie opinii. Nie będą mnie nazywali porywaczem dzieci. Bo przecież, Wasza Ekscelencjo, choć mam dla pana najwyższy szacunek, będę musiał wysłać pana kawałek po kawałku, jeżeli nie zapłacą. Ale jeżeli to zrobią, damę panu słowo honoru Pietro Fissoliniego, że włos z głowy panu nie spadnie.

- Dostaniesz pieniądze - spokojnie zapewnił don. - A teraz wykorzystajmy jak najlepiej tę sytuację. Chłopcze, zaśpiewaj tym panom jedną ze swoich piosenek.

Astorre śpiewał dla bandytów, którzy byli urzeczeni jego występem i chwalili go, czule mierzwiąc mu włosy. Moment, gdy słodki głos chłopca wypełnił góry piosenkami miłosnymi, był rzeczywiście magiczny dla nich wszystkich.

Z pobliskiej groty wyniesiono koce i śpiwory.

- Co Wasza Ekscelencja chciałby zjeść jutro na śniadanie? - zapytał Fissolini. - Może rybę świeżo wyłowioną z wody? A potem na lunch spaghetti i cielęcina? Jesteśmy do pańskich usług.

- Dziękuję - odparł don. - Wystarczy kawałek sera i owoce.

- Śpijcie dobrze - rzekł Fissolini. Złagodniał na widok nieszczęśliwej miny chłopca i pogłaskał go po głowie. - Jutro odpoczniesz we własnym łóżku.

Astorre zamknął oczy i natychmiast zasnął na ziemi obok stryja. Don objął go ramieniem i powiedział:

- Zostań przy mnie.

Astorre spał tak twardo, że wschodzące popielato-czerwone słońce było już nad jego głową, gdy obudził go gwar. Wstał i zobaczył, że kotlinę wypełniło pięćdziesięciu uzbrojonych ludzi. Don Aprile, łagodny, spokojny i dostojny, siedział na wielkim występie skalnym popijając kawę z kubka.

Don spostrzegł bratanka i skinął na niego.

- Astorre, chcesz kawy? - Wskazał palcem na stojącego przed nim człowieka. - To mój dobry przyjaciel Bianco. Uratował nas.

Astorre zobaczył wielkiego mężczyznę, który wprawdzie był pokryty sporą warstwą tłuszczu, nosił garnitur i krawat i najwyraźniej nie posiadał broni, ale wyglądał znacznie bardziej przerażająco niż Fissolini. Miał siwe kędzierzawe włosy i duże zaczerwienione oczy, emanował siłą. Kiedy jednak przemówił cichym chrapliwym głosem, zdawał się tuszować tę siłę.

- Don Aprile, muszę przeprosić za tak duże spóźnienie i za to, że musiałeś spać na ziemi jak wieśniak, ale przybyłem, gdy tylko otrzymałem wiadomość. Zawsze wiedziałem, że Fissolini jest osłem, ale nigdy nie spodziewałem się, że zrobi coś takiego.

Rozległo się walenie młotkiem. Paru mężczyzn odsłoniło Astorre widok. Ujrzał dwóch młodych chłopców zbijających krzyż. Potem zobaczył Fissoliniego i jego dziesięciu bandytów skrupowanych i przywiązanych do drzew po drugiej stronie kotliny. Byli oplątani pajęczą siecią z drutu i sznura, mieli związane kończyny. Wyglądali niczym kupa much na kawałku mięsa.

- Don Aprile, którego z tych mętów chcesz osądzić najpierw? - zapytał Bianco.

- Fissoliniego - odparł don. - To on jest dowódcą.

Bianco przyciągnął Fissoliniego; mężczyzna nadal był mocno związany jak mumia. Podniósł go wraz z jednym ze swoich żołnierzy, zmusił do stania i rzekł:

- Fissolini, jak mogłeś być takim idiotą? Nie wiedziałeś, że don jest pod moją opieką, bo gdyby było inaczej, sam bym go porwał? Wydawało ci się, że pożyczasz flaszkę oleju? Trochę octu? Czy kiedykolwiek wkroczyłem na twój teren? No, ale ty zawsze byłeś uparty i wiedziałem, że to się źle dla ciebie skończy. Ponieważ niczym Jezus musisz zawisnąć na krzyżu, przepraszam don Aprilego i jego małego bratanka. A ja zlituję się nad tobą i zastrzelę cię, zanim wbijemy gwoździe.

- No, to wytłumacz swój brak szacunku - polecił don Fissoliniemu.

Fissolini stał wyprostowany i dumny.

- Przecież nie chodziło o pana osobę, Ekscelencjo. Nie wiedziałem, jak ważny i drogi jest pan dla moich przyjaciół. Ten dureń Bianco mógł mnie poinformować. Ekscelencjo, popełniłem błąd i muszę zapłacić. - Przerwał na chwilę, potem zaś gniewnie i pogardliwie

krzyknął do Bianca: - Każ tym ludziom przestać! Głuchnę od tego stukania. I tak nie stracę przytomności ze strachu, zanim mnie zabijesz!

Fissolini znowu przerwał. Po chwili rzekł:

- Ukarz mnie, ale oszczędź moich ludzi. Oni wykonywali moje rozkazy. Mają rodziny. Jeżeli ich zabijesz, zniszczysz całą wioskę.

- To odpowiedzialni ludzie - z sarkazmem odparł don Aprile. - Znieważylbym ich, gdyby nie podzielili twojego losu.

W tym momencie nawet dziecinny Astorre zdał sobie sprawę, że mówią o życiu i o śmierci.

- Stryjku, nie rób mu krzywdy - wyszeptał. Don nie pokazał po sobie, że usłyszał.

- Mów dalej - rzekł do Fissoliniego.

Fissolini posłał mu pytające spojrzenie, dumne i ostrożne zarazem.

- Nie będę błagał o życie. Ale ci leżący tam ludzie to wszystko moi krewni. Jeżeli ich pan zabije, zrujnuje pan ich żony i dzieci. Trzej z nich są moimi zięciami. Mieli do mnie bezgraniczne zaufanie. Zdali się na moją opinię. Jeżeli puści ich pan wolno, zanim umrę, każę im poprzysiąc dozgonną wierność panu. A oni spełnią mój rozkaz. Mieć dziesięciu wiernych przyjaciół to nie byle co. Słyszę, że jest pan wielkim człowiekiem, ale nie może pan być naprawdę wielki, jeżeli nie okaże pan litości. Oczywiście nie może się pan do tego przyzwyczajać, ale tylko ten jeden raz. - Uśmiechnął się do Astorre.

Dla don Raymonde Aprilego był to znajomy moment. Nie miał żadnej wątpliwości co do swojej decyzji. Nigdy nie polegał na sile wdzięczności i nie sądził, by ktoś mógł wpływać na wolną wolę jakiegokolwiek człowieka inaczej niż poprzez śmierć. Przyjrzał się beznamiętnie Fissolinemu i pokręcił głową. Bianco ruszył do przodu.

Astorre podszedł dużymi krokami do stryja i popatrzył mu prosto w oczy. Wszystko zrozumiał. Wyciągnął rękę, żeby obronić Fissoliniego i rzekł:

- On nie zrobił nam krzywdy. Chciał tylko naszych pieniędzy.

Don uśmiechnął się i zapytał:

- I to jest bez znaczenia?

- Ale to był dobry powód. Potrzebował pieniędzy, żeby wyżywić rodzinę. Lubię go. Proszę cię, stryjku.

Don uśmiechnął się do chłopca.

- Brawo - powiedział, po czym milczał przez dłuższy czas, ignorując bratanka szarpiącego go za rękę. I po raz pierwszy od wielu lat poczuł potrzebę okazania litości.

Ludzie Bianca palili małe, bardzo mocne cygara i ich dym niósł się w powietrzu poranka w porywach górskiego wiatru. Jeden z nich wystąpił naprzód, z myśliwskiej kurtki wyjął świeże cygaro i podał je don Aprilemu. Astorre dziecięcą logiką zrozumiał, że była to nie tylko uprzejmość, ale i demonstracja szacunku. Don wziął cygaro, a mężczyzna zapalił mu je w swoich złożonych dłoniach.

Don powoli i z namysłem wypuścił dym z cygara, a potem rzekł:

- Nie znieważę cię, okazując ci litość, ale proponuję porozumienie handlowe. Pozostajesz przy życiu. Twój kamraci także. Lecz przez resztę życia będziecie do mojej dyspozycji.

Astorre poczuł olbrzymią ulgę i uśmiechnął się do Fissoliniego. Obserwował, jak ten klęka na ziemi i całuje don Aprilego w rękę. Zauważył, że otaczający ich uzbrojeni mężczyźni zawzięcie pykają z cygar i że nawet wielki jak góra Bianco zadrżał z radości.

- Niech Bóg błogosławi Waszą Ekscelencję - wymamrotał Fissolini.

Don położył cygaro na pobliskiej skale.

- Przyjmuję twoje błogosławieństwo, ale musisz zrozumieć sytuację. Bianco przyszedł mi na ratunek, ty masz robić to samo. Płacę mu pewną sumę pieniędzy i co roku tak samo będę płacił tobie. Lecz wystarczy jeden akt nielojalności, a ty i twój świat zostaniecie zniszczeni. Ty, twoja żona, dzieci, bratankowie, zięciowie przestaniecie istnieć.

Fissolini podniósł się z klęczek. Objął don Aprilego i wybuchnął płaczem.

I w ten właśnie sposób don Aprilego i jego bratanka Astorre połączyła najgłębsza duchowa więź. Don pokochał chłopca za to, że przekonał go do okazania litości, ten zaś pokochał stryja za oddanie w jego ręce życia Fissoliniego oraz dziesięciu jego ludzi. Była to więź, która trwała przez resztę ich życia.

Ostatniego wieczoru w Villa Grazia don Aprile pił espresso w ogrodzie, a Astorre jadł oliwki z domowej beczki. Chłopiec bardzo się zadumał, tak towarzyski zazwyczaj, nie był teraz sobą.

- Przykro ci, że wyjeżdżasz z Sycylii? - zapytał don.

- Szkoda, że nie mogę tu mieszkać - odparł Astorre. Włożył pestki zjedzonych oliwek do kieszeni.

- No cóż, będziemy tu przyjeżdżać co lato - pocieszył go stryj.

Astorre popatrzył nań niczym stary mądry przyjaciel, na jego chłopięcej twarzy malowało się zmartwienie.

- Czy Caterina jest twoją dziewczyną?

Don roześmiał się.

- To moja dobra przyjaciółka.

Astorre myślał o tym przez chwilę.

- Czy moi kuzyni wiedzą o niej?

- Nie. Moje dzieci nie mają o niej pojęcia. - Chłopiec znowu go rozbawił i don był ciekaw, co zaraz nastąpi.

Astorre zrobił się bardzo ponury.

- Czy moi kuzyni wiedzą, że masz takich potężnych przyjaciół jak Bianco, którzy zrobią wszystko, co im każesz?

- Nie.

- Nie powiem im o niczym. Nawet o porwaniu.

Don poczuł przyływ dumy. Jego bratanek miał *omertà* we krwi.

Później Astorre, gdy został sam, poszedł w odległy róg ogrodu i gołymi rękami wykopał dołek w ziemi. Włożył do niego pestki oliwek, które wcześniej ukrył w kieszeni. Spojrzał na błądy nocny błękit sycylijskiego nieba i wyobraził sobie, że jest starym jak stryj człowiekiem, siedzącym w tym ogrodzie w podobny wieczór i obserwującym, jak rosną jego oliwne drzewa.

Potem don uważał, że wszystko było im sądzone. Do czasu ukończenia przez Astorre szesnastu lat odbywali doroczne podróże na Sycylię. W skrytości ducha don tworzył wizję, niewyraźny zarys losu chłopca.

To jego córka doprowadziła do kryzysu, który przybliżył Astorre do tego losu. W wieku osiemnastu lat, dwa lata starsza od Astorre, zakochała się w nim i mając dość porywczego temperamentu niewiele robiła, by zataić ów fakt. Całkowicie zawładnęła wrażliwym chłopcem. Z całą namiętą gwałtownością młodości nawiązali intymne stosunki.

Don nie mógł na to pozwolić, był jednak generałem, który dostosowywał taktykę do terenu walki. Nigdy nie dał do zrozumienia, że wie o ich romansie.

Pewnego wieczora wezwał Astorre do swego gabinetu. Powiedział mu, że zostanie wysłany do Anglii na naukę i praktykę w bankowości u niejakiego Pryora z Londynu. Nie podał żadnego innego powodu wiedząc, że chłopak zdałby sobie sprawę, iż zostaje wyprawiony z domu, aby zakończyć romans. Nie uwzględnił jednak w swych rachubach Nicole, która słuchała za drzwiami. Wpadła do pokoju jak wichur, namiętne oburzenie dodawało jej urody.

- Nie uda ci się! - krzyknęła do ojca. - Uciekniemy razem.

Don uśmiechnął się do niej i rzekł pojednawczo:

- Oboje musicie najpierw skończyć szkołę.

Nicole odwróciła się do Astorre, który rumienił się w zakłopotaniu.

- Astorre, nie pojedziesz, prawda? - zapytała.

Astorre nie odpowiedział i Nicole wybuchnęła płaczem.

Trudno jest ojcu nie wzruszyć się taką scenką, lecz don czuł rozbawienie. Jego córka była wspaniała - prawdziwy mafioso w dawnym znaczeniu tego słowa, istny skarb. Mimo to przez wiele następnych tygodni Nicole nie odzywała się do ojca i zamykała na klucz w swoim pokoju. Lecz don nie obawiał się, że na zawsze złamał jej serce.

Jeszcze bardziej rozbawił go widok bratanka schwytanego w pułapkę wszystkich dojrzewających młodzieńców. Astorre z pewnością kochał Nicole. I z pewnością dzięki jej miłości i oddaniu czuł się jak najważniejszy człowiek na ziemi; taką troską można uwieść każdego młodego mężczyznę. Ale z równą pewnością don wiedział, że Astorre potrzebował

pretekstu, by uwolnić się od wszelkich przeszkód w swym marszu ku życiowym zaszczytom. Don uśmiechnął się. Chłopak posiadał wszystkie pożądane instynkty. Nadeszła pora na jego prawdziwą naukę.

Tak więc teraz, trzy lata po przejściu na emeryturę, don Raymonde Aprile miał poczucie bezpieczeństwa i satysfakcję człowieka, który dokonał w życiu właściwych wyborów. Prawdę powiedziawszy, czuł się tak pewnie, że zaczął budować bliższą więź ze swymi dziećmi, nareszcie - do pewnego stopnia - korzystając z owoców ojcostwa.

Ponieważ Valerius spędził większość ostatnich dwudziestu lat na wojskowych placówkach za granicą, nigdy nie był w bliskich stosunkach z ojcem. Teraz, gdy stacjonował w West Point, dwaj mężczyźni spotykali się częściej i zaczęli szczerzej rozmawiać ze sobą. Przychodziło im to jednak z trudem.

W przypadku Marcantonio było inaczej. Don i jego drugi syn osiągnęli pewnego rodzaju porozumienie. Marcantonio wyjaśniał, na czym polega jego praca w telewizji, tłumaczył swoją ekscytację procesem powstawania filmów, swój obowiązek wobec widzów, pragnienie uczynienia świata lepszym. Życie takich ludzi przypominało don Aprilemu baśnię. Fascynowało go.

W trakcie rodzinnych obiadów Marcantonio i ojciec potrafili się kłócić w przyjazny sposób dla rozrywki innych. Kiedyś don wyznał synowi:

- Nigdy nie spotkałem ludzi tak dobrych ani tak złych jak twoi filmowi bohaterowie.
- W to właśnie wierzy publiczność. Musimy im tego dostarczać.

Na jednym rodzinnym spotkaniu Valerius starał się racjonalnie uzasadnić wojnę w Zatoce, która oprócz chronienia ważnych interesów gospodarczych i praw człowieka stanowiła również żyłą złąta dla sieci telewizyjnej Marcantonio. Lecz don zbył to wszystko wzruszeniem ramion. Te konflikty były subtelnościami władzy, które go nie interesowały.

- Powiedz mi, jak państwa naprawdę wygrywają wojny? - zapytał Valeriusa. - Co jest decydującym czynnikiem?

Valerius zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Wyszkolona armia, genialni dowódcy. Wielkie bitwy, niektóre przegrane, niektóre zwycięskie. Gdy pracowałem w wywiadzie i wszystko analizowaliśmy, wyszło na to, że wojnę po prostu wygrywa kraj, który produkuje najwięcej stali.

Don potwierdził skinieniem głowy, nareszcie usatysfakcjonowany.

Najserdeczniejsza i najmocniejsza więź łączyła go z Nicole. Był dumny z jej zdolności, urody, porywczego charakteru i inteligencji. I faktycznie, mimo zaledwie trzydziestu dwóch lat była skuteczną i obiecującą prawniczką o dobrych koneksjach politycznych i nie bała się nikogo, kto w procesie reprezentował otoczoną umocnieniami władzę.

Tutaj don w tajemnicy pomagał córce; jej kancelaria prawnicza była u niego poważnie zadłużona. Bracia Nicole wystrzegali się jej z dwóch powodów: rozwiodła się i często broniła

interesu publicznego. Mimo swego podziwu don nie potrafił traktować Nicole serio. Była przecież kobietą. I to kobietą z niepokojącym pociąganiem do mężczyzn.

Podczas rodzinnych obiadów oboje stale się kłócili, niczym dwa wielkie, niebezpiecznie dokazujące koty, od czasu do czasu załaząc sobie za skórę. Mieli jedną poważną kość niezgody, jedyną rzecz, która mogła uczynić ojca niegrzecznym. Nicole wierzyła w świętość ludzkiego życia, sądziła, że kara śmierci jest obrzydliwością. Zorganizowała i przeprowadziła Kampanii Przeciwko Karze Śmierci.

- Dlaczego? - pytał don, a Nicole znowu wpadała we wściekłość, gdyż w głębi duszy sądziła, że kara śmierci w końcu zniszczy ludzkość. Że skoro zabijanie wybaczano w jakichś okolicznościach, można by je usprawiedliwiać innym zespołem okoliczności, innym zestawem przekonań. Ostatecznie nie sprzyjałoby to rozwojowi ludzkości. Przekonanie o tym doprowadziło Nicole do nieustannego konfliktu z bratem Valerusem. Bo przecież cóż innego robiło wojsko? Przyczyna nie miała dla niej znaczenia. Zabijanie było zabijaniem i cofnęłoby nas wszystkich do kanibalizmu lub gorszych rzeczy. Nicole przy każdej okazji walczyła w sądach w całym kraju, by ratować skazanych morderców. Choć don uważał to wszystko za najzwyklejszy nonsens, przy rodzinnym obiedzie po wygranej przez nią słynnej sprawie w obronie z urzędu wznosił toast na cześć córki. Nicole uzyskała złagodzenie wyroku śmierci dla jednego z najbardziej znanych przestępców dekady, człowieka, który zabił swego najlepszego przyjaciela i zgwałcił brutalnie jego świeżo owdowiałą żonę. Podczas ucieczki obrabował i przy okazji uśmiercił dwóch pracowników stacji benzynowej. Potem zgwałcił i zamordował dziesięcioletnią dziewczynkę. Jego kariera dobiegła końca dopiero wtedy, gdy próbował zabić dwóch policjantów w radiowozie. Nicole wygrała sprawę z uwagi na niepoczytalność skazańca i po zapewnieniu, że jej klient resztę życia spędzi w zakładzie dla obłąkanych umysłowo przestępców, bez nadziei na zwolnienie.

Następny rodzinny obiad stanowił uroczystość dla uczczenia jeszcze jednej wygranej przez Nicole sprawy - tym razem własnej. W ostatnim procesie z narażeniem kariery broniła kontrowersyjnej zasady prawnej. Została postawiona przed adwokackim sądem dyscyplinarnym pod zarzutem nieetycznego postępowania i uniewinniona. Wygrała. Teraz była pełna wigoru.

Don, będący w radosnym nastroju, wykazywał niezwykle zainteresowanie tą sprawą. Pogratulował córce uniewinnienia, ale był lub udawał, że jest, niezbyt zorientowany w okolicznościach. Nicole musiała mu je wyjaśnić.

Broniła trzydziestoletniego mężczyzny, który zgwałcił, popełnił sodomie i zabił dwunastoletnią dziewczynkę, a potem ukrył jej ciało tak, że policja nie mogła go znaleźć. Dowody pośrednie silnie przemawiały przeciwko niemu, ale bez ciała ława przysięgłych i sędzia nie byłiby skłonni orzec kary śmierci. Daremne pragnienie znalezienia zwłok wywoływało dodatkową udękę rodziców ofiary.

Morderca wyznał Nicole jako swojemu adwokatowi, gdzie zakopał ciało, i upoważnił ją do zawarcia umowy - on wskaże to miejsce w zamian za wyrok dożywocia. Kiedy Nicole rozpoczęła negocjacje z prokuratorem, zagrożono jej dochodzeniem sądowym, jeżeli natychmiast nie ujawni, gdzie znajdują się zwłoki. Uważała, że ochrona poufności w kontaktach adwokata z klientem nie jest społeczeństwu obojętna, i dlatego odmówiła, a potem pewien wybitny sędzia stwierdził, że racja jest po jej stronie.

Prokurator, zasięgnąwszy opinii rodziców ofiary, w końcu zgodził się na tę transakcję.

Morderca powiedział im, że rozczłonkował ciało, umieścił je w skrzyni wypełnionej lodem i zakopał w pobliskich moczarach w New Jersey. Tak więc ciało zostało znalezione, a zabójca skazany na dożywocie. Wtedy jednak stowarzyszenie adwokatów postawiło Nicole przed sądem dyscyplinarnym pod zarzutem nieetycznych negocjacji. I dzisiaj uzyskała uniewinnienie.

Don wypił zdrowie wszystkich zebranych, po czym zapytał:

- Uważasz, że zachowałam się uczciwie w całej tej sprawie?

Nicole straciła swój entuzjazm.

- Chodziło o zasadę. W żadnej sytuacji, bez względu na jej powagę, nie można pozwolić władzom na naruszenie uprawnień stosunku adwokata-klienta, bo inaczej przestaną być święte.

- I nie miałaś żadnego współczucia dla matki i ojca ofiary?

- Oczywiście, że miałam - odparła zirytowana Nicole. - Ale jak mogłabym dopuścić, by moje współczucie wpłynęło na respektowanie podstawowej zasady prawnej? Cierpiałam z tego powodu, naprawdę, bo też dlaczego miałabym nie cierpieć? Lecz niestety, trzeba ponosić ofiary, aby ustanowić precedensy dla przyszłego prawa.

- A jednak stowarzyszenie adwokatów postawiło cię przed sądem - zauważył don.

- Żeby zachować twarz - wyjaśniła Nicole. - To było posunięcie polityczne. Zwykli ludzie, niezorientowani w zawiłościach systemu prawnego, nie potrafią zaakceptować tych zasad i zrobił się szum. Tak więc mój proces rozproszył wszystkie wątpliwości. Pewien wybitny sędzia musiał wystąpić publicznie i wyjaśnić, że na mocy Konstytucji miałam prawo odmówić ujawnienia tej informacji.

- Brawo - rzekł jowialnie don. - Prawo jest zawsze pełne niespodzianek. Oczywiście tylko dla prawników.

Nicole wiedziała, że ojciec kpi sobie z niej.

- Bez skodyfikowanego zbioru praw nie może istnieć żadna cywilizacja.

- To prawda - odparł don, jakby dla uspokojenia córki. - Ale fakt, że człowiek, który popełnia potworną zbrodnię, unika śmierci, wydaje się niesprawiedliwością.

- Zgadza się. Lecz nasz system prawny jest oparty na negocjowaniu zarzutów. To prawda, że każdy przestępca otrzymuje niższą karę, niż zasługuje. Ale pod pewnym względem to

dobrze. Przebaczenie uzdrawia. I ostatecznie tych, którzy popełniają przestępstwa przeciwko naszemu społeczeństwu, łatwiej będzie zresocjalizować.

Tym razem don Aprile wznosił toast z dobrodusznym sarkazmem.

- Powiedz mi jednak, czy kiedykolwiek wierzyłaś, że choroba umysłowa powoduje, iż człowiek jest niewinny? Przecież wypełniał swą wolną wolę.

Valerius zmierzył Nicole chłodnym wzrokiem. Był wysokim, czterdziestoletnim mężczyzną z krótkim szczeciniastym wąsem i włosami przybierającymi już stalowoszary kolor. Sam, jako oficer wywiadu, podejmował decyzje, które nie uwzględniały ludzkiej moralności. Interesował się więc jej sposobem rozumowania.

Marcantonio rozumiał siostrę, to, że dążyła do normalnego życia, po części ze wstydu za życiorys ich ojca. Bardziej niż brat obawiał się, że Nicole powie coś nieprzemyślanego, coś, czego ojciec nigdy jej nie wybaczy.

Jeśli chodzi o Astorre, to był olśniony kuzynką, jej roziskrzonymi oczami, niesamowitą energią, z jaką reagowała na prowokacyjne uwagi ojca. Pamiętał, jak się kochali jako nastolatki, i czuł jej wciąż wyraźną słabość do niego. Ale on się zmienił, nie był już taki jak wtedy, gdy byli kochankami. To się rozumiało samo przez się. Był ciekaw, czy bracia Nicole wiedzieli o tym dawnym romansie. On także obawiał się, że jakaś kłótnia pozrywa więzi rodzinne - w rodzinie, którą kochał, która stanowiła jego jedyną ostoję. Miał nadzieję, że Nicole nie posunie się za daleko. Nie podzielał jednak jej poglądów. Dziesięć lat na Sycylii nauczyło go czego innego. Zdumiewał go jednak fakt, że dwoje ludzi, których kochał najbardziej w świecie, może się tak różnić. I przyszło mu do głowy, że nawet gdyby to Nicole miała rację, nigdy nie stanąłby po jej stronie w sporze z ojcem.

Nicole śmiało spojrzała ojcu w oczy.

- Nie sądzę, by on miał wolną wolę. Został zmuszony przez okoliczności życiowe - przez upośledzoną zdolność odczuwania, dziedzictwo genetyczne, biochemię swego organizmu, ignorancję lekarzy - był obłąkany. Więc oczywiście wierzę w to.

Don przez chwilę rozważał jej słowa, po czym zapytał:

- A gdyby przyznał przed tobą, że wszystkie jego wymówki są fałszywe, nadal próbowałabyś uratować mu życie?

- Tak. Życie każdego człowieka jest święte. Państwo nie ma prawa go odbierać.

Don uśmiechnął się do niej drwiąco.

- To twoja włoska krew. Wiesz, że we współczesnych Włoszech nigdy nie było kary śmierci? Tyle uratowanych ludzkich istnień - obaj synowie i Astorre skrzywili się na jego sarkazm, ale Nicole się nie spieszyła.

- Popełnianie przez państwo morderstwa z premedytacją, pod płaszczykiem sprawiedliwości, jest barbarzyństwem. Sądziłam, że akurat ty się z tym zgodzisz - powiedziała surowo. Jej słowa były wyzwaniem, aluzją do jego reputacji. Roześmiała się, a potem już poważniej dodała: - Mamy wyjście. Przestępca zostaje zamknięty na resztę życia w

zakładzie lub więzieniu bez nadziei na zwolnienie lub łaskę. Wtedy nie stanowi już zagrożenia dla społeczeństwa.

Don spojrział na nią chłodnym wzrokiem i rzekł:

- Po kolei. Rzeczywiście aprobuję to, że państwo odbiera ludziom życie. A jeśli chodzi o twoje dożywocie bez prawa łaski i przedterminowego zwolnienia, to jakiś żart. Mija dwadzieścia lat i zostaje odkryty rzekomo nowy dowód albo zakłada się, że nastąpiła resocjalizacja i przestępca stał się innym człowiekiem, więc teraz nadużywa ludzkiej dobroci. Człowiek ten wychodzi na wolność. A o zabitych nie troszczy się nikt. To nie jest naprawdę ważne...

Nicole zmarszczyła brwi.

- Tato, ja nie sugerowałam, że ofiara nie jest ważna. Ale odbieranie zabójcy życia nie przywróci go ofierze. I im dłużej przystajemy na zabijanie, w jakichkolwiek okolicznościach, tym dłużej będzie ono trwało.

W tym momencie don zawahał się i napił wina, spoglądając na Astorre i swych synów siedzących wokół stołu.

- Pozwól, że zapoznam cię z realiami - rzekł i odwrócił się do córki. Mówił z rzadkim u niego naciskiem. - Twierdzisz, że ludzkie życie jest święte? Na jakiej podstawie? Kiedy i gdzie tak było? Wojny, które uśmierciły miliony, są aprobowane przez wszystkie rządy i religie. Historia przez cały czas notuje masakry tysięcy przeciwników w politycznych sporach, z uwagi na interesy gospodarcze. Ile razy zysk stawiano ponad świętością życia ludzkiego? I ty sama wybaczasz odbieranie życia człowiekowi, gdy wyciągasz swojego klienta z opresji.

W ciemnych oczach Nicole pojawił się błysk.

- Nie wybaczam. Nie usprawiedliwiam. Uważam, że to barbarzyństwo. Nie chcę jedynie tworzyć uzasadnienia dla dalszego zabijania.

Don mówił teraz spokojniej, ale bardziej szczerze.

- Przede wszystkim twoja ukochana ofiara leży w grobie. Została na zawsze wygnana z tego świata. Już nigdy nie zobaczymy jej twarzy, nigdy nie usłyszymy głosu, nigdy nie dotkniemy ciała. Przebywa w ciemnościach, stracona dla nas i naszego świata.

Wszyscy milczeli, gdy don wypił kolejny łyk wina.

- A teraz, moja Nicole, wysłuchaj mnie. Twój klient, twój morderca zostaje skazany na dożywotnie więzienie. Resztę życia spędzi za kratkami lub w zakładzie psychiatrycznym. Tak twierdzisz. Ale co rano będzie oglądał wschodzące słońce, kosztował gorącego jedzenia, słyszał muzykę, krew będzie krążyć w jego żyłach i wzbudzać w nim zainteresowanie światem. Jego ukochani nadal mogą brać go w objęcia. Rozumiem, że może nawet czytać książki, uczyć się stolarki, żeby zrobić stół i krzesła. Krótko mówiąc, żyje. I to jest niesprawiedliwe.

Nicole była zdecydowana. Nie robiła uników.

- Tato, żeby oswoić zwierzęta, nie pozwala się im jeść surowego mięsa. Nie pozwala się im go skosztować, bo inaczej chcą więcej. Im więcej zabijamy, tym łatwiej nam to przychodzi. Nie widzisz tego? - Gdy don nie odpowiedział, zapytała: - I jak możesz stwierdzić, co jest sprawiedliwe, a co nie? Gdzie wytyczasz granicę? - Miała to być prowokacja, ale zabrzmiało raczej jak prośba o zrozumienie, dlaczego przez całe lata wątpiła w jego uczciwość.

Wszyscy spodziewali się wybuchu furii ojca, rozwścieczonego jej bezczelnością, ale on nagle odzyskał dobry humor.

- Mam chwile słabości - odparł - ale nigdy nie pozwalałam dziecku osądzać rodziców. Dzieci są bezużyteczne i żyją dzięki naszej wyrozumiałości. I uważam, że nie można mi nie zarzucić jako ojcu. Wychowałem trójkę dzieci, które są podporami społeczeństwa, są utalentowane i odnoszą sukcesy. I nie są zupełnie bezsilne wobec losu. Czy któreś z was może mi czynić wyrzuty?

- Nie - odparła Nicole. W tym momencie opadła w niej złość. - Nikt nie może czynić ci wyrzutów jako ojcu. Ale pominąłeś jedną rzecz. Uciskani są ci, którzy trafiają na szubienicę. Bogaci unikają w końcu kary.

Don spojrział na córkę z wielką powagą.

- Czemu zatem nie walczysz o zmianę zasad prawa, żeby bogatych wieszano razem z ubogimi? To rozsądniejsze.

- Zostałoby nas bardzo niewiele - mruknął Astorre, uśmiechając się radośnie. I ta uwaga rozładowała napięcie.

- Największą cnotą ludzkości jest litość - odparła Nicole. - Oświecone społeczeństwo nie dokonuje egzekucji ludzi i powstrzymuje się od karania na tyle, na ile pozwala zdrowy rozsądek i sprawiedliwość.

Dopiero wtedy don stracił swój dobry humor.

- Skąd wzięłaś takie pomysły? - zapytał. - One są świadectwem pobbłazania samemu sobie i tchórzostwa. Mało tego, są bluźnierstwem. Kto jest bardziej bezlitosny niż Bóg? On nie przebacza, On nie zakazuje karania. Na mocy Jego wyroku jest Niebo i jest Piekło. On nie wypędza smutku i żalu ze Swojego świata. Obowiązkiem Wszechmocnego jest okazywanie co najwyżej niezbędnej litości. Kim więc ty jesteś, żeby obdarzać ludzi tak cudowną łaską? To arogancja. Wydaje ci się, że jeżeli będziesz taka święta, zdołasz stworzyć lepszy świat? Pamiętaj, że święci potrafią jedynie szeptać modlitwy do ucha Boga, i to tylko wtedy, gdy zyskali do tego prawo własnym męczeństwem. Nie. Naszym obowiązkiem jest tropienie bliźniego naszego. Inaczej bowiem byłby zdolny do popelnienia wielkich grzechów. Oddalibyśmy nasz świat w posiadanie diabłu.

Na te słowa Nicole oniemiała z gniewu, a Valerius i Marcantonio uśmiechnęli się. Astorre pochylił głowę jak do modlitwy.

- Tatusiu, jako moralista przekraczasz po prostu wszelkie granice niegodziwości. A na pewno nie jesteś przykładem do naśladowania - powiedziała w końcu Nicole.

Przy stole zapadła długa cisza. Wszyscy przywołali wspomnienia swoich dziwnych stosunków z ojcem. Nicole, nigdy nie wierząca do końca w opowieści, jakie o nim słyszała, lecz mimo to obawiająca się, że są prawdziwe. Marcantonio, pamiętający, jak jeden z jego telewizyjnych kolegów przebiegle zapytał: „Jak twój ojciec traktuje ciebie i pozostałe dzieci?”. I Marcantonio, głęboko zastanawiający się nad odpowiedzią, wiedząc, że ten człowiek czyni aluzję do reputacji ojca, odparł zupełnie poważnie: „Mój ojciec jest dla nas bardzo serdeczny”.

Valerius rozmyślał o tym, jak bardzo jego ojciec przypomina pewnych generałów, pod których dowództwem służył. Ludzi, którzy wykonywali zadanie bez żadnych skrupułów moralnych, bez żadnych wątpliwości co do ciężącego na nich obowiązku. Strzały, które mknęły do celu z zabójczą szybkością i dokładnością.

W przypadku Astorre było inaczej. Don zawsze okazywał mu miłość i zaufanie. Ale Astorre jako jedyny z siedzących przy stole wiedział, że don zasługiwał na swą reputację. Wspominał moment przed trzema laty, gdy powrócił z wieloletniej emigracji. Don udzielił mu pewnych wskazówek.

- Człowiek w moim wieku może umrzeć potknąwszy się w drzwiach, na raka skóry bądź zawał. To dziwne, że ludzie nie zdają sobie sprawy z własnej śmiertelności w każdej sekundzie swego życia. Bez względu na przyczynę. Nie muszą mieć wrogów. Muszą jednak planować. Uczyniłem cię głównym spadkobiercą moich banków, będziesz je nadzorował i dzielił się zyskiem z moimi dziećmi. Oto powód. Pewne grupy, w tym jedna z konsulem generalnym Peru na czele, chcą je kupić. Władze federalne nadal prowadzą przeciwko mnie dochodzenie na mocy ustaw o gangsterskich organizacjach przestępczych, żeby móc zawładnąć moimi bankami. Stanowią dla nich łakomy kęs. Ale niczego nie znajdują. Otóż zabraniam ci je sprzedawać. Z biegiem lat będą przynosiły coraz większe zyski i dawały coraz większe wpływy. Z czasem przeszłość odejdzie w niepamięć.

Jeżeli wydarzy się coś nieoczekiwanego, wezwij Pryora, by pomógł ci jako rewident. Dobrze go znasz. Jest znakomicie wykwalifikowany i także czerpie zyski z banków. Jest mi winien lojalność. Poznam cię również z Benito Craxxim z Chicago. To człowiek dysponujący nieograniczonymi środkami. On też ma zyski z moich banków. Na nim również można polegać. Tymczasem dam ci firmę makaronową, żebyś po prostu miał czym kierować i z czego dostatnio żyć. Za to wszystko obarczam cię odpowiedzialnością za bezpieczeństwo i dobrobyt moich dzieci. To brutalny świat, a ja wychowałem je w nieświadomości.

Trzy lata później Astorre rozważał te słowa. Minął pewien czas i obecnie wydawało się, że jego usługi nie będą potrzebne. Świata don Aprilego nie można było zniszczyć.

Lecz Nicole jeszcze nie wyczerpała wszystkich argumentów.

- A litość? - zapytała ojca. - Wiesz, co głoszą chrześcijanie?

Don odpowiedział bez wahania.

- Litość to zły nawyk, pretensje do uprawnień, których nie mamy. Ci, którzy okazują litość, w niewybaczalny sposób ubliżają ofiarom. Nie to jest naszym obowiązkiem tu, na ziemi.

- Więc ty nie chciałbyś litości? - zapytała Nicole.

- W żadnym razie. Nie potrzebuję jej ani jej nie pragnę. Jeżeli będę musiał, przyjmę karę za wszystkie moje grzechy.

To właśnie na tym obiedzie pułkownik Valerius Aprile zaprosił rodzinę na bierzmowanie swego dwunastoletniego syna w Nowym Jorku za dwa miesiące. Przyjęcie zaproszenia pasowało do nowej, ostatnio zmienionej roli don Aprilego.

Tak więc w zimne, grudniowe, niedzielne południe, jasne od cytrynowego światła, rodzina Aprile udała się do katedry Św. Patryka przy Piątej Alei, gdzie jaskrawe słońce wytrawiło cienisty obraz wspaniałego kościoła w otaczających go ulicach. Don Raymonde Aprile, Valerius i jego żona, jak również Marcantonio, palący się do szybkiej ucieczki, oraz Nicole, pięknie wyglądająca w czerni, obserwowali, jak sam kardynał w czerwonym kapeluszu pije wino, udziela komunii i dokonuje w imieniu Niebios ceremonialnego nałożenia rąk.

Widok chłopców u progu pokwitania i dojrzewających dziewcząt w białych albach, przepasanych czerwonymi jedwabnymi szarfami, kroczących między ławkami katedry pod okiem kamiennych aniołów i świętych, sprawiał wielką i niewysłowioną przyjemność. Przyrzekali, że przez resztę życia będą służyli Bogu. Nicole miała łzy w oczach, mimo że nie wierzyła w ani jedno słowo wypowiedziane przez kardynała. Śmiała się w duchu.

Na stopniach katedry dzieci zrzuciły z siebie ceremonialne szaty i wystawiły na pokaz ukryte dotąd eleganckie stroje. Dziewczynki w delikatnych jak pajęczka sieć białych koronkowych sukniach, chłopcy w ciemnych garniturach, olśniewająco białych koszulach i tradycyjnych czerwonych krawatach, zawiązanych pod szyją, żeby odegnać złego ducha.

Don Aprile wyszedł z kościoła z Astorre po jednej i Marcantoniem po drugiej stronie. Dzieci dreptały dokoła, Valerius i jego żona dumnie trzymali synowską albę, gdy fotograf robił im zdjęcie.

Don Aprile zaczął schodzić po schodach. Odetchnął głęboko. Był to wspaniały dzień; czuł się taki zwawany i pełen życia. I gdy jego rozradowany wnuk podszedł, by uścisnąć dziadka, czule pogładził chłopca po głowie i włożył mu w dłoń wielką złotą monetę - tradycyjny prezent w dniu bierzmowania. Następnie szczodrą ręką sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął garść mniejszych złotych monet, by rozdać je innym chłopcom i dziewczynkom. Wynagradzały mu to ich radosne okrzyki, a nawet sam pobyt w tym mieście, wśród przyjemnych, niczym drzewa, budynków z szarego kamienia. Był zupełnie sam, tylko

Astorre stąpił o parę kroków za nim. Popatrzył na kamienne stopnie, po czym przystanął na chwilę, gdy wielki czarny samochód zatrzymał się, jakby czekając na niego.

Tego niedzielnego poranka w Brightwaters Heskow wstał wcześniej i poszedł po pieczywo i gazety. Skradziony samochód, ogromnego czarnego sedana wyładowanego karabinami, maskami i pudełkami z amunicją, trzymał w garażu. Sprawdził ciśnienie w oponach, ilość benzyny i poziom oleju oraz światła stopu. Doskonale. Wrócił do domu zbudzić Franky'ego i Stace'a Sturzów, ale oczywiście oni byli już na nogach i Stace zaparzył kawę.

Zjedli w milczeniu śniadanie i przeczytali niedzielne gazety. Franky sprawdził wyniki uniwersyteckich rozgrywek w koszykówce.

- Samochód gotowy? - zapytał Stace Heskowa o dziesiątej, a ten odparł:
- Wszystko w porządku.

Wsiedli do samochodu i odjechali, Franky z przodu z Heskowem, Stace z tyłu. Dojazd do miasta zajmował godzinę, więc mieli do zabicia dodatkowe sześćdziesiąt minut. Chodziło o to, by być punktualnie.

W samochodzie Franky sprawdził pistolety. Stace przymierzył jedną z masek, małych białych skorup ze sznurkami przywiązanymi z boku, żeby mogli je sobie zawiesić na szyi i założyć w ostatnim momencie.

Wjechali do miasta słuchając muzyki operowej w radiu. Heskow był doskonałym kierowcą, jechał ostrożnie, ze stałą prędkością, bez denerwującego przyspieszania bądź zwalniania. Od samochodów z przodu i z tyłu zawsze dzieliła ich spora odległość. Stace mruknął z aprobatą, co częściowo rozładowało napięcie; nie czuli zdenerwowania. Wiedzieli, że muszą być perfekcyjni. Nie mogli spudłować.

Heskow powoli kluczył po mieście, wydawało się, że na każdym skrzyżowaniu trafia na czerwone światło. Potem skręcił w Piątą Aleję i zaparkował w połowie długości budynku katedry, niedaleko od jej wielkich drzwi. Zaczęły bić kościelne dzwony, ich dźwięk odbijał się z łoskotem od okolicznych stalowych drapaczy chmur. Heskow znowu uruchomił silnik. Wszyscy trzej obserwowali dzieci wylewające się niczym trąba powietrzna na ulicę. Zaniepokoiło ich to.

- Franky, strzał w głowę - mruknął Stace.

Wtedy zobaczyli, jak don wychodzi z katedry i zaczyna zstępować po schodach. Zdawał się patrzeć prosto na nich.

- Maski - poleciał Heskow. Przyspieszył nieco, a Franky położył dłoń na kłamec drzwi. Lewą ręką obejmował od dołu uzi, gotów wyskoczyć na chodnik.

Samochód przyspieszył i zatrzymał się w chwili, gdy don dotarł do ostatniego stopnia. Stace wyskoczył z tylnego siedzenia na ulicę, od celu oddzielał go samochód. Jednym szybkim ruchem oparł pistolet na dachu. Strzelał oburącz. Wypalił tylko dwa razy.

Pierwsza kula trafiła don Aprilego prosto w czoło. Druga rozerwała mu szyję. Krew bluznęła na chodnik, skrapiając żółte światło słońca różowymi kroplami.

W tym samym czasie stojący na chodniku Franky posłał ze swego uzi długą serię nad głowami tłumu. Po chwili obaj wskoczyli do samochodu i Heskow z piskiem opon ruszył aleją. Kilkanaście minut później przejechali przez tunel i dotarli na małe lotnisko, skąd zabrał ich prywatny odrzutowiec.

Na dźwięk pierwszego strzału Valerius powalił syna i żonę na ziemię i osłonił ich swym ciałem. Właściwie nie widział, co się stało. Nie widziała również Nicole, która patrzyła na ojca ze zdumieniem. Marcantonio spoglądał z niedowierzaniem w dół. Rzeczywistość tak bardzo różniła się od inscenizowanej fikcji jego filmów telewizyjnych. Strzał w czoło rozłupał czaszkę, rozplątał ją jak melon, tak że widać było w środku mózg zmieniony w krwawą miazgę. Strzał w szyję wyciął z niej postrzępiony kawałek ciała. Don wyglądał tak, jakby został trafiony toporem rzeźniczym. Na ziemi wokół niego rozlało się bardzo dużo krwi. Więcej niż można było sobie wyobrazić w ludzkim ciele. Marcantonio widział dwóch mężczyzn w bladożółtych maskach na twarzach; widział również pistolety w ich rękach, ale wydawały mu się nierzeczywiste. Nie mógłby podać żadnych szczegółów dotyczących ubrań, włosów. Był sparaliżowany przeżyтым wstrząsem. Nie potrafiłby nawet powiedzieć, czy byli czarni, czy biali, nadzy czy ubrani. Mogli mieć trzy metry lub pół metra wzrostu.

Lecz Astorre Viola zrobił się czujny, gdy tylko czarny sedan zatrzymał się przed nimi. Widział, jak Stace strzela z pistoletu, i pomyślał, że to lewa ręka pociągnęła za spust. Widział, jak Franky strzela z uzi i ten strzelec na pewno był leworęczny. W przelocie ujrzał kierowcę, człowieka o okrągłej głowie, najwyraźniej masywnego. Dwaj strzelcy poruszali się z lekkością dobrze wytrenowanych sportowców. Padając, Astorre wyciągnął rękę, żeby ściągnąć stryja na chodnik, ale spóźnił się o ułamek sekundy. I teraz był zalany jego krwią.

Potem zobaczył dzieci, wirujące w panicznym strachu, niby cyklon, z wielkim czerwonym punktem w centrum. Krzyczały. Ujrzał ciało skęczone na schodach, jak gdyby śmierć rozczłonkowała sam szkielet, poczuł ogromne przerażenie na myśl o tym, jak to wszystko wpłynie na jego życie i życie najdroższych mu osób.

Nicole stanęła nad ciałem ojca. Kolana ugięły się pod nią wbrew jej woli i ukłękła obok. W milczeniu wyciągnęła rękę, by dotknąć zakrwawionej szyi. Po czym rozpląkała się tak, jak gdyby już nigdy nie miała przestać.

Rozdział 3

Zamordowanie don Raymonde Aprilego zdumiało ludzi należących do jego dawnego otoczenia. Kto by się odważył zabić takiego człowieka i w jakim celu? Rozdał przecież swoje imperium, nie było czego kraść. Martwy, nie mógł już obsypywać swymi dobroczynnymi darami ani wykorzystywać swoich wpływów, by pomóc komuś, komu nie sprzyjało prawo bądź los.

Czy mogła to być jakaś długo odkładana zemsta? Czy mogło chodzić o jakąś ukrytą korzyść, która dopiero wyjdzie na jaw? Oczywiście w grę mogła wchodzić jakaś kobieta, ale don Aprile przez blisko trzydzieści lat był wdowcem i nigdy nie widziano go z kobietą, nie uważano go również za wielbiciela kobiecej urody. Dzieci dona zostały wyłączone z kręgu podejrzanych. Poza tym był to profesjonalny zamach, a one nie miały kontaktów.

Tak więc zabójstwo stanowiło nie tylko zagadkę, ale i niemal świętokradztwo. Człowiek, który wzbudzał tyle strachu, który uchodził cało zarówno wymiarowi sprawiedliwości, jak i płatnym mordercom przez ponad trzydzieści lat władania wielkim przestępczym imperium. Jak to możliwe, by zginął w ten sposób? I cóż za ironia, że - gdy wreszcie znalazł drogę cnoty i oddał się pod opiekę społeczeństwa - przeżył tylko trzy krótkie lata.

Jeszcze większe zdziwienie wzbudzał brak jakiegokolwiek rozgłosu po tej śmierci. Środki przekazu wkrótce porzuciły temat, policja zachowywała dyskrecję, a FBI zignorowało zabójstwo jako sprawę lokalną. Tak jakby cała sława i potęga don Aprilego zniknęły w ciągu zaledwie trzech lat jego emerytury.

Świat podziemny nie okazał żadnego zainteresowania. Nie było morderstw w odwecie - wydawało się, że wszyscy jego przyjaciele i dawni lojalni lennicy zapomnieli o nim. Nawet dzieci zapomniały chyba o całej aferze i pogodziły się z losem.

Wydawało się, że nikt się tym nie przejmuje - nikt, oprócz Kurta Cilkego.

Kurt Cilke, szef FBI w Nowym Jorku, postanowił włączyć się do sprawy, mimo że dla nowojorskiej policji było to tylko lokalne zabójstwo. Zdecydował się przesłuchać rodzinę Aprile.

Miesiąc po pogrzebie zabrał swojego zastępcę Billa Boxtona i złożyli wizytę Marcantonioowi Aprilemu. Musieli zachować ostrożność. Marcantonio był szefem programowym dużej sieci telewizyjnej i miał spore wpływy w Waszyngtonie. Po grzecznej rozmowie telefonicznej jego sekretarka umówiła ich na spotkanie.

Marcantonio przyjął gości w swoim luksusowym biurowym apartamencie w śródmiejskiej centrali sieci i powitał łaskawie, proponując kawę. Odmówili. Był wysokim, przystojnym mężczyzną o jasnooliwkowej cerze, elegancko ubranym w ciemny garnitur i niezwykle różowo-czerwony krawat, uszyty przez ulubionego projektanta prezydenckich wiadomości i gospodarzy programów telewizyjnych.

- Pomagamy w śledztwie w sprawie śmierci pańskiego ojca - wyjaśnił Kurt Cilke. - Czy zna pan kogoś, kto żywiłby do niego wrogość?

- Naprawdę nie znam - odparł Marcantonio uśmiechając się. - Ojciec trzymał na dystans nas wszystkich, nawet wnuki. Dorastaliśmy całkowicie poza kręgiem jego interesów. - Wykonał drobny przepraszający ruch ręką.

Ten gest nie spodobał się Cilkemu.

- Jaki pana zdaniem był powód zabójstwa? - zapytał.

Marcantonio odpowiedział poważnie:

- Panowie znają jego przeszłość. Nie chciał, by któreś z jego dzieci było wmieszane w jego działalność. Zostaliśmy wysłani do szkoły z internatem i do college'u, żeby znaleźć nasze własne miejsce w świecie. Nigdy nie przychodził do nas na obiad. Przychodził na nasze śluby, i to wszystko. I oczywiście, gdy zrozumieliśmy dlaczego, byliśmy wdzięczni.

- Strasznie szybko awansował pan na swoje stanowisko. Czy ojciec nie pomagał panu w tym trochę? - zapytał Kurt Cilke.

Marcantonio po raz pierwszy przestał być grzeczny.

- Nigdy. W moim fachu szybki awans młodych ludzi nie jest rzeczą niezwykłą. Ojciec posłał mnie do najlepszych szkół i sporo łożył na moje utrzymanie. Wykorzystałem te pieniądze, by adaptować sztuki teatralne dla telewizji, i dobrze trafiałem.

- I pański ojciec był z tego zadowolony? - Cilke uważnie obserwował mężczyznę, starając się tłumaczyć sobie każdy wyraz jego twarzy.

- Nie wydaje mi się, by naprawdę rozumiał, co robię, ale był - odparł Marcantonio krzywiąc usta.

- Widzi pan, ścigałem pańskiego ojca przez dwadzieścia lat i nigdy nie udało mi się go złapać. Był bardzo sprytnym człowiekiem.

- No cóż, nam również się nie udało. Ani mojemu bratu, ani siostrze, ani mnie.

- I nie odczuwacie pragnienia sycylijskiej zemsty? - zapytał Cilke, śmiejąc się jak z dowcipu. - Czy dążylibyście do czegoś takiego?

- Na pewno nie. Ojciec wychował nas tak, żebyśmy nie myśleli w ten sposób. Ale mam nadzieję, że schwytaacie jego zabójcę.

- A jego testament? Zginął jako bogaty człowiek.
- Będzie pan musiał zapytać o to moją siostrę Nicole. To ona jest wykonawczynią.
- Ale wie pan, co on zawiera?
- Oczywiście - odparł Marcantonio i po raz pierwszy jego głos był zimny jak stal.
- I nie przychodzi panu na myśl nikt, kto mógłby pragnąć mu zaszkodzić? - wtrącił Bill

Boxton.

- Nie. Gdybym znał nazwisko, powiedziałbym wam.
- W porządku - rzekł Cilke. - Zostawię panu moją wizytówkę. Na wszelki wypadek.

Zanim Cilke porozmawiał z dwojgiem pozostałych dzieci, postanowił się spotkać z szefem wydziału śledczego nowojorskiej policji. Ponieważ nie chciał, by to spotkanie zostało oficjalnie odnotowane, zaprosił Paula Di Benedetto do jednej z najelegantszych włoskich restauracji na East Side. Di Benedetto cenił sobie przywileje high life'u, jeżeli tylko nie musiał za nie płacić z własnej kieszeni.

Obydwojaj przez lata często załatwiali służbowe sprawy i Cilke zawsze lubił jego towarzystwo. Teraz przyglądał się, jak Paul próbuje wszystkich potraw.

- Federalni nieczęsto fundują takie wyszukane posiłki. Czego chcesz?
- To było wyśmienite jedzenie, prawda? - rzekł Kurt Cilke.

Di Benedetto wzruszył wielkimi ramionami, jakby zakołysał się na fali, po czym uśmiechnął się trochę złośliwie. Jak na takiego twardziela, Paul miał wspaniałą uśmiech. Zmieniał on jego twarz w oblicze ukochanego bohatera kreskówek Disneya.

- Kurt, ten lokal jest podejrzany - odparł. - Prowadzą go przybysze z kosmosu. Oczywiście ich jedzenie wygląda jak włoskie, pachnie jak włoskie, ale smakuje niczym klej z Marsa. Zapewniam cię, że ci faceci to kosmici.

Cilke roześmiał się.

- Ale wino jest dobre.

- Mnie wszystko smakuje jak lekarstwo, jeżeli nie jest czerwonym włoskim winem połączonym ze śmietanką towarzyską.

- Trudno ci dogodzić - zauważył Cilke.
- Przeciwnie. W tym cały problem - wyjaśnił Di Benedetto.

Cilke westchnął.

- Dwieście dolców z funduszy rządowych wypieprzonych w błoto.
- Ależ nie - zaproponował Paul. - Doceniam ten gest. No więc, w czym rzecz?

Cilke zamówił dla nich espresso, a potem rzekł:

- Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa don Aprilego. To wasza sprawa, Paul. Pilnujemy go przez lata i nic. Wycofuje się z interesów, żyje uczciwie. Nie posiada nic, czego ktoś by potrzebował. Po co więc zabijać? To bardzo ryzykowne posunięcie.

- Bardzo profesjonalne - rzekł Di Benedetto. - Piękna robota.

- Więc? - zapytał Cilke.

- To nie ma żadnego sensu. Zgarnąłeś większość mafijnych grubych ryb, to też znakomita robota. Chylę czoło. Być może, nawet zmusiłeś tego faceta do przejścia na emeryturę. Tak więc mądrale, które zostały, nie miały powodu go wykańczać.

- A banki, których był właścicielem? - zapytał Cilke.

Di Benedetto machnął cygarem.

- To już twoja działka. My ścigamy tylko hołotę.

- A jego rodzina? Narkotyki, uganianie się za kobietami, cokolwiek...

- Zupełnie nic - odparł Di Benedetto. - Uczciwi obywatele, robiący wielkie kariery w swoich profesjach. Don zaplanował to w ten sposób. Chciał, żeby byli całkowicie uczciwi. - Zawahał się i śmiertelnie poważnie dodał: - Nie chodziło o urazę. Rozliczył się ze wszystkimi. To nie przypadek. Musi być jakaś przyczyna. Ktoś na tym zyskuje. I właśnie tego szukamy.

- A testament? - zapytał Cilke.

- Jego córka przedstawi go jutro - odparł Paul. - Pytałem. Kazała mi poczekać.

- I zgodziłeś się na to? - zapytał Cilke.

- No pewnie. Ona jest pierwszorzędną prawniczką, ma wpływy, a jej kancelaria prawna stanowi siłę polityczną. Po cholere miałbym upierać się przy swoim? Po prostu jadłem jej z ręki.

- Może mnie się lepiej powiedzie - stwierdził Cilke.

- Jestem tego pewien.

Kurt Cilke znał zastępczynię szefa wydziału śledczego policji, Aspinellę Washington, od ponad dziesięciu lat. Aspinella miała sześć stóp wzrostu, była Afroamerykanką o krótko przyciętych włosach i delikatnie rzeźbionych rysach. Wzbudzała strach policjantów, którymi dowodziła, i przestępców, których zatrzymywała. Rozmyślnie działała jak najagresywniej i nie przepadała za Cilkem ani FBI.

Przyjęła go w swoim gabinecie.

- Kurt, przyszedłeś tu, żeby znowu wzbogacić jednego z moich czarnych braci?

Cilke roześmiał się i rzekł:

- Nie, Aspinello. Szukam tu informacji.

- Naprawdę? Za darmo? Po tym, jak wyciągnąłeś z budżetu miasta pięć milionów dolarów?

Miała na sobie kurtkę safari i brązowe spodnie. Cilke widział pod kurtką rewolwer w kaburze. Na palcu prawej ręki Washington znajdował się pierścionek z brylantem, który robił wrażenie, że mógłby rozciąć skórę twarzy niczym brzytwa.

Washington nadal żywiła urazę do Cilkego, ponieważ FBI dowiodło winy jednego z jej detektywów w sprawie o brutalne traktowanie zatrzymanego, a za naruszenie praw

obywatelskich ofiara uzyskała ogromne odszkodowanie. Dwaj podwładni Washington trafili za kratki. Wzbogaconym poszkodowanym był sutener i dostawca narkotyków, którego Aspinella sama kiedyś ciężko pobiła. Choć w ramach politycznego okupu dla czarnego elektoratu została mianowana zastępcą wicekomisarza, czarnych przestępców traktowała znacznie brutalniej niż białych.

- Przestańcie bić niewinnych ludzi, to i ja przestanę - rzekł Cilke.

- Nigdy nie wrabiałam niewinnych ludzi - odparła uśmiechając się szeroko.

- Ja tylko sprawdzam okoliczności zabójstwa don Aprilego - wyjaśnił Cilke.

- To chyba nie twoja rzecz? To robota jakiegoś miejscowego gangu. A może robisz z tego następną zaszraną sprawę o naruszenie praw obywatelskich?

- No cóż, to mogło być związane z pieniędzmi albo narkotykami - zauważył Cilke.

- Skąd o tym wiesz?

- Mamy swoich informatorów.

Nagle Aspinella dostała jednego ze swych napadów wściekłości.

- Przychodzicie, kurwa, po informacje, a potem nie chcecie puścić farby? Nie jesteście uczciwi nawet wobec porządnych gliniarzy. Snujecie się bez celu i aresztujecie kutasów na stanowiskach. Nigdy nie zajmujecie się brudną robotą. Nie macie zielonego pojęcia, co to takiego. Wypierdalaj z mojego biura.

Cilke był zadowolony z tych rozmów. Ich przebieg wszystko mu wyjaśnił. Zarówno Di Benedetto, jak i Washington zamierzali pójść z nim w sprawie morderstwa don Aprilego na noże. Nie chcieli współpracować z FBI. Chcieli jedynie pozorować działania. Krótko mówiąc, zostali przekupieni.

Miał powód, by tak sądzić. Wiedział, że handel narkotykami może przetrwać tylko pod warunkiem opłacania funkcjonariuszy policji, i otrzymał informację - nie do potwierdzenia w sądzie - że Di Benedetto i Washington znajdują się na liście płac wysoko postawionego handlarza.

Zanim spotkał się z córką don Aprilego, postanowił zaryzykować rozmowę z jego starszym synem Valeriusem. W tym celu musiał wraz z Boxtonek pojechać do West Point, gdzie Valerius uczył taktyki wojskowej w akademii - cokolwiek to u licha oznaczało, pomyślał Cilke.

Valerius Aprile przyjął ich w przestronnym biurze, z oknami wychodzącymi na plac apelowy, na którym kadeci odbywali musztrę. Pułkownik nie był tak grzeczny jak jego brat, aczkolwiek nie był nieuprzejmy. Cilke zapytał, czy zna wrogów swojego ojca.

- Nie - odparł. - Przez większość ostatnich dwudziestu lat służyłem za granicą. Gdy mogłem, uczestniczyłem w rodzinnych uroczystościach. Mojego ojca interesowało tylko, żebym otrzymał awans na generała. Chciał mnie zobaczyć z gwiazdką na pagonach. Uszczęśliwiłby go nawet stopień generała brygady.

- Więc był patriotą?

- Kochał swój kraj - odparł lakonicznie Valerius.

- Załatwił panu miejsce w szkole kadetów?

- Sądzę, że tak. Ale nie zdołał mi załatwić generalskich szlifów. Przypuszczalnie nie miał wpływow w Pentagonie, a może po prostu nie byłem wystarczająco dobry. Ale i tak bardzo mi się tu podoba. Mam swoje miejsce.

- Na pewno nie może nam pan wskazać żadnego z wrogów pańskiego ojca? - zapytał Cilke.

- Nie, bo on żadnych nie miał. Mój ojciec byłby świetnym generałem. Gdy przeszedł na emeryturę, wszystko przewidział. Gdy używał władzy, to zawsze ze zdecydowaną siłą. Miał przewagę liczebną i środki.

- Nie wydaje się pan zbyt zainteresowany faktem, że ktoś zamordował pańskiego ojca. Żadnego pragnienia zemsty?

- Nie więcej niż za kolegę oficera poległego w walce - odrzekł Valerius. - Oczywiście, że jestem zainteresowany. Nikt nie lubi oglądać, jak zabijają jego ojca.

- Czy wie pan coś o jego testamencie?

- Będzie pan musiał zapytać o to moją siostrę.

Tego samego popołudnia Kurt Cilke i Bill Boxtton znaleźli się w biurze Nicole Aprile i tutaj spotkało ich zupełnie odmienne przyjęcie. Do gabinetu Nicole można było dotrzeć tylko przechodząc przez trzy sekretarskie bariery i mijając kobietę, w której Cilke rozpoznał osobistego ochroniarza, wyglądającą tak, jakby mogła rozerwać ich obu w ciągu dwóch sekund. Ze sposobu, w jaki się poruszała, Cilke wywnioskował, że wyćwiczyła w swym ciele siłę mężczyzny. Mięśnie widać było przez ubranie. Piersi tkwiły w ciasnym biustonoszu, na swetrze i czarnych spodniach nosiła lniany żakiet. Powitanie Nicole nie było serdeczne. Ubrana w ciemnofioletowy kostium z najlepszego domu mody, wyglądała bardzo atrakcyjnie. Nosiła ogromne pierścieniowate kolczyki ze złota, a jej czarne włosy były lśniące i długie. Rysy miała drobne i surowe, ale zdradzały ją wielkie łagodne piwne oczy.

- Panowie, mogę wam poświęcić dwadzieścia minut - oświadczyła.

Pod fioletowym żakiem miała plisowaną bluzkę, a gdy sięgnęła po legitymację Cilkego, okazało się, że mankiety niemal całkowicie zasłaniają ręce. Obejrzała ją dokładnie i powiedziała:

- Szef agentów specjalnych? To dość wysoki szczebel jak na rutynowe dochodzenie.

Mówiła tonem znanym Cilkemu, tonem, który zawsze go raził. Był to nieco gderliwy ton prokuratorów federalnych, używany, gdy mieli do czynienia z aparatem śledczym, który nadzorowali.

- Pani ojciec był bardzo ważną osobą - zauważył Cilke.

- Tak, dopóki nie przeszedł na emeryturę i nie oddał się pod opiekę prawa - odparła uszczypliwie Nicole.

- Co czyni jego zabójstwo tym bardziej zagadkowym. Mieliśmy nadzieję, że może nam pani da jakieś wyobrażenie o ludziach, którzy mogli żywić do niego urazę.

- Nie jest znowu takie zagadkowe. Znacie jego życiorys lepiej niż ja. Miał mnóstwo wrogów. Z panem włącznie.

- Nawet nasi najbezwzględniejsi krytycy nigdy by nie oskarżyli FBI o zabójstwo na schodach katedry - odparł oschle Cilke. - A ja nie byłem jego wrogiem. Domagałem się przestrzegania prawa. Po wycofaniu się z interesów nie miał wrogów. Okupił się im. - Cilke wahał się przez chwilę. - Ciekawi mnie to, że ani pani, ani pani bracia nie sprawiacie wrażenia zainteresowanych wykryciem, kim był człowiek, który zamordował waszego ojca.

- Bo nie jesteśmy hipokrytami. Mój ojciec nie był święty. Uczestniczył w grze i zapłacił za to. - Nicole zawahała się. - I myli się pan sądząc, że mnie to nie interesuje. Właśnie zamierzam poprosić o wydanie akt ojca z kartoteki FBI, na mocy ustawy o swobodnym dostępie do informacji. I mam nadzieję, że nie spowodujecie żadnej zwłoki, bo wtedy będziemy wrogami.

- To pani prawo - odparł Cilke. - Ale może potrafi mi pani pomóc, ujawniając postanowienia testamentu ojca.

- Nie sporządzałam go.

- Ale słyszałam, że jest pani wykonawczynią. Na pewno już je pani zna.

- Jutro składamy wniosek o jego uwierzytelnienie. Stanie się aktem urzędowym.

- Czy zawiera coś, o czym może mi pani powiedzieć już teraz i co może nam pomóc?

- Tylko to, że nie przejdę na wcześniejszą emeryturę.

- Dlaczego więc nie powie mi pani czegoś dzisiaj?

- Dlatego, że nie muszę - odparła beczelnie Nicole.

- Dość dobrze znałem pani ojca. On byłby rozsądny.

Nicole po raz pierwszy spojrzała na Cilkego przychylniej.

- To prawda - przyznała. - W porządku. Mój ojciec rozdał przed śmiercią sporo pieniędzy. Zostawił nam jedynie swoje banki. Moi bracia i ja dostajemy czterdzieści dziewięć procent, a pozostałe pięćdziesiąt jeden procent trafia do naszego kuzyna, Astorre Violi.

- Może mi pani coś o nim powiedzieć?

- Astorre jest młodszy ode mnie. Nigdy nie pracował u mojego ojca. Wszyscy go kochamy, bo jest uroczym postrzeleńcem. Oczywiście, teraz już go nie darzę tak silnym uczuciem.

Cilke szperał w swej pamięci. Nie mógł sobie przypomnieć teczki Astorre Violi. Mimo to musiała być w archiwach.

- Może mi pani dać jego adres i numer telefonu?

- Oczywiście. Ale proszę mi wierzyć, traci pan tylko czas.

- Muszę uporządkować szczegóły - rzekł usprawiedliwiając Cilke.
- A czemu FBI się tym interesuje? Przecież to sprawa lokalnego wydziału zabójstw.
- Dziesięć banków, które należały do pani ojca, to instytucje międzynarodowe. Mogły powstać komplikacje dewizowe - odparł spokojnie Cilke.
- Doprawdy? - zdziwiła się Nicole. - W takim razie lepiej będzie, jak poproszę o jego akta od razu. Ostatecznie teraz część tych banków należy do mnie. - Posłała mu podejrzliwe spojrzenie. Cilke wiedział, że będzie musiał jej pilnować.

Nazajutrz Cilke i Bill Boxtton pojechali do okręgu Westchester, by spotkać się z Astorre Violą. Zalesiona posiadłość mieściła ogromny dom i trzy stajnie. Na łące, ogrodzonej wysokim do pasa płotem z rozszczepionych bierwion, za bramami z kutego żelaza pasło się sześć koni. Na parkingu przed domem stały cztery samochody i furgonetka. Cilke zapamiętał numery dwóch tablic rejestracyjnych.

Kobieta w wieku około siedemdziesięciu lat wpuściła ich do środka i zaprowadziła do eleganckiego salonu, zastawionego sprzętem nagrywającym. Czterej młodzi mężczyźni wpatrywali się w nuty na stojakach, a jeden siedział przy fortepianie - profesjonalny zespół z saksofonem, kontrabasem, gitarą i bębnami.

Astorre stał przy mikrofonie naprzeciw nich i śpiewał ochrypłym głosem. Nawet Cilke wiedział, że to muzyka, która nie znajdzie słuchaczy.

Astorre przerwał wokalizę i rzekł:

- Możecie poczekać pięć minut, aż skończymy nagranie? Potem moi przyjaciele mogą spakować sprzęt, a panowie nie będą musieli się spieszyć.

- Oczywiście - odparł Cilke.

- Przynieś im kawę - polecił Astorre pokojówce.

Cilke był zadowolony. Astorre nie ograniczył się do grzecznej propozycji; wydał polecenie.

Musieli jednak czekać dłużej niż pięć minut. Astorre nagrywał włoską piosenkę ludową - brzdąkając na banjo - i śpiewał w jakimś chropawym dialekcie, którego Cilke nie rozumiał. Przyjemnie było go słuchać, brzmiało to niczym nagranie własnego głosu pod prysznicem.

W końcu zostali sami. Astorre ocierał twarz.

- Nie było tak źle - powiedział ze śmiechem. - Prawda?

Cilke natychmiast polubił tego człowieka. Blisko trzydziestoletni, odznaczał się chłopcą żywotnością i chyba nie traktował siebie poważnie. Był wysoki i dobrze zbudowany, miał wdzięk boksera, piękną śniadą cerę i nieregularne, lecz wyraziste rysy, jakie można zobaczyć na portretach z XV wieku. Nie wydawał się próżny, ale na szyi nosił złoty łańcuch, szeroki na pięć centymetrów, do którego przymocowany był medalion z wrytym wizerunkiem Matki Boskiej.

- Było świetnie - odparł Cilke. - Przygotowujecie płytę do wydania?

Astorre uśmiechnął się szeroko i dobrodusznie.

- Chciałbym. Nie jestem aż tak dobry. Ale bardzo lubię te piosenki i daję je przyjacielom w prezencie.

Cilke postanowił przystąpić do pracy.

- To tylko rutynowe dochodzenie - wyjaśnił. - Czy zna pan kogoś, kto chciałby zaszkodzić pańskiemu stryjowi?

- Nikogo - odparł Astorre z wyrazem szczerości na twarzy. Cilkego zmęczyło już wysłuchiwanie tej odpowiedzi. Wszyscy mieli wrogów, zwłaszcza Raymonde Aprile.

- Dziedziczy pan kontrolne udziały w bankach. Był mu pan aż tak bliski?

- Naprawdę tego nie rozumiem. W dzieciństwie należałem do jego ulubieńców. Dał mi do prowadzenia własną firmę, a potem jakby o mnie zapomniał.

- Jaką firmę? - zapytał Cilke.

- Importuję z Włoch wszystkie najlepsze *macaroni*.

Cilke posłał mu sceptyczne spojrzenie.

- Macaroni? - powtórzył.

Astorre uśmiechnął się; przywykł do takiej reakcji. Nie było to fascynujące zajęcie.

- Wie pan, że Lee Iacocca nigdy nie mówi auta, tylko samochody? Otóż w mojej branży nigdy nie mówimy pasta ani *spaghetti*, zawsze mówimy *macaroni*.

- I teraz będzie pan bankierem?

- Spróbuję - odparł Astorre.

Gdy wyszli, Cilke zapytał Billa Boxtona:

- Co o tym sądzisz?

Darzył Boxtona ogromną sympatią. Ten człowiek wierzył w Biuro tak samo jak on - że jest uczciwe, że jest nieprzekupne oraz działa znacznie sprawniej niż jakakolwiek inna instytucja wymiaru sprawiedliwości. Te spotkania odbywał po części dla niego.

- Oni wszyscy wyglądają mi na dość uczciwych - odparł Boxtton. - Ale czy kiedykolwiek jest inaczej?

Nie, tak jest zawsze, pomyślał Cilke. I wtedy coś go uderzyło: medalion zwisający ze złotego łańcucha Astorre w ogóle się nie poruszał.

Ostatnie spotkanie było dla Cilkego najważniejsze. Odbył je z Timmoną Portellą, mafijnym bossem panującym w Nowym Jorku, jedynym oprócz don Aprilego, który uniknął oskarżenia po dochodzeniach Cilkego.

Portella kierował swoimi przedsiębiorstwami z ogromnego luksusowego apartamentu na dachu własnego budynku na West Side. Resztę budynku zajmowały filie, które kontrolował. Ochrona była równie szczelna jak w Fort Knox, a sam Portella podróżował do swej

posiadłości w New Jersey helikopterem - na dachu znajdowało się lądowisko. Jego stopy rzadko dotykały nowojorskiego bruku.

Portella powitał Cilkego i Boxtona w swoim gabinecie z pękatymi fotelami i ścianami ze szkła kuloodpornego, które zapewniały wspaniały widok na sylwetkę miasta na tle nieba. Był ogromnym człowiekiem, nienagannie odzianym w ciemny garnitur i błyszczącą białą koszulę.

Cilke uścisnął mięsistą dłoń Portelli i zachwyił się ciemnym krawatem zwisającym z jego grubej szyi.

- W czym mogę ci pomóc, Kurt? - zapytał Portella wysokim tenorowym głosem, który odbił się echem w całym pokoju. Na Billa Boxtona nie zwrócił uwagi.

- Weryfikuję ustalenia w sprawie Aprilego - odparł Cilke. - Pomyślałem, że możesz mieć informacje, które mogłyby mi pomóc.

- Jego śmierć to wielki skandal - zauważył gangster. - Wszyscy bardzo lubili Raymonde Aprilego. Nie mam pojęcia, kto mógłby to zrobić. W ostatnich latach życia był takim porządnym człowiekiem. Stał się świętym, prawdziwym świętym. Rozdał swoje pieniądze jak Rockefeller. Gdy Bóg zabrał go z tego świata, jego dusza była czysta.

- To nie Bóg go zabrał - rzekł oschle Cilke. - Zamordowali go superprofesjonaliści. Musi być jakiś motyw. - Portelli zadrgała nerwowo powieka, ale nic nie powiedział, więc Cilke mówił dalej. - Przez wiele lat byłeś jego kolegą. Musisz coś wiedzieć. A ten jego bratanek, który dziedziczy banki?

- Wiele lat temu łączyły nas wspólne interesy, ale gdy Aprile się wycofał, mógł mnie z łatwością zabić. Fakt, że żyję, dowodzi, że nie byliśmy wrogami. O jego bratanku wiem tylko tyle, że jest artystą. Śpiewa na weselach, drobnych przyjęciach, a nawet w pewnych małych nocnych klubach. To jeden z tych młodych ludzi, których lubią tacy starcy jak ja. No i sprzedaje dobre *macaroni* z Włoch. Używają ich wszystkie moje restauracje. - Portella przerwał i westchnął. - Zabójstwo wielkiego człowieka zawsze jest zagadką.

- Wiesz, że twoja pomoc zostanie doceniona - powiedział Cilke.

- Oczywiście - odparł mafioso. - FBI zawsze gra uczciwie. Wiem, że moja pomoc zostanie doceniona.

Posłał Cilkemu i Boxtonowi serdeczny uśmiech, który ukazał równe, niemal idealne zęby.

W drodze powrotnej do biura Boxtton powiedział do Cilkego:

- Czytałem akta tego faceta. To handlarz pornografią i narkotykami na dużą skalę i morderca. Jak to możliwe, że nie zdołaliśmy go przyskrzynić?

- Jest lepszy od większości pozostałych - odparł Cilke. - Ale pewnego dnia go przyskrzynimy.

Kurt Cilke zarządził nadzór elektroniczny nad domami Nicole Aprile i Astorre Violi. Oblaskawiony sędzia federalny wydał niezbędny nakaz. Nie żeby Cilke im nie ufał - po prostu chciał mieć pewność. Nicole była urodzoną intrygantką, a Astorre sprawiał podejrzenie

dobre wrażenie. Podśluch u Valeriusa był wykluczony, ponieważ jego dom znajdował się na terenie Akademii.

Cilke dowiedział się, że konie Astorre są jego namiętnością. Że co rano czyści i oporządza jednego ogiera, zanim wyprowadzi go ze stajni. Co niezłe o nim świadczyło, tyle że jeździł w pełnym angielskim rynsztunku, gwardyjskiej kurtce i całej reszcie, z myśliwską czapką z czarnego zamszu włącznie.

Trudno było mu uwierzyć, iż Astorre stanowił tak łatwy cel, że trzech rabusie mogli się do niego przystawiać w Central Parku. Okazało się, że uciekł - ale raport policji nie wyjaśniał, co się stało z rabusiami.

Dwa tygodnie później Cilke i Boxtton mogli zapoznać się z treścią nagrań z podsłuchu, który Cilke zainstalował w domu Astorre Violi.

Słysząc było głosy Nicole, Marcantonio, Valeriusa i Astorre. Na taśmie robili wrażenie bardziej ludzkich; zdjęli swoje maski.

- Dlaczego musieli go zabić? - zapytała Nicole. Jej głos załamywał się z żalu. Zniknął chłód, który okazywała Cilkemu.

- Musi być jakiś powód - odparł spokojnie Valerius. Jego głos brzmiał znacznie łagodniej, gdy mówił do rodziny. - Nigdy nie miałem nic wspólnego z interesami ojca, więc nie martwię się o siebie. Ale co z wami?

Marcantonio odpowiedział pogardliwym tonem; najwyraźniej nie lubił swojego brata.

- Val, ojciec załatwił ci miejsce w West Point, ponieważ byłeś dupeuszem. Chciał cię zahartować. Potem pomagał ci w pracy wywiadowczej za granicą. Więc ciebie też to dotyczy. Lubiał wyobrażać sobie, że możesz zostać dowódcą. Generał Aprile - bardzo podobało mu się brzmienie tych słów. Kto wie, jakich wpływów używał. - Jego głos na taśmie brzmiał mocniej i zapalczywiej niż w bezpośrednim kontakcie.

Nastąpiła długa przerwa, po czym Marcantonio dodał:

- Oczywiście, umożliwił mi start. Finansował moją firmę producencką. Duże agencje aktorskie dały mi szansę współpracy ze swoimi gwiazdami. My nie uczestniczyliśmy w jego życiu, ale on zawsze uczestniczył w naszym. Nicole, ojciec oszczędził ci dziesięć lat harowania na innych, załatwiając ci tę pracę w firmie prawniczej. Astorre, jak myślisz, kto zapewnił twoim makaronom miejsce na półkach w supermarketach?

Nicole nieoczekiwanie wpadła w furję.

- Tato może i pomógł mi przestąpić próg, ale jedynym sprawcą mojego sukcesu zawodowego jestem ja. Musiałam walczyć z tymi rekinami w firmie o wszystko, co zdobyłam. To ja poświęcałam osiemdziesiąt godzin tygodniowo na lekturę załączników do umów. - Zawahała się i zapewne odwróciła do Astorre. Ton jej głosu był teraz oziębły. - I chciałabym się dowiedzieć, dlaczego powierzył kierowanie bankami tobie. Co ty u diabła masz z czymkolwiek wspólnego?

Głos Astorre brzmiał bezradnie i przepraszająco.

- Nie mam pojęcia, Nicole. Nie prosiłem o to. Mam firmę i bardzo lubię śpiewać i jeździć konno. Poza tym to ma dla was także jasne strony. Ja muszę wykonywać całą pracę, a zyski są dzielone równo pomiędzy nas czworo.

- Ale ty masz kontrolę, a przecież jesteś tylko kuzynem - odparła Nicole i zgryźliwie dodała: - Musiał uwielbiać twój śpiew.

- Masz zamiar sam kierować bankami? - zapytał Valerius.

Głos Astorre był pełen udawanego przerażenia:

- Ależ nie. Nicole poda mi wykaz nazwisk, będzie to robił dyrektor naczelny.

W płaczliwym głosie Nicole pobrzmiwały zawiedzione nadzieje.

- Nadal nie rozumiem, czemu tato nie mianował mnie? Dlaczego?

- Dlatego, że nie chciał, by któreś z jego dzieci miało przewagę nad pozostałymi - odparł Marcantonio.

- Może to miało was wszystkich trzymać z dala od niebezpieczeństwa - spokojnie zauważył Astorre.

- Jak ci się podoba, że ten facet z FBI nachodzi nas, jakby był naszym najlepszym przyjacielem? - zapytała Nicole. - Przez wiele lat tropił tatę. A teraz sądzi, że wyjawimy mu wszystkie rodzinne sekrety. Co za palant.

Cilke poczuł, jak rumieniec zalewa mu policzki. Nie zasłużył sobie na to.

- Wypełnia swoje obowiązki, a to nie jest łatwa praca - rzekł Valerius. - Musi być bardzo inteligentny. Wielu przyjaciół ojca posłał za kratki. I to na długo.

- Zdrajcy, informatorzy - pogardliwie stwierdziła Nicole. - I te ustawy o gangsterskich organizacjach przestępczych, które stosują bardzo wybiórczo. Na mocy tych ustaw mogliby posłać do mamra połowę naszych przywódców politycznych i większość z pięćsetki magazynu „Fortune”.

- Nicole, reprezentujesz wielkie przedsiębiorstwa - przypomniał Marcantonio. - Więc przestań pieprzyć.

- Skąd agenci FBI biorą te eleganckie garnitury? Czy FBI ma specjalnego krawca? - przezornie zapytał Astorre.

- Chodzi o sposób, w jaki je noszą - wyjaśnił Marcantonio. - W tym cała tajemnica. Ale w filmie nigdy nie udaje nam się pokazać faceta takiego jak Cilke we właściwy sposób. Szczery jak złoto, krystalicznie uczciwy, prawy pod każdym względem. Mimo to człowiek nigdy mu nie ufa.

- Marc, zapomnij o swoich fikcyjnych programach telewizyjnych - rzekł Valerius. - Jesteśmy w niebezpiecznej sytuacji, która ma dwa istotne aspekty informacyjne. Dlaczego? I kto? Dlaczego tato został zabity? I kto to mógł zrobić? Wszyscy twierdzą, że nie miał wrogów ani niczego, co ktoś chciał zdobyć.

- Przygotowałam wniosek o udostępnienie akt taty w FBI - powiedziała Nicole. - To może nam dać jakąś wskazówkę.

- Po co? - zapytał Marcantonio. - Nic nie możemy w tej sprawie zrobić. Tato chciałby, żebyśmy o tym zapomnieli. Należy to zostawić władzom.

- Więc gównu was obchodzi, kto zabił naszego ojca? - stwierdziła pogardliwie Nicole. - A ty, Astorre? Też tak uważasz?

Ton głosu Astorre był łagodny i wyważony.

- Cóż możemy zrobić? Kochałem twojego ojca, jestem wdzięczny, że był dla mnie taki hojny w swoim testamencie. Ale poczekajmy i zobaczymy, co się wydarzy. Właściwie to ten Cilke mi się podoba. Jeżeli jest coś do wykrycia, to on to wykryje. Wszystkim nam dobrze się w życiu układa, po co więc je komplikować? - Przerwał, a potem rzekł: - Słuchajcie, muszę zatelefonować do jednego z moich dostawców, a potem chciałbym przygotować następne nagranie w studiu, więc muszę iść. Ale wy możecie tu zostać i wszystko przedyskutować.

Teraz na taśmie zapadła długa cisza. Cilke nie mógł nie poczuć życzliwości do Astorre. I urazy do pozostałych. A jednak był zadowolony. To nie byli niebezpieczni ludzie; nie przysporzą mu kłopotów.

- Bardzo lubię Astorre - mówiła Nicole. - Był bliższy naszemu ojcu niż każdy z nas. Ale to taki dziwak. Marc, czy on może dokąś zajść z tym swoim śpiewaniem?

Marcantonio roześmiał się.

- W naszej branży widzimy tysiące takich gości. Przypomina gwiazdę drużyny futbolowej w małej szkole średniej. Jest zabawny, ale tak naprawdę brak mu osobowości. Ale ma dobrą firmę i cieszy się z jej posiadania, więc jakie to u diabła ma znaczenie?

- Kontroluje banki o wielomiliardowych aktywach - wszystko, co mamy, a naprawdę interesuje go śpiewanie i jazda konna - zauważyła Nicole.

- Ubiera się doskonale, ale jeździ marnie - zauważył zgryźliwie Valerius.

- Jak tato mógł zrobić coś takiego? - zapytała Nicole.

- Astorre bardzo dobrze rozkręcił ten makaronowy interes - przypomniał Valerius.

- Musimy go chronić. Jest zbyt delikatny, żeby kierować bankami, i zbyt ufny, by uporać się z Cilkiem - powiedziała Nicole.

Pod koniec nagrania Cilke zwrócił się do Boxtona:

- Co o tym sądzisz?

- Och, podobnie jak Astorre, sądzę, że jesteś świetnym facetem.

Cilke roześmiał się.

- Pytam, czy tych ludzi można podejrzewać o morderstwo?

- Nie. Po pierwsze, to dzieci, a po drugie, nie znają się na tym.

- Są dość inteligentni - zauważył Cilke. - Zadają właściwe pytanie: dlaczego?

- No cóż, nie do nas należy odpowiedź. To sprawa lokalna, nie federalna. A może widzisz jakiś związek?

- Międzynarodowe banki. Ale marnowanie następnych pieniędzy Biura nie ma sensu, zlikwiduj cały podsłuch telefoniczny.

Kurt Cilke lubił psy, ponieważ nie potrafiły spiskować. Nie umiały ukryć wrogości, nie były przebiegłe i nie potrafiły intrygować. Nie leżały nocą planując okradanie i mordowanie innych psów. Perfidia przekraczała ich zdolności. Cilke miał dwa owczarki niemieckie do pomocy w pilnowaniu domu i wieczorami spacerował z nimi w pobliskim lesie w całkowitej zgodzie i zaufaniu.

Gdy tego wieczoru jechał do domu, był bardzo zadowolony. W tej sytuacji nie groziło niebezpieczeństwo, nie ze strony rodziny don Aprilego. Nie będzie krwawej wendety.

Cilke mieszkał w New Jersey z żoną, którą szczerze kochał, oraz dziesięcioletnią córką, którą uwielbiał. Jego dom był chroniony przez szczelny alarmowy system bezpieczeństwa oraz dwa psy. Na koszt rządu. Żona Cilkego nie chciała się szkolić w posługiwaniu się bronią, a on polegał na zachowaniu anonimowości. Sąsiedzi, podobnie jak córka, sądzili, że jest prawnikiem (co było prawdą). Gdy przebywał w domu, zawsze trzymał swój pistolet i naboje razem z legitymacją FBI pod kluczem.

Na stację kolejową, z której podróżował do miasta, nigdy nie jeździł samochodem. Drobni złodzieje mogliby ukraść radio. Gdy docierał na dworzec, dzwonił z telefonu komórkowego do żony, a ona przyjeżdżała po niego. Jazda do domu zajmowała pięć minut.

Tego wieczoru Georgette pocałowała go radośnie w usta, poczuł ciepłe dotknięcie jej ciała. Córka Vanessa, żywa jak srebro, rzuciła mu się w objęcia. Dwa psy skakały dokoła, ale Georgette zapanowała nad nimi. Wszyscy bez trudu zmieścili się do dużego buicka.

Tej właśnie części swego życia Kurt Cilke strzegł jak skarbu. Z rodziną czuł się bezpieczny i spokojny. Wiedział, że żona go kocha. Podziwiała go za charakter, za to, że wykonywał swą pracę bez złej woli i bez sztuczek, z poczuciem sprawiedliwości dla najbardziej nawet zdeprawowanego bliźniego. On cenił jej inteligencję i na tyle jej ufał, że rozmawiali o jego pracy. Ale, oczywiście, nie mógł powiedzieć wszystkiego. Ona zaś zajmowała się własną pracą, pisaniem o kobietach, które zasłynęły w historii, nauczaniem etyki w miejscowym college'u i walką o sprawy społeczne.

Teraz Cilke obserwował, jak żona przygotowuje w kuchni kolację. Uroda Georgette zawsze go urzekała. Widział Vanessę nakrywającą do stołu, naśladującą matkę, próbującą nawet poruszać się tym wdzięcznym, jakby baletowym krokiem. Georgette nie wierzyła w żadne pomoce domowe i wychowała córkę tak, by była samodzielna. W wieku sześciu lat Vanessa prała już swoje rzeczy, sprzątała swój pokój, pomagała mamie gotować i sprzątać. Jak zawsze, zastanawiał się, dlaczego żona go kocha; czuł się szczęśliwy, że tak jest.

Później, gdy położyli już Vanessę spać (Cilke sprawdził dzwonek, którym mogła zadzwonić, gdyby ich potrzebowała), poszli do swojej sypialni. I jak zawsze, Cilke poczuł dreszcz religijnej niemal namiętności, gdy jego żona się rozebrała. Jej wielkie szare, tak inteligentne oczy zasnuła mgła miłości. A potem, zasypiając, trzymała go za rękę, by prowadzić ich oboje przez swoje sny.

Cilke poznał ją, gdy prowadził dochodzenie w sprawie radykalnych organizacji uniwersyteckich, podejrzewanych o drobne akty terrorystyczne. Georgette była działaczką polityczną, która uczyła historii w małym college'u w New Jersey. Jego śledztwo wykazało, że dziewczyna po prostu jest liberałem i nie ma żadnego związku z grupą radykalnych ekstremistów. Tak też napisał w swoim raporcie.

Kiedy jednak przesłuchiwał ją w ramach śledztwa, zrobił na nim wrażenie jej zupełny brak uprzedzenia i wrogości wobec niego jako agenta FBI. Co więcej, wydawała się zainteresowana jego pracą, tym, co o niej sądzi, i dość nieoczekiwanie udzielił jej szczerych odpowiedzi. Że po prostu jest jednym ze strażników społeczeństwa, które nie mogłoby istnieć bez pewnego uporządkowania. Dodał żartobliwie, że stanowi tarczę oddzielającą ludzi takich jak ona od tych, którzy by ją zniszczyli za cenę realizacji własnego programu.

Zaloty były krótkie. Pobrali się szybko, tak aby ich zdrowy rozsądek nie kolidował z ich miłością, oboje zdawali sobie bowiem sprawę, że niemal pod każdym względem stanowią swoje przeciwieństwo. On nie podzielał żadnego z jej przekonań; ona była nieświadoma istnienia świata, w którym on musiał żyć. Na pewno nie podzielała czci, jaką darzył Biuro. Ale wysłuchiwała jego narzekań, tego, jak się oburzał na złośliwe szarganie biurowej świętości - J. Edgara Hoovera.

- Przedstawiają go jako homoseksualistę i reakcyjnego bigota. W rzeczywistości zaś był człowiekiem zaangażowanym, który po prostu nie rozwinął w sobie liberalnej samoświadomości. Pismaki drwią z FBI jako instytucji pokroju gestapo bądź KGB. Ale my nigdy nie uciekaliśmy się do tortur - nigdy nikogo nie wrobiliśmy, jak na przykład nowojorska policja. Nigdy nie sfabrykowaliśmy fałszywych dowodów. Gdyby nie my, dzieciaki w college'ach straciłyby swoją wolność. Prezentują taką głupotę polityczną, że prawnicy starliby ich na proch.

Georgette uśmiechała się, widząc jego zapalczywość, była nią wzruszona.

- Nie oczekuj, że się zmienię - odparła z uśmiechem. - Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, nie mamy powodu się kłócić.

- Nie oczekuję, że się zmienisz - rzekł Cilke. - A jeżeli FBI będzie wpływało na nasze stosunki, po prostu znajdę inną pracę. - Nie musiał jej mówić, jakim poświęceniem byłoby to dla niego.

Ile osób może jednak powiedzieć, że są bezgranicznie szczęśliwe, że mają choćby jedną ludzką istotę, której mogą całkowicie zaufać? Świadomość opieki nad żoną oraz chęć bycia jej wiernym duchem i ciałem tak bardzo dodawała mu otuchy. Georgette w każdej sekundzie dnia mogła wyczuć jego czujną troskę o swoje bezpieczeństwo i byt.

Cilke strasznie za nią tęsknił, gdy wyjeżdżał na kursy szkoleniowe. Inne kobiety nigdy nie były dla niego pokusą, ponieważ nigdy nie chciał jej oszukiwać. Kochał powroty do niej, do jej ufego uśmiechu, jej gościnnego ciała, gdy czekała w sypialni - naga, bezbronna, wybacząca mu jego pracę, będąca jego życiowym błogosławieństwem.

Lecz szczęście Kurta zakłócały rzeczy, które musiał utrzymywać przed żoną w sekrecie, poważne komplikacje w pracy, znajomość świata, który ropiał od ludzkiej nikczemności, brudy człowiecze wciskające się do jego umysłu. Ale bez niej po prostu nie warto było żyć.

Kiedyś, na początku, wciąż drżąc z obawy o swe szczęście, uczynił rzecz, której szczerze się wstydził. Zainstalował podsłuch we własnym domu, by nagrywać każde słowo żony, a potem słuchał taśm w piwnicy. Wsłuchiwał się w każdą modulację głosu. I Georgette, zawsze życzliwa, zawsze wielkoduszna, zawsze wierna, zdała egzamin. Robił to przez rok.

Fakt, że kochała go mimo jego niedoskonałości, dzięki przebiegłości, potrzeby polowania na inne ludzkie istoty, wydawał się Cilkemu cudem. Zawsze jednak się bał, że Georgette odkryje jego prawdziwy charakter i wtedy poczuje odrazę. I w ten sposób w pracy również stał się jak najbardziej wymagający i zasłynął z uczciwości.

Georgette nigdy w niego nie zwątpiła. Dowiodła tego pewnego wieczoru, gdy wraz z dwudziestoma innymi gośćmi zostali zaproszeni do domu dyrektora na kolację. Była to półoficjalna impreza, a zarazem niezwykle zaszczyt.

Podczas wieczoru przyszedł moment, gdy dyrektor znalazł się na chwilę sam na sam z Cilkem i jego żoną.

- Wiem, że jest pani zaangażowana w wiele liberalnych inicjatyw. Oczywiście szanuję pani prawo do tego. Ale chyba nie w pełni pani rozumie, że pani działania mogłyby zaszkodzić karierze Kurta.

Georgette uśmiechnęła się do dyrektora i odparła ponuro:

- Nie wiem o tym, a byłby to błąd i pech pańskiej instytucji. Oczywiście gdyby moja działalność stała się zbyt wielkim problemem, mąż ustąpiłby ze stanowiska.

Dyrektor odwrócił się do Cilkego z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- To prawda? Ustąpiłby pan?

Cilke nie zawahał się.

- Tak, to prawda. Jeżeli pan chce, jutro złożę rezygnację.

Dyrektor roześmiał się.

- Och, nie. Nieczęsto trafiają się nam tacy ludzie jak pan - rzekł, po czym posłał żonie Cilkego swe zimne jak stal, arystokratyczne spojrzenie. - Posłuszeństwo żonie może być ostatnią ucieczką uczciwego człowieka - zauważył.

Wszyscy troje roześmiali się z tego wymęczonego dowcipu, żeby okazać dobrą wolę.

Rozdział 4

Przez pięć miesięcy po śmierci stryja Astorre naradzał się z niektórymi z jego dawnych, emerytowanych kolegów, podejmował środki w celu ochrony jego dzieci i badał okoliczności morderstwa. Przede wszystkim musiał znaleźć motyw tak śmiałego i oburzającego czynu. Kto wydałby rozkaz zabicia wielkiego don Aprilego? Astorre wiedział, że musi być bardzo ostrożny.

Pierwsze spotkanie odbył z Benito Craxxim w Chicago.

Craxxi wycofał się z nielegalnych operacji dziesięć lat przed don Aprilem. To on był wielkim *consiglieri* Krajowego Komitetu Mafijnego i dokładnie znał strukturę wszystkich Rodzin w Stanach Zjednoczonych. On pierwszy dostrzegł zanik potęgi wielkich rodów i przewidział ich upadek. Tak więc roztropnie przeszedł na emeryturę, by grać na giełdzie, gdzie przyjemnie zaskoczył go fakt, że całkowicie bezkarnie może kraść równie dużo pieniędzy. Don polecił go bratankowi jako jednego z ludzi, których musi się w razie potrzeby poradzić.

Siedemdziesięcioletni Craxxi mieszkał z dwoma ochroniarzami, szoferem i młodą Włoszką, która pełniła funkcję kucharki, gospodyni i ponoć była jego partnerką seksualną. Cieszył się doskonałym zdrowiem, gdyż żył z umiarem; jadł rozważnie i pił tylko od czasu do czasu. Na śniadanie miska owoców i sera, na lunch omlet lub zupa jarzynowa, przeważnie z fasoli i cykorii; na kolację kotlet mielony wołowy lub jagnięcy oraz wspaniała sałatka z cebuli, pomidorów i sałaty. Wypalał tylko jedno cygaro dziennie - bezpośrednio po kolacji, do kawy i anyżówki. Swoje pieniądze wydawał szczerze i mądrze. Uważał również, komu udziela rad. Człowiek, który daje złą radę, jest bowiem nienawidzony jak wróg.

Nie szczędził ich natomiast bratankowi don Raymonde Aprilego, gdyż zaliczał się do licznego grona jego dłużników. To właśnie don chronił Craxxiego, gdy ten wycofał się z interesów, co w tej branży zawsze było niebezpiecznym posunięciem.

Spotkanie odbyło się przy śniadaniu. Na stole stały misy z owocami; były tam lśniąco żółte gruszki, szare renety, truskawki prawie tak wielkie jak cytryny, jasne winogrona i ciemnoczerwone wiśnie. Wielka turnia sera sterczała na desce, niczym zrab opakowanej w złoto skały. Gospodyni podała im kawę z anyżówką i zniknęła.

- A więc, młody człowieku, to ty jesteś strażnikiem, którego wybrał don Aprile - rzekł Craxxi.

- Tak - potwierdził Astorre.

- Wiem, że szkolił cię do tego zadania. Mój stary przyjaciel zawsze spoglądał w przyszłość. Naradzaliśmy się w tej sprawie. Wiem, że masz kwalifikacje. Pozostaje pytanie, czy jesteś zdecydowany?

Uśmiech Astorre był ujmujący, oblicze szczere.

- Don uratował mi życie i dał wszystko, co mam - odparł. - Jestem tym, kim mnie uczynił. I przysięgałem, że będę chronił rodzinę. Jeżeli Nicole nie zostanie współniczką w firmie prawniczej, jeżeli sieć telewizyjna Marcantonio zbankrutuje, jeżeli coś się przydarzy Valeriusowi, zawsze mają jeszcze banki. Wiodłem szczęśliwe życie. Ubolewam nad okolicznościami, w których otrzymałem to zadanie. Ale dałem moje słowo i muszę go dotrzymać. Bo jeżeli nie, to w co mogę wierzyć przez resztę życia?

Przez myśl przemykały mu chwile dzieciństwa, chwile wielkiej radości, za którą czuł wdzięczność. Obrazki z pobytów ze stryjem na Sycylii, gdy chodził po rozległym górzystym terenie, słuchając historii opowiadanych przez don Raymonde. Marzył wówczas o innej epoce, czasach gdy służono sprawiedliwości, ceniono wierność, a życzliwi i potężni mężczyźni dokonywali wspaniałych czynów. I w tym momencie zatęsknił zarówno za stryjem, jak i za Sycylią.

- Dobrze - rzekł Benito Craxxi, wrywając Astorre z zamyślenia i sprowadzając z powrotem do teraźniejszości. - Byłeś na miejscu zabójstwa. Opisz mi wszystko.

Gdy Astorre to zrobił, Craxxi zapytał:

- I jesteś pewien, że obydwaj strzelcy byli leworęczni?

- Co najmniej jeden, a prawdopodobnie i drugi - odparł Astorre.

Craxxi powoli pokiwał głową. Sprawiał wrażenie zamyślnego. Po, jak się wydawało, długim czasie spojrzął na Astorre i rzekł:

- Chyba wiem, kto strzelał. Ale nie działaj pochopnie. Ważniejsze jest, by wiedzieć, kto ich wynajął i dlaczego. Musisz być bardzo ostrożny. Sporo myślałem o tej sprawie. Najbardziej prawdopodobnym podejrzanym jest Timmona Portella. Pytanie tylko, z jakich powodów i kogo miał zadowolić? Timmona zawsze był nieroztropny. Ale zabicie don Aprilego musiało być bardzo ryzykownym przedsięwzięciem. Nawet Portella bał się go, mimo tej całej emerytury.

Myślę, że strzelcy to bracia, którzy mieszkają w Los Angeles. Są najlepiej wykwalifikowanymi ludźmi w kraju. Milczą jak grób. Niewiele osób wie nawet, że są bliźniakami. I obaj są leworęczni. Nie brak im odwagi, są urodzonymi żołnierzami, spodobało się im niebezpieczeństwo, a nagroda musiała być spora. Zapewne mieli też gwarancje, że władze nie będą dążyły do wyjaśnienia tej sprawy. Dziwi mnie, że nie było oficjalnego

nadzoru policji ani Biura nad uroczystością bierzmowania w katedrze. Przecież don Aprile nawet po przejściu na emeryturę pozostał obiektem zainteresowania FBI.

Ale zrozum, wszystko, co powiedziałem, to teoria. Będziesz musiał przeprowadzić śledztwo i ją potwierdzić. A jeżeli się nie mylę, musisz uderzyć z całych sił.

- Jeszcze jedno - rzekł Astorre. - Czy dzieci stryja są w niebezpieczeństwie?

Craxxi wzruszył ramionami. Starannie obierał ze skóry złocistą gruszkę.

- Nie wiem. Ale nie bądź zbyt dumny, by prosić ich o pomoc. Tobie samemu niewątpliwie grozi też pewne niebezpieczeństwo. Na koniec mam dla ciebie propozycję. Sprowadź z Londynu Pryora, żeby pokierował twoimi bankami. To człowiek pod każdym względem doskonale wykwalifikowany.

- A Bianco na Sycylii? - zapytał Astorre.

- Zostaw go tam. Kiedy posuniesz się dalej, znowu się spotkamy.

Craxxi nalał mu anyżówki do kawy. Astorre westchnął.

- To dziwne - rzekł. - Nigdy nie marzyłem o tym, że będę musiał działać w imieniu wielkiego don Aprilego.

- No cóż - zauważył Craxxi. - Życie jest okrutne i ciężkie dla młodych ludzi.

Valerius przez dwadzieścia lat żył w świecie wywiadu wojskowego, a nie w świecie fikcji, jak jego brat Marcantonio. Wydawało się, że przewidział wszystko, co usłyszał od Astorre, i wcale się nie zdziwił.

- Potrzebuję twojej pomocy - rzekł Astorre. - Być może będziesz musiał złamać niektóre ze ścisłych zasad swego postępowania.

- W końcu odsłaniasz prawdziwe oblicze. Zastanawiałem się, ile to potrwa - odparł oschle Valerius.

- Nie wiem, co masz na myśli - stwierdził Astorre. Był trochę zaskoczony reakcją kuzyna.

- Sądzę, że śmierć twojego ojca nastąpiła w wyniku zmywy, w którą wplątane było FBI i nowojorska policja. Pewnie myślisz, że fantazjuję, ale tego właśnie się dowiedziałem.

- Nie jest to wykluczone - rzekł Valerius. - Ale w mojej pracy tutaj nie mam dostępu do tajnych dokumentów.

- Ale musisz mieć przyjaciół. W agencjach wywiadowczych. Możesz im zadać pewne pytania.

- Nie muszę zadawać pytań - odparł Valerius z uśmiechem. - Są gadatliwi jak sroki. Ta „potrzeba wiedzy” to mydlenie oczu. Masz pojęcie, czego szukasz?

- Wszelkich informacji o zabójcach twojego ojca.

Valerius przechylił się do tyłu w fotelu, pykając z cygara, swego jedynego nałogu.

- Nie chrzań, Astorre. Coś ci powiem. Przeprowadziłem analizę. To mógł być odwet lub zemsta świata gangsterskiego. Myślałem też o tym, że stoisz na czele banków. Ojciec zawsze miał plan. Wyobrażam to sobie tak. Don uczynił cię człowiekiem zdobywającym punkty dla

rodziny. Co z tego wynika? To, że jesteś przeszkolony, że byłeś jego właściwym przedstawicielem, który miał się uaktywnić dopiero w przełomowym momencie. W twoim życiu jest jedenastoletnia luka, a twoja maska wygląda zbyt ładnie, by mogła być prawdziwa - piosenkarz amator, miłośnik konnej jazdy. Podejrzany jest także złoty łańcuch, którego nigdy nie zdejmujesz. - Przerwał, odetchnął głęboko i zapytał: - Co sądzisz o tej analizie?

- Bardzo trafna - odparł Astorre. - Mam nadzieję, że zachowałeś ją dla siebie.

- Oczywiście. Ale w takim razie jesteś niebezpiecznym człowiekiem. I dlatego podejmiesz radykalne działania. Ale dam ci pewną radę. Twoja maska jest nieprzekonywająca, niedługo zostanie zerwana. Jeśli chodzi o moją pomoc, żyje mi się bardzo dobrze i jestem przeciwny wszystkiemu, co - jak sądzę - sobą reprezentujesz. Więc na razie odmawiam. Nie pomogę. Jeżeli sytuacja się zmieni, to się z tobą skontaktuję.

Jakaś kobieta wyszła do recepcji, by zaprowadzić Astorre do gabinetu kuzynki. Nicole uściśnęła go i pocałowała. Wciąż go lubiła, ich młodzieńczy romans nie zostawił przykrych zadr w jej sercu.

- Muszę porozmawiać z tobą na osobności - powiedział.

Nicole odwróciła się do kobiety, która była również jej ochroniarzem.

- Helene, możesz nas zostawić samych. Przy nim nic mi nie grozi.

Helene spojrzała na niego przeciągle. Próbowwała wyrzeć na nim wrażenie i udało się jej. Podobnie jak Cilke, Astorre zauważył jej niezmierną pewność siebie - pewność karciarza z asem w rękawie lub osoby posiadającej ukrytą broń. Przyjrzał się, by sprawdzić, gdzie może być schowana. Spodnie i zakiet opinały się na imponującym ciele Helene; tam pistoletu nie było. I wtedy zauważył rozcięcie w nogawce spodni. Nosiła kaburę nad kostką, co nie było zbyt pomysłowe. Gdy wychodziła, uśmiechnął się do niej, nie szczędząc wdzięku. Odpowiedziała obojętnym spojrzeniem.

- Kto ją zwerbował? - zapytał Astorre.

- Mój ojciec. Z bardzo dobrym skutkiem. To zdumiewające, jak ona potrafi sobie radzić z rabusiami i uwodzicielami.

- Nie wątpię. Zdołałaś wydostać akta ojca z FBI?

- Owszem. To najpotworniejsza lista zarzutów, jaką w życiu czytałam. Po prostu nie wierzę w nie, a FBI nigdy nie potrafiło żadnego dowieść.

Astorre wiedział, że don chciałby, żeby on zaprzeczył prawdzie.

- Dasz mi te akta na parę dni? - zapytał.

Nicole posłała mu swe prawnicze spojrzenie; jej twarz była bez wyrazu.

- Wydaje mi się, że nie powinienes ich teraz oglądać. Chcę sporządzić ich pisemną analizę, podkreślić to, co ważne, i potem ci ją dać. Właściwie nie ma tam nic, co ci pomoże. Może ty i moi bracia nie powinniście tego czytać.

Astorre popatrzył na nią z troską, po czym uśmiechnął się i zapytał:

- Aż tak źle?

- Pozwól, że je przestudiuję. FBI to takie gnoje.

- Zrób, jak uważasz. Tylko pamiętaj, to niebezpieczna sprawa. Pilnuj się.

- Dobrze - odparła Nicole. - Mam Helene.

- A jeżeli będziesz mnie potrzebowała, jestem blisko. - Położył dłoń na ramieniu kuzynki, żeby ją uspokoić. Nicole patrzyła na niego przez chwilę z taką tęsknotą, że poczuł się skrepowany. - Po prostu zadzwoń.

Uśmiechnęła się.

- Zadzwonię. Ale niczego mi nie brakuje. Niczego. - W rzeczywistości cieszyła się na wieczór z pewnym niesamowicie czarującym i atrakcyjnym dyplomata.

Marcantonio Aprile odbywał właśnie w swoim okazałym gabinecie, mieszczącym rząd sześciu ekranów telewizyjnych, spotkanie z szefem najpotężniejszej nowojorskiej agencji reklamowej. Richard Harrison był wysokim, doskonale ubranym mężczyzną o sylwetce arystokraty. Wyglądał jak były model, ale miał siłę komandosa.

Na jego kolanach spoczywała kasetka z taśmami wideo. Z całkowitą pewnością siebie, bez pytania o zgodę podszedł do magnetowidu i włożył jedną z nich.

- Obejrzyj to - powiedział. - Nie jest to reklama jednego z moich klientów, ale sądzę, że jest po prostu zdumiewająca.

Magnetowid odtworzył reklamę amerykańskiej pizzy. W roli objazdowego sprzedawcy wystąpił Michaił Gorbaczow, były prezydent Związku Radzieckiego. Gorbaczow sprzedawał spokojnie i z godnością, nie mówiąc słowa, po prostu karmił swoje wnuki pizzą, podczas gdy zebrany wokół tłum wyrażał zachwyt. Marcantonio uśmiechnął się do Harrisona.

- Zwycięstwo wolnego świata - rzekł. - I co z tego?

- Był przywódcą radzieckiego państwa, a teraz robi z siebie błazna, kręcąc reklamę dla amerykańskiego producenta pizzy. Czy to nie zaskakujące? I słyszałem, że zapłacili mu tylko pół miliona.

- W porządku - rzekł Marcantonio. - Ale dlaczego?

- Dlaczego ktoś robi coś tak upokarzającego? Rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy.

Nagle Marcantonio pomyślał o swoim ojcu, don Aprile. Czułby on zapewne wielką pogardę dla człowieka, który rządził wielkim krajem i nie zapewnił bezpieczeństwa finansowego swojej rodzinie. Uznałby go za najgłupszego z ludzi.

- Subtelna lekcja historii i psychologii ludzkiej - zauważył. - Ale znowu zapytam, co z tego?

Harrison poklepał kasetkę z taśmami.

- Mam następne i przewiduję pewien opór. Są trochę bardziej drażliwe. Robiliśmy interesy od długiego czasu. Chcę się upewnić, czy pozwolisz puszczać te reklamy w swojej sieci. A potem, oczywiście, przyjdzie reszta.

- Nie wyobrażam sobie tego - rzekł Marcantonio.

Harrison włożył następną taśmę i wyjaśnił:

- Nabyliśmy prawa do pokazania w naszych reklamówkach zmarłych znakomitości. To takie marnotrawstwo, że sławni umarli przestają funkcjonować w naszym społeczeństwie. Chcemy to zmienić i przywrócić im dawną chwałę.

Taśma zaczęła biec. Pojawiła się seria ujęć Matki Teresy pielęgnującej ubogich i chorych w Kalkucie, jej zakonny habit układał się w fałdy nad umierającymi. Jeszcze jedno ujęcie zakonnicy, przyjmującej Nagrodę Nobla, rozpromieniona pospolita twarz, jej tak wzruszająca święta pokora. Następne ujęcie: rozlewa chochlą zupę z wielkiego garnka biednym na ulicy.

Nagle obraz bucha kolorem. Wspaniale ubrany mężczyzna podchodzi do garnka z pustą miską. Mężczyzna mówi do pięknej młodej kobiety: „Mogę dostać zupy? Słyszałem, że jest wspaniała”. Młoda kobieta posyła promienny uśmiech, nalewa zupy do miski. Mężczyzna je, sprawiając wrażenie jakby był w siódmym niebie.

Potem na ekranie stopniowo ukazuje się supermarket i cała półka puszek z zupą, opatrzonych napisem „Kalkucka”. Głos spoza kadru oznajmia: „Zupa Kalkucka, życiodajny pokarm dla bogatych i biednych. Każdego stać na dwadzieścia odmian tego przysmaku. Produkowana według oryginalnych przepisów Matki Teresy”.

- Myślę, że to reklama w całkiem dobrym guście - powiedział Harrison.

Marcantonio uniósł brwi.

Harrison włożył następną taśmę wideo. Ekran wypełniło promienne ujęcie księżnej Diany w sukni ślubnej, a po nim zdjęcia w pałacu Buckingham. Potem taniec z księciem w otoczeniu królewskiej świty, wszyscy w szalonym ruchu.

Spoza kadru słychać głos z odpowiednią intonacją: „Każda księżna zasługuje na księcia. Lecz ta księżna posiadała pewien sekret”. Młoda modelka unosi elegancką kryształową butelkę perfum, wyraźnie widać etykietę. Głos mówi dalej: „Używając odrobiny perfum «Książęcych» ty także możesz zdobyć swego księcia - i już nigdy nie martwić się zapachem z pochwy”.

Marcantonio nacisnął guzik na swym biurku i ekran zgasł. Harrison powiedział:

- Poczekaj, mam ich więcej.

Marcantonio pokręcił głową.

- Richard, jesteś zdumiewająco pomysłowy - i nieczuły. Te reklamy nigdy nie pojawią się w mojej sieci.

- Ale część wpływów idzie na cele dobroczynne... i one są w dobrym guście - protestował Harrison. - Miałem nadzieję, że przetrzesh szlak. Ostatecznie jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

- Owszem. Mimo to odpowiedź brzmi: nie.

Harrison pokręcił głową i powoli włożył swoje taśmy z powrotem do kasetki.

Marcantonio uśmiechając się zapytał:

- A propos, jak podziałała reklamówka z Gorbaczowem?

Harrison wzruszył ramionami.

- Beznadziejnie. Ten biedny sukinsyn nawet pizzy nie potrafił sprzedać.

Marcantonio uprzątnął z biurka inne prace i zaczął się przygotowywać do swoich wieczornych obowiązków. Tego dnia musiał uczestniczyć we wręczaniu Nagród Emmy. Jego stacja otrzymała trzy duże stoły dla dyrektorów i gwiazd oraz kilka nominacji. Towarzyszyła mu uznana prezenterka wiadomości Matilda Johnson.

Gabinet Marcantonio połączony był z dwupokojowym apartamentem z łazienką i prysznicem oraz garderobą pełną ubrań. Gdy musiał pracować do późna, często zostawał tam na noc.

Podczas uroczystości część zwycięzców wspomniała o nim jako znaczącym współtwórcy swojego sukcesu. To zawsze było przyjemne. Ale klaszcząc i całując policzki laureatów myślał o wszystkich uroczystościach wręczania nagród i kolacjach, w których musiał brać udział w ciągu roku: Oscary, Nagrody Publiczności, benefisy Amerykańskiego Instytutu Filmowego oraz inne specjalne nagrody dla starzejących się gwiazd, producentów i reżyserów. Czuł się niczym nauczyciel, przyznający oceny za prace domowe uczniom szkoły podstawowej, którzy pobiegną potem do domu, żeby pokazać je mamom. I wtedy własna złośliwość wzbudziła w nim chwilowy wstyd - ci ludzie zasłużyli przecież na swoje zaszczyty, potrzebowali aprobaty równie mocno, jak potrzebowali pieniędzy.

Po zakończeniu uroczystości bawił się, obserwując aktorów, którzy mieli na swym koncie drobne osiągnięcia, starających się zrobić wrażenie swą prezencją na ludziach takich jak on, którzy mieli wpływy, oraz wydawczynię znanego magazynu, do której umizgiwało się paru niezależnych dziennikarzy. Zauważył znużenie na jej twarzy, ostrożną i zimną serdeczność Penelopy czekającej na sławniejszego konkurenta.

Poza tym znajdowali się tam prezenterzy wiadomości, grube ryby, inteligentni, charyzmatyczni i utalentowani mężczyźni i kobiety, którzy stali przed niezwykłym dylematem: zabiegać o względy gwiazd, z którymi chcieli przeprowadzić wywiad, jednocześnie zniechęcając mniejsze, jeszcze nie dość ważne, czy też dać szansę tym drugim.

Aktorskie gwiazdy tryskały nadzieją i pożądaniami. Widocznie miały już wystarczające wzięcie, by przeskoczyć z telewizji na ekrany kin i nigdy nie powrócić - albo tak im się zdawało.

W końcu Marcantonio poczuł zmęczenie, ciągle szczerzenie zębów z entuzjazmem, wesół głoś, którym musiał zwracać się do pokonanych, i ton wylewnej radości w rozmowach ze zwycięzcami wyczerpały go.

- Przyjdiesz później do mnie? - zapytała go szeptem Matilda.

- Jestem zmęczony - odparł. - Ciężki dzień, ciężki wieczór.

- Nie ma sprawy - powiedziała ze współczuciem. Oboje mieli napięte harmonogramy. - Będę w mieście przez tydzień.

Byli dobrymi przyjaciółmi, ponieważ nie musieli się wzajemnie wykorzystywać. Matilda miała solidną pozycję. Nie potrzebowała nauczyciela ani protektora. A Marcantonio nigdy nie uczestniczył w negocjacjach z prezydentami, było to zadanie szefa wydziału spraw służbowych. Życie, które prowadzili, nie mogło skończyć się małżeństwem. Ona wiele podróżowała, on pracował po piętnaście godzin dziennie. Byli jednak kumplami, którzy czasem spędzali razem noc. Kochali się, plotkowali o branży i pokazywali się razem na pewnych towarzyskich uroczystościach. I było rzeczą zrozumiałą, że ich związek ma drugorzędny charakter. W nielicznych przypadkach, gdy Matilda zakochiwała się w jakimś nowym mężczyźnie, przerywali nocne spotkania. Marcantonio nigdy się nie zakochał, więc dla niego nie stanowiło to problemu.

Tego wieczoru odczuwał pewne znużenie światem, w którym żył. Był więc niemal zachwycony, gdy stwierdził, że Astorre Viola czeka na niego w hallu jego budynku mieszkalnego.

- Hej, świetnie, że cię widzę - rzekł Marcantonio. - Gdzie się podziewałeś?

- Byłem zajęty. Mogę wpaść do ciebie na drinka?

- Jasne. Ale po co ta konspiracja? Czemu nie zadzwoniłeś? Mógłbyś sterczeć w tym hallu godzinami, miałem iść na przyjęcie.

- To żaden problem - odparł Astorre. Kuzyn przez cały wieczór znajdował się pod jego nadzorem.

W mieszkaniu Marcantonio przyrządził drinki.

Astorre sprawiał wrażenie nieco zażenowanego.

- W swojej sieci możesz inicjować projekty, prawda?

- Stale to robię - rzekł Marcantonio.

- Mam dla ciebie jeden. Wiąże się z zamordowaniem twojego ojca.

- Nie - uciął Marcantonio. Było to jego słynne w branży nie, które uniemożliwiało wszelką dalszą dyskusję. Ale chyba nie onieśmieliło Astorre.

- Nie odmawiaj mi w ten sposób. Ja niczego ci nie sprzedaję. To dotyczy bezpieczeństwa twojego brata i siostry. I twojego własnego - wyjaśnił, po czym posłał mu bardzo szeroki uśmiech. - Oraz mojego...

- Mów - zaproponował Marcantonio. Ujrzał swego kuzyna w nowym zdumiewającym świetle. Czyżby ten niefrasobliwy dzieciak jednak coś w sobie miał?

- Chcę, żebyś zrobił film dokumentalny o FBI. A zwłaszcza o tym, jak Kurt Cilke zdołał zniszczyć większość mafijnych Rodzin. Taki film wzbudziłby wielkie zainteresowanie, prawda?

Marcantonio potwierdził skinieniem głowy i zapytał:

- Jaki masz w tym cel?

- Po prostu sam nie mogę uzyskać żadnych informacji o Cilkem - wyjaśnił Astorre. - Próba ich zdobycia byłaby zbyt ryzykowna. Ale jeżeli będziesz kręcił dokument, żadna

agencja rządowa nie odważy się nadebrać ci na odcisk. Możesz poznać jego życiorys, dowiedzieć się, gdzie mieszka, jak działa i na jakim szczeblu w strukturze Biura się znajduje. Potrzebuję wszystkich tych informacji.

- FBI i Cilke nigdy nie będą współpracowali. To utrudniłoby zrobienie filmu. - Marcantonio zawahał się. - Dawne czasy, gdy Hoover był dyrektorem, się skończyły. Ci nowi ludzie nie odsłaniają kart.

- Dasz sobie radę - stwierdził Astorre. - Potrzebuję tego. Masz całą armię producentów i reporterów. Muszę wiedzieć o nim wszystko. Dosłownie. Bo wydaje mi się, że Cilke należy do spisku przeciwko twojemu ojcu i twojej rodzinie.

- To naprawdę szalona teoria.

- Na pewno - odparł Astorre. - Być może jest błędna. Ale wiem, że nie chodziło o zwykłe gangsterskie porachunki. I że Cilke prowadzi dziwne dochodzenie. Niemal tak, jakby zacierał ślady, nie zaś odkrywał je.

- No więc, pomagam ci uzyskać te informacje. Co wtedy możesz zrobić?

Astorre rozłożył ręce i uśmiechnął się.

- A cóż ja mogę zrobić, Marc? Po prostu chcę wiedzieć. Być może uda mi się zawrzeć jakieś porozumienie. Muszę tylko obejrzeć dokumentację. Nie będę jej kopiował. Twoja reputacja nie zostanie narażona na szwank.

Marcantonio spojrzał na Astorre. Jego umysł usiłował przeniknąć przyjemną i uroczą twarz kuzyna.

- Zdziwiasz mnie - rzekł z troską. - Ojciec pozostawił cię u steru. Dlaczego? Przecież jesteś importerem makaronu. Zawsze uważałem cię za uroczonego dziwaka w szkarłatnej kurtce jeździeckiej i z małym zespołem muzycznym. Ale ojciec nigdy nie zaufałby człowiekowi, którym zdajesz się być.

- Już nie śpiewam - odparł Astorre uśmiechając się. - Konno też zbyt często nie jeżdżę. Don zawsze miał dobre oko, ufał mi. Ty też powinieneś. - Wahał się przez chwilę, a potem dodał z zupełną szczerością: - Wybrał mnie, żeby jego dzieci nie musiały narażać się na krytykę. Wybrał i wyszkolił. Kochał mnie, ale bratanka można było poświęcić. To proste.

- Potrafisz stawić opór?

- Potrafię - potwierdził Astorre, odchylił głowę do tyłu i uśmiechnął się do kuzyna. Był to rozmyślnie ponury uśmiech, którym aktor telewizyjny chciałby zademonstrować, że jest złoczyńcą, lecz Astorre zrobił to, udając tak doskonały nastrój, iż Marcantonio się roześmiał.

- To wszystko, co muszę zrobić? - upewnił się. - Nie będę w to bardziej wplątany?

- Nie masz prawa bardziej się w to wplątać.

- Mogę to przemyśleć przez parę dni?

- Nie. Jeżeli odmówisz, zostanę sam przeciwko nim.

Marcantonio pokiwał głową.

- Lubię cię, Astorre, ale nie mogę tego zrobić. To po prostu zbyt duże ryzyko.

Spotkanie z Kurtem Cilke w biurze Nicole okazało się dla Astorre niespodzianką. Cilke przyprowadził ze sobą swego zastępcę Billa Boxtona i nalegał, by Nicole uczestniczyła w spotkaniu. Był również bardzo bezpośredni.

- Mam informacje, że Timmona Portella stara się złożyć w waszych bankach miliard dolarów. Czy to prawda?

- To poufna informacja - odparła Nicole. - Czemu mielibyśmy panu mówić?

- Wiem, że złożył wam taką samą propozycję jak wcześniej waszemu ojcu. I don Aprile odmówił.

- Dlaczego to wszystko miałyby interesować FBI? - zapytała Nicole swoim „odsyłającym w cholere” głosem.

Cilke nie chciał się denerwować.

- Sądzymy, że Portella pierze pieniądze z handlu narkotykami - wyjaśnił. - Chcemy, żeby pan współpracował z Portellą, abyśmy mogli kontrolować jego działalność. Chcemy, żeby pan mianował paru naszych księgowych na stanowiska w swoim banku. - Otworzył teczkę. - Mam dla pana do podpisania dokumenty, które będą nas obu chroniły.

Nicole wyjęła mu je z ręki i bardzo szybko przeczytała dwie strony.

- Nie podpisuj - ostrzegła. - Klienci banków mają prawo do tajemnicy. Jeżeli FBI chce prowadzić dochodzenie przeciwko Portelli, powinno uzyskać nakaz.

Astorre przeczytał dokumenty. Uśmiechnął się do Cilkego.

- Ufam panu - powiedział, składając podpis, i wręczył je agentowi.

- Na czym ma polegać to *qui pro quo*? - zapytała Nicole. - Co dostaniemy w zamian za współpracę?

- Za spełnienie obywatelskiego obowiązku - poprawił ją Cilke. - List pochwalny od prezydenta i zaprzestanie kontroli finansowej we wszystkich waszych bankach, która mogłaby przysporzyć wam wielu kłopotów, jeżeli nie jesteście w porządku.

- A może by tak trochę informacji o zamordowaniu mojego stryja? - zaproponował Astorre.

- Niech pan pyta.

- Dlaczego na mszy w dniu bierzmowania nie było nadzoru policyjnego?

- Zdecydował o tym szef wydziału śledczego Paul Di Benedetto. Oraz jego prawa ręka. Kobieta nazwiskiem Washington.

- A jak to możliwe, że zabrakło obserwatorów FBI?

- Niestety, była to moja decyzja. Uważałem, że nie ma takiej potrzeby.

Astorre pokręcił głową.

- Chyba nie mogę przystać na pańską propozycję. Potrzebuję paru tygodni na jej przemyślenie.

- Podpisał pan dokumenty. Ta informacja jest teraz zastrzeżona. Jeżeli ujawni pan treść naszej rozmowy, może pan zostać oskarżony.

- Czemu miałbym to zrobić? Po prostu nie chcę prowadzić bankowych interesów z FBI ani z Portellą.

- Niech pan to przemyśli - rzekł Cilke.

Gdy dwaj agenci FBI wyszli, Nicole z furią zaatakowała kuzyna.

- Jak śmiałeś sprzeciwić się mojej decyzji i podpisać te dokumenty? To było po prostu głupie.

Astorre przeszywał ją spojrzeniem pełnym wściekłości; wtedy po raz pierwszy dostrzegła w nim ślad gniewu.

- On czuje się pewnie z kartką, którą podpisałem - wyjaśnił. - A ja chcę, żeby właśnie tak się czuł.

Rozdział 5

Marriano Rubio był człowiekiem maczającym palce w tuzinie spraw, z których każda stanowiła żyłę złota. Piastował funkcję konsula generalnego Peru, większość czasu spędzał jednak w Nowym Jorku. Był również przedstawicielem kręgów wielkiego biznesu w wielu krajach Ameryki Południowej oraz w komunistycznych Chinach. Przyjaźnił się z Inzio Tulippą, przywódcą głównego kartelu narkotykowego w Kolumbii.

W życiu osobistym Rubio miał równie dużo szczęścia jak w interesach. Był czterdziestopięcioletnim kawalerem i cieszył się opinią nie byle jakiego kobieciarza. Utrzymywał tylko jedną kochankę naraz, a gdy zastępował ją młodszą pięknoską, poprzednia dostawała odpowiednio szczodre wsparcie. Był przystojnym mężczyzną, interesującym rozmówcą i cudownym tancerzem. Posiadał wspaniale wyposażoną piwnicę win i doskonałego kucharza.

Lecz jak wielu szczęściarzy, Rubio uwielbiał kusić los. Znajdował przyjemność w mierzeniu się z niebezpiecznymi ludźmi. Potrzebował ryzyka, by nadać posmak egzotycznej potrawie, którą stanowiło jego życie. Był zamieszany w nielegalny wywóz technologii do Chin; utworzył linię łączności na najwyższych szczeblach dla baronów narkotykowych; był agentem handlowym, który płacił amerykańskim naukowcom za emigrowanie do Ameryki Południowej. Wszedł także w konszachty z Timmoną Portellą, równie niebezpiecznym dziwakiem jak Inzio Tulippa.

Jak wszyscy hazardziści grający o wysokie stawki, Rubio szczyił się posiadaniem asa w rękawie. Dzięki immunitetowi dyplomatycznemu nic mu nie groziło ze strony wymiaru sprawiedliwości, ale wiedział, że istnieją inne niebezpieczeństwa, i na tych obszarach zachowywał ostrożność.

Dochody miał ogromne i wydawał krocie. Możliwość kupowania wszystkiego, na co miał ochotę, z miłością kobiet włącznie, dawała taką władzę. Lubił wspierać ekskochanki, które pozostawały cennymi przyjaciółmi. Był hojnym pracodawcą i rozumnie strzegł zyczliwości zależnych od siebie ludzi jak skarbu.

Teraz, w swym nowojorskim mieszkaniu, które na szczęście stanowiło część peruwiańskiego konsulatu, Rubio ubierał się na połączoną z kolacją randkę z Nicole Aprile.

Umówione spotkanie było - jak zwykle w jego przypadku - po części interesem, a po części przyjemnością. Poznał kiedyś Nicole na kolacji w Waszyngtonie, wydanej przez jednego z jej prestiżowych klientów. Już na pierwszy rzut oka zaintrygowało go jej niezupełnie skończone piękno, przebiegła, stanowcza twarz o inteligentnych oczach i ustach, drobne zmysłowe ciało, a także fakt, że jest córką wielkiego szefa mafii don Raymonde Aprilego.

Rubio oczarował ją wprawdzie, ale - i to mu zaimponowało - nie do utraty zmysłów. W kobiecie podziwiał romantyczny umysł. Będzie musiał zyskać jej szacunek czynami, nie słowami. Do czego natychmiast przystąpił, prosząc, by reprezentowała jednego z jego klientów w szczególnie korzystnej transakcji. Dowiedział się, że Nicole aktywnie działa na rzecz zniesienia kary śmierci i nawet walczyła o odroczenie egzekucji paru znanych morderców. Stanowiła dlań ideał nowoczesnej kobiety - piękna, z wielkimi sukcesami zawodowymi, a w dodatku litościwa. Jeśli wykluczyć jakąś seksualną dysfunkcję, przez mniej więcej rok byłaby z niej bardzo sympatyczna partnerka.

Wszystko to działo się przed śmiercią don Aprilego.

Teraz główny cel jego zalotów stanowiło uzyskanie informacji, czy Nicole i jej dwaj bracia oddadzą swe banki do dyspozycji Portelli i Tulippy. W przeciwnym razie zabijanie Astorre Violi nie miałyby sensu.

Inzio Tulippa czekał dostatecznie długo. Minął rok od śmierci don Aprilego, a on nie zawarł jeszcze porozumienia z jego spadkobiercami. Wydana została masa pieniędzy, dał wiele milionów Timmonie Portelli na łapówki dla FBI i policji w Nowym Jorku oraz honorarium za usługi braci Sturzów, a mimo to nie posunął się naprzód w realizacji swych planów.

Tulippa nie był pospolitym typem energicznego handlarza narkotykami. Pochodził z szanowanego i zamożnego rodu, grał nawet w polo w barwach ojczystej Argentyny. Obecnie mieszkał w Kostaryce i posiadał kostarykański paszport dyplomatyczny, który zapewniał mu immunitet w każdym kraju. Utrzymywał stosunki z kartelami narkotykowymi w Kolumbii, z plantatorami w Turcji i rafineriami we Włoszech. Załatwiał transport i niezbędne łapówki dla urzędników od najwyższego do najniższego szczebla. Planował przemyt ogromnych ładunków do Stanów Zjednoczonych. To on również wabił amerykańskich fizyków jądrowych do krajów Ameryki Łacińskiej i dostarczał pieniędzy na ich badania. Pod każdym względem był roztropnym i zdolnym zarządcą i dzięki temu zgromadził olbrzymi majątek.

Był jednak także rewolucjonistą. Zaciekle bronił idei sprzedaży narkotyków. Narkotyki stanowiły ratunek dla ludzkiego ducha, ucieczkę skazanych na rozpacz przez ubóstwo i choroby umysłowe. Były balsamem dla usychających z miłości, dla dusz zagubionych w naszym zmaterializowanym świecie. Ostatecznie, jeżeli przestałeś wierzyć w Boga, społeczeństwo, w to, że jesteś coś wart, co miałeś zrobić? Zabić się? Narkotyki utrzymywały ludzi w sferze marzeń i nadziei. Potrzebna była jedynie odrobina umiaru. No bo, czy

narkotyki zabiły tylu ludzi co alkohol i papierosy, co bieda i rozpacz? Nie. Pod względem moralnym Tulippa czuł się pewnie.

Inzio Tulippa miał przydomek. Na całym świecie nazywano go Szczepionką. Zagraniczni przemysłowcy i inwestorzy posiadali ogromne holdingi w Ameryce Południowej - pola naftowe, fabryki samochodów, przetwórnice płodów rolnych - i musieli wysyłać tam dyrektorów. Wielu pochodziło ze Stanów Zjednoczonych. Największym problemem były porwania; za swoich dyrektorów porwanych na obcej ziemi pracodawcy musieli płacić okupy w wysokości wielu milionów dolarów.

Inzio Tulippa stał na czele spółki, która ubezpieczała tych dyrektorów na wypadek porwania, i co roku odwiedzał Stany Zjednoczone, żeby negocjować kontrakty z ich korporacjami. Nie czynił tego wyłącznie dla pieniędzy, ale dlatego, że potrzebował technicznych i naukowych zasobów tych firm. Krótko mówiąc, wykonywał szczepienia. Stanowiły one istotną część jego działalności.

Miał jednak groźniejsze dziwactwo. Uważał międzynarodowe prześladowania nielegalnego przemysłu narkotykowego za świętą wojnę przeciwko sobie samemu i był zdecydowany chronić swoje imperium. Miał w związku z tym nedorzeczne ambicje. Chciał posiadać broń nuklearną jako instrument nacisku w wypadku groźby klęski. Nie, żeby pragnął jej użyć - chyba że w ostateczności - ale stanowiłaby skuteczny argument przetargowy. Było to pragnienie, które wydawałoby się absurdalne wszystkim, oprócz szefa nowojorskiego FBI Kurta Cilkego.

Raz w swojej karierze Kurt Cilke został wysłany do szkoły antyterrorystycznej FBI. Wybranie go na sześciomiesięczny kurs było oznaką wysokich notowań u dyrektora. Podczas kursu miał dostęp (pełny bądź nie, tego nie wiedział) do najtajniejszych memorandów i scenariuszy możliwego zastosowania broni jądrowej przez terrorystów z małych krajów. Akta wyszczególniały, które kraje są w jej posiadaniu. Było powszechnie wiadomo, że są nimi Rosja, Francja i Anglia, być może Indie i Pakistan. Zakładano, że Izrael posiada potencjał nuklearny. Kurt z zafascynowaniem czytał scenariusze szczegółowo określające, jak Izraelczycy użyją broni jądrowej, jeżeli pojawi się groźba zniszczenia ich kraju przez państwa bloku arabskiego.

Dla Stanów Zjednoczonych istniały dwa rozwiązania problemu. Pierwsze - gdyby Izrael stał się celem takiego ataku, Amerykanie stanęliby po jego stronie, zanim musiałyby użyć broni jądrowej. W krytycznym momencie, gdyby Izraela nie można było uratować, Stany Zjednoczone musiałyby zniszczyć izraelski potencjał nuklearny.

Anglia i Francja nie stanowiły problemu; uważano, że nie mogłyby zaryzykować wojny jądrowej. Indie nie miały mocarstwowych aspiracji, a Pakistan można było natychmiast zniszczyć. Chiny nie odważyłyby się na jej użycie; nie miały przemysłu umożliwiającego prowadzenie długotrwałej wojny.

Najbardziej bezpośrednio niebezpieczeństwo groziło ze strony małych krajów, takich jak Irak, Iran i Libia, których przywódcy byli szaleńcami; tak przynajmniej twierdzili autorzy scenariuszy. Tutaj niemal jednomyślnie proponowali jedno rozwiązanie. Zbrojna interwencja nuklearna doprowadziłaby do zagłady tych państw.

Największym zagrożeniem krótkoterminowym było to, że organizacje terrorystyczne, potajemnie finansowane przez jakieś obce mocarstwo, przemycą broń jądrową do Stanów Zjednoczonych i dokonają eksplozji w dużym mieście. Prawdopodobnie w Waszyngtonie lub w Nowym Jorku. Prędzej czy później miało do tego dojść. Jako rozwiązanie proponowano utworzenie oddziałów do zadań specjalnych i wykorzystanie kontrwywiadu, a potem radykalnych środków karnych przeciwko tym terrorystom i wszystkim, którzy ich wspierali. Wymagałoby to specjalnych ustaw, które ograniczyłyby prawa obywateli amerykańskich. Scenariusze uznawały niemożność wprowadzenia tych ustaw, dopóki komuś w końcu nie uda się wysadzić w powietrze sporej części amerykańskiej metropolii. Wtedy ustawy z łatwością zostałyby uchwalone. Ale do tego czasu, jak beztrąsko zauważyli autorzy jednego scenariusza, „byłaby to czysta loteria”.

Przestępcze wykorzystanie środków nuklearnych opisano w paru tylko scenariuszach. Ewentualności takiej niemal w ogóle nie brano pod uwagę z tej racji, że niezbędne możliwości techniczne, zdobycie materiału rozszczepialnego oraz spora liczba zaangażowanych w to ludzi, w nieunikniony sposób doprowadziłyby do przecieków. Jedyne rozwiązanie polegało na tym, że Sąd Najwyższy usankcjonowałby bez procesu nakaz egzekucji każdego organizatora przestępczego spisku. Kurt Cilke uznał, że to wszystko jest fantazją. Zwykłą spekulacją. Kraj będzie musiał poczekać, aż coś się wydarzy.

Ale teraz, po latach, zdał sobie sprawę, że właśnie się wydarza. Inzio Tulippa potrzebował własnej małej bomby jądrowej. Zwabił amerykańskich uczonych do Ameryki Południowej, wybudował im laboratoria i dostarczył pieniędzy na badania. I właśnie Tulippa potrzebował dostępu do banków don Aprilego, by stworzyć miliardowy fundusz na zakup sprzętu i materiału rozszczepialnego - Cilke ustalił to w swoim dochodzeniu. Co miał teraz zrobić?

Niebawem przedyskutuje to z dyrektorem podczas następnej wizyty w kwaterze głównej FBI w Waszyngtonie. Ale wątpił, czy zdołają rozwiązać ten problem. A człowiek taki jak Inzio Tulippa nigdy nie zrezygnuje.

Inzio Tulippa przyjechał do Stanów Zjednoczonych, by spotkać się z Timmoną Portellą i doprowadzić do nabycia banków don Aprilego. Jednocześnie szef sycylijskiej *coski* Corleonesich, Michael Grazziella, przybył do Nowego Jorku, żeby wraz z Tulippą i Portellą ustalić szczegóły nielegalnej dystrybucji narkotyków na całym świecie. Przyjechali w bardzo odmienny sposób.

Tulippa przyleciał do Nowego Jorku własnym odrzutowcem, który przywiózł także jego pięćdziesięciosobową świtę i ochroniarzy. Ludzie ci nosili jednolite stroje: białe garnitury, błękitne koszule i różowe krawaty. Na głowach mieli miękkie żółte panamy. Mogliby być członkami jakiejś południowoamerykańskiej orkiestry specjalizującej się w rumbie. Tulippa i jego świta mieli kostarykańskie paszporty, a on sam posiadał, oczywiście, immunitet dyplomatyczny.

Wraz ze swoimi ludźmi wprowadził się do małego hotelu, kupionego w imieniu konsulatu peruwiańskiego przez konsula generalnego. Nie poruszał się chyłkiem, niczym jakiś podejrzany sprzedawca narkotyków. Był przecież Szczepionką i przedstawiciele wielkich amerykańskich spółek szli w zawody, by uprzyjemnić mu pobyt. Chodził na premiery spektakli na Broadwayu, baletu w Lincoln Center, do Metropolitan Opera oraz na koncerty muzyczne znanych południowoamerykańskich artystów. Pojawiał się nawet w programach telewizyjnych w roli prezesa Południowoamerykańskiej Konfederacji Robotników Rolnych i wykorzystywał to forum do obrony idei zażywania zakazanych narkotyków. Jeden z tych wywiadów - dla Charliego Rose'a z PBS - stał się słynny.

Tulippa twierdził, że walka Stanów Zjednoczonych przeciwko zażywaniu kokainy, heroiny i marihuany na całym świecie jest haniebną odmianą kolonializmu. Południowoamerykańscy robotnicy rolni czerpali środki do życia z uprawy roślin do produkcji narkotyków. Któż mógłby winić człowieka, którego ubóstwo skłaniało do marzeń o zyskaniu paru godzin ulgi dzięki zażyciu narkotyków? Był to osąd nieludzki. A tytoń i alkohol? Przecież powodowały znacznie więcej szkód.

Te słowa spotkały się z gromkim aplauzem pięćdziesięciu członków jego świty - z panamami na kolanach - obecnych w studiu. Gdy Charlie Rose zapytał o szkody wyrządzone przez narkotyki, Tulippa był niezwykle szczery. Jego organizacja przeznaczała ogromne sumy na prace badawcze w celu zmodyfikowania narkotyków, tak aby nie były szkodliwe; krótko mówiąc, stałyby się lekami na recepty. Programami badań kierowali cieszący się autorytetem lekarze, a nie pionki Amerykańskiego Stowarzyszenia Medycznego, ludzie, którzy mieli tak nedorzecznie wrogi stosunek do środków odurzających i żyli w strachu przed amerykańską Agencją Zwalczenia Narkotyków. Narkotyki mogłyby być następnym wielkim dobrodziejstwem dla ludzkości. Gdy to powiedział, pięćdziesiąt złotych panam wzleciało w powietrze.

Tymczasem szef *coski* Corleonesich, Michael Graziella, pojawił się w Stanach Zjednoczonych w zupełnie inny sposób. Wemknął się dyskretnie z dwoma tylko ochroniarzami. Był chudym i kościstym mężczyzną z głową fauna i blizną od cięcia nożem na ustach. Chodził o lasce, bo w czasach gdy był młodym *picciotto* z Palermo, kula pogruchołała mu nogę. Zasłynął diabelną przebiegłością i zaplanował ponoć morderstwo dwóch najbardziej wrogich mafii sędziów na Sycylii.

Grazziella bawił w gościnie w posiadłości Portelli. Nie lękał się o swoje bezpieczeństwo, od niego bowiem uzależniony był cały narkotykowy interes gospodarza. Konferencję urządzono po to, by zaplanować strategię przejęcia kontroli nad bankami Aprile. Miało ono ogromne znaczenie wobec planowanego prania miliardów dolarów z czarnego rynku narkotykowego oraz zyskania wpływów w nowojorskim świecie finansów. Inzio Tulippie zależało zaś nie tylko na praniu brudnych pieniędzy z handlu narkotykami, ale i na sfinansowaniu swojego arsenału nuklearnego. Dzięki temu czułby się również bezpieczniej w roli Szczepionki.

Wszyscy spotkali się w konsulacie peruwiańskim, który był zabezpieczony przed podsłuchem, a w dodatku zapewniał nietykalność przebywającym tam osobom. Konsul generalny Marriano Rubio szczerze podjął swych gości. Ponieważ miał udział we wszystkich zyskach i prowadził ich legalne interesy w Stanach, był pełen kurtuazji.

Zgromadzeni wokół małego owalnego stołu tworzyli interesujący obraz.

Grazziella, w czarnym lśniącym garniturze, białej koszuli i wąskim czarnym krawacie, wyglądał jak właściciel zakładu pogrzebowego, wciąż bowiem nosił żałobę po zmarłej przed sześcioma miesiącami matce. Mówił niskim ponurym głosem z silnym akcentem, ale wyraźnie. Sprawiał wrażenie człowieka zbyt nieśmiałego i grzecznego, by ponosić odpowiedzialność za śmierć stu sycylijskich funkcjonariuszy wymiaru sprawiedliwości.

Timmona Portella, jedyny z tej czwórki, którego językiem ojczystym był angielski, wydierał się tak, jakby wszyscy pozostali mieli kłopoty ze słuchem. Jego strój również wydawał się krzywić: nosił szary garnitur i cytrynowozieloną koszulę z błękitnym krawatem ze lśniącego jedwabiu. Idealnie skrojona marynarka zamaskowałaby wielki brzuch, gdyby jej nie rozpiął, żeby pokazać niebieskie szelki.

Inzio Tulippa, w białej luźnej jedwabnej koszuli i szkarłatnej apasce na szyi, wyglądał jak typowy Latynos. Swą złotą panamę trzymał z uszanowaniem w ręce. Mówił rytmicznie akcentowaną angielszczyzną, a jego głos miał wdzięczne melodyjne brzmienie. Lecz tego dnia jego twarz o ostrych indiańskich rysach przybrała odpychający wyraz; był człowiekiem niezadowolonym ze świata.

Jedyną osobą, która sprawiała wrażenie zadowolonej, był Marriano Rubio. Urzekł wszystkich swą uprzejmością. Miał dobrze wyćwiczoną angielską wymowę. Ubrany był w coś, co nazywał *en pantoufle*: piżamę z zielonego jedwabiu i płaszcz kąpielowy w kolorze ciemniejszej leśnej zieleni. Na nogi wdział miękkie brązowe kapcie z białym futerkiem. Ostatecznie był u siebie i mógł się odprężyć.

Tulippa rozpoczął dyskusję, z przesadną uprzejmością zwracając się do Portelli:

- Timmona, mój przyjacielu. Nie skąpiłem grosza, żeby usunąć don Aprilego z drogi, a banki nadal nie są naszą własnością. I to po prawie rocznym oczekiwaniu.

Konsul przemówił w charakterystyczny dla siebie, kojący i greczny sposób:

- Mój drogi Inzio. Próbowałem je kupić. Próbował Portella. Ale pojawiła się nieprzewidziana przeszkoda. Ten Astorre Viola, bratanek. Stał na czele banków i nie chce ich sprzedać.

- Więc? - zdziwił się Inzio. - Dlaczego jeszcze żyje?

Portella ryknął potężnym śmiechem i odparł:

- Dlatego że nie tak łatwo go zabić. Wystawiłem czteroosobowy zespół do obserwacji jego domu i wszyscy zniknęli. Nie wiem, gdzie Viola się teraz, u diabła, podziewa, a ilekroć się gdzieś rusza, otacza go cała chmara ochroniarzy.

- Każdego można zabić - rzekł Tulippa. Te słowa zabrzmiały w jego ustach rytmicznie i śpiewnie, niczym tekst popularnej piosenki.

- Poznaliśmy Astorre na Sycylii wiele lat temu - odezwał się po raz pierwszy Graziella. - Jest w czepku urodzony, ale z drugiej strony ma doskonałe kwalifikacje. Strzelaliśmy do niego i myśleliśmy, że nie żyje. Jeżeli znowu uderzymy, musimy mieć pewność. To niebezpieczny człowiek.

Tulippa rzekł do Portelli:

- Podobno opłacasz jakiegoś człowieka z FBI? Wykorzystaj go, na miłość boską.

- Aż tak skłonny do współpracy nie jest - odparł Portella. - FBI ma więcej klasy niż nowojorska policja. Nigdy nie wykonaliby zwykłej rozwałki.

- W porządku - stwierdził Inzio Tulippa. - Porwiemy jedno z dzieci don Aprilego i wykorzystamy do pertraktacji z Astorre. Marriano, znasz jego córkę - dodał mrugając okiem.

- Możesz ją wystawić.

Ta propozycja nie przypadła Rubiowi do gustu. Pyknął z cienkiego cygara, które zwykle zapalał po śniadaniu.

- Nie - powiedział gwałtownie, bez ogródek, po czym zawahał się. - Lubię tę dziewczynę. Nie narażę jej na coś takiego. I zabraniam wam to robić.

Na te słowa pozostali unieśli brwi. Konsul nie dorównywał im tak naprawdę możliwościami. Spostrzegł reakcję i uśmiechnął się do nich, na powrót stając się grzecznym sobą.

- Wiem, to moja słabość. Zakochuję się. Ale bądźcie pobłażliwi. Mam mocną i dobrą pozycję polityczną. Inzio, wiem, że porwania to twój fach, ale to naprawdę nie działa w Ameryce. Zwłaszcza porwanie kobiety. Jeżeli zgarniecie jednego z braci i szybko ubijecie interes z Astorre, to macie szansę.

- Tylko nie Valeriusa - zauważył Portella. - Pracuje w wywiadzie wojskowym i ma przyjaciół w CIA. Nie chcemy przecież pakować się w takie gównno.

- W takim razie będziecie musieli porwać Marcantonio - zauważył konsul. - Ja mogę dogadać się z Astorre.

- Zaoferujcie większą sumę za banki, unikajcie przemocy - rzekł cicho Grazziella. - Wierzcie mi, ja już to przerabiałem. Używałem karabinów zamiast pieniędzy i zawsze na tym traciłem.

Spojrzeni na niego ze zdumieniem. Grazziella słyszał z przerażającej gwałtowności.

- Michael, w grę wchodzi miliardy dolarów - przypomniał konsul. - A Astorre i tak nie sprzeda z własnej woli.

Grazziella wzruszył ramionami.

- Skoro musimy rozpocząć działania, niech tak będzie. Ale bądźcie bardzo ostrożni. Jeżeli podczas negocjacji zdołacie go wywabić z ukrycia, to wtedy będziemy mogli się go pozbyć.

Tulippa posłał im szeroki uśmiech.

- To właśnie lubię słyszeć. I nie zakochuj się już więcej, Marriano - powiedział do konsula generalnego. - To bardzo niebezpieczna przypadłość.

Konsul generalny Marriano Rubio w końcu przekonał Nicole i jej braci, by zasiedli do stołu negocyjnego z jego syndykatem i przedyskutowali sprawę sprzedaży banków. Oczywiście, Astorre Viola także musiał być obecny, Nicole nie mogła jednak tego zagwarantować.

Przed spotkaniem Astorre poinformował ją i jej braci, co mają mówić i jak się zachowywać. Zrozumieli jego strategię - członkom syndykatu miało się wydawać, że tylko on jest ich przeciwnikiem.

Spotkanie odbyło się w sali konferencyjnej konsulatu. Nie było kelnerów, ale został przygotowany bufet i Rubio osobiście nalał im wina. Z uwagi na wypełnione harmonogramy uczestników do spotkania doszło o dziesiątej wieczorem.

Konsul przedstawił zebranych i poprowadził spotkanie. Wręczył Nicole teczkę.

- To propozycja ze wszystkimi szczegółami. Ale ujmując ją w bardzo dużym skrócie, oferujemy cenę o pięćdziesiąt procent wyższą od rynkowej. Mimo że przejmemy całkowitą kontrolę, wasza rodzina będzie otrzymywała dziesięć procent naszych zysków przez następne dwadzieścia lat. Możecie wszyscy być bogaci i cieszyć się wolnym czasem, bez okropnych napięć, jakie towarzyszą życiu biznesmena.

Nicole szybko przejrzała dokumenty. Czekali na jej opinię. W końcu uniosła wzrok i powiedziała:

- To imponujące, ale skąd ta szczodrość?

Konsul uśmiechnął się do niej czule.

- Współdziałanie - odparł. - Obecnie cały biznes polega na współdziałaniu, tak jak w przypadku komputerów i lotnictwa, książek i działalności wydawniczej, muzyki i narkotyków, sportu i telewizji. Wszystko jest synergia. Wraz z waszymi bankami uzyskamy możliwość współdziałania w kręgach międzynarodowej finansjery, będziemy kontrolowali

budowę miast, wybory rządów. Ten syndykat ma zasięg globalny i potrzebujemy waszych banków, stąd hojność naszej oferty.

- A wy, panowie, jesteście wszyscy współnikami na równych prawach? - zapytała Nicole innych członków syndykatu.

Tulippa był oczarowany jej tajemniczą urodą i władczym tonem, kiedy więc odpowiadał, zmobilizował cały swój urok.

- W tej transakcji mamy identyczne uprawnienia, ale zapewniam panią, że związek z rodem Aprile uważam za zaszczyt. Nikt nie podziwiał pani ojca bardziej niż ja.

Valerius, z kamiennym wyrazem twarzy, spokojnie zwrócił się bezpośrednio do Tulippy:

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, ja chcę sprzedać. Ale wolę sprzedaż po cenie zryczałtowanej, bez odsetek. Osobiście chcę mieć to całkowicie z głowy.

- Ale nie ma pan nic przeciwko sprzedaży? - upewnił się Inzio.

- Oczywiście. Chcę umyć od tego ręce.

Timmona Portella zaczął mówić, ale przerwał mu konsul:

- A co pan sądzi o naszej ofercie, Marcantonio? Podoba się panu?

- Zgadza się z Valem - odparł zrezygnowanym głosem Marcantonio. - Zawrzyjmy umowę bez klauzuli procentowej. Potem wszyscy możemy się pożegnać i życzyć sobie powodzenia.

- Świetnie, możemy zawrzeć umowę w ten sposób - stwierdził Rubio.

- Ale wtedy, oczywiście, musicie zwiększyć ażio - zauważyła Nicole. - Poradzicie sobie z tym?

- To żaden problem - odparł Tulippa i posłał jej olśniewający uśmiech.

Michael Grazziella, z zatroskaną twarzą, zapytał grzecznie:

- A nasz drogi przyjaciel Astorre Viola? Zgadza się?

Astorre roześmiał się z zakłopotaniem.

- Wyobraźcie sobie, że polubiłem bankowość. A don Aprile kazał mi obiecać, że nigdy nie sprzedam banków. Przykro mi występować tu przeciwko całej mojej rodzinie, ale muszę odmówić. A dysponuję większością akcji uprawniających do głosowania.

- Ale jego dzieci są zainteresowane sprzedażą - przypomniał konsul. - Mogą dochodzić swych praw w sądzie.

Astorre roześmiał się głośno.

- Nigdy byśmy tego nie zrobili - powiedziała zdecydowanym tonem Nicole.

Valerius uśmiechnął się kwaśno, a Marcantonio uznał chyba ten pomysł za zabawny.

- Do diabła z tym - mruknął Portella i zaczął zbierać się do wyjścia.

Astorre powiedział pojednawczo:

- Cierpliwości. Może bycie bankierem mi się znudzi. Za parę miesięcy możemy się znowu spotkać.

- Z pewnością - odparł Rubio. - Ale nasz pakiet propozycji finansowych może się zdezaktualizować po tak długim czasie. I zapewne uzyska pan wówczas niższą cenę.

Rozstali się bez uścisków dłoni.

Gdy trójka rodzeństwa wyszła razem z Astorre, Graziella rzekł do pozostałych członków syndykatu:

- On po prostu stara się zyskać na czasie. Nigdy nie sprzeda banków.

Inzio Tulippa westchnął.

- Taki sympatyczny człowiek. Moglibyśmy zostać dobrymi przyjaciółmi. Może powinienem go zaprosić na moją plantację w Kostaryce. Mógłbym mu pokazać, jak się żyje.

Pozostali wybuchnęli śmiechem. Timmona Portella rzekł szorstko:

- Nie spędzi z tobą miodowego miesiąca. Muszę się zatroszczyć o niego tutaj.

- Mam nadzieję, że z większym powodzeniem niż poprzednio - odparł Tulippa.

- Nie doceniłem go - przyznał Portella. - Skąd mogłem wiedzieć? Facet, który śpiewa na weselach? Don został załatwiony na cacy. Nie było żadnych narzekań.

- Załatwiłeś go wspaniale, mamy do ciebie pełne zaufanie - rzekł konsul, a jego urodziwa promienna twarz wyrażała uznanie. - Ale tę nową robotę trzeba wykonać jak najszybciej.

Gdy Astorre i rodzeństwo Aprile opuścili spotkanie, poszli na późną kolację do restauracji „Partinico”, która miała ustronne sale jadalne i należała do starego przyjaciela don Raymonde.

- Sądzę, że bardzo dobrze wam wszystkim poszło - powiedział Astorre. - Przekonaliście ich, że nie zgadzacie się ze mną.

- Bo to prawda - odparł Val.

- Czemu musimy uczestniczyć w tej grze? - zapytała Nicole. - To mi się naprawdę nie podoba.

- Ci ludzie mogli być zamieszani w śmierć waszego ojca - zauważył Astorre. - Nie chcę, żeby myśleli, iż mogą coś osiągnąć, narażając na szwank któreś z was.

- I jesteś pewien, że potrafisz uporać się z każdym zagrożeniem z ich strony - rzekł Marcantonio.

- Ależ nie - zaprotestował Astorre. - Ale mogę się ukryć, nie rujnując sobie życia. Psiakrew, wyjadę do Dakoty i nigdy mnie nie znajdą. - Uśmiechnął się tak szeroko i przekonująco, że oszukałby każdego, z wyjątkiem dzieci stryja. - Dajcie mi znać, jeżeli skontaktują się z kimś z was bezpośrednio.

- Miałem sporo telefonów od detektywa Di Benedetto - powiedział Valerius.

Astorre był zaskoczony.

- Po co, u diabła, do ciebie dzwoni?

Valerius uśmiechnął się do kuzyna.

- Gdy pracowałem w wywiadzie, otrzymywaliśmy telefony nazywane „sondującymi”. Ktoś chciał ci przekazać informację lub pomóc w jakiejś sprawie. W rzeczywistości zaś chciał wiedzieć, jak postępuje twoje śledztwo. Tak więc Di Benedetto telefonuje, żeby w dowód uprzejmości informować mnie na bieżąco o swoim dochodzeniu. Potem próbuje wyciągnąć ode mnie informacje o tobie, Astorre. Ogromnie się tobą interesuje.

- To mi bardzo pochlebia - rzekł Astorre z szerokim uśmiechem. - Pewnie słyszał, jak gdzieś śpiewałem.

- To nie przypadek - powiedział oschle Marcantonio. - Do mnie też wydzwania. Twierdzi, że ma pomysł na serial o gliniarzach. W telewizji zawsze znajdzie się miejsce na jeszcze jeden film policyjny, więc zachęcałem go. Ale materiał, który mi przysłał, to po prostu jakieś brednie. On nie traktuje tego poważnie. Chce jedynie nas śledzić.

- Dobrze - powiedział Astorre.

- Chcesz, żeby zamiast na nas skupili uwagę na tobie? Czy to bezpieczne? Skóra mi cierpnie na myśl o tym Grazzielli.

- Wiem coś o nim - odparł Astorre. - To bardzo rozsądny człowiek. A twój konsul jest prawdziwym dyplomata, potrafi pohamować Tulippę. Teraz muszę się obawiać jedynie Portelli. Ten facet jest wystarczająco głupi, by narobić prawdziwych kłopotów. - Wszystko to powiedział tak, jakby chodziło tylko o zwykły spór w interesach.

- Ale jak długo to potrwa? - zapytała Nicole.

- Dajcie mi jeszcze parę miesięcy. Obiecuję, że do tego czasu wszyscy się dogadamy.

Valerius posłał mu lekceważące spojrzenie i rzekł:

- Zawsze byłeś optymistą. Gdybyś był oficerem wywiadu pod moją komendą, przeniósłbym cię do piechoty po to tylko, byś oprzytomniał.

Nie była to radosna kolacja. Nicole bez przerwy pilnie przypatrywała się kuzynowi, jak gdyby próbowała poznać jakiś jego sekret. Valerius najwyraźniej nie miał do niego zaufania, a Marcantonio zachowywał się z rezerwą. W końcu Astorre wznosił kieliszek z winem i rzekł wesoło:

- Jesteście zgrają ponuraków, ale nic mnie to nie obchodzi. Będzie sporo zabawy. Za waszego ojca.

- Wielkiego don Aprile - z goryczą powiedziała Nicole.

Astorre uśmiechnął się do niej i dodał:

- Tak, za wielkiego dona.

Późnym popołudniem Astorre Viola zwykle jeździł konno. Odprężało go to, zaostrzało apetyt przed kolacją, a jeżeli zalecał się do jakiejś kobiety, zawsze skłaniał ją do wspólnej jazdy. Gdy nie potrafiły jeździć, dawał im lekcje. A jeżeli któraś nie lubiła koni, przestawał zabiegać o jej względy.

W swej posiadłości poprowadził lasem specjalny szlak jeździecki. Lubił świergot ptaków, szelesty małych zwierząt, przygodne spotkania z jeleniem. Ale najbardziej cieszyło go ubieranie się do jazdy. Jaskrawoczerwona kurtka, brązowe buty jeździeckie, w rękę bat, którego nigdy nie używał. Toczek z czarnego zamszu. Uśmiechnął się do swego odbicia w lustrze, wyobrażając sobie, że jest angielskim feudałem.

Zszedł do stajni, w których trzymał sześć koni, i z zadowoleniem stwierdził, że ujeżdżacz Aldo Monza osiodłał już jednego z ogierów. Astorre dosiadł konia i wolnym cwałem dostał się na leśny szlak. Cwałując coraz szybciej, jechał pod postrzępionym baldachimem z czerwono-złotych liści, tworzących koronkową zasłonę przed zachodzącym słońcem. Szlak oświetlały jedynie wysmukłe snopy złota. Spod końskich kopyt wzbijała się woń gnijących liści. Dostrzegł pachnącą stertę nawozu, spiął konia ostrogą i dotarł na rozstaj dróg, z którego wiódł inny, okrążający dom szlak. Złoto rozlane na drodze znikło.

Ściągnął cugle. W tym momencie pojawili się przed nim dwaj mężczyźni. Byli ubrani w luźną odzież pracowników rolnych, ale na twarzach mieli maski, a w ich rękach srebrzyście iskrzył się metal. Astorre spiął konia ostrogami i przywarł do jego szyi. Las wypełnił się światłem i hukami wystrzałów. Mężczyźni byli bardzo blisko i Astorre poczuł, jak kule trafiają go w bok i plecy. Ze wszystkich sił starał się utrzymać w siodle. Ogier wpadł w panikę i pędził dzikim galopem. I wtedy na szlaku pojawili się dwaj inni mężczyźni. Nie byli zamaskowani ani uzbrojeni. Astorre stracił przytomność i zsunął się z konia w ich ramiona.

W ciągu niespełna godziny Kurt Cilke otrzymał raport od zespołu inwigilującego, który uratował Violę. Prawdziwym zaskoczeniem był dla niego fakt, że pod wyszukany strojem Astorre nosił kamizelkę kuloodporną, zakrywającą tors na długości kurtki. I to nie kamizelkę ze zwykłego kevlaru, ale specjalnie robioną ręcznie. Co u diabła człowiek taki jak Astorre robił w pancerzu? Importer makaronu, klubowy piosenkarz, szalony jeździec. Oczywiście, uderzenia kul ogłuszyły go, ale nie przebiły kamizelki. Bratanek don Aprilego zdążył już wyjść ze szpitala.

Cilke zaczął sporządzać notatkę z poleceniem, by prześledzić życiorys Violi od dzieciństwa. Ten człowiek mógł być kluczem do wszystkiego. Natomiast Cilke pewien był jednego: wiedział, kto próbował go zamordować.

Astorre spotkał się z kuzynami w domu Valeriusa. Opowiedział im o ataku, o tym, jak został postrzelony.

- Prosiłem was o pomoc. Odmówiliście, a ja zrozumiałem dlaczego. Ale teraz sądzę, że powinniście przemyśleć to na nowo. Wszyscy jesteście w jakiś sposób zagrożeni. Wydaje mi się, że można by uniknąć tego zagrożenia, sprzedając banki. Byłaby to sytuacja gwarantująca zwycięstwo. Wszyscy dostają to, czego chcą. Możemy też wpakować się w sytuację typu wóz albo przewóz. Zatrzymujemy banki, odpieramy atak i niszczymy naszych wrogów,

kimkolwiek są. Jest jeszcze sytuacja z góry skazująca na porażkę, w której nie wolno nam się znaleźć. W której walczymy z naszymi wrogami i wygrywamy, ale i tak dopadają nas władze.

- Wybór jest prosty - odparł Valerius. - Po prostu sprzedaj banki. Zwycięstwo gwarantowane.

- Nie jesteśmy Sycylijczykami, nie chcemy wszystkiego zaprzepaścić z powodu zemsty - rzekł Marcantonio.

- Sprzedajemy banki i zaprzepaszczaamy naszą przyszłość - spokojnie powiedziała Nicole.
- Marc, pewnego dnia zapragnąłbyś własnej sieci. Val, dzięki dużym darowiznom na cele polityczne mógłbyś zostać ambasadorem lub sekretarzem obrony. A ty, Astorre, mógłbyś zaśpiewać z Rolling Stonesami. - Uśmiechnęła się do niego. - Zgoda, to trochę naciągane - dodała zmieniając ton. - Zapomnijcie o żartach. Czy zabicie naszego ojca nic dla was nie znaczy? Czy nagrodzimy ich za morderstwo? Myślę, że powinniśmy pomóc Astorre, jak tylko potrafimy.

- Czy ty wiesz, co mówisz? - zapytał Valerius.

- Tak - odparła cicho.

- Wasz ojciec nauczył mnie, że nie można pozwalać innym narzucać nam swej woli, bo wtedy nie warto żyć - stwierdził łagodnie Astorre. - Val, tym właśnie jest wojna, prawda?

- W wojnie nie ma zwycięzców - powiedziała ostro Nicole.

Valerius nie krył zirytowania.

- Bez względu na to, co twierdzą liberalowie, na wojnie są zwycięzcy i zwyciężeni. Zwycięzcom powodzi się znacznie lepiej. Przegrana jest niewyobrażalną okropnością.

- Wasz ojciec miał przeszłość. Teraz wszyscy musimy się z nią liczyć. Znowu więc proszę was o pomoc. Pamiętajcie, że spełniam rozkazy waszego ojca i moim zadaniem jest chronienie rodziny, to zaś oznacza utrzymanie banków w naszych rękach.

- W ciągu miesiąca będę miał dla ciebie jakieś informacje - rzekł Valerius.

- A ty, Marc? - zapytał Astorre.

- Natychmiast wezmę się do pracy nad tym programem. Powiedzmy dwa, trzy miesiące...

- Nicole, skończyłaś analizę akt ojca z archiwum FBI?

- Nie, jeszcze nie. - Nicole sprawiała wrażenie zdenerwowanej. - Może powinniśmy skorzystać z pomocy Cilkego?

Astorre uśmiechnął się do nich.

- Cilke należy do grona moich podejrzanych. Gdy będę miał wszystkie informacje, możemy zdecydować, co robić.

Po miesiącu Valerius przyszedł z pewnymi informacjami - przykrymi i nieoczekiwanymi. Dzięki swym znajomościom w CIA dowiedział się prawdy o Inzio Tulippie. Tulippa miał kontakty na Sycylii, w Turcji, Indiach, Pakistanie, Kolumbii i innych krajach

latynoamerykańskich. Utrzymywał nawet stosunki z Corleonesimi na Sycylii i przewyższał ich wpływami.

Według Valeriusa, to właśnie Inzio finansował pewne nuklearne laboratoria badawcze w Ameryce Południowej. To Inzio rozpaczliwie starał się utworzyć w Stanach Zjednoczonych wielki fundusz na zakup sprzętu i materiału rozszczepialnego. W swych marzeniach o wielkości pragnął posiadać straszliwą broń do obrony przed władzami, gdyby sprawy przybrały zły obrót. Wynikało stąd, że Timmona Portella pracuje dla niego. Dla Astorre była to niepożądana wiadomość. Oznaczała jeszcze jednego zawodnika w grze, jeszcze jeden front, na którym trzeba walczyć.

- Czy to, co planuje Inzio, jest możliwe? - zapytał.

- Jemu na pewno wydaje się, że tak - odparł Valerius. - A tam, gdzie ulokował laboratoria, ma poparcie urzędników rządowych.

Astorre czule poklepał pułkownika po ramieniu, mówiąc:

- Dzięki, Val.

- Proszę. Ale to cała pomoc, jaką ode mnie uzyskasz.

Zebranie informacji do filmu przedstawiającego sylwetkę Kurta Cilkego zajęło Marcantoniovi trzy miesiące. Osobiście wręczył kuzynowi ogromne dossier. Astorre trzymał je przez dobę i zwrócił Marcowi.

Zmartwiła go tylko Nicole. Pożyczyła mu wprawdzie akta don Aprilego, ale tam cały fragment został wykreślony. Kiedy ją o to zapytał, odparła:

- W takiej postaci je otrzymałam.

Astorre uważnie przestudiował dokument, wykreślony fragment dotyczył chyba okresu, gdy miał zaledwie dwa lata.

- Nie szkodzi - powiedział. - To zbyt odległe czasy, by miały znaczenie.

Nie mógł już dłużej zwlekać. Miał dostatecznie dużo informacji, aby rozpocząć swoją wojnę.

Nicole Aprile była olśniona Marriano Rubiem i jego zalotami. W rzeczywistości nigdy nie pozbierała się po tym, jak Astorre zdradził ją, gdy była młodą dziewczyną, i wybrał posłuszeństwo wobec jej ojca. Choć miała za sobą kilka krótkich romansów z bardzo wpływowymi ludźmi, wiedziała, że mężczyźni zawsze będą spiskować przeciwko kobietom.

Lecz Rubio wydawał się wyjątkiem. Nigdy się nie złościł, gdy jej rozkład zajęć kolidował z ich wspólnymi planami. Rozumiał, że kariera jest najważniejsza. Nigdy też - w odróżnieniu od wielu mężczyzn, którzy sądzili, że swą zazdrością dają dowód prawdziwej miłości - nie ulegał temu obraźliwemu dla kobiet uczuciu.

Pomagał fakt, że Rubio nie szczędził prezentów, a co ważniejsze, był interesującym człowiekiem i Nicole lubiła słuchać, jak mówił o literaturze i teatrze. Lecz jego największą

zaletę stanowiło to, że był zapalonym kochankiem, biegłym w sztuce miłości; poza tym nie zabierał jej zbyt dużo czasu.

Pewnego wieczoru Rubio zabrał Nicole na kolację do „Le Cirque”. Towarzyszyło im paru jego przyjaciół: światowej sławy południowoamerykański powieściopisarz, który oczarował ją szelmowskim dowcipem i dziwacznymi opowieściami o duchach, znany śpiewak operowy, przy każdej potrawie nucący arię zachwyty i jedzący tak, jakby zaraz miał zasiąść na krześle elektrycznym, oraz konserwatywny felietonista „New York Timesa”, wyrocznia w sprawach światowych, który bardzo szczylił się tym, że nienawidzą go zarówno liberałowie, jak i konserwatyści.

Po kolacji Rubio zawiózł Nicole do swego bogato wyposażonego mieszkania w konsulacie peruwiańskim. Tam kochał się z nią namiętnie - namiętne były jego dłonie i wypowiedane słowa. Potem podniósł nagą Nicole z łóżka i tańczył z nią, recytując wiersze po hiszpańsku. Nicole wspaniale się bawiła. Szczególnie wtedy, gdy już ochłonęli, a on nalał szampana i szczerze wyznał:

- Bardzo cię kocham.

Jego twarz - wspaniały nos i czoło - promieniowała prawdomównością. Jakże bezczelni byli mężczyźni. Nicole czuła cichą satysfakcję, że go oszukała. Jej ojciec byłby z niej dumny. Postąpiła niczym prawdziwy mafioso.

Kurt Cilke jako szef nowojorskiego oddziału FBI miał na głowie znacznie ważniejsze sprawy niż zamordowanie don Raymonde Aprilego. Jedną z nich było zakrojone na szeroką skalę dochodzenie w sześciu olbrzymich korporacjach, które zawarły nielegalne porozumienie w kwestii wywozu objętych embargiem urządzeń mechanicznych, z technologią komputerową włącznie, do komunistycznych Chin. Drugą dużą sprawą była zmowa szefów głównych spółek tytoniowych, kłamiących pod przysięgą przed komisją śledczą Kongresu. Trzecią stanowiła emigracja naukowców średniego szczebla do krajów Ameryki Południowej, takich jak Brazylia, Peru i Kolumbia. Dyrektor chciał być informowany o tych sprawach.

Podczas lotu do Waszyngtonu Boxtton powiedział:

- Zdybaliśmy producentów tytoniu, zdemaskowaliśmy nadawców przesyłek do Chin, mamy firmowe dokumenty, informatorzy ratują własną skórę. Nie mamy jedynie informacji o tych naukowcach. Ale przypuszczam, że teraz zostaniesz zastępcą dyrektora. Nie mogą odmówić ci zasług.

- To zależy od niego - odparł Cilke. Wiedział, z jakiego powodu naukowcy przebywają w Ameryce Południowej, ale nie poprawił Boxttona.

W gmachu Hoovera Boxttonowi nie pozwolono na udział w spotkaniu.

Od zabójstwa don Aprilego minęło jedenaście miesięcy. Cilke przygotował wszystkie swoje notatki. Sprawa znajdowała się w martwym punkcie, ale za to miał lepsze wieści o jeszcze ważniejszych dochodzeniach. I tym razem istniała realna szansa, że zaproponują mu jedno z kluczowych stanowisk, zastępcy dyrektora w Biurze. Wyróżniał się dobrą pracą i poświęcał dla niej swój czas.

Dyrektor był wysokim eleganckim mężczyzną, którego przodkowie przyплыли do Ameryki na pokładzie „Mayflower”. Sam doszedł do niezwykłego bogactwa, a działalność polityczną traktował jako obywatelski obowiązek. I na początku urzędowania sformułował ściśle zasady. - Żadnych matactw - rzekł dobrodusznie z nowoangielskim nosowym akcentem. - Wszystko zgodnie z instrukcją. Żadnych furtek w ustawie o prawach obywatelskich. Agent FBI jest zawsze grzeczny, zawsze prawy. W życiu prywatnym bez zarzutu. - Jakikolwiek skandal, bicie żony, pijaństwo, zbyt bliskie stosunki z funkcjonariuszem miejscowej policji, wymuszanie zeznań, a wylatywałeś na zbity pysk, nawet jeżeli twój wujek był senatorem. Takie reguły obowiązywały przez ostatnie dziesięć lat. Również wtedy, gdy prasa zbyt dużo o tobie pisała - nawet dobrze - przydzielano cię do inwigilacji Eskimosów na Alasce.

Dyrektor poprosił Cilkego, by usiadł na bardzo niewygodnym krześle po drugiej stronie masywnego dębowego biurka.

- Wezwałem pana z kilku powodów. Powód numer jeden - umieściłem w pańskich aktach osobowych specjalną pochwałę za działania przeciwko mafii w Nowym Jorku. Dzięki panu przetrąciliśmy im karki. Gratuluję. - Pochylił się, by uścisnąć Cilkemu rękę. - Nie ogłaszamy tego, ponieważ Biuro przypisuje sobie zasługę za poszczególne osiągnięcia. No i mógłby się pan przez to znaleźć w niebezpieczeństwie.

- Tylko ze strony jakiegoś szaleńca - zauważył Cilke. - Organizacje przestępcze rozumieją, że agentowi nie mogą nic złego zrobić.

- Sugeruje pan, że Biuro mści się za krzywdy swoich ludzi - rzekł dyrektor.

- Ależ nie. Po prostu działalibyśmy ze wzmożoną uwagą.

Dyrektor pominął te słowa milczeniem. Istniały granice. Cnota zawsze musiała stąpać po bardzo cienkiej linii.

- Byłoby nieuczciwe trzymanie pana dłużej w niepewności - rzekł. - Postanowiłem, że nie mianuję pana jednym z moich zastępców tu, w Waszyngtonie. Nie w tej chwili. Z następujących powodów: jest pan szalenie przebiegły, a zostało jeszcze trochę pracy w terenie. Mafia - z braku lepszego słowa - wciąż jest gotowa do działania. Powód numer dwa: oficjalnie ma pan informatora, którego tożsamości nie chce pan ujawnić nawet najwyższym zwierzchnikom. Nieoficjalnie powiedział nam pan. To gestia AFLAX-u. Nieoficjalnie jest pan więc w porządku. Trzeci powód: pańskie stosunki z pewnym nowojorskim szefem wydziału śledczego są zbyt osobiste.

Dyrektor i Kurt Cilke mieli w programie spotkania także inne sprawy.

- A jak tam operacja „*Omertà*”? Musimy mieć pozwolenie sądu na wszystkie nasze poczynania.

- Oczywiście - odparł, zachowując powagę, Cilke. Dyrektor wiedział, że trzeba będzie chodzić na skróty. - Mieliśmy parę przeszkód. Raymonde Aprile odmówił współpracy. Ale oczywiście ta przeszkoda już nie istnieje.

- Pan Aprile został zabity w bardzo dogodnym momencie - zauważył sardonicznie dyrektor. - Nie obrażę pana, pytając, czy wiedział pan o tym wcześniej. Może to sprawka pańskiego przyjaciela Portelli?

- Nie wiemy. Włosi nigdy nie zwracają się do władz. Po prostu musimy szukać trupów. Zgodnie z naszymi ustaleniami, zwróciłem się do Astorre Violi. Podpisał zobowiązanie do zachowania tajemnicy, ale nie chciał podjąć współpracy. Nie będzie robił interesów z Portellą i nie sprzeda banków.

- Więc co teraz zrobimy? Wie pan, jakie to ważne. Jeżeli zdołamy postawić tego bankiera w stan oskarżenia na mocy ustaw RICO, możemy przejąć banki dla państwa. I te dziesięć miliardów poszłoby na walkę z przestępczością. Mielibyśmy na swym koncie ogromne osiągnięcie. Wtedy będzie można położyć kres pańskiemu związkowi z Portellą. On przestanie być użyteczny. Kurt, jesteśmy w bardzo delikatnej sytuacji. Tylko moi zastępcy i ja wiemy o pańskiej współpracy z Portellą. O tym, że otrzymuje pan od niego pieniądze, że on uważa pana za sprzymierzeńca. Pańskie życie mogłoby się znaleźć w niebezpieczeństwie.

- Nie ośmieliliby się zrobić krzywdy agentowi federalnemu - odparł Cilke. - Jest szalony, ale nie do tego stopnia.

- No cóż, Portella musi pójść na odstrzał w tej operacji. Jakie są pańskie plany?

- Ten Astorre nie jest takim niewiniątkiem, jak wszyscy twierdzą. Sprawdzam jego przeszłość. Tymczasem zamierzam prosić dzieci Aprile, by zlekcewały jego rady. Ale czy możemy oskarżenie na podstawie ustaw RICO, do walki z organizacjami typu mafijnego, rozciągnąć na dziesięć lat za coś, co robią teraz? Obawiam się, że nie.

- To już zadanie naszego prokuratora generalnego. Trzeba się tylko tam dostać, a potem setki prawników dotrą do samego źródła. Musimy pójść do sądu z czymś, czego nie da się zakwestionować.

- Co do mojego tajnego konta na Kajmanach, na które Portella wpłaca pieniądze, to wydaje mi się, że powinien pan trochę wyciągnąć, tak aby myślał, iż je wydaje.

- Załatwię to - obiecał dyrektor. - Muszę przyznać, że ten pański Timmona Portella nie szczędzi środków.

- On naprawdę wierzy, że zdradziłem - odparł Cilke uśmiechając się.

- Niech pan będzie ostrożny. I nie daje im podstaw do przypuszczeń, że jest pan prawdziwym sprzymierzeńcem, współsprawcą przestępstw.

- Rozumiem - rzekł Cilke i pomyślał, że łatwiej to powiedzieć niż zrobić.

- I proszę niepotrzebnie nie ryzykować. Niech pan pamięta, handlarze narkotykami w Ameryce Południowej i na Sycylii mają powiązania z Portellą i nie liczą się z konsekwencjami.

- Mam pana codziennie informować ustnie czy na piśmie? - zapytał Cilke.

- Ani tak, ani tak - odparł dyrektor. - Jestem całkowicie przeświadczony o pańskiej uczciwości. A poza tym nie chcę być zmuszony do kłamania przed jakąś komisją Kongresu. Żeby zostać moim zastępcą, będzie pan musiał wyjaśnić te rzeczy. - Czekał na odpowiedź.

W obecności dyrektora Cilke nigdy nie śmiał formułować swych prawdziwych myśli, jak gdyby ten człowiek potrafił przejrzeć go na wylot. Mimo to w jego oczach pojawił się przebłysk buntu. Za kogo, kurwa, on się uważa, za Amerykański Związek Swobód Obywatelskich? Te jego wypowiedzi, podkreślające, że mafia nie jest włoska, muzułmanie nie są terrorystami, a czarni nie tworzą klasy przestępczej. Kto, do kurwy nędzy, popełnia jego zdaniem przestępstwa uliczne? Zachował jednak spokój.

- Panie dyrektorze, jeżeli życzy pan sobie mojej rezygnacji, to służyłem wystarczająco długo, by móc przejść na wcześniejszą emeryturę.

- Nie. Proszę odpowiedzieć na moje pytanie. Może pan wyjaśnić swoje powiązania?

- Podałem nazwiska wszystkich informatorów. Co do chodzenia na skróty, to kwestia interpretacji. Co do przyjaźni z miejscowymi policjantami, to służba informacyjna dla Biura.

- Wyniki świadczą o pańskiej pracy. Spróbujmy to ciągnąć przez jeszcze jeden rok. - Dyrektor przerwał na długą chwilę i westchnął, po czym niemal ze zniecierpliwieniem zapytał: - Czy pana zdaniem mamy wystarczające dowody na krzywoprzysięstwo dyrektorów firm tytoniowych?

- Aż nadto - odparł Cilke. Ciekawe, po co dyrektor w ogóle zadał to pytanie. Miał przecież wszystkie akta.

- Ale mogli wyrażać swoje przekonania. Mamy wyniki sondaży, które dowodzą, że połowa Amerykanów zgadza się z nimi.

- To nie ma związku ze sprawą. Ludzie uczestniczący w sondażu nie popełnili krzywoprzysięstwa w swoich zeznaniach przed Kongresem. Mamy nagrania i firmowe dokumenty, które dowodzą, że dyrektorzy świadomie kłamali. Byli w zмовie.

- Ma pan rację - z westchnieniem przyznał dyrektor. - Ale prokurator generalny zawarł ugodę. Żadnych oskarżeń, żadnych odsiadek. Zapłacą grzywny w wysokości setek miliardów dolarów. Tak więc niech pan zamknie to dochodzenie. Jest już poza naszą kontrolą.

- Świetnie, panie dyrektorze. Zawsze mogę wykorzystać dodatkowych ludzi do innych zadań.

- Doskonale. Ucieszę pana jeszcze bardziej. Jeśli chodzi o ten nielegalny transfer technologii do Chin, to bardzo poważna sprawa.

- Nie ma innej możliwości - odparł Cilke. - Te spółki rozmyślnie złamały prawo federalne dla zysku i naruszyły bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych. Ich szefowie byli w zмовie.

- Rzeczywiście, mamy na nich haka, ale pan wie, że zмова to bardzo pojemne pojęcie. Wszyscy są w zmovie. To kolejna sprawa, którą może pan zamknąć i oszczędzić moce przerobowe.

Cilke zapytał z niedowierzaniem:

- Panie dyrektorze, twierdzi pan, że w tej sprawie też zawarto ugodę?

Dyrektor przechylił się do tyłu w fotelu. Wyczuwalną beczelność Cilkego przyjął z dezaprobatą, ale najwyraźniej brał to pod uwagę.

- Cilke, jest pan najlepszym agentem w Biurze. Brak panu jednak zmysłu politycznego. A teraz proszę posłuchać i nigdy o tym nie zapominać: nie można posłać sześciu miliardów za kratki. Nie w demokratycznym państwie.

- I to wszystko? - zapytał Cilke.

- Sanckje finansowe będą bardzo surowe - odparł dyrektor. - A teraz przejdźmy do innych rzeczy, jednej bardzo poufnej. Zamierzamy wymienić więźnia przebywającego w federalnym zakładzie karnym na jednego z naszych informatorów, który jest przetrzymywany jako zakładnik w Kolumbii, bardzo cenny atut w naszej wojnie z handlem narkotykami. Zna pan tę sprawę. Cztery lata temu diler narkotyków wziął pięcioro zakładników - kobietę i czwórkę dzieci. Zabił ich. Zabił również jednego z naszych agentów. Handlarz otrzymał dożywocie bez prawa do zwolnienia warunkowego. Pamiętam, że domagał się pan kary śmierci. Teraz mamy zamiar go wypuścić i wiem, że nie będzie pan skakał z radości. Proszę pamiętać, wszystko to jest tajemnicą, ale gazety prawdopodobnie wywleką to na jaw i zrobi się ogromna wrzawa. Pan i pańscy współpracownicy nie będziecie tego komentować. Czy to jasne?

- Nie możemy pozwolić, by ktokolwiek bezkarnie zabijał naszych agentów - odparł Cilke.

- Taka postawa jest u funkcjonariusza FBI nie do przyjęcia - stwierdził dyrektor.

Cilke starał się nie okazywać swego oburzenia.

- Zatem wszyscy nasi agenci będą zagrożeni - powiedział. - Tak właśnie jest na ulicach. Ten agent zginął, próbując uratować zakładników. Była to egzekucja z zimną krwią. Uwolnienie zabójcy jest zniewagą dla ofiary.

- W Biurze nie ma miejsca dla mentalności mścicieli. W przeciwnym razie będziemy nie lepsi od nich. No, a czego się pan dowiedział o tych naukowcach, którzy wyemigrowali?

W tym momencie Cilke zdał sobie sprawę, że nie może już dłużej ufać dyrektorowi.

- Nic nowego - skłamał. Postanowił, że odtąd przestanie uczestniczyć w politycznych kompromisach agencji. Będzie pracował na własną rękę.

- No cóż, ma pan teraz dużo ludzi, więc niech pan nad tym pracuje. A gdy już schwyta pan Timmonę Portellę, chętnie sprowadzę pana tutaj. Zostanie pan jednym z trzech moich zastępców.

- Dziękuję, ale postanowiłem, że po załatwieniu Portelli przejdę na emeryturę.

Dyrektor głęboko westchnął.

- Niech pan to jeszcze raz przemyśli. Wiem, jak bardzo muszą pana martwić te wszystkie ugody. Ale proszę pamiętać: Biuro odpowiada nie tylko za ochronę społeczeństwa przed ludźmi łamiącymi prawo, ale również musi podejmować tylko te działania, z których ostatecznie odnosi korzyść całe społeczeństwo.

- Pamiętam to ze szkoły - odparł Cilke. - Cel uświęca środki.

Dyrektor wzruszył ramionami.

- Czasami. W każdym razie, niech pan ponownie przemyśli sprawę swej emerytury. Umieszczam w pańskiej teczce pochwałę. Bez względu na to, czy pan zostanie, czy odejdzie, otrzyma pan medal od prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- Dziękuję, panie dyrektorze - rzekł Cilke.

Dyrektor uściśnął mu dłoń i odprowadził do drzwi. Miał jednak jeszcze jedno, ostatnie pytanie.

- A co się dzieje ze sprawą tego Aprilego? Minęło wiele miesięcy i mam wrażenie, że nic nie zrobiono.

- To sprawa nowojorskiej policji. Oczywiście przyjrzałem się jej. Jak dotąd brak motywu. Żadnych tropów. Chyba nie ma szans na jej rozwiązanie.

Tego wieczoru Cilke jadł kolację z Billem Boxtone.

- Dobre wieści - rzekł. - Sprawy tytoniu i chińskich maszyn są zamknięte. Prokurator generalny stara się o sankcje finansowe, a nie karne. To nam uwalnia moce przerobowe.

- O, cholera! Zawsze mi się wydawało, że dyrektor jest uczciwy. Krystalicznie uczciwy. Poda się do dymisji?

- Bywają kryształki z drobnymi szczerbami na krawędziach - odparł Cilke.

- Coś jeszcze? - zapytał Boxtone.

- Gdy doprowadzę do upadku Portelli, zostanę zastępcą dyrektora. Awans murowany. Tylko że wtedy będę już na emeryturze.

- Na pewno. Poleć mnie na to stanowisko.

- Nie masz szans. Dyrektor wie, że się brzydsko wyrażasz - odparł Cilke i się roześmiał.

- O kurde - mruknął Boxtone z udawanym rozczarowaniem. - A może chodzi o „kurwę”?

Nazajutrz wieczorem Cilke dotarł ze stacji do domu pieszo. Georgette i Vanessa były na Florydzie z tygodniową wizytą u jego teściów, a on nie lubił korzystać z taksówek. Gdy szedł podjazdem, zdziwiło go, że nie słyhać szczekania psów. Zawołał na nie, ale nie doczekał się żadnej reakcji. Pewnie włączyły się po okolicy lub w pobliskim lesie.

Tęsknił za swymi dziewczynami - zwłaszcza w porach posiłków. W zbyt wielu miastach w Ameryce jadał kolacje sam lub z innymi agentami, zawsze czujny, wyczulony na wszelkie niebezpieczeństwo. Przyrzucił sobie prosty posiłek: jakaś jarzyna, zielona sałata i niewielki stek - tak jak nauczyła go żona. Bez kawy, ale za to z brandy w małym, niczym naparstek

kieliszku. Po kolacji poszedł na górę, żeby wziąć prysznic i zatelefonować do żony przed uśpieniem się jakąś lekturą. Bardzo lubił książki i zawsze martwiło go, gdy w rozmaitych powieściach detektywistycznych autorzy przedstawiali agentów FBI jako ponurych łotrów. Co oni u diabła mogli na ten temat wiedzieć?

Gdy otworzył drzwi sypialni, natychmiast poczuł zapach krwi, a w całym jego umyśle zapanował chaos; opadły go wszystkie tłumione lęki.

Na jego łóżku leżały dwa owczarki niemieckie. Ich sierść była pokryta czerwonymi plamami, miały związane nogi i owinięte gazą pyski. Serca zostały wycięte i ułożone na brzuchach psów.

Cilke z wielkim wysiłkiem poskładał myśli. Odruchowo zadzwonił do żony, by się upewnić, czy jest cała i zdrowa. Potem zatelefonował do oficera dyżurnego FBI po specjalny zespół śledczy i brygadę porządkową. Musieli się pozbyć całej pościeli, materacy i dywanu. Miejscowej policji nie zawiadomił.

Sześć godzin później ludzie FBI opuścili dom, a on napisał raport dla dyrektora. Nalał sobie brandy do kieliszka normalnej wielkości i spróbował przeanalizować sytuację.

Przez chwilę miał zamiar okłamać żonę, wymyślając bajkę o ucieczce psów. Musiałby jednak jeszcze wyjaśnić brak dywanu i pościeli. A poza tym, byłoby to nieuczciwe. Powinna dokonać wyboru. Gdyby skłamał, nigdy by mu tego nie wybaczyła. Po powrocie będzie musiał wyznać Georgette całą prawdę.

Następnego dnia Cilke poleciał najpierw do Waszyngtonu, by naradzić się z dyrektorem, a potem do teściów na Florydę, gdzie jego żona i córka spędzały wakacje.

I tam, zjadłszy z nimi lunch, zabrał Georgette na spacer po plaży. Gdy obserwowali migotliwą błękitną wodę, opowiedział jej o zabiciu psów, o tym, że jest to tradycyjne ostrzeżenie sycylijskiej mafii stosowane w celu zastraszenia.

- Według gazet, pozbyłeś się mafii w tym kraju - powiedziała z zadumą Georgette.

- Nie do końca - odparł Cilke. - Zostało nam jeszcze parę organizacji narkotykowych i jestem całkiem pewien, kto to zrobił.

- Nasze biedne psy. Jak można być tak okrutnym? Rozmawiałeś z dyrektorem?

Cilke poczuł nagle rozdrażnienie tym, że żona tak troszczy się o czworonogi.

- Dyrektor dał mi trzy możliwości. Składam rezygnację i osiedlam się w innym miejscu. Odrzuciłem tę możliwość. Druga polegała na tym, że przenoszę moją rodzinę pod ochroną Biura do czasu zakończenia tej sprawy, trzecia zaś na tym, że ty zostajesz w domu, jak gdyby nic się nie stało. Przez okrągłą dobę strzegłby nas zespół ochroniarzy. Agentka mieszkałaby z tobą, a wszędzie towarzyszyłoby ci dwóch ochroniarzy. Naszej córce też. Wokół domu zostaną rozstawione posterunki z najnowocześniejszym sprzętem alarmowym. Co o tym sądzisz? Za sześć miesięcy to wszystko się skończy.

- Uważasz, że to blef - stwierdziła Georgette.

- Tak - przyznał Cilke. - Nie odważą się wyrządzić krzywdy agentowi FBI ani jego rodzinie. Byłoby to dla nich samobójstwo.

Georgette wpatrywała się w spokojne błękitne wody zatoki. Jej dłoń zacisnęła się mocniej na rękę męża.

- Zostanę - powiedziała. - Za bardzo bym za tobą tęskniła, a wiem, że nie zostawisz tej sprawy. Skąd masz pewność, że skończycie za sześć miesięcy?

- Po prostu mam.

Georgette pokręciła głową.

- Nie lubię, jak jesteś taki pewny. Proszę, nie zrób niczego okropnego. I chcę, żebyś mi obiecał jedno: gdy ta sprawa będzie zakończona, odejdiesz z Biura. Otwórz własną praktykę prawniczą albo wykładaj. Nie mogę żyć w ten sposób przez resztę moich dni. - Mówiła śmiertelnie poważnie.

Cilkemu utkwiło w pamięci stwierdzenie, że za bardzo by za nim tęskniła. I po raz kolejny zastanawiał się, jak kobieta taka jak ona mogła kochać mężczyznę takiego jak on. Zawsze jednak wiedział, że pewnego dnia ona postawi takie żądanie. Westchnął i rzekł:

- Obiecuję.

Kontynuowali swój spacer po plaży. Potem usiedli w małym zielonym parku, który ochronił ich przed słońcem. Chłodna bryza od zatoki zmierzwiła włosy jego żonie, sprawiając, że wyglądała korzystnie i bardzo młodo. Cilke wiedział, że nie może złamać danego jej słowa. Był wręcz dumny z przebiegłości, z jaką wymusiła tę obietnicę w najważniejszym momencie - gdy narażała życie, by pozostać przy nim. Ostatecznie, kto chciałby być kochany przez nieinteligentną kobietę? Cilke wiedział zarazem, że jego żona byłaby przerażona i upokorzona tym, co właśnie myślał. Jej przebiegłość była prawdopodobnie niezamierzona. Kim był, żeby to osądzać? Ona nigdy go nie osądzała i nigdy nie podejrzewała o jego własną, nie tak niezamierzoną przebiegłość.

Rozdział 6

Franky i Stace Sturzowie posiadali ogromny sklep ze sprzętem sportowym w Los Angeles i dom w Santa Monica, który znajdował się zaledwie o pięć minut jazdy od Malibu Beach. Obaj byli kiedyś żonaci, ale z ich małżeństw nic nie wyszło, więc teraz mieszkali razem.

Nigdy nie powiedzieli żadnemu ze swoich znajomych, że są bliźniakami, choć odznaczali się identyczną niefrasobliwą pewnością siebie oraz niezwykłą giętkością ciała. Franky był bardziej czarujący i impulsywny, a Stace bardziej zrównoważony i nieco powściągliwy, ale obaj słynęli z uprzejmości.

Należeli do jednego z dużych eleganckich klubów rekreacyjnych, które pojawiły się w wielu miejscach Los Angeles, klubu pełnego sterowanych cyfrowo atlasów i panoramicznych, ściennych ekranów do oglądania telewizji podczas ćwiczeń. W klubie znajdowało się boisko do koszykówki, basen pływacki, a nawet ring bokserski. Treningi prowadzili urodziwi posągowi mężczyźni i ładne, proporcjonalnie zbudowane dziewczyny. Bracia korzystali z klubu, żeby poćwiczyć oraz poznawać trenujące tam kobiety. Dla mężczyzn takich jak oni, otoczonych przez obiecujące aktorki, starające się zachować piękno swych ciał, oraz znudzone, zaniedbywane żony pełnych inwencji filmowców, był to wspaniały teren erotycznych łowów.

Ale Franky i Stace korzystali głównie z okazji do gry w koszykówkę. Do klubu przychodzili dobrzy gracze - czasem nawet rezerwowi zawodnik Los Angeles Lakers. Bracia grali przeciwko niemu i czuli, że nie ustępują mu pola. Dzięki tym meczom ożywały w nich przyjemne wspomnienia czasów, gdy występowali w licealnym zespole gwiazd. Nie mieli jednak złudzeń, że w prawdziwym meczu radziliby sobie z równym powodzeniem. Oni grali do upadłego, a koszykarz po prostu dobrze się bawił.

W klubowej restauracji ze zdrową żywnością rozmawiali z trenerkami, znudzonymi gospodyniami domowymi, a czasem nawet z jakąś sławą. Zawsze świetnie się bawili, ale wizyty w klubie stanowiły tylko niewielką część ich życia. Franky trenował drużynę koszykarską miejscowej szkoły podstawowej i traktował to bardzo poważnie. Miał nadzieję, że kiedyś odkryje rodzącą się supergwiazdę. Chłopcy uwielbiali go za męską zyczliwość, z

jaką się do nich odnosił. Miał swoją ulubioną taktykę treningową. - No, dobra - mówił. - Przegrywacie dwudziestoma punktami, jest ostatnia kwarta. Wychodźcie na boisko i zdobywacie pierwsze dziesięć punktów. Teraz są już w zasięgu ręki, możecie wygrać. Chodzi tylko o zimną krew i pewność siebie. Zawsze możecie być górą. Przegrywacie dziesięcioma punktami, potem pięcioma, później wyrównujecie. I macie ich!

To oczywiście nigdy nie skutkowało. Chłopcy byli niewystarczająco rozwinięci fizycznie i nie dość twardzi psychicznie. Byli tylko dziećmi. Franky wiedział jednak, że ci naprawdę utalentowani nigdy nie zapomną tej lekcji i później im to pomoże.

Stace skoncentrował się na prowadzeniu sklepu z artykułami sportowymi i ostatecznie decydował, które zlecenia przyjmowali. Obowiązywała zasada minimalnego ryzyka i maksymalnej ceny. Stace ufał bezgranicznie rachunkowi prawdopodobieństwa. Atutem braci było to, że zgadzali się prawie we wszystkim. Mieli identyczne upodobania i w każdej niemal dyscyplinie sportu dorównywali sobie sprawnością fizyczną. Od czasu do czasu toczyli walki sparingowe na ringu bokserskim lub grali jeden na jednego na boisku do koszykówki. Franky dysponował wprawdzie większą szybkością, ale Stace był lepszym strategiem. To scementowało ich związek. Ufali sobie całkowicie.

Mieli teraz po czterdzieści trzy lata i byli zadowoleni z życia, ale obaj często mówili o ponownym ożenku i posiadaniu dzieci. Stace utrzymywał kochankę w San Francisco, a Franky miał przyjaciółkę, tancerkę w Vegas. Obie nie przejawiały żadnej skłonności do zawarcia małżeństwa i bracia czuli, że tylko wydeptują ścieżkę, licząc, iż pojawi się ktoś nowy.

Ponieważ byli takimi sympatycznymi ludźmi, bez trudu zawierali przyjaźnie i prowadzili aktywne życie towarzyskie. Mimo to rok po zabiciu Aprilego przeżyli z pewną obawą. Człowieka takiego jak on nie dało się zabić bez żadnego ryzyka.

Gdzieś w listopadzie Stace zatelefonował do Heskowa w sprawie odbioru drugich pięciuset tysięcy dolarów wynagrodzenia. Rozmowa była krótka i wyraźnie dwuznaczna.

- Cześć - powiedział. - Przyjeżdżamy mniej więcej za miesiąc. Wszystko w porządku?

Wydawało się, że Heskow ucieszył się, słysząc jego głos.

- W idealnym - odparł. - Wszystko gotowe. Możesz bardziej sprecyzować czas przyjazdu? Nie chcę, byście przyjechali, gdy będę gdzieś poza miastem.

Stace roześmiał się.

- Znajdziemy cię. W porządku? Policz sobie do trzydziestu - rzekł wymijająco, po czym się rozłączył.

Odbiór pieniędzy w takiej transakcji zawsze zawierał w sobie pierwiastek niebezpieczeństwa. Ludzie nie zawsze lubili płacić za już wykonaną robotę. Zdarzało się to w każdej branży. Czasem też mieli złudzenie własnej wielkości. Wydawało im się, że są równie dobrzy jak profesjonaliści. W przypadku Heskowa ryzyko było minimalne, dotychczas

zawsze był wiarygodnym pośrednikiem. Lecz ta sprawa, podobnie jak honorarium, należały do wyjątkowych. Nie chcieli więc, by Heskow przejrzał ich plany.

Rok wcześniej bracia zaczęli się uczyć gry w tenisa, ale był to jedyny sport, który przerósł ich możliwości. Byli tak sprawni ruchowo, że nie mogli pogodzić się z tą porażką, choć wyjaśniono im, że tenis jest dyscypliną, w której trzeba opanować uderzenia w młodym wieku, pod okiem instruktora, że gra na korcie w rzeczywistości polega na przyswojeniu sobie pewnych ustalonych zasad, niczym w nauce języka. Franky i Stace załatwili więc sobie miejsce na kursie wprowadzającym na tenisowym ranczo w Scottsdale w Arizonie. Stamtąd mieli pojechać do Nowego Jorku na spotkanie z Heskowem. Oczywiście, w ciągu tych tygodni na ranczo mogliby spędzić część wieczorów w Las Vegas, które leżało o niespełna godzinę lotu do Scottsdale.

Tenisowe ranczo było bardzo luksusowe. Bracia otrzymali klimatyzowany domek z cegły suszonej na słońcu: miał dwie sypialnie, jadalnię w indiańskich motywach dekoracyjnych, salon z balkonem i małą kuchnię. Z okien roztaczał się wspaniały widok na góry. W domku znajdował się wbudowany w ścianę barek, duża lodówka i ogromny telewizor.

Lecz trzytygodniowy pobyt rozpoczął się pod znakiem goryczy. Jeden z instruktorów niepotrzebnie zniechęcał Franky'ego. Franky był wyraźnie najlepszy w grupie trenujących, a szczególną dumą napawał go własny, zupełnie nietypowy serwis. Irytował nim zwłaszcza instruktora, człowieka imieniem Leslie.

Pewnego rana Franky posłał piłkę w kierunku swojego przeciwnika, który nie zdołał do niej dobiec, i rzekł dumnie do Leslie'ego:

- To był as, prawda?

- Nie - odpowiedział oziębło Leslie. - To był błąd nóg. Przekroczyłeś czubkiem buta linię podania. Spróbuj jeszcze raz, z prawidłowym serwisem. Tym, który stosujesz obecnie, częściej będziesz trafiał w aut niż w kort.

Franky wykonał następny serwis - szybki i dokładny.

- As, prawda? - upewnił się.

- Błąd nóg - odparł Leslie, powoli cedząc słowa. - Serwujesz w idiotyczny sposób. Po prostu umieść piłkę w polu. Jak na dyletanta, jesteś bardzo porządnym graczem. Graj o punkt.

Franky był poirytowany, ale zapanował nad sobą.

- To wystaw mnie przeciwko komuś, kto nie jest dyletantem - zaproponował. - Zobaczmy, jak sobie poradzę. - Zawahał i zapytał: - Może sam zagrasz?

Leslie spojrział na niego z oburzeniem.

- Nie grywam meczów z dyletantami. - Wskazał na młodą dwudziestolatkę. - Rosie? Zagraj z panem jednego seta.

Dziewczyna dopiero co przysłała na kort. Miała piękne opalone nogi. Była w białych szortach i różowej koszulce z logo rancza. Miała ładną figlarną twarz i włosy ściągnięte w koński ogon.

- Musisz mi dać fory - rzekł rozbrajająco Franky. - Jak na mój gust, za dobrze się prezentujesz. Jesteś instruktorką?

- Nie - odparła Rosie. - Jestem tu po to, by wziąć parę lekcji serwowania. Nikt nie uczy tego lepiej niż Leslie.

- Daj mu fory - powiedział Leslie. - Znacznie ustępuje ci poziomem.

- Może po dwa gemy w każdym czterogemowym secie? - pospiesznie zaproponował Franky. Był przygotowany do ustępstw.

Rosie posłała mu raptowny zaraźliwy uśmiech i odparła:

- To ci nic nie da. Powinieneś prosić o dwie piłki w każdym gemie. Wtedy miałbyś szansę. A jeżeli dojdziemy do równowagi, będę musiała wygrać czterema piłkami.

Franky uściskał jej dłoń.

- No, to chodźmy - powiedział. Stali blisko siebie i czuł świeżość jej ciała.

Rosie szeptem zapytała:

- Mam przegrać?

Franky był podekscytowany.

- Nie - odparł. - Przy takich forach nie uda ci się wygrać.

Grali pod okiem Leslie'ego; tym razem nie popełniał błędów nóg. Rosie straciła dwa pierwsze gemy, ale potem Franky przegrał z kretesem. Jej uderzenia były perfekcyjne i nie miała żadnych kłopotów z odbiorem jego serwisu. Zawsze stała tam, dokąd Franky musiał posłać piłkę, i choć kilka razy doprowadził do równowagi, rozniosła go 6:2.

- No, jak na dyletanta grasz bardzo dobrze - stwierdziła. - Ale pewnie zaczęłaś dopiero po dwudziestce, zgadza się?

- Zgadza - odparł Franky. Zaczynał nienawidzić słowa „dyletant”.

- Uderzeń i serwowania trzeba się nauczyć w dzieciństwie.

- Naprawdę? - zapytał prowokacyjnie. - I tak cię pokonam, zanim stąd wyjedziemy.

Rosie posłała mu szeroki uśmiech. Jak na taką małą twarz, miała szerokie i wydatne usta.

- Na pewno. Jeżeli ty będziesz miał najlepszy dzień w swoim życiu, a ja najgorszy - odparła.

Franky roześmiał się.

Stace podszedł do nich i się przedstawił, a potem zaproponował:

- Może zjesz z nami dzisiaj kolację? Franky cię nie zaprosi, bo z nim wygrałaś, ale przyjdzie.

- Mylisz się. Właśnie miał mnie zaprosić. Może być o ósmej?

- Świetnie - odparł Stace i dał bratu klapsa rakieta.

- Przyjdę - rzekł Franky.

Kolację zjedli w restauracji na ranchu - ogromnej sklepionej sali ze szklanymi ścianami, które otwierały widok na pustynię i góry. Jak powiedział później bratu Franky, Rosie okazała się prawdziwym skarbem. Flirtowała z jednym i drugim, potrafiła rozmawiać o wszystkich sportach i wiedziała o tym, o czym wypadało wiedzieć - świetnych meczach o tytuły mistrzowskie, wielkich graczach i wspaniałych chwilach z odległej i niedawnej przeszłości. Umiała również słuchać; skłoniła ich do zwierzeń. Franky opowiedział jej nawet o pracy trenerskiej i o tym, że zaopatrują chłopców swej drużyny w najlepszy sprzęt z własnego sklepu. Rosie stwierdziła z entuzjazmem: - To wspaniale, po prostu wspaniale. - Potem pochwalili się, że w młodości grali w licealnej drużynie gwiazd.

Rosie miała spory apetyt, to zaś podobało im się u kobiet. Jadła powoli, delektując się potrawami. Gdy mówiła o sobie, z nawyku opuszczała i przechylała głowę z nieśmiałością, która wydawała się niemal sztuczna. Okazało się, że jest na studiach doktoranckich z psychologii na Uniwersytecie Nowojorskim. Pochodziła z dość zamożnej rodziny i zdążyła już zwiedzić Europę. W szkole średniej była gwiazdą tenisa. Wszystko to mówiła jednak lekceważącym tonem, z miną, która urzekła braci. Stale też dotykała ich rąk, by w trakcie rozmowy utrzymać z nimi kontakt.

- Nadal nie wiem, co mam zrobić, gdy skończę studia. Mimo całej mojej książkowej wiedzy nie potrafię oceniać ludzi w prawdziwym życiu. Podobnie jest z wami. Opowiadacie mi o sobie, jesteście uroczymi facetami, ale nie mam pojęcia, czym się kierujecie w swoim życiu.

- Nie przejmuj się - odparł Stace. - Jesteśmy dokładnie tacy, na jakich wyglądamy.

- Mnie o to nie pytaj - rzekł Franky. - Obecnie całe moje życie koncentruje się na tym, jak wygrać z tobą w tenisa.

Po kolacji bracia odprowadzili Rosie ścieżką z czerwonej gliny do jej domku. Pocałowała każdego z nich w policzek i zostawiła samych w pustynnej scenerii. Ostatnim obrazem, jaki zabrali ze sobą, był widok jej pogodnej twarzy błyszczącej w świetle księżyca.

- Myślę, że ona jest wyjątkowa - rzekł Stace.

- To za mało powiedziane - odparł Franky.

Przez pozostałe dwa tygodnie swego pobytu na ranchu Rosie była ich kumplem. Późnymi popołudniami po treningach grywali razem w golfa. Dobrze sobie radziła, nie tak dobrze jednak jak bracia. Potrafili posłać piłkę naprawdę daleko, a na trawniku z dołkami uderzali tak, jakby mieli stalowe nerwy. Jakiś gość w średnim wieku przyjechał z nimi z rancha na pole golfowe, by uzupełnić czwórkę i uparł się, że będzie partnerem Rosie i że zagrają za dziesięć dolarów od dołka. Był wprawdzie dobry, ale przegrał. Tego wieczoru próbował zjeść z nimi kolację na ranchu. Ku radości bliźniaków Rosie odprawiła go z kwitkiem.

- Staram się zmusić jednego z tych facetów do oświadczeń - wyjaśniła.

Tym, który pod koniec pierwszego tygodnia zaciągnął ją do łóżka, był Stace. Franky wyjechał na cały wieczór do Las Vegas, żeby pograć w kasynie i dać bratu wolną rękę. Kiedy wrócił o północy, Stace'a nie było. Gdy zjawił się nazajutrz rano, Franky zapytał:

- Jaka była?
- Nadzwyczajna - odparł Stace.
- Pozwolisz, bym też spróbował?

Stała się rzecz niezwykła. Wcześniej nigdy nie dzielili się kobietami; w tej jednej sprawie mieli odmienne upodobania. Stace zastanawiał się nad odpowiedzią. Rosie idealnie pasowała do nich obu. Ale w tej sytuacji nie mogli dalej spędzać razem czasu. Chyba że Franky wprowadziłby do ich grona inną dziewczynę - to zaś zepsułoby cały układ.

- W porządku - odparł.

Tak więc następnego wieczora Stace pojechał do Las Vegas, a Franky spróbował szczęścia z Rosie. Nie opierała się ani trochę i dzięki niej przeżył niezapomniane chwile. Żadnych ekstrawagancji. Po prostu radosna zabawa we dwoje. Wydawało się, że w ogóle nie jest skrepowana tą sytuacją.

Lecz nazajutrz, gdy jedli razem śniadanie, Franky i Stace nie bardzo wiedzieli, jak się zachować. Byli trochę zbyt sztywni i uprzejmi. Zbyt ulegli. Zatracili poczucie idealnej harmonii. Rosie zmiotła z talerza jajka na bekonie i grzanek, po czym odchyliła głowę do tyłu i z rozbawieniem powiedziała:

- Chcecie mnie zmartwić, chłopcy? Wydawało mi się, że jesteśmy kumplami.

- Chodzi po prostu o to, że obaj szalejemy za tobą, ale nie bardzo wiemy, jak się z tym uporać - wyjaśnił szczerze Stace.

- Ja się z tym uporam - powiedziała śmiejąc się Rosie. - Bardzo lubię was obu. Dobrze się bawimy. Ślubu ze sobą nie weźmiemy, a po wyjeździe z rancza prawdopodobnie nigdy więcej się nie zobaczymy. Ja wrócę do Nowego Jorku, a wy do Los Angeles. Więc nie psujmy tego teraz. Chyba że jeden z was jest zazdrośnikiem. Wtedy możemy po prostu wykluczyć seks.

Nagle bliźniacy przestali się czuć nieswojo w jej towarzystwie.

- Marne szanse - zauważył Stace.

- Nie jesteśmy zazdrośnikami, a ja mam zamiar przynajmniej raz wygrać z tobą w tenisa, zanim stąd wyjedziemy - rzekł Franky.

- Brak ci odpowiednich uderzeń - pewnie odparła Rosie, ale wyciągnęła rękę i uściśnęła braciom dłonie.

- Załatwmy to dzisiaj - zaproponował Franky.

Rosie nieśmiało przechyliła głowę.

- Dam ci trzy piłki w każdym gemie - powiedziała. - Jeżeli przegrasz, przestaniesz mi serwować te samcze bzdury.

- Stawiam sto dolarów na Rosie - oświadczył Stace.

Franky wyszczerzył do nich zęby w uśmiechu. Nigdy by nie pozwolił wydrzeć sobie zwycięstwa przy tak dużych forach.

- Przebijam pięciokrotnie.

Na twarzy Rosie pojawił się figlarny uśmiech.

- I jeśli wygram, Stace spędzi ze mną dzisiejszą noc.

Bracia roześmiali się głośno. Fakt, że Rosie nie jest ideałem, że ma w sobie odrobinę złośliwości, sprawił im satysfakcję.

Na korcie nic nie mogło uratować Franky'ego - ani jego huraganowy serwis, ani akrobatyczne returny, ani przewaga trzech piłek. Rosie grała podkręconą piłką, czego wcześniej nie stosowała i co kompletnie zbiło Franky'ego z tropu. Zwyciężyła sześć do zera. Po zakończeniu seta pocałowała go w policzek i szepnęła:

- Wynagrodzę ci to jutrzejszej nocy.

Zgodnie z obietnicą, po wspólnej kolacji przespała się ze Stace'em. Przez resztę tygodnia bracia na przemian odwiedzali jej sypialnię. W dniu, w którym wyjeżdżała, odwieźli ją na lotnisko.

- Jeśli kiedyś przyjedziecie do Nowego Jorku, nie zapomnijcie do mnie zadzwonić - powiedziała. Sama otrzymała już od nich otwarte zaproszenie do Los Angeles. Potem Rosie zrobiła im niespodziankę, wręczając ozdobnie opakowane pudełka. - Prezenty - wyjaśniła i uśmiechnęła się radośnie. Każdy z nich znalazł w swoim pudełku pierścień Nawahów z chalkantymem. - Żebyście dzięki nim pamiętali o mnie.

Później, gdy robili w mieście zakupy, widzieli pierścienie na wyprzedaży. Kosztowały trzysta dolarów.

- Mogła nam kupić po krawacie albo jeden z tych zabawnych kowbojskich pasów za pięćdziesiąt dolarów - zauważył Franky. Sprawiała im niezwykłą frajdę.

Przed sobą mieli jeszcze tydzień pobytu na ranczu, ale tylko niewielką jego część spędzili na korcie. Grali w golfa, a wieczorem latali do Las Vegas. Nigdy nie zostawali jednak na noc, gdyż właśnie wtedy - wczesnym ranem, gdy brakowało sił i zdolności prawidłowej oceny - można było przegrać z kretesem.

Przy kolacji rozmawiali o Rosie. Żaden nie powiedział o niej złego słowa, choć w głębi serca mieli jej za złe, że pieprzyła się z każdym z nich.

- Ona naprawdę to lubiła - zauważył Franky. - I nigdy nie robiła się po tym małostkowa ani markotna.

- Owszem - przyznał Stace. - Była wyjątkowa. Chyba znaleźliśmy idealną babkę.

- Ale one zawsze się zmieniają - przypomniał Franky.

- Zadzwonimy do niej, gdy dotrzemy do Nowego Jorku? - zapytał Stace.

- Ja zadzwonię - odparł jego brat.

Tydzień po opuszczeniu Scottsdale zameldowali się w hotelu „Sherry-Netherland” na Manhattanie. Nazajutrz rano wynajęli samochód i pojechali do domu Heskowa na Long Island. Gdy zatrzymali się na podjeździe, ujrzeni gospodarza zmiatającego cienką warstwę śniegu z boiska do koszykówki. Podniósł rękę na powitanie, po czym dał im znak, by wjechali do połączonego z domem garażu. Jego auto było zaparkowane na zewnątrz. Zanim Stace ruszył, Franky wyskoczył z samochodu, żeby uścisnąć rękę Heskowowi, a naprawdę po to, by na wszelki wypadek mieć go blisko siebie.

Heskow otworzył drzwi i wprowadził ich do środka.

- Wszystko gotowe - powiedział. Zaprowadził ich na górę do sypialni i otworzył wielki kufer. W środku, razem ze złożoną skórzaną torbą, dorównującą niemal wielkością walizce, leżały sterty pieniędzy, ściągniętych gumkami w grube pliki. Stace rzucił je na łóżko, a następnie wraz z bratem przejrzał każdy plik, by się upewnić, czy są same setki i czy nie ma żadnych fałszywych banknotów. Przeliczyli je w jednym tylko pliku i przemnożyli ich liczbę przez sto. Potem załadowali pieniądze do skórzaney torby. Gdy skończyli, spojrzeli na gospodarza. Uśmiechał się.

- Napijcie się kawy, zanim pojedziecie - zaproponował. - Odlejcie się...

- Dzięki - odparł Stace. - Czy jest coś, o czym powinniśmy wiedzieć? Jakies zamieszanie?

- Żadnego. Wszystko jest w idealnym porządku. Tylko nie afiszujcie się zbyt z tą forszą.

- To nasze zabezpieczenie na starość - wyjaśnił Franky i bracia wybuchnęli śmiechem.

- A jego dzieci? - zapytał Franky. - Nie narobiły hałasu?

- Zostały wychowane na uczciwych ludzi - odparł Heskow. - To nie Sycylijczycy. Odnoszą duże sukcesy zawodowe. Wierzą w prawo. I mają szczęście, że nie są w gronie podejrzanych.

Bliźniacy znowu wybuchnęli śmiechem, a Heskow też się uśmiechnął. To był dobry żart.

- Aż nie chce mi się wierzyć - rzekł Stace. - Taki wpływowy człowiek i tak mało zamieszania.

- Minał rok i zupełna cisza - powiedział Heskow.

Bracia dopili kawę i uścisnęli mu dłoń.

- Trzymajcie się zdrowo - rzekł. - Być może znowu do was zadzwonię.

- Dzwon - odparł Franky.

Wróciwszy do miasta, bracia złożyli pieniądze w bankowej skrytce depozytowej, a właściwie w dwóch. Do torby nie sięgnęli nawet po pieniądze na nieprzewidziane wydatki. Potem wrócili do hotelu i zatelefonowali do Rosie.

Była zaskoczona i zachwycona tak szybkim kontaktem. W jej głosie brzmiał entuzjazm, gdy nalegała, by natychmiast przyszli do jej mieszkania. Pokaże im Nowy Jork, ona funduje.

Tak więc tego wieczoru przyjechali do niej. Zanim wyszli na kolację i do teatru, podała im drinki.

Zabrała ich do „Le Cirque”, najlepszej, jej zdaniem, restauracji w Nowym Jorku. Jedzenie było wyśmienite. Na prośbę Franky’ego przyrządzono mu talerz najlepszego spaghetti, jakiego kiedykolwiek kosztował, mimo że nie było go w karcie dań. Bliźniacy nie mogli się nadziwić, że w luksusowej restauracji można dostać jedzenie, które tak bardzo lubią. Zauważyli również, że maître d’hotel traktuje Rosie w bardzo szczególny sposób, i zrobiło to na nich wrażenie. Jak zwykle, wspaniale się bawili, Rosie nalegała, by snuli swoje opowieści. Wyglądała wyjątkowo pięknie. Po raz pierwszy widzieli ją w stroju wyjściowym.

Przy kawie wręczyli jej swój prezent. Kupili go tego popołudnia u Tiffany’ego i kazali zapakować do pudełka pokrytego kasztanowym aksamitem. Upominek, prosty złoty łańcuszek z inkrustowanym brylantami medalionikiem z jasnej platyny, kosztował pięć tysięcy.

- Ode mnie i Stace’a - rzekł Franky. - Złożyliśmy się.

Rosie była oszołomiona. Oczy zrobiły się jej wilgotne i błyszczące. Założyła łańcuszek przez głowę, tak że medalionik spoczął między piersiami. Potem nachyliła się i pocałowała ich obu. Był to szczerzy słodki pocałunek, który smakował jak miód.

Bracia wyznali kiedyś Rosie, że nigdy nie byli na broadwayowskim musicalu, więc następnego wieczora zabrała ich na *Nędzników*. Zapewniła, że będą zachwyceni. I byli, choć z paroma zastrzeżeniami. Później, w jej mieszkaniu, Franky powiedział:

- Nie wierzę, że nie zabił agenta policji Javerta, gdy miał okazję.

- To musical - odparł Stace. - Musicale nie mają sensu, nawet sfilmowane. Nie to jest ich celem.

Rosie miała jednak inne zdanie.

- To najlepszy dowód, że Jean Valjean stał się naprawdę dobrym człowiekiem. Musical opowiada o odkupieniu win. O człowieku, który grzeszy i kradnie, a potem jedna się ze społeczeństwem.

Jej słowa zirytowały nawet Stace’a.

- Chwileczkę - powiedział. - Ten facet zaczął jako złodziej. A kto raz nim był, na zawsze nim pozostaje. Zgadza się, Franky?

Teraz zapaliła się Rosie.

- A co wy dwaj możecie wiedzieć o kimś takim jak Valjean? - To pytanie rozśmieszyło braci. Rosie uśmiechnęła się dobrodusznie. - Który z was zostaje na noc? - zapytała.

Czekała na odpowiedź. W końcu powiedziała:

- Nie robię tego we troje. Musicie się zmieniać.

- A z którym chcesz zostać? - zapytał Franky.

- Nie zaczynaj - ostrzegła. - Bo inaczej będzie między nami tak cudnie jak w filmach. Żadnego pieprzenia. A bardzo bym tego nie chciała - dodała uśmiechając się, żeby złagodzić wymowę swych słów. - Kocham was obu.

- Pójdę do domu - rzekł Franky. Chciał, żeby wiedziała, iż nie ma nad nim władzy.

Rosie pocałowała go na dobranoc i odprowadziła do drzwi.

- Jutrzejszej nocy będę wyjątkowa - szepnęła.

Mieli przed sobą sześć wspólnych dni. Rosie musiała pracować nad swoją rozprawą doktorską, ale wieczorami była do ich dyspozycji.

Gdy do Nowego Jorku przyjechał zespół Los Angeles Lakers, bliźniacy zabrali ją na mecz z drużyną Knicks w Madison Square Garden i było im bardzo miło, że doceniła wszystkie wspaniałe momenty widowiska. Po meczu poszli do eleganckich delikatesów. Rosie powiedziała im, że nazajutrz, dzień przed Wigilią Bożego Narodzenia, musi na tydzień wyjechać z miasta. Bracia zakładali, że spędzi święta z rodziną, ale teraz zauważyli, iż po raz pierwszy odkąd ją poznali, dziewczyna sprawia wrażenie nieco przygnębionej.

- Nie, spędzam Boże Narodzenie sama w domu, który moja rodzina posiada na północy stanu. Chciałam uniknąć całego tego świątecznego udawania, żeby po prostu pouczyć się i uporządkować moje życie.

- Więc po prostu odwołaj wyjazd i spędź święta z nami - zaproponował Franky. - Zmienimy termin naszego lotu do Los Angeles.

- Nie mogę. Muszę się pouczyć, a ten dom to najlepsze miejsce.

- Zupełnie sama? - zapytał Stace.

Rosie nagle schyliła głowę i odparła:

- Niezła ze mnie idiotka.

- A może pojedziemy z tobą? - zaproponował Franky. - Tylko na parę dni. Wyjedziemy dzień po Bożym Narodzeniu.

- Dobra - odparł Stace. - Moglibyśmy spędzić trochę czasu w spokoju.

Twarz Rosie rozpromieniła się.

- Naprawdę pojechalibyście? - powiedziała radośnie. - To fantastycznie. W Boże Narodzenie moglibyśmy pojeździć na nartach. Ośrodek narciarski znajduje się zaledwie pół godziny jazdy od domu. I ugotuję świąteczny obiad. - Wahała się przez chwilę, a potem nieprzekonywająco dodała: - Ale obiecacie, że wyjedziecie po świętach. Ja naprawdę muszę popracować.

- Musimy wrócić do Los Angeles - uspokoił ją Stace. - Przecież prowadzimy firmę.

- Boże, jesteście kochani.

- Rozmawiałem z Frankym - rzekł obojętnie Stace. - Wiesz, że nigdy nie byliśmy w Europie. Pomyśleliśmy, że gdy latem skończysz studia, moglibyśmy pojechać tam razem.

Będiesz naszym przewodnikiem. Wszystko w najlepszym stylu. Tylko parę tygodni. Moglibyśmy wspaniale się bawić, gdybyś z nami była.

- Tak - przyznał Franky. - Nie możemy jechać sami. - Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- To po prostu cudowny pomysł - odparła Rosie. - Pokażę wam Londyn, Paryż i Rzym. A Wenecja wprawi was w zachwyty. Możecie zostać tam na zawsze. Ale do lata jeszcze daleko. Już ja was znam, wtedy będziecie się uganiać za innymi kobietami.

- Chcemy ciebie - niemal gniewnie rzekł Franky.

- Będę gotowa, gdy zadzwonicie.

Rankiem 23 grudnia Rosie zatrzymała się przed hotelem, żeby zabrać bliźniaków. Jeździła wielkim cadillakiem, w którego bagażniku leżały już jej duże walizki oraz para barwnie opakowanych prezentów, było w nim jednak jeszcze miejsce na ich skromniejsze bagaże.

Stace pozwolił bratu jechać z przodu obok Rosie. Grało radio i przez blisko godzinę nic do siebie nie mówili. I właśnie to, ta umiejętność milczenia była w niej wspaniała.

Czekając na nią, bracia odbyli rozmowę przy śniadaniu. Stace widział, że Franky jest zażenowany, co rzadko zdarzało się, gdy byli razem.

- Wyduś to z siebie - powiedział.

- Nie zrozum mnie źle - odparł Franky. - Wcale nie jestem zazdrosny. Ale czy mógłbyś przestać interesować się Rosie, gdy tam będziemy?

- Oczywiście. Powiem jej, że złapałem trypra w Vegas.

Franky uśmiechnął się szeroko i rzekł:

- Nie musisz posuwać się aż tak daleko. Chciałbym tylko spróbować mieć ją dla siebie. W przeciwnym razie to ja się przestanę nią interesować i zostawię ją tobie.

- Jesteś świrem - zauważył Stace. - Wszystko zepsujesz. Przecież ani jej nie zmuszaliśmy, ani nie oszukaliśmy. Ona to właśnie chce robić. I myślę, że to dla nas wspaniały układ.

- Chciałbym po prostu sam tego spróbować - powiedział znowu Franky. - Tylko przez chwilę.

- Jasne - odparł Stace. - Jestem twoim starszym bratem. Muszę nad tobą czuwać. - Był to ich ulubiony żart, i rzeczywiście, zawsze wydawało się, że Stace jest starszy od Franky'ego o parę lat, a nie o dziesięć minut. - Ale wiedz, że ona przejrzy cię w ciągu dwóch sekund. To bystra kobieta. Pozna, że się w niej kochasz.

Franky spojrział ze zdumieniem na swego brata.

- Pieprzysz! Ja się w niej kocham? Jezu Chryste! - rzekł i obaj się roześmiali.

Samochód był już za miastem i jechał przez rolnicze tereny okręgu Westchester. Franky przerwał milczenie.

- Nigdy w życiu nie widziałem tyle śniegu. Jak, u diabła, ludzie mogą tu żyć?

- Mogą, dlatego że życie jest tu tanie - wyjaśniła Rosie.
- Daleko jeszcze? - zapytał Stace.
- Około półtorej godziny. Mam się zatrzymać?
- Nie, dojedźmy na miejsce - rzekł Franky.
- Chyba że sama musisz - powiedział Stace.

Rosie zaprzeczyła ruchem głowy. Z dłońmi zaciśniętymi na kierownicy, bacznie przyglądająca się z wolna opadającym płatkom śniegu sprawiała wrażenie osoby niezwykle zdecydowanej.

Mniej więcej godzinę później przejeżdżali przez małe miasto.

- Jeszcze tylko piętnaście minut - poinformowała.

Samochód wjechał stromo nachyloną drogą na szczyt niewielkiego wzgórza, na którym stał dom - szary jak słoń, wokół zaśnieżone pola, śnieg czysty i nieskalany, żadnych śladów stóp i opon.

Rosie zatrzymała się od frontu, przy werandzie. Wysiedli. Obładowała ich walizkami i pudełkami z prezentami i powiedziała:

- Wejdźcie do środka. Drzwi są otwarte. Tutaj nie zamykamy na klucz.

Franky i Stace weszli po skrzypiących schodach werandy i otworzyli drzwi. Znaleźli się w olbrzymim salonie o ścianach ozdobionych głowami zwierząt. W wielkim jak grot kominku płonął potężny ogień.

Nagle usłyszeli na zewnątrz warkot silnika cadillaca i w tym samym momencie w dwóch wejściach do domu pojawiło się sześciu ludzi. W rękach trzymali karabiny. Dowódca, potężny mężczyzna z sumiastym wąsem, powiedział z pewnym naciskiem:

- Nie ruszajcie się. I nie puszczajcie pakunków. - Potem bracia poczuli lufy przytknięte do swych ciał.

Stace zrozumiał od razu, ale Franky martwił się o Rosie. Skojarzenie warkotu silnika i jej nieobecności zajęło mu około trzydziestu sekund. I wtedy, czując się gorzej niż kiedykolwiek w życiu, uświadomił sobie prawdę. Rosie była przynęta.

Rozdział 7

W przedwigilijny wieczór Astorre uczestniczył w przyjęciu wydanym przez Nicole. Zaprosiła do swojego mieszkania kolegów po fachu i członków grup działających w interesie publicznym, z członkami swojej ulubionej Kampanii Przeciwko Karze Śmierci włącznie. Astorre lubił przyjęcia. Uwielbiał rozmawiać z ludźmi, których nigdy więcej nie zobaczy i którzy tak bardzo się od niego różnią. Czasem poznawał interesujące kobiety, z którymi nawiązywał krótkie romanse. I stale liczył na to, że się zakocha; odczuwał brak miłości. Tego wieczoru Nicole przypomniała mu o ich młodzieńczym romansie; uczyniła to dobrodusznie, bez cienia niechęci i kokieterii.

- Złamałeś mi serce, gdy spełniłeś polecenie mojego ojca i wyjechałeś do Europy.

- Na pewno - odparł. - Ale nie przeszkodziło ci to w spotykaniu się z innymi facetami.

Z jakiegoś powodu Nicole była dla niego bardzo czuła. Trzymała go za rękę jak serdeczna szkolna przyjaciółka, całowała w usta, Ignęła doń tak, jakby wiedziała, że zaraz znowu się jej wyrwie.

Jej zachowanie wprawiało go w zakłopotanie, gdyż wznieciło w nim dawną czułość, ale rozumiał, że rozpoczynanie na nowo romansu z Nicole w tym krytycznym momencie jego życia byłoby strasznym błędem. Klóciło się z decyzjami, które musiał podjąć. W końcu zaprowadziła go do grupy gości i przedstawiła im.

Na przyjęciu grał zespół muzyczny i Nicole poprosiła Astorre, by zaśpiewał coś swym ochrypłym teraz, lecz ciepłym i wesołym głosem. Zawsze bardzo lubił to robić.

Gdy śpiewał jej serenadę, trzymała się go kurczowo i spoglądała mu w oczy, szukając czegoś w jego duszy. Po czym, złożony na ustach kuzyna ostatni smutny pocałunek, puściła go.

Po koncercie Nicole miała dla Astorre niespodziankę. Zaprowadziła go do swego gościa, kobiety o spokojnej urodzie i dużych, inteligentnych, szarych oczach.

- Astorre, oto Georgette Cilke, która przewodniczy Kampanii Przeciwko Karze Śmierci. Często pracujemy razem.

Georgette podała mu rękę i pochwaliła:

- Przypomina mi pan młodego Deana Martina.

Astorre był zachwycony.

- Dziękuję - odparł. - To mój idol. Znam na pamięć wszystkie jego piosenki.

- Mój mąż też jest jego wielbicielem. Lubię jego piosenki, ale nie podoba mi się sposób, w jaki traktuje kobiety.

Astorre westchnął, widząc, że stoi w tym sporze na straconej pozycji, ale i tak musi jej bronić jako zaprzysiężony bojownik za sprawę.

- Owszem, ale musimy oddzielić artystę od człowieka.

Rycerskość jego obrony rozbawiła Georgette.

- Czyżby? - zapytała z ironicznym uśmiechem. - Nie sędzę, by kiedykolwiek należało wybacząć tego rodzaju zachowanie.

Astorre widział, że Georgette nie zamierza ustąpić w tej kwestii, więc tylko zanucił parę taktów jednej z najsłynniejszych włoskich ballad Deana. Spojrzał głęboko w jej szare oczy, kołysząc się do rytmu, i dostrzegł, że znowu zaczyna się uśmiechać.

- W porządku - powiedziała. - Przyznaję, że piosenki są dobre. Mimo to nie jestem gotowa zwolnić go od odpowiedzialności.

Zanim odeszła, delikatnie dotknęła jego ramienia. Astorre obserwował ją przez resztę przyjęcia. Georgette była kobietą, która nie czyniła nic, żeby podkreślić swoją urodę, lecz miała naturalny wdzięk i szlachetną życzliwość, neutralizujące to całe zagrożenie, jakie wywołuje piękno. I Astorre, podobnie jak wszyscy w pokoju, poczuł się odrobinę zakochany w niej. Mimo to Georgette sprawiała wrażenie autentycznie nieświadomej wpływu, jaki wywierała na ludzi. Nie miała w sobie ani krzty kokieterii.

Astorre zdążył już przeczytać notatki Marcantonio do filmu dokumentalnego o Cilkem, upartym szpiclu tropiącym ludzkie błędy, deprymująco skutecznym w swojej pracy. Dowiedział się z nich również, że żona szczerze go kocha. W tym tkwiła tajemnica.

W połowie przyjęcia Nicole podeszła do kuzyna i szeptem poinformowała, że w salonie czeka Aldo Monza.

- Przykro mi, Nicole - rzekł Astorre. - Muszę już iść.

- W porządku. Miałam nadzieję, że lepiej poznasz Georgette. To bezwzględnie najinteligentniejsza i najlepsza kobieta, jaką spotkałam.

- No cóż, jest piękna - odparł Astorre i pomyślał, jak nierozsądny jest nadal w kontaktach z kobietami - na podstawie jednego spotkania już tworzył taką fantazję.

Gdy Astorre wszedł do salonu, zastał Aldo Monzę siedzącego niewygodnie w jednym z delikatnych, pięknych antycznych krzeseł. Monza wstał i powiedział szeptem:

- Mamy bliźniaków. Czekają na twoje łaskawe przybycie.

Astorre poczuł, jak serce mu zamiera. Teraz się zacznie. Teraz znowu zostanie poddany próbie.

- Jak długo potrwa dojazd tam? - zapytał.

- Co najmniej trzy godziny. Jest zamieć.

Astorre spojrział na zegarek. Była dziesiąta trzydzieści.

- Ruszajmy.

Kiedy wyszli z budynku, powietrze było białe od śniegu, a zaparkowane samochody na wpół ukryte w zaspach. Na Monzę czekał ogromny ciemny buick.

Monza prowadził, Astorre siedział obok. Było bardzo zimno i gangster włączył ogrzewanie. Samochód stopniowo zmienił się w piec pachnący tytoniem i winem.

- Prześpij się - poradził Monza. - Mamy przed sobą długą jazdę i pracowitą noc.

Astorre rozluźnił mięśnie i pozwolił swemu umysłowi pogrążyć się w marzeniach. Śnieg przesłaniał drogę. Wspominał skwar Sycylii i jedenaście lat, podczas których don przygotował go do tego ostatecznego obowiązku. I wiedział, jak nieuchronny jest jego los.

Astorre Viola miał szesnaście lat, gdy don Aprile kazał mu studiować w Londynie. Nie był tym zaskoczony. Don posłał wszystkie swoje dzieci do prywatnych szkół i sprawił, że dojrzawały w college'ach - nie tylko dlatego, że wierzył w wykształcenie, ale również po to, by odizolować je od własnych interesów i sposobu życia.

W Londynie Astorre zamieszkał u pewnego małżeństwa, zamożnych ludzi, którzy wiele lat wcześniej wyemigrowali z Sycylii i zdawali się prowadzić w Anglii bardzo wygodne życie. Oboje byli w średnim wieku i nie mieli dzieci. Zmienili nazwisko z Priola na Pryor. Ze skórą wyblakłą od angielskiej pogody, niesycylijscy w swych spokojnych strojach i ruchach, wyglądali na prawdziwych Anglików. Pan Pryor wychodził do pracy w meloniku i z parasolem; pani Pryor ubierała się w kwieciste suknie i porażające bonety pozbawionych gustu angielskich matron.

W domowym zaciszu oboje wracali do swych korzeni. Pan Pryor nosił poplamione workowate spodnie i czarne koszule bez kołnierzyka, natomiast pani Pryor wdziewała luźną czarną sukienkę i gotowała w dawnym włoskim stylu. On nazywał ją Marizza, a ona jego Zu.

Pan Pryor pracował jako dyrektor prywatnego banku, będącego filią wielkiego banku w Palermo. Traktował Astorre jak ulubionego bratanka, zachowywał jednak rezerwę. Pani Pryor spełniała jego kulinarne zachcianki i kochała niczym wnuka.

Pryor dał mu na wstępie samochód i okazałe kieszonkowe. Naukę załatwiono już wcześniej w niewielkim uniwersytecie tuż pod Londynem, który specjalizował się w biznesie i bankowości, lecz znany był także z dobrego poziomu nauk humanistycznych. Astorre zapisał się na wymagane w programie przedmioty, ale naprawdę interesowały go aktorstwo i śpiew. Wypełnił swój harmonogram nadobowiązkowymi zajęciami z muzyki oraz historii. I właśnie w trakcie pobytu w Londynie zakochał się w polowaniu na lisa i jego symbolice - nie w zabijaniu i gonitwie, ale w samym widowisku: czerwonych kurtkach, brązowych psach, karych koniach.

Na jednym z zajęć z gry aktorskiej poznał dziewczynę w swoim wieku, Rosie Conner. Była niezwykle ładna i miała niewinną minę, która może siać spustoszenie w sercach

młodych mężczyzn i prowokować starszych. Miała również talent i zagrała parę głównych ról w sztukach wystawionych przez grupę. Jemu natomiast przydzielano mniejsze role. Był dość przystojny, ale coś w jego osobowości przeszkadzało mu w dzieleniu się wewnętrznymi przeżyciami z publicznością. Rosie nie miała takiego problemu. Wydawało się, że zachęca każdego widza, by ją uwiódł.

Razem brali także lekcje śpiewu. Rosie zachwyciła się jego głosem. Było rzeczą oczywistą, że nauczyciel nie podziela jej zachwyty; poradził wprost, by Astorre zrezygnował z zajęć muzycznych. W rzeczywistości jego głos był zaledwie przyjemny, a co gorsza, on sam w istocie nie pojmował muzyki.

Po zaledwie dwóch tygodniach znajomości Astorre i Rosie zostali kochankami. Doszło do tego bardziej z jej, niż z jego inicjatywy, choć Astorre był już wówczas szaleńczo w niej zakochany - jak tylko może być zakochany szesnastolatek. Prawie zupełnie zapomniał o Nicole. Rosie sprawiała wrażenie rozbawionej raczej, niż żarliwie kochającej, lecz miała w sobie tyle życia, adorowała go, gdy był przy niej. W łóżku była jak ogień i nigdy niczego mu nie skąpiła. Tydzień po tym, jak zostali kochankami, kupiła mu kosztowny prezent: czerwoną kurtkę jeździecką, czapkę z czarnego zamszu i piękną skórzaną szpicrutę. Ofiarowała je trochę dla żartu.

Jak inni młodzi kochankowie, opowiedzieli sobie o swym życiu. Rosie wyznała, że jej rodzice posiadają ogromne ranczo w Południowej Dakocie i że spędziła dzieciństwo w ponurym mieście na Wielkich Równinach. W końcu wyrwała się stamtąd pod pretekstem chęci studiowania sztuki dramatycznej w Anglii. Lecz jej dzieciństwo nie było całkiem pozbawione urozmaiceń. Nauczyła się jeździć konno i na nartach oraz polować, a w szkole średniej brylowała w kółku dramatycznym i na korcie tenisowym.

Astorre otworzył przed nią swoje serce. Powiedział, jak bardzo pragnie zostać śpiewakiem, jak bardzo podoba mu się angielski sposób życia, średniowieczne instytucje, królewska pompa, mecze polo i polowania na lisa. Nigdy nie opowiedział jej jednak o swoim stryju don Raymonde Aprile ani o wizytach na Sycylii w dzieciństwie.

Rosie kazała mu włożyć strój łowiecki, a potem go rozebrała.

- Jesteś taki przystojny - powiedziała. - Może w poprzednim życiu byłeś angielskim lordem.

Rosie szczerze wierzyła w reinkarnację i było to jej jedyne zainteresowanie, które wzbudzało jego niepokój. Potem kochała się z nim i Astorre zapominał o bożym świecie. Równie szczęśliwy był chyba tylko na Sycylii.

Ale po prawie roku pan Pryor zaprowadził go do swego małego gabinetu i przekazał złe wieści. Miał na sobie luźne spodnie i wieśniaczy kaftan z dzianiny, a na głowie kraciastą czapkę z daszkiem, której cień skrywał jego oczy.

- Cieszymy się, że przebywasz z nami. Moja żona uwielbia twój śpiew. Ale teraz z żalem musimy się z tobą pożegnać. Don Raymonde polecił, byś wyjechał na Sycylię i zamieszkał z

jego dobrym znajomym Bianco. Musisz się tam nauczyć paru rzeczy. Don pragnie, żebyś wyrósł na Sycylijczyka. Wiesz, co to znaczy.

Astorre był wstrząśnięty tą wiadomością, ale nigdy nie wątpił w to, że musi okazać posłuszeństwo. I choć pragnął znowu znaleźć się na Sycylii, nie mógł znieść myśli, że już nigdy nie zobaczy Rosie.

- Czy mogę zatrzymać się u was, jeżeli będę raz w miesiącu przyjeżdżał do Londynu?
- zapytał.

- Obrazilbym się, gdybyś tego nie zrobił. Ale z jakiego powodu?

Astorre powiedział Pryorowi o Rosie, wyznał, że jest w niej zakochany.

- Rozumiem - odparł Pryor wzdychając z rozkoszą. - Masz wielkie szczęście, że rozstajesz się z kobietą, która cię kocha. To zachwycające. Jakże to biedne dziewczę będzie cierpieć. Ale jedź, nie martw się. Zostaw mi tylko jej nazwisko i adres, żebym mógł się nią opiekować.

Pożegnanie z Rosie było bardzo smutne. Astorre przysiągł, że co miesiąc będzie przylatywał do Londynu, żeby z nią pobyc. Ona przysięgała, że nie spojrzy na innego mężczyznę. Rozstawali się w obopólnym zachwycie. Astorre martwił się o nią. Jej wygląd, radosne usposobienie i uśmiech zachęcały do uwodzenia. Cechy, za które ją kochał, zawsze stanowiły niebezpieczeństwo. Dostrzegał je wielokrotnie, sądząc - jak każdy kochanek - że wszyscy mężczyźni na świecie muszą pożądać kobiety, którą kocha, że ich również musi pociągać jej uroda, dowcip i doskonały humor.

Nazajutrz siedział w samolocie do Palermo. Na lotnisku powitał go Bianco - tyle że gruntownie zmieniony. Ten wielki mężczyzna nosił teraz jedwabny garnitur od krawca i biały kapelusz z szerokim rondem. Ubierał się stosownie do swej pozycji, gdyż obecnie jego *cosca* rządziła w zniszczonym wojną Palermo prawie całą branżą budowlaną. Było to życie na wysokiej stopie, ale o wiele bardziej skomplikowane niż w dawnych czasach. Teraz musiał się opłacać wszystkim urzędnikom magistratu i ministerstwa w Rzymie oraz bronić swojego terytorium przed konkurencyjnymi *coscami*, takimi jak *cosca* potężnych Corleonesich.

Octavius Bianco wziął Astorre w objęcia i przypomniał o porwaniu sprzed lat, potem zaś przekazał mu polecenie don Raymonde. Astorre miał być szkolony na ochroniarza Bianco i uczyć się od niego zawierania transakcji. Trwałoby to co najmniej pięć lat, ale pod koniec tego okresu Astorre byłby prawdziwym Sycylijczykiem i tym samym człowiekiem godnym stryjowskiego zaufania. Miał ułatwiony start: dzięki swym wizytom w dzieciństwie posługiwał się sycylijskim dialektem niczym rdzenny mieszkaniec wyspy.

Bianco mieszkał w ogromnej willi tuż pod Palermo, ze służbą i plutonem stale czuwających strażników. Z uwagi na swoje bogactwo i wpływy był teraz w zażyłych stosunkach ze śmietanką towarzyską miasta. Za dnia Astorre szkolił się w strzelaniu i detonowaniu ładunków wybuchowych oraz w posługiwaniu się sznurem. Wieczorami Bianco zabierał go na spotkania z przyjaciółmi w ich domach i kawiarniach. Czasami uczestniczyli w

balach, na których Bianco był obiektem życzliwego zainteresowania wdów po bogatych konserwatystach, Astorre zaś śpiewał ich córkom subtelne pieśni miłosne.

Najbardziej zdumiewało go jawne przyjmowanie łapówek przez wysoko postawionych urzędników z Rzymu.

Pewnej niedzieli przybył do Palermo minister do spraw odbudowy kraju i ochoczo, bez cienia wstydu zabrał walizkę pełną pieniędzy, wylewnie dziękując Biancowi. Niemal przepaszająco wyjaśnił, że połowa jej zawartości musi trafić do samego premiera Włoch. Później, gdy Astorre i Bianco wrócili do domu, Astorre zapytał, czy to możliwe.

- Połowa nie, ale mam nadzieję, że przynajmniej część. To zaszczyt dać Jego Ekszelencji małe kieszonkowe.

Przez następny rok Astorre odwiedzał Rosie w Londynie, przylatując tam zaledwie na jeden dzień i zostając na noc. Były to dla niego noce rozkoszy.

Tego roku przeszedł również chrzest bojowy. Między Biankiem a *coscą* Corleonesich zawarty został rozejm. Przywódcą rodu Corleonesich był Tosci Limona. Limona, drobny, potwornie kaszlący mężczyzna, miał imponujący jastrzębi profil i głęboko osadzone oczy. Nawet Bianco mówił o nim z pewnym lękiem.

Spotkanie obydwu przywódców miało się odbyć na neutralnym gruncie, w obecności jednego z najwyższych rangą sędziów na Sycylii.

Ów sędzia, nazywany Lwem Palermeńskim, szczyił się swą sprzedajnością. Obniżał wyroki członkom mafii skazanym za morderstwa i blokował dochodzenia. Nie krył się ze swą przyjaźnią z szefami *coski* Corleonesich i Biankiem. Miał wielką posiadłość pod Palermo i właśnie tam miało odbyć się spotkanie; chodziło o zapobieżenie użyciu siły.

Przywódcy mogli przyprowadzić po czterech ochroniarzy. Złożyli się również na honorarium dla Lwa za zaaranżowanie spotkania, przewodniczenie mu i, oczywiście, wynajęcie domu.

Z potężną grzywą białych włosów, prawie całkowicie zasłaniającą twarz, sędzia wyglądał jak wcielenie budzącej szacunek znajomości prawa.

Astorre dowodził grupą ochroniarzy Bianca. Był pod wrażeniem miłości, jaką okazywali sobie ci dwaj mężczyźni. Mafiosi padli sobie w objęcia, całując się w policzki i wymieniając mocne serdeczne uściski dłoni. Potem śmiali się i szeptali do siebie podczas znakomitej kolacji, którą podał im sędzia.

Zdziwił się więc, gdy po przyjęciu, zostawszy sam na sam z Bianco, usłyszał:

- Musimy być bardzo ostrożni. Ten sukinsyn ma zamiar nas wszystkich pozabijać.

I okazało się, że Bianco miał rację.

Po upływie tygodnia opłacany przez niego inspektor policji został zamordowany, gdy wychodził z mieszkania swojej kochanki. Dwa tygodnie później jeden z członków miejscowej socjety, wspólnik Bianca w branży budowlanej, zginął z rąk zamaskowanych mężczyzn, którzy wtargnęli do jego domu i podziurawili go kulami.

W odpowiedzi Bianco zwiększył liczbę swych ochroniarzy i zadbał o to, by zabezpieczyć pojazdy, w których podróżował. Corleonesi słynęli z umiejętności podkładania ładunków wybuchowych. Poza tym Bianco trzymał się w pobliżu swej willi.

Nadszedł jednak dzień, w którym musiał pojechać do Palermo, żeby się rozliczyć z dwoma urzędnikami miejskimi wysokiej rangi. Postanowił zjeść przy okazji obiad w swojej ulubionej restauracji. Do podróży wybrał mercedesa i najlepszego kierowcę-ochroniarza. Astorre siedział razem z nim na tylnym fotelu. Przed i za nimi jechał samochód, w którym oprócz kierowcy znajdowało się dwóch uzbrojonych ludzi.

Jechali szerokim bulwarem, gdy nagle z bocznej ulicy wypadł z warkotem motocykl z dwoma mężczyznami. Jego pasażer posłał serię w kierunku mercedesa, ale Astorre zdążył już zepchnąć Bianca na podłogę, a potem, gdy motocyklista odjeżdżał, odpowiedział ogniem. Motocykl zniknął w drugiej przecznicy.

Trzy tygodnie później, pod osłoną nocy, schwytano i przywieziono do willi Bianca pięciu mężczyzn. Zostali związani i ukryci w piwnicy.

- To Corleonesi - wyjaśnił Bianco bratankowi dona. - Zejdź ze mną do piwnicy.

Mężczyźni leżeli związani w stary, wiejski sposób, sczepieni ze sobą kończynami. Nad nimi stali uzbrojeni strażnicy. Bianco wziął karabin jednego z nich i nie mówiąc ani słowa strzelił wszystkim pięciu więźniom w potylicę.

- Wyrzucicie ich ciała na ulice Palermo - rozkazał, po czym odwrócił się do Astorre. - Gdy już zdecydujesz się zabić jakiegoś człowieka, nigdy z nim nie rozmawiaj. Taka rozmowa sprawia, że sytuacja jest żenująca dla was obu.

- To oni strzelali z motocykla?

- Nie, ale odegrają swoją rolę.

Tak też się stało. Odtąd między palermeńską *coscą* Bianca a Corleonesimi zapanował pokój.

Przez prawie dwa miesiące Astorre nie latał do Londynu. Pewnego dnia Rosie zadzwoniła do niego wcześniej rano. Dał jej numer swojego telefonu, zastrzegając, by korzystała zeń tylko w nagłych wypadkach.

- Astorre - powiedziała bardzo spokojnym głosem. - Czy możesz natychmiast przylecieć? Jestem w okropnych tarapatach.

- Powiedz mi, o co chodzi.

- Nie mogę przez telefon. Ale jeżeli naprawdę mnie kochasz, to przyjedziesz.

Gdy Astorre poprosił Bianca o pozwolenie na wyjazd, ten rzekł:

- Weź pieniądze - i dał mu gruby plik angielskich funtów.

Kiedy znalazł się przed jej mieszkaniem, Rosie szybko wpuściła go do środka, a potem starannie zamknęła drzwi. Miała trupio bladą twarz i była okutana w gruby płaszcz kąpielowy, którego nigdy wcześniej nie widział. Pocałowała go szybko, z wdzięcznością.

- Będziesz się na mnie gniewał - powiedziała smutnym głosem.

W tym momencie Astorre pomyślał, że pewnie jest w ciąży, i szybko odrzekł:

- Kochanie, ja nie potrafię gniewać się na ciebie.

Rosie trzymała go mocno w ramionach.

- Wyjechałeś ponad rok temu. Tak bardzo starałam się być wierna. Ale upłynęło tyle czasu.

Nagle myśli Astorre stały się jasne, lodowate. Znowu miał do czynienia ze zdradą. Ale było coś jeszcze. Dlaczego Rosie chciała, by tak się spieszył z przyjazdem?

- W porządku - rzekł. - Po co mnie tu ściągnęłaś?

- Musisz mi pomóc - odparła i wprowadziła go do sypialni.

Coś leżało na łóżku. Astorre ściągnął prześcieradło i ujrzał leżącego na wznak mężczyznę w średnim wieku; był zupełnie nagi, wyglądał jednak dostojnie. Częściowo dzięki małej siwej koziej bródce albo raczej dzięki delikatnym rysom twarzy. Miał otwarte oczy. Jego ciało było szczupłe, a pierś porośnięta gęstymi włosami; co najdziwniejsze, na nosie nieboszczyka spoczywały okulary w złotych oprawkach. Były przekrzywione i Astorre wyciągnął rękę, by je wyprostować.

- Kochaliśmy się i nagle dostał strasznych spazmów. Pewnie miał zawał - wyjaśniła szeptem Rosie.

- Kiedy to się stało?

- Zeszłej nocy.

- Czemu po prostu nie wezwałaś pogotowia? Przecież to nie była twoja wina.

- Ma żonę, a ja chyba nie jestem bez winy. Zażyliśmy azotyn amylu. Miał kłopoty z orgazmem. - Rosie powiedziała to bez cienia zażenowania.

Astorre był szczerze zdumiony jej opanowaniem. Patrząc na zwłoki miał dziwne uczucie, że powinien ubrać mężczyznę i zdjąć mu okulary. Nieboszczyk miał za dużo lat, co najmniej pięćdziesiąt, by leżeć nago - wydawało się to niestosowne.

- Co ty w nim widziałaś? - zapytał bez złośliwości, z młodzieńczym niedowierzaniem.

- Był moim wykładowcą historii - odparła Rosie. - Przemitym i bardzo dobrym. To nie było zaplanowane. Spotkaliśmy się dopiero drugi raz. Byłam taka samotna. - Zawahała się przez chwilę, po czym patrząc mu prosto w oczy powiedziała: - Musisz mi pomóc.

- Ktoś wie o tym, że się z tobą spotykał?

- Nie.

- Nadal uważam, że powinniśmy zadzwonić na policję.

- Nie. Jeżeli się boisz, sama się tym zajmę.

- Ubierz się - powiedział Astorre ze srogą miną i z powrotem naciągnął prześcieradło na nieboszczyka.

Godzinę później byli w domu Pryorów; gospodarz osobiście otworzył im drzwi. Bez słowa zaprowadził oboje do gabinetu i wysłuchał ich opowieści. Do Rosie odnosił się bardzo

życzliwie i dla pocieszenia pogładził ją po ręce. W tym momencie dziewczyna wybuchnęła płaczem. Pryor zdjął czapkę i aż cmoknął ze współczuciem.

- Daj mi klucze do swojego mieszkania. Na noc zostań tutaj. Jutro możesz wrócić do domu. Wszystko będzie w porządku. Twój przyjaciel zniknie. Zostaniesz w Londynie jeszcze przez tydzień, po czym wrócisz do Ameryki.

Pryor zaprowadził gości do ich sypialni, jak gdyby zakładał, że nie stało się nic, co mogłoby zaszkodzić romansowi młodych ludzi, i zostawił tam, a sam poszedł zająć się sprawą.

Astorre nigdy nie zapomniał tamtej nocy. Leżał na łóżku z Rosie, pocieszając ją i ocierając łzy.

- Spotkaliśmy się dopiero drugi raz - wyjaśniła szeptem. - To nic nie znaczyło, a my byliśmy tak serdecznymi przyjaciółmi. Tęskniłam za tobą. Jego podziwiałam za umysł, no i pewnego wieczora to się po prostu stało. Nie mógł dojść. Z przykrością to mówię, ale nawet z erekcją miał problemy, więc poprosił o azotyn.

Rosie sprawiała wrażenie tak bezbronnej, boleśnie zranionej i załamanej swoim nieszczęściem, że Astorre mógł ją jedynie pocieszać. Nie potrafił jednak wyzbyć się jednej myśli: że do jego przyjazdu przez ponad dobę przebywała w mieszkaniu z nieboszczykiem. Stanowiło to dla niego zagadkę, skoro zaś była jedna zagadka, mogły być również inne. Mimo to nadal ocierał łzy Rosie i całował ją w policzki, by dodać jej otuchy.

- Czy zobaczę cię jeszcze kiedyś? - zapytała, wtulając twarz w jego ramiona, sprawiając, że czuł miękkość jej ciała.

- Oczywiście - odpowiedział, ale w głębi duszy nie był tego taki pewien.

Nazajutrz rano zjawił się Pryor i powiedział Rosie, że może wrócić do swojego mieszkania. Dziewczyna z wdzięcznością wzięła go w objęcia, a on serdecznie odwzajemnił uścisk. Sprowadził dla niej samochód.

Gdy odjechała, pan Pryor, nienagannie prezentujący się w meloniku i z parasolem, zawiózł Astorre na lotnisko.

- Nie martw się o nią - rzekł. - Wszystkim się zajmiemy.

- Proszę mnie informować.

- Oczywiście. To wspaiała dziewczyna, kobieta z mafii rodem. Musisz jej wybaczyć to drobne potknięcie.

Rozdział 8

Przez lata spędzone na Sycylii Astorre był fachowo szkolony. Dowodził nawet wyprawą grupy sześciu członków *coski* Bianca do samego Corleone w celu wykonania wyroku na głównym bombardierze Corleonesich; człowiek ten uśmiercił generała włoskiej armii oraz dwóch najzdolniejszych sędziów walczących z mafią na wyspie. Był to śmiały napad, który ugruntował reputację Astorre na wyższych szczeblach palermeńskiej *coski*, dowodzonej przez Bianca.

Astorre prowadził również aktywne życie towarzyskie, bywał w kawiarniach i nocnych klubach Palermo - przeważnie po to, by poznawać piękne kobiety. W Palermo pełno było młodych *picciottich*, czyli mafijnych piechurów z różnych *cosc*; wszyscy podkreślali swoją męskość, wszyscy dbali o to, by zrobić wspaniałe wrażenie szytymi na miarę garniturami, wymanikiurowanymi paznokciami i włosami przylizanymi do tyłu, niczym skóra. Wszyscy liczyli na to, że się wyróżnią - będą wzbudzać strach i miłość. Najmłodszy byli nastolatkami o wargach czerwonych jak koral, popisującymi się starannie wypielegnowanymi wąsami. Drugiemu mężczyźnie nie ustępowali nawet na centymetr i Astorre trzymał się od nich z daleka. Lekkoomyślnie zabijali nawet wysokich rangą ludzi ze swego świata i tym samym skazywali się na niemal natychmiastową śmierć. Zabicie innego członka mafii było bowiem traktowane tak samo, jak uwiedzenie jego żony i karane śmiercią. Żeby im pochlebić, Astorre zawsze okazywał tym *picciottim* uprzejmość i szacunek. I cieszył się u nich mirem. Pomógł fakt, że na wpół zakochał się w tancerce imieniem Buji i w ten sposób uniknął ich nieżyczliwości w sprawach sercowych.

Astorre przez kilka lat działał jako prawa ręka Bianca przeciwko *cosce* Corleonesich. Co jakiś czas otrzymywał instrukcje od don Aprilego, który zaprzestał już swych wizyt na Sycylii.

Wielką kością niezgody pomiędzy *coscą* Corleonesich a *coscą* Bianca była kwestia długofalowej strategii. Corleonesi zdecydowali się na terror wymierzony przeciwko władzom. Mordowali sędziów śledczych i urządzali zamachy bombowe na generałów wysłanych na wyspę w celu poskromienia mafii. Bianco uważał, że mimo pewnych doraźnych korzyści terror jest na dłuższą metę szkodliwy. Lecz efektem zastrzeżeń Bianca była śmierć jego

przyjaciół. Zastosował środki odwetowe. W pewnym momencie rzeź przybrała takie rozmiary, że obie strony znowu zapragnęły zawieszenia broni.

W ciągu kilku lat spędzonych na Sycylii Astorre zaprzyjaźnił się blisko z jednym człowiekiem. Nello Sparra był od niego pięć lat starszy i grał w orkiestrze palermeńskiego nocnego klubu, w którym pracowały bardzo ładne hostessy; część z nich pełniła obowiązki ekskluzywnych prostytutek.

Nello nie narzekał na brak pieniędzy - wydawało się, że ma różne źródła dochodu. Ubierał się wspaniale - w stylu palermeńskiego mafiosa. Był pełen wigoru i stale gotów do ryzykownych przedsięwzięć. Dziewczyny w klubie bardzo go lubiły, ponieważ dawał im drobne prezenty na urodziny i z okazji świąt. Lubily go także dlatego, że podejrzewały, iż jest jednym z cichych właścicieli klubu, który dzięki ścisłej ochronie *coski* z Palermo, kontrolującej wszelkie rozrywki w prowincji, był przyjemnym i bezpiecznym miejscem pracy. Dziewczyny z największą radością towarzyszyły Nelli i Astorre na prywatnych przyjęciach i w wypadach za miasto.

Buji była wysoką, atrakcyjną i zmysłową brunetką, która tańczyła w klubie Nello Sparry. Słynęła z temperamentu i niezależności w doborze kochanków. Nigdy nie zachęcała żadnego *picciotto*. Mężczyźni, którzy zabiegali o jej względy, musieli mieć pieniądze i władzę. Słynęła z jawnego, typowego dla członków mafii wyrachowania. Wymagała kosztownych prezentów, lecz jej uroda i gorliwość sprawiały, że palermeńscy bogacze chętnie zaspokajali jej potrzeby.

W ciągu tych lat Astorre i Buji stworzyli związek niebezpiecznie bliski prawdziwej miłości. Astorre był jej ulubieńcem, nie wahała się jednak opuszczać go dla szczególnie korzystnego weekendu z bogatym biznesmenem z Palermo. Gdy zrobiła to po raz pierwszy, Astorre próbował czynić jej wyrzuty, ale Buji wprawiła go w zakłopotanie swą zdroworozsądkową argumentacją.

- Mam dwadzieścia jeden lat - powiedziała. - Uroda to mój kapitał. Po trzydziestce mogę być gospodynią domową z gromadką dzieci albo zyskać niezależność finansową dzięki własnemu sklepikowi. Pewnie, że dobrze się bawimy, ale ty wrócisz do Ameryki, dokąd ja nie chcę wyjeżdżać - i dokąd ty nie chcesz mnie zabrać. Spędzajmy przyjemnie czas, jak wolni ludzie. Mimo wszystko, zanim się tobą zmęcę, otrzymasz to, co mam najlepszego. Więc przestań pleść bzdury. Muszę zarabiać na życie. - Potem figlarnie dodała: - A w dodatku, masz zbyt niebezpieczny fach, bym mogła na ciebie liczyć.

Nello posiadał ogromną willę na wybrzeżu pod Palermo. Wyposażona w dziesięć sypialń, z łatwością mieściła gości wydawanych przez nich przyjęć. Na terenie posiadłości znajdował się basen pływacki w kształcie Sycylii oraz dwa rzadko wykorzystywane korty ziemne.

W weekendy willa zapełniała się krewniakami Nella, przyjeżdżającymi w odwiedziny z okolicy. Dzieci, które nie pływały, zamykano na kortach z zabawkami i starymi rakietami.

Zamiast odbijać żółte piłki tenisowe, chłopcy kopali je i w końcu był nimi usłany cały kort. Wyglądały niczym małe żółte ptaki.

Astorre został włączony do życia tej rodziny i zaakceptowany jako ukochany bratanek. Nello stał się dla niego prawie bratem. Wieczorami zapraszał go nawet na klubową estradę i razem śpiewali włoskie ballady miłosne. Publiczność entuzjastycznie wiwatowała na ich cześć, ku zachwytowi hostess.

Lew Palermeński, wyjątkowo sprzedajny sędzia, znowu zaproponował swój dom na miejsce spotkania Bianca z Limoną. I znowu każdy z nich mógł przyprowadzić ze sobą czterech ochroniarzy. Bianco był nawet skłonny zrezygnować z małej części swojego budowlanego imperium, żeby zawrzeć pokój.

Astorre nie ryzykował. On i trzej jego ochroniarze uzbroili się po zęby.

Limona czekał już ze swą siostrą w domu sędziego, gdy Bianco, Astorre i ochroniarze przybyli na miejsce spotkania. Sędzia przygotował wystawną kolację. Do posiłku zasiadł tylko on - z białą grzywą związaną różową wstążką - oraz Bianco i Limona. Limona jadł bardzo mało, ale był niezwykle uprzejmy i chłonał słowa Bianca, w których ten wyrażał swoje przywiązanie. Obiecał, że nie będzie już więcej zamachów na urzędników, zwłaszcza tych siedzących w kieszeni szefa palermeńskiej *coski*.

Pod koniec kolacji, gdy przygotowywali się do przejścia do salonu na ostateczną rozmowę, sędzia przeprosił mówiąc, że wróci za pięć minut. Uczynił to z błagalnym uśmiechem, dzięki któremu zrozumieli, że odpowiada na wezwanie natury.

Limona otworzył jeszcze jedną butelkę wina i napełnił nim kieliszek rywala. Astorre podszedł do okna i spojrzał na szeroki podjazd. Czekał na nim samochód. W tym samym momencie przed domem pojawiła się wielka siwa głowa Lwa Palermeńskiego. Sędzia wszedł do samochodu, który szybko odjechał.

Astorre nie wahał się ani chwili. Natychmiast skojarzył wszystko ze sobą. Nie namyślając się nawet chwycił za pistolet. Limona i Bianco, objęci, popijali wino z kieliszków. Astorre zbliżył się do nich, uniósł broń i strzelił Limonie w twarz. Zanim kula wpadła do ust mafiosa, trafiła w kieliszek i odłamki szkła rozprysły się na stole, niczym diamenty. Astorre natychmiast zwrócił pistolet w stronę czterech ochroniarzy Limony i zaczął strzelać. Jego ludzie także otworzyli ogień. Ciała gangsterów osunęły się na podłogę.

Bianco popatrzył na niego oniemiały.

- Sędzia opuścił willę - rzekł Astorre i Bianco natychmiast zrozumiał, że zastawiono na nich pułapkę.

- Musisz być ostrożny - powiedział wskazując na zwłoki Limony. - Jego przyjaciele będą cię ścigać.

Człowiek zawzięty może być lojalny, ale niełatwo mu uniknąć kłopotów. Sprawdziło się to w przypadku Pietro Fissoliniego. Po wyjątkowym okazaniu mu litości, czego doświadczył od don Raymonde, Fissolini nigdy go nie zdradził, zdradził natomiast własną rodzinę. Uwiódł żonę swojego bratanka Aldo Monza. Stało się to wiele lat po złożeniu obietnicy don Aprilemu, gdy miał już sześćdziesiąt lat.

Postąpił wyjątkowo nieroztropnie. Kiedy uwiódł żonę bratanka, podkopał swoje przywództwo w *cosce*, żeby bowiem zachować władzę w oddzielnych mafijnych grupkach, trzeba stawiać rodzinę na pierwszym miejscu. Sytuację jeszcze bardziej pogarszał fakt, że uwiedziona żona była siostrzenicą Bianca. Bianco nie pozwoliłby na zemstę męża na swej siostrzenicy. Mąż musiał zatem zabić Fissoliniego, swojego ulubionego stryja i przywódcę *coski*. Dwie prowincje wdałyby się w krwawą walkę, ona zaś zdziesiątkowałaby ludność okolicy. Astorre wysłał wiadomość do stryja, prosząc o wskazówki.

Odpowiedź brzmiała: „Już raz go uratowałeś. Teraz znowu musisz podjąć decyzję”.

Aldo Monza był jednym z najbardziej cenionych członków *coski* i całej mafijnej Rodziny. Zaliczał się do grona ludzi, którym don Aprile przed wielu laty darował życie. Kiedy więc Astorre wezwał go do miasteczka, chętnie przyjechał. Viola nie dopuścił do udziału Bianca w rozmowie, zapewniwszy, że ochroni jego siostrzenicę.

Monza był, jak na Sycylijczyka, wysoki, liczył prawie sześć stóp wzrostu. Wspaniale zbudowany, miał ciało ukształtowane ciężką pracą od najwcześniejszych lat. Lecz jego oczy były zapadnięte, a twarz pokryta skórą tak napiętą, że głowa przypominała czaszkę. Wyglądał przez to szczególnie nieatrakcyjnie i groźnie - oraz, w pewnym sensie, tragicznie. Monza był najinteligentniejszym i najlepiej wykształconym członkiem *coski* Fissoliniego. Kiedyś studiował weterynarię w Palermo i zawsze nosił z sobą torbę lekarską. Miał wrodzoną sympatię dla zwierząt i nigdy nie brakowało mu zleceń. Mimo to sycylijskiego kodeksu honorowego przestrzegał zawzięcie, jak każdy chłop. Obok Fissoliniego był najbardziej wpływowym człowiekiem w *cosce*.

Astorre podjął decyzję.

- Nie przybyłem tu, żeby błagać o darowanie życia Fissoliniemu. Rozumiem, że twoja *cosca* zgodziła się na to, byś się zemścił. Rozumiem twoje rozgoryczenie. Ale jestem tu, żeby wstawić się za matką twoich dzieci.

Monza spojrzał na niego.

- Zdradziła. Mnie i moje dzieci. Musi umrzeć.

- Posłuchaj - rzekł Astorre. - Nikt nie będzie starał się zemścić za Fissoliniego. Ale ta kobieta jest siostrzenicą Bianca. On będzie próbował zemścić się za jej śmierć. Jego *cosca* jest silniejsza. Wybuchnie krwawa wojna. Pomyśl o swoich dzieciach.

Monza machnął pogardliwie ręką.

- Kto wie, czy one w ogóle są moje? To przecież dziwka. - Zawahał się. - I jak dziwka umrze. - Jego twarz zajaśniała trupim blaskiem. To już nie była tylko furia. Monza pragnął unicestwić cały świat.

Astorre próbował sobie wyobrazić życie tego człowieka w rodzinnej wiosce po utracie żony i naruszeniu jego godności przez nią i stryja.

- Posłuchaj mnie bardzo uważnie - rzekł. - Przed laty don Aprile darował wam życie. Teraz prosi o przysługę. Zemścij się na Fissolinim. Wiemy, że musisz to zrobić. Ale oszczędź swą żonę, a Bianco załatwi, że razem z dziećmi wyjedzie do krewnych w Brazylii. Jeśli zaś chodzi o ciebie, to proponuję, za zgodą don Aprilego, byś pojechał ze mną do Stanów jako mój osobisty asystent, mój przyjaciel. Będziesz prowadził wspaniałe i ciekawe życie. I oszczędzisz sobie wstydu związanego z mieszkaniem w swojej wiosce. Poza tym uchronisz się przed zemstą przyjaciół Fissoliniego.

Spodobało mu się, że Aldo Monza nie okazał żadnym gestem gniewu ani zaskoczenia. Mafioso przez pięć minut zastanawiał się w milczeniu, po czym zapytał:

- Czy nadal będziecie opłacać *coscę* moich krewnych? Mój brat stanie na ich czele.

- Oczywiście. Są dla nas cenni.

- W takim razie, gdy już zabiję Fissoliniego, pojedę z tobą. Ale ani ty, ani Bianco nie możecie się wtrącać. A moja żona nie pojedzie do Brazylii, dopóki nie zobaczy zwłok mojego stryja.

- Zgoda - powiedział Astorre. Poczul gwałtowny żal na wspomnienie radosnej twarzy Fissoliniego i jego szelmowskiego uśmiechu. - Kiedy się to stanie?

- W niedzielę - odparł Monza. - W poniedziałek stawię się u ciebie. I niech Bóg smaży Sycylię i moją żonę w tysiącu wiecznych piekieł.

- Pojadę z tobą do twojej wsi. Wezmę twoją żonę w opiekę. Boję się, że możesz nie zapanować nad sobą.

Monza wzruszył ramionami.

- Nie mogę pozwolić, by o moim losie decydowało to, co kobieta wsadza sobie do pochwy.

Członkowie *coski* Fissoliniego spotkali się w niedzielę wczesnym ranem. Bratankowie, siostrzeńcy i zięciowie Monzy musieli zdecydować, czy mają zabić jeszcze młodszego brata Fissoliniego, aby uniknąć jego zemsty. Brat musiał wiedzieć o uwiedzeniu i nie mówiąc o nim, usprawiedliwił je. Astorre nie uczestniczył w tej dyskusji. Po prostu dał wyraźnie do zrozumienia, że żonie i dzieciom Monzy nie może stać się krzywda. Lecz surowość, z jaką ci ludzie traktowali postępek, który jemu nie wydawał się aż tak poważnym przewinieniem, mroziła mu krew w żyłach. Teraz dopiero zdał sobie sprawę, jak łagodnie potraktował go stryj.

Rozumiał, że nie chodziło tu tylko o seks. Gdy żona zdradza męża z kochankiem, wpuszcza w mury *coski* potencjalnego konia trojańskiego. Może ujawnić tajemnice i osłabić fortyfikacje; daje kochankowi władzę nad rodziną swego męża. Jest szpiegiem wojennym. Miłość nie stanowi usprawiedliwienia dla takiej zdrady.

Tak więc członkowie *coski* zgromadzili się w niedzielny rano na śniadaniu w domu Aldo Monzy. Potem kobiety poszły z dziećmi na mszę. Trzej członkowie *coski* zabrali brata Fissoliniego na pola - i spotkanie ze śmiercią. Pozostali słuchali, jak Fissolini zabawia zebranych wokół członków swej *coski*. Tylko Aldo Monza nie śmiał się z jego żartów. Astorre jako gość honorowy siedział obok Fissoliniego.

- Aldo - rzekł ten do swego bratanka z łobuzerskim uśmiechem - stałeś się taki zgorzkniały, na jakiego wyglądasz.

Monza spojrział na stryja.

- Nie mogę być taki radosny jak ty, stryju. Przecież nie sypiam z twoją żoną, prawda?

W tym samym momencie trzej członkowie *coski* chwycili Fissoliniego i przytrzymali na krześle. Monza wszedł do kuchni i wrócił stamtąd z torbą z instrumentami weterynaryjnymi.

- Stryju, nauczę cię tego, o czym zapomniałeś.

Astorre odwrócił głowę.

W jaskrawym słońcu niedzielnego rana, polną drogą prowadzącą do słynnego kościoła Błogosławionej Marii Panny, powoli cwałował wielki biały koń. Na tym koniu siedział Fissolini. Był przywiązany drutem do siodła i wsparty plecami o ogromny drewniany krucyfiks. Sprawiał wrażenie żywego, lecz na jego głowie, niczym cierniowa korona, spoczywało gniazdo z gałązek, wypełnione trawą tworzącą wzgórek, na tym gnieździe zaś leżały jego członek i jądra. Po czole mafiosa płynęły wąskie strużki krwi.

Aldo Monza i jego piękna żona przyglądali się temu ze schodów kościoła. Ona zaczęła kreślić znak krzyża, ale Monza gwałtownie ściągnął jej rękę w dół i przytrzymał głowę, by wszystko widziała. Potem pchnął ją na drogę za trupem kochanka.

Astorre poszedł za nią i zaprowadził do swojego samochodu, żeby zabrać ją do Palermo i uchronić przed zemstą.

Monza zrobił ruch ku niemu i kobiecie, twarz miał ściągniętą nienawiścią. Astorre spojrział na niego w milczeniu i ostrzegawczo uniósł palec. Aldo pozwolił im odjechać.

Sześć miesięcy po zabiciu Limony Nello zaprosił Astorre na weekend do swojej willi. Mieli grać w tenisa i kąpać się w morzu, delektować wspaniałym smakiem miejscowych ryb i spędzać czas w towarzystwie dwóch najładniejszych tancerek z klubu, Buji i Stelli. W willi zaś miało nie być krewniaków Nella, wybierali się bowiem na wielkie rodzinne wesele na wsi.

Była piękna sycylijska pogoda, ze słońcem zasnutym w ów osobliwy sposób chmurami, które czyniły upał znośnym i tworzyły z nieba niesamowite sklepienie. Astorre i Nello grali w tenisa z dziewczynami, które nigdy wcześniej nie trzymały w ręku rakiety, lecz uderzały mocno i raz za razem posyłały piłki za ogrodzenie. W końcu Nello zaproponował, by poszli pospacerować po plaży i popływać.

Pięciu ochroniarzy spędzało przyjemnie czas na werandzie, służący przynosili im drinki i jedzenie. Nie osłabiło to jednak ich czujności, chociaż z przyjemnością przyglądali się gibkim ciałom kobiet w strojach kąpielowych i zastanawiali, która jest lepsza w łóżku. Wszyscy się zgodzili, że Buji, której ożywiony głos i śpiew świadczyły o większej pobudliwości. W dobrych humorach przygotowywali się do spaceru po plaży, podwijali nawet nogawki spodni. Lecz Astorre powstrzymał ich ruchem ręki i rzekł:

- Będziemy na widoku. Napijcie się spokojnie.

We czwórkę spacerowali po plaży niemal przy linii wody - Astorre i Nello z przodu, a kobiety za nimi. Gdy Buji i Stella przeszły pięćdziesiąt metrów, zaczęły ściągać stroje kąpielowe. Buji zdjęła ramiączka i dłońmi osłoniła nagie piersi przed słońcem.

Całą czwórką skoczyli między łagodne i perliste fale. Nello był znakomitym pływakiem. Zanurkował i wypłynął między nogami Stelli, tak że gdy wstał, siedziała mu na ramionach.

- Chodźcie! - zawołał do Astorre i ten z wysiłkiem ruszył do miejsca, w którym mógłby popływać; Buji trzymała się go od tyłu. Wepchnął ją pod wodę, zanurzając się razem z nią, ale ona, zamiast się przestraszyć, próbowała ściągnąć mu spodni.

Pod wodą poczuł pulsowanie w uszach. Jednocześnie ujrzał białe piersi kochanki zawieszona w zielonej wodzie i jej roześmianą twarz. Po chwili pulsowanie przerodziło się w warkot i Astorre wypłynął na powierzchnię z Buji trzymającą się kurczowo jego nagich bioder.

Najpierw ujrzał płynącą ku sobie z rykiem motorówkę; jej silnik wył niczym burza, wprawiająca w wir powietrze i wodę. Nello i Stella stali na plaży. Jakim cudem dotarli tam tak szybko? W oddali widział, jak jego ochroniarze, z podwiniętymi nogawkami, zaczynają biec w stronę morza. Pchnął Buji pod wodę i próbował przejść w bród do plaży, było już jednak za późno. Motorówka znajdowała się bardzo blisko, dostrzegł mężczyznę starannie mierzącego z karabinu. Ryk silnika stłumił odgłosy strzałów.

Pierwsza kula obróciła go tak, że stał się łatwym celem dla snajpera. Wydawało się, że wyskoczył z wody, a potem runął pod powierzchnię. Słyszał, że łódź się oddala, a potem poczuł, że Buji szarpie go, wlecze i próbuje wynieść na brzeg.

Gdy nadbiegli ochroniarze, Astorre leżał w płytkiej wodzie, twarzą w dół, z kulą w szyi, a Buji płakała u jego boku.

Wylizanie się z ran zajęło mu cztery miesiące. Bianco kazał go ukryć w małym prywatnym szpitalu w Palermo, gdzie Astorre mógł być strzeżony i leczony przez najlepszych specjalistów. Odwiedzał go codziennie. Buji przychodziła w dni wolne od pracy w klubie.

I właśnie pod koniec pobytu Violi w szpitalu przyniosła mu szeroki złoty łańcuch, z którego zwisał złoty krążek z wrytym wizerunkiem Matki Boskiej. Zawiesiła go na szyi kochanka i umieściła medalion nad blizną. Krążek został od spodu powleczony klejem, dzięki któremu lepił się do skóry. Był nie większy od srebrnej jednodolarówki, ale zakrywał bliznę i wyglądał jak ozdoba. Ale nie przypominał damskiej biżuterii.

- To załatwia sprawę - powiedziała czule. - Nie mogłabym znieść tego widoku. - Pocałowała go delikatnie.

- Wystarczy, byś raz dziennie zmywał klej - rzekł Bianco.

- Ktoś, kto potrzebuje złota, poderżnie mi gardło - zauważył ironicznie Astorre. - Czy to potrzebne?

- Tak - rzekł Bianco. - Człowiek honoru nie może paradować z raną zadaną przez wroga. Poza tym Buji ma rację. Nikt nie zniesie widoku tej blizny.

Jedyną rzeczą, która zapisała się w pamięci Astorre, było to, że Bianco nazwał go człowiekiem honoru. Octavius Bianco, ów mafioso doskonały, wyświadczył mu ten zaszczyt. Zaskoczył go i mu pochlebił.

Po wyjeździe Buji - na weekend z najbogatszym handlarzem winem w Palermo - Bianco podstawił bratankowi don Aprilego lustro. Złoty łańcuch był pięknie wykonany. Madonna, pomyślał Astorre, jest obecna na całej wyspie - w przydrożnych kapliczkach, w samochodach i domach, na dziecięcych zabawkach.

- Dlaczego Sycylijczycy czczą Madonnę, a nie Chrystusa? - zapytał gangstera.

Bianco wzruszył ramionami.

- Jezus był, mimo wszystko, mężczyzną, więc nie można mu w pełni ufać. Tak czy owak, zapomnij o tym wszystkim. Skończone. Zanim wrócisz do Ameryki, spędzisz rok u pana Pryora w Londynie, ucząc się bankowości. To rozkazy twojego stryja. I jeszcze jedno. Nello musi zginąć.

Astorre wielokrotnie rozmyślał o całym zdarzeniu i wiedział, że Nello jest winny. Ale co go do tego skłoniło? Tak długo się przyjaźnili, i była to prawdziwa przyjaźń. Potem jednak piątka Corleonesich straciła życie. Nello musiał być jakoś związany z ich *coscą* i nie miał wyboru.

O jego winie świadczył także fakt, że ani razu nie próbował odwiedzić Astorre w szpitalu. I rzeczywiście, Nello zniknął z Palermo. Przestał grywać w klubie. Mimo to Astorre miał nadzieję, że się myli.

- Jesteś pewien, że to Nello? Był moim najserdeczniejszym przyjacielem.

- A kogo innego mogli użyć? Twojego najzacieklejszego wroga? Jasne, że przyjaciela. W każdym razie jako człowiek honoru będziesz musiał ukarać go osobiście, więc kuruj się.

Podczas następnej wizyty Bianca Viola rzekł:

- Nie mamy dowodów przeciwko Nello. Niech sprawa przycichnie. Zawrzyj pokój z Corleonesimi. Niech się rozejdzie wieść, że zmarłem wskutek odniesionych ran.

Początkowo Bianco zawzięcie oponował, potem jednak uznał, że rada jest rozsądna, a Astorre przebiegły. Mógłby dzięki temu zawrzeć pokój z Corleonesimi i wyrównać rachunki. Jeśli chodzi o Nella, to był on jedynie pionkiem, nie wartym trudu zabijania. Na razie.

Załatwienie wszystkich spraw trwało tydzień. Astorre miał wrócić do Stanów Zjednoczonych przez Londyn, po przeszkoleniu u Pryora. Bianco powiedział mu, że Aldo Monza zostanie wysłany do Ameryki bezpośrednio. Zatrzyma się u don Aprilego i będzie czekał w Nowym Jorku.

Astorre spędził w Londynie rok. Było to pouczające doświadczenie.

W swoim gabinecie, przy dzbanie wina z cytryną, Pryor wyjaśnił, że don Aprile ma wobec Astorre niezwykle zamiary. Że jego pobyt na Sycylii stanowił fragment wyraźnego planu przygotowań do pewnej ważnej roli.

Astorre zapytał Pryora o Rosie. Stale o niej pamiętał - o jej wdzięku, szczerzej radości życia i szczodrości we wszystkim, z Kochaniem się włącznie. Tęsknił za nią.

Pan Pryor uniósł brwi i rzekł:

- Ten mafioso w spódnicy? Wiedziałem, że o niej nie zapomnisz.

- Wie pan, gdzie ona jest?

- Oczywiście - odparł Pryor. - W Nowym Jorku.

- Myślałem o niej. Ostatecznie, wyjechałem na długo, a ona była bardzo młoda. To naturalne, co się stało. Miałem nadzieję, że znowu ją zobaczę.

- Z pewnością. Czemu miałbyś nie zobaczyć? Po kolacji udzielię ci wszelkich potrzebnych informacji.

Tak więc późnym wieczorem Astorre otrzymał w gabinecie swego gospodarza wyczerpujący raport na temat Rosie. Pan Pryor odtworzył nagrania jej rozmów telefonicznych, stanowiące dowód, że w swoim mieszkaniu spotykała się z różnymi mężczyznami. Taśmy te wyraźnie świadczyły o tym, iż utrzymywała z nimi intymne kontakty, a oni dawali jej kosztowne prezenty i pieniądze. Astorre był zaszokowany, słysząc, jak Rosie posługuje się środkami - jak sądził - przeznaczonymi tylko dla niego: donośnym śmiechem oraz dowcipnymi i czułymi żartami. Była niezwykle czarująca, nigdy grubiańska lub wulgarna. Sprawiała wrażenie licealistki wychodzącej na potańcówkę. Jej niewinność była dziełem geniusza.

Pryor spod czapki nisko nasuniętej na czoło obserwował ukradkiem rozmówcę.

- Jest bardzo dobra, prawda? - zauważył Astorre.

- Wrodzony talent.

- Czy te taśmy zostały nagrane w czasie, gdy z nią chodziłem?

Pryor machnął lekceważąco ręką.

- Tak. Miałem obowiązek cię chronić.

- I nic mi pan nie powiedział?

- Byłeś szaleńczo zakochany. Czemu miałbym ci psuć przyjemność? Rosie nie była zachłanna, dobrze cię traktowała. Sam byłem kiedyś młody i wierz mi, w miłości prawda nie ma znaczenia. A ona, mimo wszystko, jest cudowną dziewczyną.

- Pierwszorzędną call-girl - z goryczą niemal stwierdził Astorre.

- Niezupełnie. Musiała umieć radzić sobie w życiu. Mając czternaście lat uciekła z domu, ale była bardzo inteligentna i chciała zdobyć wykształcenie. Chciała również wieść radosne życie. To wszystko jest zupełnie naturalne. Potrafiła uszczęśliwiać mężczyzn - rzadki dar. Sprawiedliwość wymagała, by za to płacili.

Astorre wybuchnął śmiechem.

- Nowoczesny z pana Sycylijczyk. Ale jak pan wytłumaczy spędzenie dwudziestu czterech godzin ze zwłokami kochanka?

Pryor roześmiał się radośnie.

- Ależ to właśnie jest w niej najlepsze. Prawdziwy mafioso w spódnicy. Serce ma czułe, ale umysł chłodny. Cóż za wspaniała kombinacja. Ale z drugiej strony, z nią trzeba się mieć stale na baczności. Taka osoba stwarza ciągle zagrożenie.

- A azotyn amylu?

- To nie jej wina. Romans z profesorem trwał, zanim cię poznała, i to on domagał się leku. Nie, mamy do czynienia z dziewczyną, która zwyczajnie, nie zważając na całą resztę, myśli o własnym szczęściu. Nie ma żadnych zahamowań towarzyskich. Radzę, byś nie zrywał kontaktu. Być może zechcesz kiedyś posłużyć się nią w sprawach zawodowych.

- Zgadzam się - rzekł Astorre. Z zaskoczeniem stwierdził, że nie czuje złości do Rosie. Że sam urok wystarczył jej do uzyskania przebaczenia. Powiedział Pryorowi, że puści to w niepamięć.

- Dobrze - odparł Pryor. - Po roku spędzonym tutaj pojedziesz do don Aprilego.

- A co się stanie z Biankiem?

Pryor pokręcił głową i westchnął.

- Bianco musi ustąpić. *Cosca* Corleonesich jest zbyt silna. Ciebie nie będą prześladowali. Don zawarł pokój. Prawdę powiedziawszy, sukcesy Bianca sprawiły, że się ucywilizował.

Astorre śledził Rosie. Trochę z ostrożności, trochę z uwagi na miłe wspomnienie wielkiej miłości swojego życia. Wiedział, że wróciła na studia i robi doktorat z psychologii na Uniwersytecie Nowojorskim oraz że mieszka w pobliżu, w strzeżonym bloku, gdzie w końcu zajęła się w bardziej profesjonalny sposób starszymi i bogatszymi mężczyznami.

Rosie była bardzo sprytna. Miała trzy romanse jednocześnie, a swoje sowite wynagrodzenia egzekwowała proporcjonalnie w postaci pieniędzy, biżuterii i wakacji fundowanych w uzdrowiskach dla bogaczy - gdzie nawiązywała następne kontakty. Nikt nie mógłby jej nazwać zawodową call-girl, ponieważ nigdy o nic nie prosiła, ale też nigdy nie odmawiała przyjęcia prezentu.

To, że ci mężczyźni zakochiwali się w niej, było z góry przesądzone. Zawsze jednak dawała im kosza. Twierdziła, że są przyjaciółmi, którzy darzą się miłością, i małżeństwo nie jest rzeczą odpowiednią ani dla niej, ani dla nich. Większość kochanków przyjmowała tę decyzję z wdzięcznością i ulgą. Rosie nie żerowała na bogaczach, nie domagała się pieniędzy i nie okazywała chciwości. Pragnęła jedynie żyć na wysokiej stopie, bez obciążeń. Jednak odruchowo odkładała pieniądze na czarną godzinę. Posiadała pięć rachunków w różnych bankach i dwie skrytki depozytowe.

Astorre postanowił zobaczyć się z nią znowu parę miesięcy po śmierci stryja. Był przekonany, że robi to tylko po to, by uzyskać jej pomoc w realizacji swoich planów. Wmawiał sobie, że zna jej sekrety i tym razem nie zdoła go oszołomić. Poza tym od czasu fatalnego wypadku w Londynie była jego dłużniczką.

Zdawał sobie również sprawę, że Rosie jest w pewnym sensie amoralna. Że stawia siebie oraz swoje przyjemności najwyżej, że z całego serca, w religijny niemal sposób wierzy, że ma prawo być szczęśliwa i to jest najważniejsze.

Przede wszystkim jednak Astorre pragnął ją znowu zobaczyć. Podobnie jak w przypadku wielu innych mężczyzn, upływ czasu pomniejszył w jego oczach jej zdrady i uwydatnił wdzięki. Obecnie grzechy Rosie wydawały się raczej młodzieńczą nieostrożnością niż dowodem na to, że go nie kochała. Pamiętał jej piersi, to, jak pokrywały się różowymi plamkami, gdy się z nim kochała, jak w wyrazie nieśmiałości pochylała głowę; pamiętał jej zaraźliwy optymizm i subtelne poczucie humoru. Łatwość, z jaką stąpała na smukłych nogach oraz niesamowity żar jej ust na jego wargach. Na przekór temu wszystkiemu przekonywał samego siebie, że odwiedza ją wyłącznie w interesach. Miał dla niej zadanie do wykonania.

Rosie właśnie miała wejść do swojego budynku, gdy Astorre zatrzymał się przed nią, uśmiechnął i przywitał. W prawej ręce niosła książki. Z wrażenia upuściła je na chodnik. Zarumieniała się z radości; w jej oczach pojawiły się błyski. Zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała w usta.

- Wiedziałam, że się jeszcze spotkamy. Wiedziałam, że mi wybaczysz - powiedziała, po czym zaciągnęła go do budynku i zaprowadziła na piętro, do swojego mieszkania.

Tam przygotowała drinki - wino dla siebie, brandy dla Astorre. Usiadła obok niego na sofie. Pokój był luksusowo umeblowany. Astorre wiedział, skąd miała na to pieniądze.

- Czemu czekałeś tak długo? - zapytała. Mówiąc, ściągała pierścionki z palców i zdejmowała kolczyki. Z lewej ręki zsunęła trzy złote bransoletki z brylantami.

- Byłem zajęty - odparł Astorre. - No i znalezienie cię zajęło mi sporo czasu.

Posłała mu czułe spojrzenie.

- Nadal śpiewasz? I nadal jeździsz konno w tej zabawnej czerwonej kurtce? - Znowu go pocałowała i Astorre poczuł w odpowiedzi uniesienie, beznadziejną bezradność.

- Nie, Rosie, nie możemy wrócić do przeszłości.

Wstała i pociągnęła go ze sobą.

- To był najszcześniejszy okres mego życia - powiedziała. Po chwili trafili do sypialni, a po paru sekundach byli nadzy.

Rosie wzięła butelkę perfum ze stolika przy łóżku i spryskała najpierw siebie, a potem jego.

- Nie ma czasu na kąpiel - powiedziała, śmiejąc się. Znaleźli się razem w łóżku i Astorre zobaczył, jak na jej piersiach powoli pojawiają się różowe plamki.

Przeżywał to wszystko niczym człowiek uwolniony z cielesnej powłoki. Znajdował przyjemność w samym seksie, ale nie potrafił cieszyć się bliskością Rosie. Wyobraził sobie, jak czuwała przez całą dobę przy zwłokach kochanka. Czy pomogłaby go ratować, gdyby nie umarł od razu? Co robiła sama na samą ze śmiercią i profesorem?

Leżąc Rosie wyciągnęła rękę, by dotknąć jego policzka. Pochyliła głowę i cicho mruknęła:

- Dawna czarna magia przestała działać. - Bawiła się złotym medalionikiem, dostrzegła okropną purpurową bliznę przy jego szyi i pocałowała ją.

- Było świetnie - rzekł Astorre.

Rosie usiadła, jej nagi tułów i piersi zawisły nad nim.

- Nie możesz mi wybaczyć profesora, tego, że pozwoliłam mu umrzeć i zostałam z nieboszczykiem. Zgadza się?

Astorre milczał. Nigdy by jej nie zdradził, co o niej wie. Że się w ogóle nie zmieniła.

Wstała z łóżka i zaczęła się ubierać. On uczyił to samo.

- Ty jesteś kimś znacznie potworniejszym - powiedziała. - Adoptowany bratanek don Aprilego. I ten twój przyjaciel w Londynie, który pomógł zrobić u mnie porządek. Wykonał bardzo fachową robotę, jak na angielskiego bankiera, ale gdy człowiek wie, że wyemigrował z Włoch, przestaje się dziwić. Nietrudno było się tego domyślić.

Siedzieli w salonie. Rosie przyrządziła jeszcze jednego drinka i patrząc Violi poważnie w oczy dodała:

- Wiem, kim jesteś. I naprawdę mi to nie przeszkadza. Jesteśmy bratnimi duszami. Czy to nie wspaniale?

Astorre roześmiał się i odrzekł:

- Bratnia dusza jest ostatnią rzeczą, jaką pragnę znaleźć. Ale faktycznie przyszedłem do ciebie w interesach.

Twarz Rosie zrobiła się kamienna, zniknął z niej cały wdzięk. Zaczęła z powrotem wsuwać pierścionki na palce.

- Za szybki numer liczę pięćset dolarów. Mogę przyjąć czek. - Uśmiechnęła się do niego figlarnie - żartowała.

Astorre wiedział, że prezenty, i to o wiele kosztowniejsze, przyjmuje tylko w święta i na urodziny. Prawdę powiedziawszy, mieszkanie, w którym się znajdowali, także było prezentem urodzinowym od jakiegoś wielbiciela.

- Mówię poważnie - oświadczył, po czym opowiedział Rosie o braciach Sturzo i o tym, czego od niej oczekuje. I podał cenę. - Dam ci teraz dwadzieścia tysięcy na wydatki. Następne sto dostaniesz, gdy zrobisz swoje.

Rosie spojrzała na niego z zadumą.

- A co stanie się potem?

- Nie musisz się o to martwić.

- Rozumiem. A jeżeli odmówię?

Astorre wzruszył ramionami. Nie chciał o tym myśleć.

- Nic.

- Nie wydasz mnie angielskim władzom?

- Nie byłbym w stanie ci tego zrobić - odparł i Rosie nie mogła wątpić w szczerość wyczuwalną w jego głosie.

Westchnęła.

- Zgoda - powiedziała. I wtedy Astorre spostrzegł iskiereki w jej oczach. Uśmiechnęła się do niego szeroko i dodała: - Jeszcze jedna przygoda.

Gdy wyjeżdżali z Westchester, Aldo Monza wyrwał Astorre ze świata wspomnień.

- Zostało pół godziny - powiedział, trącając jego nogę. - Musisz się przygotować do spotkania z braćmi Sturzo.

Astorre spojrział przez okno samochodu na spadające płatki świeżego śniegu. Mijali okolice, które wydawałyby się całkowitym pustkowiem, gdyby nie duże nagie drzewa, których błyszczące gałęzie sterczały niczym czarodziejskie różdżki. Warstwa świeżącego śniegu sprawiała, że pokryte nią kamienie przypominały błyszczące gwiazdy. W tym momencie Astorre poczuł w sercu zimną pustkę. Po najbliższej nocy zmieni się jego świat, zmieni się on i w pewnym sensie rozpocznie się jego prawdziwe życie.

Dotarli do bezpiecznej kryjówki w widmowo białej scenerii, wśród ogromnych śnieżnych zasp.

Bliźniacy zostali skuci kajdankami, mieli związane stopy, a na ciele specjalne, ograniczające swobodę ruchów kaftany. Leżeli na podłodze sypialni, pilnowani przez dwóch uzbrojonych mężczyzn.

Astorre przyjrzał się im ze współczuciem.

- To w dowód szacunku - wyjaśnił. - Doceniamy, jak bardzo jesteście niebezpieczni.

Bracia zachowywali się całkiem odmiennie. Stace sprawiał wrażenie spokojnego i zrezygnowanego, a Franky spoglądał na nich z nienawiścią, która przeobraziła jego zwykle sympatyczną twarz w oblicze chimery.

Astorre usiadł na łóżku i rzekł:

- Pewnie już się domyśliliście.

- Rosie stanowiła przynętę - powiedział spokojnie Stace. - Była świetna, prawda, Franky?
- Nadzwyczajna - odparł Franky. Próbował stłumić w swym głosie histerycznie wysokie tony.

- To dlatego, że naprawdę was polubiła - powiedział Astorre. - Szalała za wami, szczególnie za Frankym. Ciężko jej to przyszło. Bardzo ciężko.

- Dlaczego w takim razie to zrobiła? - zapytał pogardliwie Franky.

- Dlatego że dałem jej sporo forsy. Naprawdę sporo. Wiesz przecież, jak to jest, Franky.

- Nie wiem.

- Myślę, że cena za przyjęcie przez dwóch inteligentnych facetów, takich jak wy, zlecenia likwidacji kogoś takiego jak don Aprile musiała być spora. Milion? Dwa?

- Masz błędne informacje. Nie braliśmy w tym udziału. Nie jesteśmy głupcami - odparł Stace.

- Wiem, że to wy strzelaliście. Macie opinię facetów z jajami. Sprawdziłem was. Chcę od was usłyszeć nazwisko pośrednika.

- Mylisz się - powtórzył Stace. - Nie uda ci się nas o to oskarżyć. A zresztą, kim ty u diabła jesteś?

- Jego bratankiem - wyjaśnił Astorre. - I następcą. Sprawdzam was od prawie sześciu miesięcy. W momencie strzelaniny nie było was w Los Angeles. Nie pokazywaliście się przez ponad tydzień. Ty, Franky, opuściłeś dwa mecze swoich chłopaków. A ty, Stace, ani razu nie wpadłeś, żeby zobaczyć, jak leci w sklepie. Nawet nie zatelefonowałeś. Powiedźcie mi więc, gdzie byliście.

- Grałem w Vegas - odparł Franky. - Poza tym, lepiej by nam się rozmawiało, gdybyś dał nam większą swobodę ruchów. Nie jesteśmy Houdinimi, do kurwy nędzy.

Astorre posłał im współczujący uśmiech.

- Trochę jesteście - rzekł. - A ty, Stace?

- Byłem z moją dziewczyną w Tahoe. Ale kto, u diabła, może spamiętać takie rzeczy?

- Chyba będę miał więcej szczęścia, rozmawiając z każdym z was z osobna.

Zostawił ich i szedł do kuchni, gdzie Monza czekał na niego z kawą. Kazał mu umieścić braci w oddzielnych sypialniach i każdemu przydzielić na stałe dwóch strażników. Aldo pracował z sześciuosobowym zespołem.

- Jesteś pewien, że schwytałeś właściwych ludzi? - zapytał.

- Tak sądzę. Jeżeli to nie oni, to po prostu mają pecha. Przykro mi cię o to prosić, ale chyba będziesz musiał pomóc im mówić.

- Oni nie zawsze mówią - zauważył Monza. - Trudno w to uwierzyć, ale ludzie są uparci. A ci dwaj wyglądają mi na twardzieli.

- Nienawidzę zniżać się do tego poziomu - rzekł Astorre.

Odczekał godzinę, zanim poszedł na górę do pokoju, w którym znajdował się Franky Sturzo. Zapadła noc, ale w świetle latarni na zewnątrz widział wirujące powoli płatki śniegu. Znalazł Franky'ego na podłodze, zupełnie pozbawionego swobody ruchów.

- To bardzo proste - powiedział. - Podaj nam nazwisko pośrednika, a będziesz mógł wyjść stąd żywy.

Franky spojrział na niego z nienawiścią.

- Nigdy niczego ci nie powiem, pieprzony dupku. Złapałeś nie tych co trzeba. A ja zapamiętam twoją twarz i zapamiętam Rosie.

- Nie powinienes w ogóle tak mówić.

- Ty też ją posuwałeś? Jesteś alfonssem?

Astorre zrozumiał, że Franky nigdy nie wybaczy Rosie zdrady. Cóż za lekkomyślna reakcja w tak poważnej sytuacji.

- Myślę, że jesteś głupi - rzekł. - A macie opinię inteligentnych ludzi.

- Gówno mnie obchodzi, co sobie myślisz. Nie możesz nic zrobić, jeżeli nie masz żadnego dowodu.

- Naprawdę? Więc marnuję z tobą czas. Pójdę pogadać ze Stace'em.

Przedtem jednak zszedł do kuchni po następną porcję kawy. Zastanowiło go to, że Franky potrafił zachowywać się tak pewnie i przemawiać tak zuchwale w tak dramatycznych okolicznościach. No cóż, ze Stace'em musiał poradzić sobie lepiej. Zastał go wspartego niewygodnie o wezglowie łóżka.

- Zdejmijcie mu kaftan - polecił strażnikom. - Tylko sprawdźcie kajdanki i sznury.

- Domyśliłem się - rzekł spokojnie Stace. - Wiesz, że mamy ukrytą forszę. Mogę ci załatwić jej odbiór i skończyć ten bezsens.

- Właśnie rozmawiałem z Frankym. Rozczarował mnie. Ty i twój brat jesteście ponoć bardzo inteligentnymi ludźmi. Teraz mówisz mi o pieniądzach, a przecież wiesz, że chodzi o to, iż go zamordowaliście.

- Mylisz się.

- Wiem, że nie było cię w Tahoe, i wiem, że Franky nie pojechał do Vegas - powiedział łagodnie Astorre. - Jesteście jedynymi najemnikami, którzy mieli odwagę przyjąć tę robotę. A strzelcy byli mańkutami, jak ty i Franky. Chcę się tylko dowiedzieć, kto był waszym pośrednikiem?

- Czemu miałbym ci powiedzieć? Wiem, że zabawa się skończyła. I pewno nie blefujecie, Rosie jest dowodem, więc nie macie zamiaru wypuścić nas stąd żywych. Bez względu na twoje obietnice.

Viola westchnął.

- Nie będę próbował was oszukać. Sprawa rzeczywiście tak się przedstawia. Ale możecie się jeszcze targować o jedną rzecz. O lekką śmierć. Mam tutaj bardzo kompetentnego

człowieka i zamierzam zaprząć go do pracy nad Frankym. - Gdy to mówił, poczuł mdłości. Przypomniał sobie Aldo Monzę pracującego nad Fissolinim.

- Marnujesz tylko czas - rzekł Stace. - Franky nie będzie mówił.

- Może i nie. Ale zostanie rozebrany na kawałki, a każdy kawałek przyniesiony tobie do obejrzenia. Liczę na to, że puścisz farbę, żeby go przed tym uchronić. Tylko po co w ogóle ruszać tą drogą? A poza tym, czemu miałbyś chronić tego pośrednika? Przecież miał was kryć, a tego nie zrobił.

Stace milczał. Po chwili zapytał:

- Może wypuścicie Franky'ego?

- Doskonale wiesz, że to niemożliwe.

- Skąd będziesz wiedział, że cię nie okłamałem?

- Czemu u licha miałbyś to robić? Co na tym zyskasz? Stace, oszczędzisz Franky'emu naprawdę potwornych przeżyć. Musisz to dobrze zrozumieć.

- Byliśmy tylko strzelcami, wykonywaliśmy tylko zlecenie. Chcecie dostać faceta, który stoi wyżej. Czemu po prostu nie puścicie nas wolno?

Astorre był cierpliwy.

- Stace, przyjąłeś ze swym bratem zlecenie na zabójstwo wielkiego człowieka. Wysokie honorarium, ktoś bardzo wysoko was cenił. Przyznaj się. Było to dla was dodatkowym bodźcem. Podjęliście próbę i przegraliście, i teraz musicie zapłacić, bo inaczej cały świat zachwieje się w posadach. To nieuniknione. Pozostał wam tylko wybór: lekki czy ciężki koniec. Za godzinę możesz zobaczyć na tym stole bardzo ważny kawałek swego brata. Wierz mi, nie chcę tego robić, naprawdę nie chcę.

- Skąd mogę wiedzieć, że nie łżesz jak pies?

- Pomyśl, Stace. Pomyśl, jak was wrobiłem w znajomość z Rosie. Sporo czasu i cierpliwości. Pomyśl, ściągnąłem was do tego domu i mam siedmiu uzbrojonych ludzi. Sporo wydatków i fadygi. I to tuż przed Wigilią. Sam widzisz, że jestem bardzo poważnym człowiekiem. Daję ci godzinę na zastanowienie. Obiecuję, że jeżeli powiesz prawdę, Franky nie będzie nawet wiedział, że umiera.

Znowu zszedł do kuchni. Monza czekał na niego.

- No i? - zapytał.

- Nie wiem - odparł Astorre. - Ale jutro muszę być na wigilijnym przyjęciu u Nicole, więc musimy skończyć z tym dzisiejszej nocy.

- Nie zajmie mi to więcej niż godzinę. Albo będzie śpiewał, albo umrze.

Astorre odpoczął chwilę przy trzaskającym ogniu kominka, po czym znowu poszedł na piętro porozmawiać ze Stace'em. Mężczyzna sprawiał wrażenie zmęczonego i zrezygnowanego. Przemyślał wszystko. Wiedział, że Franky nie piśnie ani słowa - jego brat

miał jeszcze nadzieję. Stace wierzył, że Viola gra w otwarte karty. Zrozumiał teraz strach wszystkich ludzi, których zabił, ich ostatnie rozpaczliwe i daremne nadzieje na to, że los ześle im ratunek. Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu. Nie chciał też, by Franky umierał w ten sposób, kawałek po kawałku. Uważnie przyglądał się twarzy Astorre. Chociaż tak młoda, miała surowy i nieprzejednany wyraz. Malowała się na niej sędziowska powaga.

Sypiący śnieg pokrywał szyby okien niczym białe futro. Franky śnił na jawie o tym, że jest z Rosie w Europie, że śnieg zasnuwa paryskie bulwary, wpada do weneckich kanałów. Zaczarowany śnieg. Zaczarowany Rzym.

Stace leżał na łóżku i martwił się o brata. Podjęli próbę i przegrali. I gra dobiegła końca. Mógł jednak pomóc bratu myśleć, że przegrywają tylko dwudziestoma punktami.

- Zgadza się - rzekł. - Dopilnuj, żeby Franky nie wiedział, co się dzieje, dobrze?

- Obiecuję - odparł Astorre. - Ale pamiętaj, że poznam, czy kłamiesz.

- Nie kłamię. Jaki to ma sens? Pośrednikiem jest facet nazwiskiem Heskow. Mieszka w Brightwaters, tuż za Babylon. Jest rozwiedziony, żyje samotnie i ma szesnastoletniego, ogromnego syna, który wspaniale gra w kosza. Heskow wynajął nas do paru robót. Jeszcze w czasach, gdy byliśmy młokosami. Cena wynosiła milion, ale mimo to wzbranialiśmy się przed przyjęciem zlecenia. Przyjęliśmy je, bo Heskow powiedział, że nie musimy obawiać się FBI ani policji. Że wszystko jest załatwione. Powiedział też, że don nie ma już żadnych koneksji. Ale najwyraźniej się mylił. Jesteście tutaj. To po prostu była zbyt dobrze płatna oferta, by ją odrzucić.

- Jak na faceta, którego uważasz za łgarza, otrzymałem sporo informacji.

- Chcę cię przekonać, że mówię prawdę. Przemyslałem to. Gra się skończyła, a ja nie chcę, żeby Franky o tym wiedział.

- Nie obawiaj się. Wierzę ci - powiedział Astorre.

Zszedł do kuchni, żeby wydać instrukcje Monzie. Chciał mieć ich dokumenty, prawa jazdy, karty kredytowe i inne papiery. Dotrzymał słowa danego Stace'owi: Franky miał zostać zabity bez ostrzeżenia, strzałem w tył głowy. Egzekucja Stace'a także miała być bezbolesna.

Astorre wyszedł z domu, wsiadł do samochodu i ruszył do Nowego Jorku. Śnieg zmienił się w deszcz, który splukał białą całun przykrywający okolicę.

Monza rzadko lekceważył rozkazy, ale uważał, że jako kat ma prawo chronić siebie i swoich ludzi. Miało się obyć bez broni palnej. Użył sznura.

Najpierw wziął czterech strażników do pomocy w uduszeniu Stace'a. Ten nawet nie próbował się opierać. Z jego bratem było jednak inaczej. Przez dwadzieścia minut starał się wykręcić od sznura. Przez dwadzieścia okropnych minut Franky Sturzo wiedział, że jest mordowany.

Potem ciała braci zostały zawinięte w koce i zaniesione w padającym na powrót śniegu, przez porębę, do lasu za domem. Złożono je w dole, w bardzo gęstych zaroślach. Gdyby w ogóle zostały odkryte, to dopiero wiosną. Tymczasem natura do tego stopnia zniszczyłaby zwłoki, że - na co liczył Monza - nie można byłoby określić przyczyny śmierci.

Lecz Monza nie usłuchał rozkazu szefa nie tylko z tego praktycznego powodu. Podobnie jak don Aprile, był głęboko przekonany, że litować może się jedynie Bóg. Gardził myślą o jakiegokolwiek litości dla płatnych morderców. Przebaczenie drugiemu człowiekowi było oznaką arogancji. Ten obowiązek należał do Boga. Stwarzanie przez ludzi pozorów takiej litości stanowiło przejaw czezej dumy i braku szacunku. Nie pragnął takiej litości dla siebie.

Rozdział 9

Kurt Cilke wierzył w prawo, w zasady, które ludzie wymyślili, by wieść spokojne życie. Zawsze starał się unikać zawierania kompromisów naruszających fundamenty praworządnego społeczeństwa i bezlitośnie zwalczał wrogów państwa. Po dwudziestu latach tej walki utracił wiele ze swej wiary.

Tylko żona spełniała jego oczekiwania. Politycy kłamali, bogacze byli bezlitośni w swej chciwości władzy, biedacy ziali nienawiścią. Do tego dochodzili urodzeni oszuści, kanciarze, brutale i mordercy. Ludzie egzekwujący prawo byli niewiele lepsi, ale Cilke z całego serca wierzył, że agenci Biura są najuczciwsi ze wszystkich.

Ostatnio miewał pewien sen. Był w nim dwunastoletnim chłopcem i musiał zdawać decydujący, całodzienny egzamin. Gdy wychodził z domu, jego matka płakała, a on w swoim śnie rozumiał dlaczego. Gdyby nie zdał egzaminu, nigdy więcej by jej nie zobaczył.

We śnie rozumiał również, że morderstwa szerzą się na taką skalę, iż z pomocą środowiska psychiatrów uchwalono ustawy ustanawiające rejestr badań zdrowia psychicznego, dzięki którym można byłoby przewidzieć, z których dwunastolatków wyrosną mordercy. Ci, którzy źle wypełnili test, po prostu znikali, medycyna dowiodła bowiem naukowo, iż mordercy zabijają dla samej przyjemności zabijania. Zbrodnie polityczne, bunty, terroryzm, zawiść i kradzieże stanowiły po prostu pretekst. Tak więc trzeba było jedynie wypłenić tych „genetycznych” morderców w młodym wieku.

Przeskoczył we śnie do sceny powrotu do domu po egzaminie, matczynych uścisków i pocałunków. Stryjowie i kuzyni przygotowali wielką uroczystość. Potem znalazł się sam w swojej sypialni; trząśnięcie ze strachu. Wiedział bowiem, że popełniono błąd. Nie powinien był zdać egzaminu i teraz wyrośnie na mordercę.

Sen ten nawiedził go dwa razy. Cilke nie wspominał o nim żonie, gdyż wiedział, co oznacza, lub też wydawało mu się, że wie.

Kontakty Cilkego z Timmoną Portellą trwały już ponad sześć lat. Rozpoczęły się, gdy Portella w ślepej furii zamordował swojego podwładnego. Cilke natychmiast dostrzegł szansę. Postarał się, by w zamian za odstąpienie od oskarżenia o morderstwo Portella został informatorem. Dyrektor FBI zaaprobował plan, a reszta była już historią. Z pomocą Portelli

Cilke zmiądzzył nowojorską mafię, ale musiał przymykać oczy na jego przestępcze poczynania z nadzorowaniem handlu narkotykami łącznie.

Teraz jednak, za zgodą dyrektora, zamierzał doprowadzić do upadku Portelli. Mafioso bardzo chciał nabyć banki rodziny Aprile, żeby je wykorzystać do prania pieniędzy z handlu narkotykami. Lecz don Aprile okazał się uparty. Na jednym, brzemennym w skutki spotkaniu Portella zapytał go:

- Czy don Aprile będzie pod nadzorem FBI podczas uroczystości bierzmowania swojego wnuka?

Cilke natychmiast zrozumiał, o co chodzi, ale zawahał się przed udzieleniem odpowiedzi. Potem powoli rzekł:

- Gwarantuję, że nie będzie. Ale co z policją?

- To już zostało załatwione - odparł Portella.

Cilke wiedział, że będzie współsprawcą morderstwa. Ale czy ten don nie zasłużył na śmierć? Przez prawie całe życie był bezwzględny przestępcą. Wycofał się, dysponując olbrzymim majątkiem, bezkarny. A ile z tego korzyści? Nabywając banki rodziny Aprile, Portella wlaźby prosto w jego sidła. I oczywiście był jeszcze Inzio ze swymi marzeniami o własnym arsenale jądrowym. Cilke wiedział, że przy odrobinie szczęścia byłby w stanie zakończyć całą operację, a rząd mógłby przejąć wielomiliardowe aktywa banków rodziny Aprile na mocy ustaw RICO, ponieważ spadkobiercy niewątpliwie sprzedaliby banki, ubili interes z tajnymi wysłannikami Portelli. A dziesięć lub jedenaste miliardów dolarów stanowiłoby potężną broń do walki z samą przestępczością.

Lecz Georgette gardziłaby nim za to, więc nie mogła poznać prawdy. Przecież żyła w innym świecie.

Teraz jednak musiał znowu spotkać się z Portellą. Chodziło o sprawę owczarków i o to, kto się krył za tą rzezią. Miał zacząć od Portelli.

Timmona Portella był osobliwością wśród Włochów, którzy do czegoś doszli: pozostawał pięćdziesięcioletnim kawalerem. Ale bynajmniej nie żył w celibacie. Co piątek spędzał prawie całą noc w towarzystwie pięknej kobiety z agencji towarzyskiej, jednej z kontrolowanych przez jego podwładnych. Dziewczyna miała być młoda, niezbyt doświadczona, urodziwa i o delikatnych rysach. Wesoła i pogodna, ale nie cwana. No i nie mogła być perwersyjna. Timmona był zwolennikiem seksu bez niespodzianek. Miał swoje drobne, aczkolwiek nieszkodliwe kaprysy dobrego wujaszka. Jeden z nich polegał na tym, że dziewczyny musiały nosić proste imiona, takie jak Jane bądź Susan; Portella potrafił strawić coś w stylu Tiffany czy nawet Merle, ale imiona etniczne nie wchodziły w grę. Rzadko miewał tę samą kobietę dwa razy.

Te umówione spotkania odbywały się zawsze w niewielkim hotelu na East Side, będącym własnością jednej z jego spółek. Korzystał tam z całego piętra, złożonego z dwóch

połączonych ze sobą apartamentów. Jeden miał w pełni zaopatrzoną kuchnię, gdyż Portella był utalentowanym kucharzem amatorem. Specjalizował się w kuchni północnowłoskiej, mimo że jego rodzice urodzili się na Sycylii. I uwielbiał gotować.

Tego wieczora dziewczynę przyprowadził do apartamentu Portelli właściciel agencji towarzyskiej, który został na drinka, a po chwili zniknął. Potem, w czasie gdy gawędzili i zapoznawali się ze sobą, Portella błyskawicznie przygotował kolację dla dwojga. Dziewczyna miała na imię Janet. Portella gotował szybko i wprawnie. Tego dnia przyrządził swoją specjalność: cielęcinę po mediolańsku, spaghetti w sosie z serem gruyere, do tego małe pieczone oherżyny oraz sałatkę warzywną z pomidorami. Na deser był zestaw ciast ze znanej francuskiej cukierni w sąsiedztwie.

Usługiwał Janet z wytwornością, która kłóciła się z jego powierzchownością: był dużym, owłosionym mężczyzną z wielką głową i szorstką skórą, ale jadał zawsze w koszuli, krawacie i marynarce. Przy kolacji, z zaskakującą u tak brutalnego człowieka troską, wypytywał Janet o jej życie. Z przyjemnością słuchał opowieści o pechu, biedzie i niechcianych ciążyach, o tym, jak oszukali ją bracia, ojciec, kochankowie i wpływowi mężczyźni, którzy nakłonili ją do grzesznego życia. Dzięki temu mogła uratować swą zubożałą rodzinę. Portella zdumiewał się różnorodnością nieszczemności, jaką okazywali jego bliźni, i podziwiał swą własną dobroć dla kobiet. Okazywał im bowiem niezwykle hojność - i to nie tylko obdarowując okazałymi sumami.

Po kolacji zabrał wino do salonu i pokazał Janet sześć kasetek z biżuterią, a w nich złoty zegarek, pierścionek z rubinem, kolczyki z brylantami, jodeitowy naszyjnik, wysadzaną klejnotami opaskę na ramię oraz sznur wspaniałych pereł. Powiedział, że może sobie wybrać jedną rzecz jako prezent. Każda była warta parę tysięcy dolarów - dziewczyny zazwyczaj dawały je do wyceny.

Wiele lat temu jedna z jego band ukradła ciężarówkę z biżuterią, a on zamiast sprzedać towar paserom, umieścił go w magazynie. Tak więc w rzeczywistości prezenty nic go nie kosztowały.

W czasie gdy Janet zastanawiała się i w końcu wybrała zegarek, Portella przygotował jej kąpiel, starannie sprawdzając temperaturę wody i udostępniając dziewczynie swoje ulubione perfumy i pudry. Dopiero potem, gdy już się odprężyła, poszli do łóżka i odbyli normalny stosunek, jak dobrze dobrane małżeństwo.

Jeżeli był szczególnie kochliwie usposobiony, zatrzymywał dziewczynę do czwartej lub piątej rano, lecz nigdy nie zasypiał w jej obecności. Tej nocy odprawił Janet wcześniej.

Robił to wszystko dla zdrowia. Wiedział, że ma gwałtowny temperament, który mógłby przysporzyć mu kłopotów. Te cotygodniowe erotyczne schadzki uspokajały go. Kobiety zazwyczaj wpływały na niego kojąco, a dowodem skuteczności tej strategii były jego osobotnie wizyty u lekarza, podczas których z satysfakcją dowiadywał się, że ciśnienie krwi

wróciło do normy. Kiedy powiedział o tym swemu lekarzowi, ten tylko mruknął: - Bardzo interesujące. - Ogromnie rozczarował tym swego pacjenta.

Układ ten miał jeszcze jedną zaletę. Ochroniarze Portelli przebywali w wydzielonym pomieszczeniu przed apartamentem. Tylne drzwi prowadziły jednak do sąsiedniego apartamentu z wyjściem do osobnej sieni i tam właśnie mafioso odbywał spotkania, o których nie chciał informować swoich najbliższych doradców. Spotkanie się na osobności z agentem specjalnym FBI jest bowiem dla szefa mafii bardzo niebezpieczną sprawą. Podejrzewano by, że jest informatorem Biura, a Cilke z kolei mógłby być podejrzewany przez kolegów z FBI o branie łapówek.

To właśnie Portella podawał numery telefonów, które miały być na podsłuchu, nazwiska mięczaków, którzy ulegną naciskowi, wskazywał tropy wiodące do sprawców gangsterskich mordów i wyjaśniał, jak funkcjonują pewne organizacje przestępcze. I właśnie on wykonywał brudne roboty, których FBI nie mogło legalnie wykonać.

W ciągu lat opracowali szyfr służący do umawiania spotkań. Cilke miał klucz do drzwi w drugiej sieni, mógł więc wchodzić niepostrzeżenie i czekać w mniejszym apartamencie. Portella pozbywał się swojej dziewczyny i rozpoczynało się ich spotkanie. Tej akurat nocy to on czekał na Cilkego.

Cilke zawsze był trochę zdenerwowany podczas tych spotkań. Wiedział, że nawet Portella nie odważy się zrobić krzywdy agentowi FBI, ale ten człowiek miał usposobienie graniczące z obłędem. Cilke był uzbrojony, ale chcąc utrzymać tożsamość swego informatora w tajemnicy nie mógł przyprowadzić ochroniarzy.

Portella trzymał w dłoni kieliszek z winem. Na powitanie rzekł:

- Co znowu, kurwa, nie gra? - Uśmiechał się jednak wesoło i na wpół objął Cilkego. Potężny brzuch Portelli był ukryty w eleganckim chińskim szlafroku, włożonym na białą piżamę.

Cilke odmówił drinka, usiadł na sofie i spokojnie odparł:

- Parę tygodni temu wróciłem po pracy do domu i znalazłem moje dwa psy z wyciętymi sercami. Pomyślałem, że możesz naprowadzić mnie na jakiś trop. - Uważnie obserwował mafiosa.

Portella sprawiał wrażenie szczerze zaskoczonego. Wydawało się, że wyskoczył z fotela jak rażony prądem. Jego twarz przybrała wyraz furii. Na Cilkem nie zrobiło to wrażenia; z doświadczenia wiedział, że winowajcy potrafią reagować niczym prawdziwe niewiniątka.

- Jeżeli próbowałeś mnie przed czymś ostrzec, czemu nie powiedziałeś wprost? - zapytał Cilke.

Portella odpowiedział niemal płacząco:

- Kurt, przychodzisz tu uzbrojony; wyczułem twój pistolet. Ja nie mam broni. Mógłbyś mnie zabić i twierdzić, że opierałem się przy aresztowaniu. Ufam ci. Na twoim koncie na

Kajmanach ulokowałem ponad milion dolarów. Jesteśmy współnikami. Czemu miałbym stosować taki stary sycylijski chwyt? Ktoś próbuje nas poróżnić. Musisz to dostrzec.

- Kto?

Portella zamyślił się.

- To może być tylko ten młokos Astorre. Ma manię wielkości, ponieważ raz mi się wywinął. Sprawdź go, a ja tymczasem wynajmę fachowca, który się nim zajmie.

W końcu przekonał Cilkego.

- W porządku - rzekł Cilke. - Ale sądzę, że musimy być bardzo ostrożni. Nie lekceważ tego faceta.

- Nie ma obawy. Hej, jadłeś już kolację? Mam trochę cielęciny i spaghetti, sałatkę i dobre wino.

Cilke roześmiał się.

- Wierzę ci, ale nie mam czasu na jedzenie.

Prawdę powiedziawszy, nie chciał się dzielić chlebem z człowiekiem, którego miał wkrótce posłać za kratki.

Astorre posiadał teraz dostatecznie dużo informacji, by sporządzić plan bitwy. Był przekonany, że FBI przyczyniło się do śmierci stryja, a Cilke kierował tą operacją. Wiedział, kto odegrał rolę pośrednika. Wiedział, że to Timmona Portella zlecił zabójstwo. Jednak parę spraw pozostało zagadką. Konsul zaproponował za pośrednictwem Nicole wykup banków przez inwestorów zagranicznych. Cilke zaoferował mu umowę prowadzącą do wmanewrowania Portelli w sytuację bez wyjścia. Oba warianty były niepokojące i niebezpieczne. Astorre postanowił zasięgnąć rady Craxxiego w Chicago i zabrać ze sobą Pryora.

Już wcześniej poprosił, by Pryor przyjechał do Ameryki pokierować bankami. Pryor przyjął propozycję i w niezwykle szybki sposób zmienił się z angielskiego dżentelmena w amerykańskiego energicznego dyrektora. Zamiast melonika nosił teraz kapelusz typu homburg; odstawił swój parasol i chodził ze złożoną gazetą. Przyjechał z żoną i dwoma siostrzeńcami. Żona zmieniła strój angielskiej matrony na gładsze, całkiem modne w stylu ubrania. Siostrzeńcy Sycylijczycy posługiwali się doskonałą angielszczyzną i posiadali dyplomy uniwersyteckie z rachunkowości. Obaj byli zapalonymi myśliwymi i trzymali sprzęt łowiecki w bagażniku limuzyny, którą jeździł jeden z nich. W rzeczywistości pełnili funkcję ochroniarzy Pryora.

Pryorowie zainstalowali się w domu na Upper West Side, strzeżonym przez patrol prywatnej agencji ochroniarskiej. Nicole, która sprzeciwiała się temu przedsięwzięciu, szybko poddała się czarowi pana Pryora, zwłaszcza kiedy jej powiedział, że łączy ich dalekie pokrewieństwo. Pryor niewątpliwie urzekł kobiety swym ojcowskim podejściem; nawet Rosie go uwielbiała. Bez wątplenia potrafił również kierować bankami - jego znajomość

bankowości międzynarodowej zrobiła wrażenie nawet na Nicole. Zwiększył marże zysku dzięki samym operacjom na rynku walutowym. Astorre wiedział, że Pryor był serdecznym przyjacielem don Aprilego. Właściwie to on przekonał stryja do zakupu banków powiązanych z kierowanymi przez Pryora bankami w Anglii i Włoszech. Pryor opisał mu łączące ich stosunki:

- Powiedziałem twojemu stryjowi, że banki mogą przysporzyć mu więcej bogactwa przy mniejszym ryzyku niż branża, w której działał. Owe dawne przedsiębiorstwa wyszły z mody; władze są zbyt silne i zbyt skoncentrowane na poczynaniach naszych ludzi. Nadeszła pora, by zejść im z oczu. Banki otwierają furtkę do robienia pieniędzy, jeżeli ma się doświadczenie, personel i kontakty polityczne. Nie chwając się, mogę powiedzieć, że pieniędzmi zapewniłem sobie życzliwość włoskich polityków. Wszyscy się bogacą, nikomu nie dzieje się krzywda i nikt nie łąduje za kratkami. Mógłbym nauczać na uniwersytecie, jak się bogacić, nie łamiąc prawa i nie uciekając się do przemocy. Trzeba po prostu dopilnować, by uchwalano odpowiednie ustawy. Ostatecznie to edukacja stanowi klucz do postępu cywilizacyjnego.

Pryor żartował, jednak do pewnego stopnia mówił to z przekonaniem. Łączyło ich głębokie zrozumienie; Astorre miał do niego całkowite zaufanie. Don Craxxi i Pryor byli ludźmi, na których mógł polegać. Nie tylko dzięki przyjaźni: dziesięć banków należących do don Aprilego przyniosło im fortunę.

Gdy przybyli do domu Craxxiego w Chicago, Astorre ze zdziwieniem stwierdził, że Pryor i Craxxi obejmują się bardzo serdecznie. Najwyraźniej dobrze się znali.

Don Craxxi podał owoce i sery i gawędził z Pryorem przy jedzeniu. Astorre słuchał z dużym zaciekawieniem; bardzo lubił opowieści starszych ludzi. Craxxi i Pryor zgodzili się, że stare sposoby robienia interesów były najeżone niebezpieczeństwami.

- Wszyscy cierpieli na podwyższone ciśnienie, wszyscy mieli problemy z sercem - stwierdził Craxxi. - To był okropny sposób na życie. A nowe pokolenie nie ma poczucia humoru. Aż przyjemnie popatrzeć, jak są niszczeni.

- Wszyscy musieliśmy jednak od czegoś zacząć. Spójrz na nas teraz - odparł Pryor.

Cała ta rozmowa sprawiła, że Astorre nie mógł się zdecydować na poruszenie interesującej go sprawy. Co, u diabła, ci dwaj starcy wyprawiali? Pryor zachichotał na widok miny Violi.

- Nie martw się, my dwaj jeszcze nie jesteśmy święci. A ta sytuacja zagraża naszym własnym interesom. Powiedz nam więc, czego potrzebujesz. Jesteśmy gotowi prowadzić z tobą interesy.

- Potrzebuję waszej rady, nie chodzi o żadne działania. To moje zadanie.

- Jeżeli robisz to wyłącznie z zemsty, radziłbym ci wrócić do śpiewania. Ale rozumiem i mam nadzieję, że ty także rozumiesz, iż to kwestia ochrony waszej rodziny przed niebezpieczeństwem.

- Jedno i drugie - rzekł Astorre. - Każdy z tych powodów by wystarczył. Ale mój stryj kazał mnie wyszkolić na wypadek tej właśnie sytuacji. Nie mogę go zawieść.

- Dobrze - rzekł Pryor. - Zrozum jednak, że to, co robisz, tylko tobie wydaje się oczywiste. Wystrzegaj się zbytniego ryzyka. Nie daj się ponieść emocjom.

- Jak mogę ci pomóc? - zapytał łagodnie don Craxxi.

- Miał pan rację z braćmi Sturzo - rzekł Astorre. - Przyznali się do zabójstwa i powiedzieli mi, że pośrednikiem był Heskow, człowiek, o którym nigdy nie słyszałem. Teraz muszę go dopaść.

- A bracia Sturzo? - zapytał Craxxi.

- Wypadli z gry.

Zapadła cisza. Po chwili Craxxi rzekł:

- Heskowa znam. Jest pośrednikiem od dwudziestu lat. Krążą fantastyczne pogłoski o tym, że odegrał rolę pośrednika w paru zamachach politycznych, ale ja w to nie wierzę. Bez względu na taktykę, jaką zastosowałeś, by skłonić braci Sturzo do zeznań, nie będzie ona skuteczna w przypadku Heskowa. To świetny negocjator. Zorientuje się, że powinien targować się o swoje życie. Że musisz mieć informacje, których tylko on jeden może ci dostarczyć.

- Ma syna, którego uwielbia - zauważył Astorre. - To koszykarz. Jest całym jego życiem.

- To zgrana karta i Heskow przebije ją, ukrywając istotne informacje - rzekł Pryor. - Musisz go zrozumieć. Przez całe życie układał się ze śmiercią. Znajdź inny sposób.

- Jest wiele rzeczy, które muszę wiedzieć, zanim będę mógł posunąć się dalej - wyznał Astorre. - Kto krył się za zabójstwem i, przede wszystkim, dlaczego do niego doszło? Powodem były zapewne banki. Ktoś ich potrzebuje.

- Heskow mógłby coś o tym wiedzieć - zauważył Craxxi.

- Niepokoi mnie fakt, że w katedrze podczas bierzmowania nie było nadzoru policji ani FBI. A bracia Sturzowie powiedzieli, że im to zagwarantowano. Czy mogę sądzić, że policja i FBI wiedziały o zamiarze zabójstwa? Czy to możliwe?

- Owszem - odpowiedział don Craxxi. - I w tym wypadku musisz być bardzo ostrożny. Szczególnie z Heskowem.

- Astorre, twoim głównym celem jest uratowanie banków i ochrona dzieci don Aprilego. Zemsta to drugorzędny cel, z którego można zrezygnować - stwierdził flegmatycznie Pryor.

- Nie wiem - rzekł wymijająco Astorre. - Będę musiał to przemyśleć. - Posłał im szczerzy uśmiech. - Ale zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Dwaj starsi mężczyźni nie wierzyli mu ani przez chwilę. W swoim życiu spotykali takich młodych ludzi jak Astorre i umieli się na nich poznać. Dostrzegli w nim wcielenie cech wielkich mafijnych przywódców z dawnych czasów, którymi sami się nie stali z powodu braku charyzmy i woli, jakie posiadali tylko ludzie wielcy: ludzie honoru, którzy opanowywali prowincje, rzucali wyzwanie prawom państwa i wychodzili z walki zwycięsko.

Dostrzegli w nim tę wolę, ten rodzaj uroku, tę wytrwałość, z których on sam nie zdawał sobie sprawy. Nawet jego szaleństwa, śpiewanie czy jazda konna, były słabościami, które nie zmieniły jego przeznaczenia. Stanowiły jedynie młodzieńcze rozrywki i świadczyły tylko o dobrym sercu.

Astorre opowiedział Pryorowi i Craxxiemu o konsulu generalnym Marriano Rubio oraz Inzio Tulippie, próbujących nabyć banki. Oraz o Cilkem, starającym się wykorzystać go do zastawienia pułapki na Portellę. Obaj słuchali uważnie.

- Następnym razem przyślij ich do mnie - poradził Pryor. - Z moich informacji wynika, że Rubio zarządza stroną finansową światowego handlu narkotykami.

- Nie sprzedam banków - odparł Astorre. - Don mi zabronił.

- Oczywiście - rzekł Craxxi. - To wasza przyszłość i ewentualne zabezpieczenie. - Po chwili wahania mówił dalej: - Pozwól, że coś ci opowiem. Zanim wycofałem się z interesów, miałem współpracownika, bardzo uczciwego biznesmena, będącego chlubą społeczeństwa. Pewnego razu zaprosił mnie na lunch w swoim biurcu, i zaprowadził do własnej, prywatnej jadalni. Po lunchu zabrał mnie na obchód i pokazał ogromne sale, mieszczące tysiąc boksów z komputerami obsługiwanych przez młodych ludzi.

Powiedział: „Ta sala przynosi mi miliard dolarów rocznie. W tym kraju mieszka prawie trzysta milionów ludzi, a my poświęcamy swój czas skłanianiu ich do kupowania naszych produktów. Planujemy specjalne loterie, nagrody i premie, składamy fantastyczne obietnice - wszystko sprecyzowane pod względem prawnym po to, by wydawali swoje pieniądze na produkty wszystkich naszych firm. A wiesz, co jest sprawą decydującą? Musimy mieć banki, które dostarczą tym trzystu milionom ludzi kredytów na wydawanie pieniędzy, których nie mają”. Banki są celem, musisz je mieć po swojej stronie.

- To prawda - potwierdził Pryor. - I obie strony odnoszą korzyści. Choć stopy procentowe są wysokie, te długi mobilizują ludzi, zmuszają do kolejnych osiągnięć.

Astorre roześmiał się.

- Cieszę się, że zachowanie banków jest przejawem sprytu. Ale to bez znaczenia. Don zabronił je sprzedawać. To mi wystarczy. A to, że go zabili, nie jest obojętne.

- Nie możesz zrobić nic złego temu Cilkemu. Władze są obecnie zbyt silne, by można było podejmować przeciw nim tak radykalne działania - powiedział bardzo dobitnie Craxxi. - Ale przyznaję, że on stanowi pewne niebezpieczeństwo. Musisz uważać.

- Twoim następnym krokiem jest spotkanie z Heskowem - rzekł Pryor. - Ma ono decydujące znaczenie, ale znowu musisz być ostrożny. Pamiętaj, że możesz zażądać pomocy od don Craxxięgo, a ja sam również mam środki. Nie wycofaliśmy się całkowicie. I mamy udziały w bankach - nie mówiąc już o naszym przywiązaniu do don Aprilego, niech spoczywa w spokoju.

- W porządku - powiedział Astorre. - Gdy już zobaczę się z Heskowem, możemy się znowu spotkać.

Astorre doskonale zdawał sobie sprawę ze swego niebezpiecznego położenia. Wiedział, że mimo ukarania zabójców daleko mu do ostatecznego sukcesu. Dotychczasowe stanowiły jedynie nić wyciągniętą z kłębka zagadek związanych z zamordowaniem don Aprilego. Ale Astorre zdał się na niezawodne, niezwykle wręcz wycucie, jakiego nabrał podczas wielu lat wprawiania się w odkrywaniu na Sycylii nieustannych spisków. Teraz musiał być szczególnie ostrożny. Heskow wydawał się łatwym celem, ale mógł również wciągnąć go w pułapkę.

Jedna rzecz go zaskoczyła. Wydawało mu się, że jest szczęśliwy w roli drobnego przedsiębiorcy i piosenkarza amatora, ale obecnie czuł podniecenie, którego nigdy przedtem nie doświadczył. Miał wrażenie, że wrócił do świata, w którym jest jego miejsce. I że ma misję do spełnienia. Ochronić dzieci don Aprilego, pomścić śmierć człowieka, którego kochał. Musiał po prostu złamać wolę wroga. Aldo Monza ściągnął dziesięciu sprawdzonych ludzi ze swojej wsi. Na polecenie Violi zapewnił ich rodzinom środki egzystencji do końca życia, bez względu na to, co się z nimi stanie.

Pamiętał, jak don go pouczał: „Nie licz na wdzięczność za to, co już uczyniłeś dla ludzi. Musisz sprawić, by byli wdzięczni za to, co uczynisz dla nich w przyszłości”. Banki zapewniały przyszłość rodzinie Aprile, jemu i rosnącej armii jego ludzi. Była to przyszłość warta tego, by za nią walczyć, bez względu na koszty.

Don Craxxi dostarczył mu kolejnych sześciu ludzi, za których całkowicie ręczył, Astorre zaś przekształcił swój dom w fortecę, chronioną przez nich oraz najnowocześniejsze urządzenia wykrywające. Przyszykował także kryjówkę, w której mógłby zniknąć, gdyby władze z jakiegoś powodu chciały go schwytać.

Nie korzystał z osobistej ochrony. Polegał za to na swojej szybkości i zatrudniał ochroniarzy w roli zwiadowców na obranych przez siebie trasach.

Heskowa zostawił na pewien czas w spokoju. Zastanawiał się nad reputacją Cilkego - nawet don Aprile określał go mianem prawego człowieka.

- Bywają prawi ludzie, którzy przez całe życie przygotowują się do ostatecznej zdrady - wyjaśnił mu Pryor.

Jednak mimo wszystko Astorre czuł się pewnie. Musiał jedynie pozostać przy życiu, gdy wszystkie fragmenty układanki zostaną już dopasowane.

Prawdziwej próbie mieli go poddać ludzie tacy jak Heskow, Portella, Tulippa i Cilke. Znowu będzie musiał pobrudzić sobie ręce.

Wymyślenie, jak uporać się z Johnem Heskowem zajęło Astorre miesiąc. Ten człowiek był groźny i podstępny. Zabicie go nie stanowiłoby problemu, trudno byłoby jednak wyciągnąć od niego informacje. Wykorzystanie do tego jego syna było zbyt niebezpieczne - zmusiłoby pozorującego współpracę Heskowa do spiskowania. Astorre postanowił nie

zdradzać, że bracia Sturzwie powiedzieli mu, iż podczas zamachu Heskow prowadził samochód. To mogłoby go zanadto wystraszyć.

Tymczasem zgromadził potrzebne informacje o codziennych zwyczajach Heskowa. Wyglądało na to, że jest powściągliwym człowiekiem, którego główne zamiłowanie stanowi hodowla kwiatów i ich hurtowa sprzedaż kwiaciarniom; sprzedawał je również osobiście na przydrożnym straganie w Hamptons. Jedynym nałogiem, jakiemu się oddawał, było oglądanie meczów drużyny koszykarskiej syna. Heskow skrupulatnie śledził terminarz gier Villanovy.

Pewnego sobotniego wieczoru w styczniu Heskow wybierał się na mecz Villanova-Temple w nowojorskiej Madison Square Garden. Gdy wychodził z domu, zabezpieczał go, włączając wymyślny system alarmowy. W codziennym życiu zawsze dbał o szczegóły, zawsze był przeświadczony, że zdołał się zaasekurować na wszelką ewentualność. I właśnie to przeświadczenie pragnął zniweczyć Astorre na samym początku ich spotkania.

John Heskow przyjechał do miasta i zjadł kolację w chińskiej restauracji niedaleko hali sportowej. Gdy wychodził z domu, zawsze jadał chińskie potrawy, ponieważ tej jednej rzeczy sam nie potrafił lepiej ugotować. Lubił widok srebrnych pokryw na każdym półmisku, sugerujący, że zawierają jakąś smakowitą niespodziankę. Lubił Chińczyków. Nie wtykali nosa w nie swoje sprawy, nie prowadzili rozmów o niczym i nie okazywali służalczej poufałości. I nigdy, ale to nigdy nie znalazł błędu w swoim rachunku, który zawsze starannie sprawdzał, gdyż zamawiał wiele potraw.

Tego wieczoru poszedł na całość. Szczególnie lubił kaczkę po pekińsku oraz langustę w sosie kantonim. Był jeszcze specjalny biały ryż i oczywiście parę smażonych pierożków i pikantnych kotletów wieprzowych. Na zakończenie zjadł lody herbaciane. Upodobanie do nich dowodziło, że zasmakował w orientalnej kuchni.

Gdy przybył do Madison Square Garden, hala była wypełniona tylko w połowie, mimo że zespół Tempie zajmował wysoką pozycję w tabeli. Heskow zajął ulubione miejsce blisko parkietu i środkowej części boiska. Był dumny z Jocko, któremu to miejsce zawdzięczał.

Mecz nie był emocjonujący. Drużyna Tempie rozgromiła Villanovę, ale Jocko okazał się najlepszym strzelcem wieczoru. Po końcowym gwizdku Heskow poszedł do szatni.

Syn uściskał go na powitanie.

- Cześć, tato. Cieszę się, że przyszedłeś. Masz ochotę wyskoczyć z nami na kolację?

Heskow był bardzo zadowolony. Jego syn zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen. Oczywiście ci chłopcy nie chcieli, by taki wapniak jak on kręcił się przy nich podczas wieczornego wypadu do miasta. Mieli ochotę się upić, pośmiać, a może też zaliczyć jakąś dziewczynę.

- Dzięki - odparł. - Już jadłem, a czeka mnie długa jazda do domu. Świetnie dzisiaj grałeś. Jestem z ciebie dumny. A teraz idź i dobrze się zabaw. - Pocałował syna na pożegnanie.

Odchodząc, zastanawiał się, czemu zawdzięcza tyle szczęścia. No cóż, jego syn miał dobrą matkę. Szkoda tylko, że była okropną żoną.

Jazda do Brightwaters zajęła mu tylko godzinę - o tej porze autostrady na Long Island świeciły pustkami. Gdy dotarł na miejsce, był zmęczony, ale przed wejściem do domu zajrzał do szklarni, by sprawdzić temperaturę i wilgotność powietrza.

W świetle księżyca, wpadającym przez szklany dach, kwiaty nabrały niesamowitego, dzikiego uroku; czerwone były niemal czarne, białe tworzyły upiorną mglistą aureolę. Heskow bardzo lubił na nie patrzeć - zwłaszcza przed snem.

Przeszedł żwirowym podjazdem do domu i otworzył drzwi. Gdy tylko znalazł się w środku, szybko wystukał kod cyfrowy na tarczy, który miał zapobiec uruchomieniu alarmu, po czym wszedł do salonu.

Serce zabiło mu gwałtownie. Czekają na niego dwóch mężczyzn; w jednym z nich rozpoznał Violę. Heskow wiedział o śmierci dostatecznie dużo, by poznać ją na pierwszy rzut oka. To byli jej wysłannicy.

Zareagował jednak stosując najlepszą obronę: atak.

- Jak, do kurwy nędzy, dostaliście się tutaj i czego u diabła chcecie?

- Nie wpadaj w panikę - rzekł Astorre i przedstawił się, dodając, że jest bratankiem zmarłego don Aprilego.

Heskow uspokoił się. W kłopotliwym położeniu bywał już przedtem i po pierwszym przyplywie adrenaliny zawsze dochodził do siebie. Usiadł na sofie w taki sposób, że jego ręka spoczęła na drewnianym oparciu.

- Więc, czego chcecie?

Astorre miał na twarzy uśmiech rozbawienia, denerwujący Heskowa, który zamierzał poczekać na odpowiedni moment. Teraz odchylił oparcie i sięgnął po ukryty rewolwer. Schowek był pusty.

W tym momencie na podjeździe pojawiły się trzy samochody; ich światła przeniknęły do salonu. Do domu weszło dwóch następnych mężczyzn.

- Nie zlekceważyłem cię, John - powiedział żartobliwym tonem Astorre. - Przeszukaliśmy dom. Znaleźliśmy rewolwer w dzbanku na kawę, drugi przyklejony taśmą pod łóżkiem, następny w tej niby-skrzynce na listy i jeden w łazience, przyklejony za umywalką. Przeoczyliśmy coś?

Heskow nie odpowiedział. Serce znowu zaczęło mu łomotać. Czuł je w gardle.

- Co ty, u licha, hodujesz w tych szklarniach? - zapytał Astorre, śmiejąc się. - Diamenty, konopie indyjskie, kokę? Już myślałem, że nigdy nie wejdiesz do środka. Nawiasem mówiąc, jak na kogoś, kto hoduje azalie, to spory arsenał.

- Przestań marnować mój czas - powiedział cicho Heskow.

Astorre usiadł w fotelu naprzeciwko, po czym rzucił dwa portfele - od Gucciego, jeden złoty, jeden brązowy - na stolik kawowy stojący między nimi i rzekł:

- Obejrzyj.

Heskow sięgnął po portfele i otworzył je. Najpierw ujrzał prawa jazdy braci Sturzów z ich zafoliowanymi fotografiami. W gardle poczuł tak wielką gorycz, że omal nie wymiotował.

- Sypnęli cię - wyjaśnił Astorre. - Powiedzieli, że pośredniczyłeś w zamachu na don Aprilego. Powiedzieli też, że zagwarantowałeś im, iż na uroczystości w kościele nie będzie nadzoru policji ani FBI.

Heskow przeanalizował wszystko, co się wydarzyło. Nie zabili go po prostu, choć bracia Sturzowie na pewno już nie żyli. Czuł się nieco rozczarowany ich zdradą. Lecz Astorre chyba nie wiedział, że on był wtedy kierowcą. Istniała możliwość pertraktacji, najważniejszych pertraktacji jego życia.

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Aldo Monza słuchał czujnie, nie spuszczać Heskowa z oka. Teraz wszedł do kuchni i wrócił z dwiema filiżankami czarnej kawy. Jedną wręczył bratankowi dona, a drugą Heskowowi i powiedział:

- Hej, masz włoską kawę, wspaniale. - Heskow posłał mu pogardliwe spojrzenie.

Astorre wypił kawę, po czym powoli i z rozmysłem rzekł:

- Dowiedziałem się, że jesteś bardzo inteligentnym człowiekiem, że tylko dzięki temu jeszcze żyjesz. Posłuchaj mnie więc i naprawdę się zastanów. Jestem spadkobiercą don Aprilego. Dysponuję wszystkimi środkami, które posiadał, zanim wycofał się z interesów. Znałeś go i wiesz, co to oznacza. Nigdy nie odważyłbyś się być pośrednikiem, gdyby się nie wycofał. Prawda?

Heskow milczał. Obserwował jedynie Violę, starał się go ocenić.

- Bracia Sturzowie nie żyją - ciągnął dalej Astorre. - Możesz do nich dołączyć. Mam jednak propozycję, a ty musisz wykazać się sporą rozwagą, w ciągu następnych trzydziestu minut będziesz musiał mnie przekonać, że jesteś po mojej stronie, że będziesz działał jako mój agent. Jeżeli tego nie uczynisz, powąchasz swoje kwiaty od spodu. A teraz wysłuchaj lepszej wieści. Nigdy nie wciągnę do tej sprawy twojego syna. Nie robię takich rzeczy, a poza tym przez takie działanie stałbyś się moim wrogiem, gotowym mnie zdradzić. Musisz jednak zdać sobie sprawę, że to ja utrzymuję twojego syna przy życiu. Moi wrogowie pragną mojej śmierci. Jeżeli dopną swego, moi przyjaciele nie oszczędzą twojego syna. Jego los zależy od mojego.

- Czego więc chcesz? - zapytał Heskow.

- Potrzebuję informacji - odparł Astorre. - Więc mów. Jeżeli będę zadowolony, zawrzemy układ. Jeżeli nie, jesteś martwy. Twoim aktualnym problemem jest zatem przeżycie dzisiejszego wieczoru. Zaczynaj.

Heskow milczał przez co najmniej pięć minut. Najpierw ocenił Violę - taki przystojny gość, żadnej brutalności ani zastraszania. Ale bracia Sturzowie nie żyli. A potem to

sforsowanie systemu zabezpieczającego w jego domu i znalezienie broni. Najbardziej złowieszczo wyglądał, czekając, aż Heskow sięgnie po nieistniejący rewolwer. Zatem nie był to bluff, a z pewnością nie taki, którego prawdziwość mógłby sprawdzić. W końcu dopił kawę i - nie bez oporów - podjął decyzję.

- Muszę przejść na twoją stronę - powiedział. - Muszę wierzyć, że postąpisz właściwie. Człowiekiem, który wynajął mnie do pośredniczenia w transakcji i dał mi pieniądze, jest Timmona Portella. To ja zapłaciłem za brak policyjnego nadzoru. Byłem kasjerem Portelli i dałem pięćdziesiąt kawalków szefowi wydziału śledczego nowojorskiej policji Di Benedetto oraz dwadzieścia pięć jego zastępczyni Aspinelli Washington. Jeśli chodzi o gwarancję nieobecności FBI, to dał mi ją Portella. Domagałem się potwierdzenia, a on powiedział, że ma w kieszeni tego Cilkego, szefa FBI w Nowym Jorku. To właśnie Cilke zgodził się na to, by don został zabity.

- Pracowałeś już wcześniej dla Portelli?

- Owszem. Kieruje branżą narkotykową w Nowym Jorku, więc ma dla mnie sporo zleceń. Żadna z ofiar nie miała takiej pozycji jak don. Nigdy nie nawiązywałem tu jakiegokolwiek kontaktu. To wszystko.

- Dobrze - stwierdził Astorre. - Teraz chcę, żebyś uważał. Dla własnego dobra. Czy jest jeszcze coś, co możesz mi powiedzieć?

Nagle Heskow zrozumiał, że jest o krok od śmierci. Że nie zdołał przekonać Violi. Zaufał swojej intuicji. Posłał mu błądy uśmiech i bardzo wolno dodał:

- Jeszcze jedna rzecz. Mam umowę z Portellą. Zamierzam zapłacić dwóm detektywom pół miliona za sprzątnięcie ciebie. Przyjdą cię aresztować, ty będziesz stawiał opór i cię zastrzelą.

Astorre sprawiał wrażenie nieco rozbawionego.

- Po co takie komplikacje i koszty? - zdziwił się. - Czemu nie wynajmą zwykłego płatnego mordercy?

Heskow pokręcił głową.

- Uważają, że na ciebie to nie wystarczy. A po tamtym zamachu zwykły zamach przyciągnąłby zbyt wiele uwagi. Jesteś jego bratankiem. Dziennikarze rzuciliby się na tę sprawę jak hieny. A w ten sposób jesteśmy kryci.

- Zapłaciłeś im już? - zapytał Astorre.

- Nie. Mamy się spotkać.

- W porządku. Zorganizuj spotkanie w ustronnym miejscu. I poinformuj mnie o szczegółach. I jeszcze jedno. Po spotkaniu nie odjeżdżaj razem z nimi.

- O cholera - mruknął Heskow. - To tak się sprawy mają? Będzie strasznie gorąco.

Astorre odchylił się do tyłu w swoim fotelu.

- Tak właśnie się mają - odparł. Wstał i uściskał Heskowa w geście przyjaźni. - Pamiętaj, musimy utrzymać się wzajemnie przy życiu.

- Mogę zachować część pieniędzy? - zapytał Heskow.

Astorre roześmiał się.

- Nie. W tym cały urok. Jak gliny wytłumaczą się z posiadania pięciuset tysięcy?

- Chociaż dwadzieścia - nie ustępował Heskow.

- Dobrze - zgodził się dobrodusznie Astorre. - Ale nie więcej. Jedynie odrobina na osłodę.

Teraz Astorre musiał odbyć jeszcze jedno spotkanie z Craxxim i Pryorem, żeby zasięgnąć ich rady w sprawie zakrojonego na szeroką skalę planu działań, który zmuszony był zrealizować.

Lecz okoliczności się zmieniły. Pryor nalegał, by zabrać do Chicago dwóch jego siostrzeńców jako ochroniarzy. A gdy już dotarli na przedmieście Chicago, stwierdzili, że skromna posiadłość Craxxiego przeobraziła się w fortecę. Podjazd prowadzący do domu był zastawiony małymi zielonymi barakami, obsadzonymi przez bardzo groźnie wyglądających młodych mężczyzn. W sadzie stał wóz łączności. Do tego dochodziło trzech młodzieńców, którzy otwierali drzwi, odbierali telefony i sprawdzali dokumenty gości.

Siostrzeńcy Pryora, Erice i Roberto, byli zwinni i atletycznie zbudowani, biegle posługiwali się bronią palną i wyraźnie uwielbiali swojego stryja. Zнали chyba również historię pobytu Astorre na Sycylii, bo traktowali go z ogromnym szacunkiem, usługując mu w najdrobniejszych sprawach. Nosili jego bagaże, nalewali wino podczas kolacji, strzepywali serwetkami okruszki z jego ubrania; dawali za niego napiwki i otwierali mu drzwi, dając jasno do zrozumienia, że uważają go za wielkiego człowieka. Astorre dobrodusznie starał się nakłonić ich do większej swobody, ale oni nigdy nie pozwalali sobie na poufałość.

Ludzie strzegący Craxxiego - surowi i poważni mężczyźni po pięćdziesiątce - nie zachowywali się tak grzecznie. Byli uprzejmi, ale też całkowicie skoncentrowani na swojej pracy. I wszyscy nosili broń.

Wieczorem, gdy don Craxxi, pan Pryor i Astorre skończyli kolację i na deser jedli owoce, Astorre zapytał gospodarza:

- Po co ta cała ochrona?

- Po prostu dla ostrożności - spokojnie odpowiedział Craxxi. - Doszły mnie niepokojące wieści. Mój dawny wróg Inzio Tulippa przybył do Stanów. To bardzo porywczy i zachłanny człowiek, najlepiej więc się przygotować. Przyjechał spotkać się z naszym Timmoną Portellą. Będą dzielić swoje narkotykowe zyski i wykańczać przeciwników. Lepiej być w pogotowiu. A co ciebie trapi, mój drogi?

Astorre przekazał im informacje, które uzyskał, i opowiedział o tym, jak zwerbował Heskowa. Wspomniał o Portelli, Cilkem i dwóch detektywach.

- Teraz muszę przystąpić do działania - rzekł. - Potrzebuję specjalisty od ładunków wybuchowych i co najmniej dziesięciu sprawdzonych ludzi. Wiem, że obaj możecie ich dostarczyć, że możecie zwrócić się do dawnych przyjaciół stryja. - Starannie obrał ze skóry

zielonkawożółtą gruszkę. - Zdajecie sobie sprawę, jak niebezpieczna będzie ta operacja i zapewne nie chcecie być w nią zbyt mocno wplątani.

- Nonsens - rzucił niecierpliwie Pryor. - Don Aprilemu zawdzięczamy nasz los. Oczywiście że pomożemy. Ale pamiętaj, że to nie zemsta. To samoobrona. Nie możesz więc zrobić krzywdy Cilkemu. Bo wtedy rząd federalny obrzydzi nam życie.

- Ale tego człowieka trzeba unieszkodliwić - zauważył don Craxxi. - On zawsze będzie niebezpieczny. Przemyśl to jednak. Sprzedaj banki, a wszyscy będą zadowoleni.

- Wszyscy z wyjątkiem mnie i moich kuzynów.

- To rzecz warta rozważenia - rzekł Pryor. - Jesteśmy skłonni poświęcić nasze udziały w bankach, choć wiem, że w przyszłości będą stanowić olbrzymi majątek. Ale z pewnością są rzeczy przemawiające za spokojnym życiem.

- Nie sprzedam banków - rzekł Astorre. - Oni zabili mojego stryja i muszą za to zapłacić, nie osiągając celu. A ja nie mogę żyć w świecie, w którym zawdzięczam swoje miejsce ich litości. To don mnie tego nauczył.

Astorre z zaskoczeniem stwierdził, że swą decyzją ulżył Craxxiemu i Pryorowi. Starali się ukryć uśmiechy. Zdał sobie sprawę, że ci dwaj starzy ludzie, choć potężni, szanują go i dostrzegają w nim to, czego sami nigdy nie potrafiliby sobie przyswoić.

- Wiemy, że mamy do spełnienia obowiązków wobec don Aprilego, niech spoczywa w spokoju - rzekł Craxxi. - Znamy też naszą powinność wobec ciebie. Ale wysłuchaj paru słów roztropnego człowieka: jeżeli będziesz działał zbyt pochopnie i coś ci się przydarzy, będziemy zmuszeni sprzedać banki.

- Tak. Bądź roztropny - powiedział Pryor.

Astorre roześmiał się.

- Nie obawiajcie się. Jeżeli przegram, to jako ostatni.

Dalej jedli gruszki i brzoskwinie. Don Craxxi sprawiał wrażenie zamyślonego.

- Tulippa to największy handlarz narkotykami na świecie - rzekł po chwili. - Portella jest jego amerykańskim wspólnikiem. Na pewno potrzebują banków do prania narkotykowych pieniędzy.

- W takim razie, gdzie tu miejsce dla Cilkego? - zapytał Astorre.

- Nie wiem - odparł Craxxi. - Mimo to nie możesz go zaatakować.

- To byłaby katastrofa - zauważył Pryor.

- Będę o tym pamiętał - obiecał Astorre.

Jeżeli jednak Cilke był winny, cóż innego mógłby zrobić?

Detektyw Aspinella Washington sprawdziła, czy jej ośmioletnia córka zjadła porządnie kolację, odrobiła zadania domowe i zmówiła modlitwę przed pójściem spać. Uwielbiała dziewczynkę. Jej ojca przegnała ze swego życia już dawno temu. Opiekunka do dziecka, nastoletnia córka mundurowego policjanta, przysłała o dwudziestej. Aspinella poinstruowała

ją, kiedy podać dziewczynce lekarstwa i powiedziała, że wróci przed północą.

Wkrótce zadzwonił brzęczyk w holu. Washington zbiegła po schodach i wyszła na ulicę. Nigdy nie korzystała z windy. Paul Di Benedetto czekał w nieoznakowanym brązowym chevrolecie. Wskoczyła do środka i zapięła pasy. Wieczorem jej szef marnie radził sobie za kierownicą.

Di Benedetto palił długie cygaro, więc Aspinella otworzyła okno.

- Jazda potrwa około godziny - rzekł. - Musimy to jeszcze raz przemyśleć. - Wiedział, że dla nich obojga ta sprawa oznacza sporą zmianę. Jedną rzeczą było przyjmowanie łapówek i pieniędzy z handlu narkotykami, a drugą dokonanie morderstwa na zlecenie.

- O czym tu myśleć? - zdziwiła się Aspinella. - Dostaniemy pół melona za rozwalenie faceta, który już od dawna powinien czekać na egzekucję. Wiesz, co mogę zrobić z jedną czwartą miliona?

- Nie - odparł Di Benedetto. - Ale wiem, co ja mogę zrobić. Kupić supereleganckie mieszkanie w Miami, gdy odejdę na emeryturę. Pamiętaj, że będziemy musieli z tym żyć.

- Już samo przyjmowanie łapówek od handlarzy narkotykami jest niezgodne z prawem - zauważyła Aspinella. - Pieprz ich wszystkich.

- Dobra. Upewnijmy się tylko, czy Heskow ma przy sobie forszę, że nas nie zwodzi.

- Zawsze można było na nim polegać. Jest moim świętym Mikołajem. A jeżeli nie będzie miał dla nas dużego worka, to będzie martwym Mikołajem.

Di Benedetto roześmiał się.

- Moja dziewczynka. Śledzisz tego Violę, tak byśmy od razu mogli go sprzątnąć?

- Tak. Kazałam go obserwować. Znam miejsce, w którym go znajdziemy - magazyn jego firmy makaronowej. Przeważnie pracuje do późna wieczorem.

- Masz dla niego czystą spluwę? - zapytał Di Benedetto.

- Oczywiście. Narazałabym policyjną odznakę, gdybym jej nie miała.

Przez dziesięć minut jechali w milczeniu. Potem Di Benedetto zapytał spokojnym, wyzbytym emocji głosem:

- Kto będzie strzelał?

Aspinella posłała mu rozbawione spojrzenie.

- Paul, przez ostatnich dziesięć lat siedziałeś za biurkiem. I częściej oglądałeś sos pomidorowy niż krew. Ja to zrobię. - Spozrzęła ulgę na jego twarzy. Mężczyźni - pieprzone nieudacznika.

Znowu zamilkli, rozmyślając o tym, co doprowadziło ich do tego właśnie punktu w życiu. Di Benedetto wstąpił do policji jako młody człowiek, przed ponad trzydziestoma laty. Korupcji ulegał stopniowo, lecz w nieuchronny sposób. Rozpoczął, łudząc się, że będzie wielki - szanowany i podziwiany za narażanie życia dla innych. Lecz z czasem złudzenia zniknęły. Na początku chodziło o drobne łapówki od ulicznych sprzedawców i właścicieli małych sklepów. Potem fałszywe zeznanie, by pomóc jednemu gościowi wykręcić się od

kary. Okazało się, że do przyjmowania pieniędzy od wysoko postawionych handlarzy narkotykami dzieli go mały krok. I w końcu forsa od Heskowa, który - bez wątpienia - reprezentował Timmonę Portellę, największego mafijnego bossa, jaki został w Nowym Jorku.

Oczywiście zawsze było dobre usprawiedliwienie. Człowiek potrafi przekonać siebie do wszystkiego. Widział, jak wysocy rangą funkcjonariusze bogacą się dzięki łapówkom od gangów narkotykowych, a niżsi rangą byli jeszcze bardziej skorumpowani. A przecież miał do wykształcenia trójkę dzieci. Ale przede wszystkim chodziło o niewdzięczność ludzi, których chronił. Grupy obrońców praw obywatelskich protestujące przeciwko brutalności policji, jeżeli spoliczkowałeś czarnego oprycha. Media obrzucające błotem policję, ilekroć nadarzała się ku temu okazja. Obywatele pozywający policjantów do sądu. Policjanci zwalniani po wielu latach służby, pozbawiani emerytur, a nawet trafiający za kratki. On sam został raz postawiony przed sądem dyscyplinarnym pod zarzutem dyskryminowania czarnych przestępców, a przecież nie miał uprzedzeń rasowych. Czy to jego wina, że nowojorscy przestępcy w większości byli czarni? Co miałeś robić - dać im licencję na kradzieże w ramach akcji afirmatywnej? Awansował czarnoskórych policjantów. Był mentorem Aspinelli w wydziale, dając jej awans, na który zasłużyła, siejąc postrach wśród tychże czarnych kryminalistów. A jej nie można było oskarżyć o rasizm. Słowem, społeczeństwo wieszało psy na policjantach, którzy je chronili. Jeżeli, oczywiście, nie zginęli na służbie. Wtedy zaczął mieć to w dupie. Ostateczny wniosek? Nie opłacało się być uczciwym gliną. A jednak... a jednak nigdy nie przypuszczał, że dojdzie do morderstwa. Ale przecież jemu nic nie mogło się stać; nie było żadnego ryzyka; mieli dostać kupę forsy, a ofiarą był zabójca. Mimo to...

Aspinella także zastanawiała się, jak jej życie doszło do tak krytycznego stanu. Bóg wie, że walczyła z przestępczym podziemiem z pasją i nieustępliwością, które uczyniły z niej nowojorską legendę. Oczywiście, przyjmowała łapówki i nakłaniała do przestępstw. Weszła do gry późno, dopiero wtedy, gdy Di Benedetto przekonał ją do brania pieniędzy z handlu narkotykami. Od lat był jej mentorem, a od paru miesięcy kochankiem - nie tyle złym, ile po prostu niezdarnym misiem, który traktował seks jako element snu zimowego.

Lecz jej skorumpowanie tak naprawdę zaczęło się pierwszego dnia pracy po awansie na detektywa. W sali rekreacyjnej komisariatu arogancki biały policjant nazwiskiem Gangee zabawiał ją dobrodusznie.

- Hej, Aspinello - rzekł - z twoją cipką i moimi muskułami wytepiamy przestępczość w cywilizowanym świecie. - Policjanci, w tym paru czarnych, roześmiali się.

Aspinella spojrzała na niego oziębło i odparła:

- Nigdy nie będziesz moim partnerem. Mężczyzna, który obraża kobietę, jest tchórzem z małym ptaszkiem.

Gangee starał się utrzymać przyjazny ton.

- Mój mały ptaszek może sfrunąć do twojej cipki, kiedy tylko zechcesz. Tak czy owak, chcę zmienić mój los.

Aspinella zwróciła ku niemu lodowatą twarz.

- Czarnuch jest lepszy od żółtka - powiedziała. - Idź konia walić, zasrany półgłówku.

Wydawało się, że obecni na sali zamarli z zaskoczenia. Teraz Aspinella wywołała rumieniec na twarzy Gangee'go. Nikt nie mógł pozwolić na tak jadowitą pogardę bez walki. Gangee ruszył ku niej, wokół zrobiło się pusto.

Aspinella była w służbowym stroju. Wyciągnęła pistolet.

- Spróbuj tylko, a odstrzelę ci jaja - powiedziała, nie unosząc broni. Na tej sali nie było nikogo, kto by wątpił, że pociągnie za spust. Gangee zatrzymał się i pokręcił z odrazą głową.

Oczywiście, o incydencie poinformowano zwierzchników. Aspinella popełniła poważne wykroczenie. Ale Di Benedetto był dostatecznie bystry, żeby wiedzieć, iż rozprawa dyscyplinarna byłaby dla nowojorskiej policji katastrofą. Ukręcił łeb całej sprawie, a Aspinella zrobiła na nim tak duże wrażenie, że przydzielił ją do grupy osobistych współpracowników i stał się jej mentorem.

Ją zaś najbardziej ubodło to, że choć na sali znajdowało się co najmniej czterech czarnych policjantów, ani jeden nie stanął w jej obronie. Mało tego, śmiali się z żartów białego policjanta. Lojalność wobec płci okazała się silniejsza od lojalności rasowej.

Potem dzięki swoim sukcesom zawodowym zyskała opinię najlepszego policjanta w sekcji. Była bezwzględna dla handlarzy narkotykami, bandytów i złodziei dokonujących rabunku z bronią w ręku. Nie okazywała im żadnej litości - ani czarnym, ani białym. Strzelała do nich, biła ich i upokarzała. Wnoszono przeciwko niej oskarżenia, lecz nie potrafiiono ich poprzeć dowodami, a świadectwa jej męstwa przemawiały za nią. Oskarżenia wzbudziły w niej tylko wściekłość na samo społeczeństwo. Jak śmieli ją przesłuchiwać, skoro chroniła ich przed najgorszymi szumowinami w mieście? Di Benedetto wspierał ją na całej linii.

Kiedyś zastrzeliła dwóch nastoletnich opryszków, gdy próbowali ją okraść na jasno oświetlonej ulicy w Harleml, tuż przed domem. Jeden uderzył ją w twarz, a drugi chwycił za torebkę. Wyciągnęła broń i chłopcy zamarli w bezruchu. Zastrzeliła obu z zimną krwią. Nie tylko za cios w twarz. Także po to, by przekonać wszystkich, że nie warto napadać na ludzi w jej okolicy. Grupy broniące praw obywatelskich zorganizowały protest, ale wydział orzekł, iż użyła broni z uzasadnionego powodu. Wiedziała, że w tym wypadku była winna.

To Di Benedetto przekonał ją do wzięcia pierwszej łapówki w bardzo ważnej transakcji narkotkowej. Mówił jak kochający wujek:

- Aspinello, dzisiaj policjant nie obawia się zbytnio kul. To ryzyko zawodowe. Musi się obawiać grup obrońców praw obywatelskich, obywateli oraz przestępców, którzy skarżą go o odszkodowanie. A także politycznych szefów w wydziale, którzy wpakują cię do mamra, żeby tylko zdobyć głosy. Zwłaszcza kogoś takiego jak ty. Jesteś urodzoną ofiarą, więc masz zamiar skończyć tak jak inni biedni durnie, którzy są gwałceni, okradani i mordowani? Wejdz w to. Zyskasz protekcję u szefów w wydziale, którzy już są przekupieni. Za pięć, sześć lat możesz odejść na emeryturę z masą szmalu. I nie będziesz musiała się obawiać tego, że trafisz

do pudła za wytarganie jakiegoś oprycha za włosy.

Tak więc ustąpiła. I stopniowo polubiła lokowanie pieniędzy z łapówek na tajnych kontach bankowych. Co nie znaczy, że zaczęła łagodniej traktować przestępców.

Lecz ta sprawa była inna. Chodziło o znowę w celu dokonania morderstwa, no i ten Astorre był mafijną grubą rybą, której sprzątnięcie byłoby przyjemnością. W pewnym przewrotnym sensie miała zrobić to, co do niej należało. Zdecydował jednak argument, że ryzyko jest niewielkie, a zapłata spora. Ćwierć miliona.

Di Benedetto skręcił z Southern State Parkway i parę minut później powoli wjechał na parking małego piętrowego centrum handlowego. Wszystkie z około tuzina sklepów były zamknięte, nawet pizzeria, w której oknie widniał jaskrawy neon. Wyszli z samochodu.

- Po raz pierwszy widzę pizzериę zamkniętą o tak wczesnej porze - rzekł Di Benedetto. Była dopiero dziesiąta.

Zaprowadził Aspinellę do bocznych drzwi pizzerii. Były otwarte. Weszli po kilku schodach na półpiętro. Z lewej strony znajdowało się dwupokojowe mieszkanie, a z prawej jeden pokój. Di Benedetto wykonał ruch ręką i Aspinella sprawdziła mieszkanie, podczas gdy on pilnował korytarza. Następnie weszli do pokoju po prawej. Heskow już na nich czekał.

Siedział na końcu długiego drewnianego stołu, otoczonego czterema kulawymi krzesłami. Na stole leżał worek żeglarski wielkości gruszki boksterskiej. Sprawiał wrażenie wypchanego do pełna. Heskow uściśnął rękę Di Benedetto i skinął głową Aspinelli. Pomyślała, że jeszcze nigdy nie widziała równie białego białego. Jego twarz, a nawet kark były pozbawione jakichkolwiek kolorów.

W pokoju świeciła tylko matowa żarówka i nie było okien. Usiedli przy stole, Di Benedetto wyciągnął rękę i poklepał worek.

- To wszystko jest w środku? - zapytał.

- Oczywiście - odparł drżącym głosem Heskow.

No cóż, człowiek taszczący pięćset tysięcy dolarów w worku żeglarskim ma prawo być zdenerwowany, pomyślała Aspinella. Mimo to dokładnie obejrzała pokój, żeby sprawdzić, czy nie ma podsłuchu.

- Zerknijmy do worka - zaproponował Di Benedetto.

Heskow rozwiązał sznurek ściągający brzeg worka i wysypał połowę zawartości. Na stół wypadło około dwudziestu paczek banknotów spiętych gumkami. Większość zawierała setki, a w dwóch znajdowały się dwudziestodolarówki.

Di Benedetto westchnął i rzekł:

- Pieprzone dwudziestki. W porządku, wsadź je z powrotem.

Heskow wepchnął paczki do worka i zawiązał sznurek.

- Mój klient życzy sobie, żeby to nastąpiło jak najszybciej - powiedział.

- Do dwóch tygodni - odparł Di Benedetto.

- Dobrze.

Aspinella zarzuciła sobie worek na ramię. Nie jest znowu taki ciężki, pomyślała. Pół miliona nie było wielkim ciężarem.

Ujrzała, jak Di Benedetto wymienia uścisk dłoni z Heskowem i poczuła zniecierpliwienie. Chciała się stamtąd jak najszybciej wynieść. Ruszyła schodami w dół trzymając worek jedną ręką; drugą, swobodną, mogła w każdej chwili wyciągnąć broń. Słyszała za sobą kroki Di Benedetto.

Po chwili znaleźli się na zewnątrz. Noc była chłodna. Oboje ociekali potem.

- Włóż worek do bagażnika - powiedział. Usiadł za kierownicą i zapalił cygaro. Aspinella obeszła samochód i wsiadła do środka.

- Gdzie to podzielimy? - zapytał.

- Nie u mnie. Mam opiekunkę do dziecka.

- U mnie też nie. Mam w domu żonę. Może wynajmiemy pokój w motelu?

Aspinella skrzywiła się, a on rzekł z uśmiechem na ustach:

- W moim gabinecie. Zamkniemy drzwi na klucz. - Roześmiali się oboje. - Sprawdź jeszcze raz bagażnik. Upewnij się, czy jest dobrze zamknięty.

Aspinella nie dyskutowała. Wsiadła, otworzyła bagażnik i wyciągnęła worek. W tym momencie Paul uruchomił silnik.

Eksplozja obsypała centrum handlowe szklanym deszczem. Wydawało się, że samochód uniósł się w powietrzu i opadł, niczym grad metalu, który zmasakrował ciało komisarza. Aspinellę Washington odrzuciło na prawie trzy metry. Miała złamaną rękę i nogę, ale to ból wyrwanego oka pozbawił ją przytomności.

Heskow, wychodzący od tyłu pizzerii, poczuł, jak powietrze przyciska go do budynku. Potem wskoczył do samochodu i po dwudziestu minutach był w swoim domu w Brightwaters. Zrobił sobie drinka i sprawdził dwie paczki studolarowych banknotów, które wyjął z żeglarskiego worka. Czterdzieści tysięcy - ładna mała premia. Da swemu synowi parę tysięcy na wydatki. Nie, tysiąc. A resztę ukryje w bezpiecznym miejscu.

Obejrzał nocne wiadomości telewizyjne, w których raz po raz informowano o wybuchu. Jeden detektyw zabity, drugi ciężko ranny. A na miejscu eksplozji worek z ogromną ilością pieniędzy. Prezenter nie powiedział, z jak dużą.

Gdy dwa dni później Aspinella Washington odzyskała przytomność w szpitalu, nie zaskoczyły jej szczegółowe pytania o pieniądze i o to, dlaczego było ich prawie pół miliona. Powiedziała, że nic o nich nie wie. Wypytywali ją o to, co szef wydziału śledczego i jego zastępczyni robili razem poza domem. Odmówiła odpowiedzi, tłumacząc, że to sprawa osobista. Była jednak zła, że przesłuchiwali ją tak bezlitośnie w tak poważnym stanie. Wydział wypiął się na nią. Nie uszanowali jej osiągnięć. Ale wszystko skończyło się pomyślnie. Zwierzchnicy nie oskarżyli jej i doprowadzili do tego, że dochodzenie w sprawie pieniędzy spelzło na niczym.

Analiza sytuacji zajęła Aspinelli kolejny tydzień rekonwalescencji. Zostali wrobieni. I jedynym człowiekiem, który mógł ich wrobić, był Heskow. Natomiast fakt, że w honorarium brakowało czterdziestu tysięcy, oznaczał, że ten chciwy knur nie mógł się oprzeć chęci oskubania swoich współników. No cóż, wydobrzeję, pomyślała, a potem znowu się z nim spotkam.

Rozdział 10

Astorre był teraz bardzo ostrożny w swoich poczynaniach. Nie tylko po to, by uniknąć zamachu, ale także dlatego by nie pozwolić się aresztować z jakiegoś powodu. Trzymał się blisko własnego domu, pilnie strzeżonego całą dobę przez pięcioosobowe zespoły ochroniarzy. W lesie i na obszarze wokół budynku kazał zainstalować czujniki oraz promienniki podczerwieni do nocnej obserwacji. Gdy wyjeżdżał, czynił to w towarzystwie sześciu ochroniarzy, zgrupowanych w trzy tandemy. Czasem podróżował sam, licząc na element zaskoczenia i ufając w swoje siły w razie spotkania z jednym tylko zamachowcem. Wysadzenie dwojga detektywów w powietrze było niezbędne, ale wywołało sporo zamieszania. A gdy Aspinella Washington dojdzie do siebie, domyśli się, że to Heskow ją zdradził. Gdyby zaś Heskow puścił farbę, ona ruszyłaby tropem samego Violi.

Poznał już jednak ogrom stojącego przed nim problemu. Znał wszystkich ludzi winnych śmierci stryja i czekające go wyzwania. Kurt Cilke, w gruncie rzeczy nietykalny, Timmona Portella, który zlecił morderstwo, oraz Inzio Tulippa i Michael Grazziella. Udało mu się ukarać jedynie braci Sturzów, a przecież oni byli zwykłymi pionkami.

Wszystkie informacje pochodziły od Johna Heskowa, pana Pryora, Craxxiego i Octaviusa Bianco na Sycylii. Musiał w miarę możliwości zwabić wszystkich swoich wrogów w jedno miejsce w tym samym czasie. Wystrzelanie ich pojedynczo z pewnością byłoby niemożliwe. Pryor i Craxxi przypomnieli mu już wcześniej, że nie może tknąć Cilkego.

Został jeszcze konsul generalny Peru, Marriano Rubio, partner Nicole. Jak dalece była wobec niego lojalna? Co takiego zamazała w aktach ojca z archiwum FBI? Co chciała przed nim zataić?

W wolnych chwilach Astorre marzył o kobietach, które kiedyś kochał. Pierwszą była Nicole - tak młoda i tak uparta, jej drobne, delikatne ciało tak zmysłowe, że musiał się w niej zakochać. Zmieniła się jednak, pozwalając, by polityka i kariera stłumiły tę zmysłowość.

Wspominał Buji z Sycylii, bardzo bliską roli call-girl, okazującą odruchową dobroć, która w każdej chwili mogła przerodzić się we wściekłość. Wspominał jej wspaniałe łóżko, ciche sycylijskie wieczory, gdy pływali w morzu i jedli oliwki z wypełnionych zalewą beczek. Z największym rozczuleniem wspominał to, że nigdy nie kłamała; była całkowicie szczerą w

wyznaniach o swoim życiu i innych mężczyznach. I jej wierność, gdy został postrzelony, to, jak zalana krwią płynącą mu z szyi wyciągnęła go z wody. A potem prezent w postaci złotego łańcucha z medalionem zasłaniającym szpecącą szramę.

Później myślał o Rosie, jego perfidnej Rosie - tak miłej, tak pięknej, tak sentymentalnej - która stale zapewniała o swej szczerzej miłości, zdradzając go jednocześnie. Pragnął zniszczyć swoje uczucie do niej, wykorzystując ją przeciwko braciom Sturzo i z zaskoczeniem stwierdził, że Rosie znajduje przyjemność w odgrywaniu nowej roli w swoim fikcyjnym życiu.

A potem przez jego myśli przemykało, niczym zjawy, wyobrazenie żony Cilkego - Georgette. Cóż za głupota. Spędził jeden wieczór przyglądając się jej, słuchając jak prawi nonsensy o bezcennej wartości każdej ludzkiej istoty, w co nie wierzył. Mimo to nie potrafił o niej zapomnieć. Jakim cudem wyszła za takiego faceta jak Kurt Cilke?

Czasami wieczorem Astorre jechał w okolice mieszkania Rosie i dzwonił do niej z telefonu zainstalowanego w swoim samochodzie. Zawsze miała czas na spotkanie; zaskakiwało go to, wyjaśniła mu jednak, iż jest tak zajęta nauką, że nie chce wychodzić z domu. Bardzo mu to odpowiadało, ponieważ był zbyt ostrożny, żeby proponować kolację w restauracji lub zabrać ją do kina. Zatrzymywał się przy sklepie Zabara na West Side i kupował przysmaki, na widok których Rosie uśmiechała się z rozkoszą. W tym czasie Monza czekał w samochodzie.

Rosie wykladała jedzenie na stół i otwierała butelkę wina. Gdy jedli, kładła mu nogi na kolanach; jej twarz jaśniała szczęściem. Wydawało się, że wita każde jego słowo uśmiechem zadowolenia. Miała do tego szczególny dar i Astorre wiedział, że zachowuje się tak wobec wszystkich swoich mężczyzn, lecz to nie miało znaczenia.

Potem zaś, gdy szli do łóżka, Rosie była nie tylko namiętna, ale także bardzo miła. Wprost Ignęła do niego. Dotykała całej jego twarzy, całowała go i mówiła: - Jesteśmy naprawdę bratnimi duszami. - Te słowa przyprawiały go o lodowaty dreszcz. Nie chciał, by Rosie była bratnią duszą kogoś takiego jak on. W takich chwilach był spragniony tradycyjnej cnotliwości, nie potrafił się jednak powstrzymać od widywania Rosie.

Zostawał na pięć, sześć godzin. Wychodził o trzeciej nad ranem. Czasem, gdy Rosie spała, spoglądał na nią i dostrzegał w rozluźnionych mięśniach jej twarzy budzącą litość podatność na zranienie, a także oznaki walki - jak gdyby demony uwięzione w zakamarkach jej duszy usiłowały się uwolnić.

Pewnego wieczoru wyszedł od Rosie wcześniej. Gdy wsiadł do czekającego samochodu, Monza powiedział mu, że ma pilnie zadzwonić do pana Soczystego. Był to kryptonim, który stosowali razem z Heskowem, więc natychmiast podniósł słuchawkę telefonu.

Głos Heskowa brzmiał natarczywie:

- Nie mogę mówić przez telefon. Musimy się natychmiast spotkać.

- Gdzie?

- Będę stał tuż przed Madison Square Garden. Przyjedź po mnie. Za godzinę.

Gdy mijali halę, dostrzegli stojącego na chodniku Heskowa. Monza zatrzymał przed nim samochód, na kolanach miał pistolet. Astorre otworzył drzwi i Heskow wskoczył na przednie siedzenie. Panujące na zewnątrz zimno pozostawiło wilgotne smugi na jego policzkach.

- Masz nieliczne kłopoty - powiedział.

Astorre poczuł zimny dreszcz.

- Dzieci dona? - zapytał.

Heskow potwierdził skinieniem głowy.

- Portella porwał twojego kuzyna Marcantonio i przetrzymuje go gdzieś w ukryciu. Nie wiem gdzie. Zaprasza cię na spotkanie. Jutro. Chce coś dostać za swego zakładnika. Ale jeżeli będziesz nierozważny, to wiedz, że czteroosobowy zespół zamachowców ma cię na oku. Korzysta z własnych ludzi. Próbował zlecić mi tę robotę, ale odmówiłem.

Znajdowali się w ciemnej ulicy.

- Dzięki - rzekł Astorre. - Gdzie mogę cię wysadzić?

- Tutaj. Mój samochód stoi przecnicę dalej.

Astorre zrozumiał. Heskow obawiał się, że ktoś go z nim zobaczy.

- Jeszcze jedno - powiedział. - Wiesz o apartamencie Portelli w jego własnym hotelu? Dziś wieczorem jest tam jego brat Bruno. I nie ma ze sobą ochroniarzy.

- Jeszcze raz dziękuję - rzekł Astorre. Otworzył drzwi samochodu i Heskow zniknął w ciemności.

Marcantonio Aprile miał ostatnie w tym dniu spotkanie i nie chciał go przedłużyć. Była siódma wieczór, a na dziewiątą był umówiony na kolację.

Spotkał się ze swym ulubionym producentem, a zarazem najlepszym przyjacielem w branży filmowej, człowiekiem nazwiskiem Brody, który jeszcze nigdy nie przekroczył budżetu, miał wielką skłonność do dramatycznych opowieści i często przedstawiał mu energiczne młode aktorki, które potrzebowały odrobiny pomocy w swoich karierach.

Lecz tego wieczoru znaleźli się po przeciwnych stronach barykady. Steve Brody przyszedł z jednym z najbardziej wpływowych agentów w branży, niejakim Mattem Glazierem, który był bardzo lojalny wobec swoich klientów. Bronił interesów powieściopisarza, którego najnowszą książkę przerobił na ośmiogodzinną epopeję w odcinkach. Teraz chciał sprzedać jego trzy wcześniejsze książki.

- Marcantonio - mówił Glazier - pozostałe trzy książki są świetne, ale się nie sprzedały. Wiesz, jacy są wydawcy - nie umieliby sprzedać słoju z kawiozem za pięć centów. Brody jest gotów je zekranizować. Zarobiłeś kupę forsy na jego ostatniej powieści, więc nie bądź skąpcem i zawrzyjmy umowę.

- Nie widzę sensu - odparł Marcantonio. - Mówimy o starych książkach, które nigdy nie

były bestsellerami. A teraz nie ma ich nawet w księgarniach.

- To bez znaczenia - rzekł Glazier ze skwapliwą pewnością siebie, typową dla wszystkich agentów. - Gdy tylko dobijemy targu, wydawcy zrobią dodruki.

Marcantonio słyszał już ten argument wiele razy. Wydawcy rzeczywiście wznowiliby je, ale telewizyjnej emisji serialu specjalnie to nie pomagało. Już raczej audycja telewizyjna pomogłaby wydawcy książki. W istocie był to bzdurny argument.

- Pomijając to wszystko - zauważył syn don Aprilego - czytałem te książki. Nic nam nie dają. Są zbyt literackie. To ich język sprawia, że działają na czytelnika, a nie fabuła. Podobały mi się. Nie twierdzą, że nie można ich zekranizować, twierdzą tylko, że to nie jest warte ryzyka i dodatkowego wysiłku.

- Nie wciskaj mi kitu - rzekł Glazier. - Czytałeś tylko recenzje. Jesteś dyrektorem programowym - nie masz czasu na lektury.

Marcantonio roześmiał się.

- Mylisz się. Bardzo lubię czytać i bardzo mi się podobały. Ale to nie jest materiał na dobry film telewizyjny. - Jego głos brzmiał serdecznie i życzliwie. - Przykro mi, ale my rezygnujemy. Ale pamiętaj o nas. Bardzo chcielibyśmy z tobą pracować.

Gdy wyszli, Marcantonio wziął prysznic w łazience swego dyrektorskiego apartamentu i przebrał się na randkę. Pożegnał swą sekretarkę, która zawsze zostawała do momentu, gdy wychodził z biura, i zjechał windą do holu budynku.

Umówił się w „Four Seasons”, w odległości zaledwie paru przecznicy, i chciał pójść pieszo. W odróżnieniu od większości dyrektorów najwyższego szczebla nie miał samochodu z szoferem wyłącznie dla siebie, ale po prostu wzywał go w razie potrzeby. Był dumny ze swej oszczędności i wiedział, że nauczył się jej od ojca, który miał bardzo nieprzychylny stosunek do marnowania pieniędzy na głupstwa.

Wyszedł na ulicę, poczuł zimny wiatr i zadrżał. Zatrzymała się przed nim czarna limuzyna. Wysoki, mocno zbudowany mężczyzna, któremu o numer za małą czapka sterczała dziwnie na głowie, wysiadł z samochodu i otworzył mu drzwi. Czyżby sekretarka zamówiła dla niego samochód? Szofer uklonił się i rzekł:

- Pan Aprile?

- Tak - odparł Marcantonio. - Dzisiaj wieczorem nie będę cię potrzebował.

- Owszem, będziesz - powiedział kierowca z radosnym uśmiechem. - Wsiadaj do samochodu, bo inaczej dostaniesz kulkę.

Nagle Marcantonio zdał sobie sprawę z obecności trzech mężczyzn za sobą. Zawahał się.

- Nie obawiaj się, pewien znajomy chce po prostu z tobą pogawędzić.

Marcantonio wsiadł na tylne siedzenie limuzyny, a trzech mężczyźni wcisnęli się obok niego.

Przejechali parę przecznicy, po czym jeden z nich dał mu ciemne okulary i kazał je włożyć. Marcantonio uczynił to - i miał wrażenie, że oślepl. Szklka były tak ciemne, że

blokowały całe światło. Uznał to za sprytne posunięcie i postanowił wykorzystać coś takiego w filmie. Poczul nadzieję. Skoro nie chcieli, żeby widział, dokąd jedzie, nie zamierzali go zabić. A jednak to wszystko wydawało się tak nierealne, jak jeden z jego filmów telewizyjnych. Dopóki nagle nie pomyślał o swoim ojcu. I o tym, że w końcu znalazł się w jego świecie, w którego istnienie nigdy do końca nie wierzył.

Po blisko godzinie samochód zatrzymał się i dwaj ochroniarze pomogli mu wysiąść. Pod stopami poczul wybrukowaną ścieżkę, po czym wprowadzono go po czterech stopniach schodów do jakiegoś domu. I następnymi schodami do pokoju. Drzwi zamknęły się za nim. Dopiero wtedy zdjęto mu okulary. Znajdował się w małej sypialni, w której oknach wisiały grube zasłony. Jeden z ochroniarzy usiadł na krześle obok łóżka i powiedział:

- Połóż się i utnij sobie krótką drzemkę. - Czekaj cię ciężki dzień. - Marcantonio spojrzał na zegarek. Dochodziła północ.

Tuż po czwartej nad ranem, w ciemności pełnej widm drapaczy chmur, kierowca wysadził Violę i Aldo Monzę przed hotelem „Lyceum” i zaczekał pod drzwiami. Monza pobrzękiwał pękiem kluczy, gdy biegli po schodach do drzwi apartamentu Portelli.

Otworzył je i weszli do salonu. Ujrzeni stół zaśmiecony kartonowymi pudełkami po chińskich daniach na wynos, pustymi kieliszkami i butelkami z winem i whisky. Stał na nim również ogromny, niedojedzony tort z bitej śmietany, z rozgniecionym papierosem zdobiącym jego wierzchołek, niczym urodzinowa świeczka. Weszli do sypialni. Astorre błyskawicznym ruchem ręki zapalił światło. Na łóżku, w samych szortach, leżał Bruno Portella.

Powietrze wypełniała intensywna woń perfum, ale brat Timmony był w łóżku sam. Nie przedstawiał sobą przyjemnego widoku. Jego otyła i obwisła twarz lśniła od nocnego potu, a z ust wydobywał się nieświeży zapach owoców morza. Ogromna klatka piersiowa sprawiała, że wyglądał jak niedźwiedź, i Astorre pomyślał, iż Bruno rzeczywiście ma w sobie słodczy pluszowego misia. W nogach łóżka stała otwarta butelka czerwonego wina, która wydzielala dodatkowy bukiet przykrego aromatu. Budzenie go wydawało się niegodziwością; Astorre zrobił to delikatnie, klepiąc gangstera w czoło.

Bruno otworzył jedno, a potem drugie oko. Nie sprawiał wrażenia przerażonego ani nawet zdumionego.

- Co wy tu, u diabła, robicie? - zapytał. Jego głos był ochryply od snu.

- Bruno, nie ma powodu do obaw - łagodnie odparł Astorre. - Gdzie dziewczyna?

Bruno podniósł się w łóżku i roześmiał.

- Musiała iść wcześniej do domu, żeby wyprawić dzieciaka do szkoły. Wypieprzyłem ją już trzy razy, więc pozwoliłem jej odejść. - Powiedział to z dumą, którą napawała go zarówno własna męskość, jak i zrozumienie dla problemów pracującej dziewczyny. Sięgnął niedbałym ruchem ręki do nocnego stolika. Astorre delikatnie chwycił go za ramię, a Monza wysunął

szufladę i wyciągnął z niej rewolwer.

- Słuchaj, Bruno - rzekł uspokajająco Viola. - Nie stanie się nic złego. Wiem, że twój brat ci się nie zwierza, ale wczoraj wieczorem porwał mojego kuzyna Marca. Muszę więc teraz wymienić cię na niego. Twój brat cię kocha i zgodzi się na wymianę. Wierzysz w to, prawda?

- No, pewnie - odparł Bruno. Wyglądał na uspokojonego.

- Tylko nie zrób żadnego głupstwa. A teraz ubierz się.

Gdy Bruno skończył, wydawało się, że ma kłopoty z zawiązaniem sznurówek.

- Co się stało? - zapytał Astorre.

- Po raz pierwszy włożyłem te buty - wyjaśnił młodszy Portella. - Zwykle noszę mokasyny.

- Nie potrafisz zawiązywać sznurówek? - zdziwił się Astorre.

- Dotąd nigdy nie miałem sznurowanych butów.

Astorre roześmiał się.

- Chryste Panie. Dobra, zawiążę ci je - powiedział i pozwolił, by Bruno położył stopę na jego kolanach.

Gdy skończył, wręczył Brunonowi telefon stojący przy łóżku i polecił:

- Zadzwoń do swojego brata.

- O piątej rano? Timmona mnie zabije.

Astorre uświadomił sobie, że to nie sen zmaćcił umysł gangstera; Bruno naprawdę był tępakiem.

- Powiedz mu tylko, że jesteś w moich rękach. Potem ja z nim porozmawiam.

Bruno wziął słuchawkę i płaczliwym głosem powiedział:

- Timmona, wpakowałeś mnie w niezłe tarapaty i właśnie dlatego tak wcześnie do ciebie dzwonię.

Astorre usłyszał wrzask w słuchawce.

- Astorre Viola ma mnie w swoich rękach i chce z tobą porozmawiać - pospieszenie dorzucił Bruno i od razu oddał słuchawkę.

- Przepraszam, że cię budzę, ale musiałem porwać Brunona, ponieważ ty masz mojego kuzyna - rzekł Astorre.

W telefonie rozległ się następny wściekły wrzask Portelli:

- Nic o tym nie wiem. Czego u diabła chcesz?

Bruno słyszał jego słowa i zawołał:

- Wpakowałeś mnie w to, kutasie, to mnie teraz wydostań!

- Timmona, zrób tę wymianę i będziemy mogli porozmawiać o transakcji, którą chcesz zawrzeć. Wiem, że uważasz, iż jestem uparty, ale gdy się spotkamy, wyjaśnię ci dlaczego i zrozumiesz, że wyświadczam ci przysługę.

Głos Portelli brzmiał teraz spokojnie.

- W porządku - rzekł. - Jak zorganizujemy to spotkanie?

- Spotkamy się w południe w restauracji „Paladyn”. Mam tam własną salę. Przyprawdź ze sobą Brunona, a ty przyprawdź Marca. Jeżeli obawiasz się podstępu, możesz przyprawdź ochroniarzy, ale przecież nie chcemy urządzać krwawej łaźni w miejscu publicznym. Omówimy sytuację i dokonamy wymiany.

Zapadła długa cisza, po czym Portella rzekł:

- Przyjść, ale nie próbuj żadnych numerów.

- Nie obawiaj się - powiedział Astorre. - Po tym spotkaniu będziemy kumplami.

Ustawili Brunona pomiędzy sobą, a Astorre wziął go po przyjacielsku pod rękę. Wyprowadzili go po schodach na ulicę. Czekają tam dwa dodatkowe samochody z ludźmi Violi.

- Zabierz Brunona ze sobą do jednego z wozów - polecił Astorre Monzzie. - W południe macie być w „Paladynie”. Tam się spotkamy.

- Co u diabła mam z nim robić do tego czasu? - zapytał Monza. - Zostało wiele godzin.

- Zabierz go na śniadanie. On lubi jeść. To powinno zająć wam parę godzin. Potem idź z nim na spacer po Central Parku. Wybierzcie się do zoo. Ja wezmę jeden samochód i kierowcę. Gdyby próbował uciekać, nie zabijaj go. Po prostu go złap.

- Będziesz zdany na siebie - zauważył Monza. - Czy to rozsądne?

- Nic mi się nie stanie. - W samochodzie Astorre zadzwonił z telefonu komórkowego pod prywatny numer Nicole. Dochodziła szósta i poranne światło przeobraziło miasto w długie i wąskie kamienne korytarze.

Gdy Nicole odebrała telefon, miała senny głos. Astorre przypomniał sobie, że tak samo brzmiał, gdy była młodą dziewczyną i jego kochanką.

- Nicole, zbudź się - powiedział. - Poznajesz, kto mówi?

To pytanie wyraźnie ją zirytowało.

- Jasne, że poznaję. Któż inny dzwoniłby o tej porze?

- Słuchaj uważnie. Żadnych pytań. Pamiętasz ten dokument, który dla mnie przechowujesz, ten, który podpisałem Cilkemu, mimo że zabroniłaś mi to robić?

- Tak, oczywiście, że pamiętam - odparła lakonicznie.

- Trzymasz go w domu czy w sejfie w swoim gabinecie?

- W moim gabinecie, rzecz jasna.

- W porządku. Za trzydzieści minut będę pod twoim domem. Zadzwonię do drzwi. Bądź gotowa i zejść na dół. Przynies wszystkie klucze. Pojedziemy do twojego biura.

Gdy Astorre nacisnął dzwonek domofonu, Nicole natychmiast zeszła na dół. Była ubrana w niebieski skórzany płaszcz i niosła dużą torebkę. Pocałowała go w policzek, ale kiedy wsiadali do samochodu, udzieliła tylko wskazówek szoferowi, jak ma jechać, i nie ośmieliła się powiedzieć więcej ani słowa. Ponownie odezwała się dopiero wtedy, gdy znaleźli się w jej gabinecie.

- A teraz powiedz mi, do czego potrzebny ci jest ten dokument.

- Nie musisz tego wiedzieć.

Astorre dostrzegł, że ta odpowiedź rozgniewała ją, ale Nicole podeszła do sejfu, będącego częścią biurka, i wyjęła skoroszyt.

- Nie zamykaj sejfu - powiedział. - Chcę dostać nagranie, które zrobiłaś podczas naszego spotkania z Cilkem.

Nicole wręczyła mu skoroszyt.

- Masz prawo do tych dokumentów, ale nie masz prawa do żadnego nagrania, nawet gdyby istniało.

- Dawno temu powiedziałaś mi, że nagrywasz wszystkie spotkania w swoim gabinecie. I obserwowałem cię wtedy. Byłaś trochę za bardzo zadowolona z siebie.

Nicole roześmiała się szyderczo.

- Zmieniłeś się - zauważyła. - Nigdy nie zaliczałeś się do tych dupków, którzy sądzą, że potrafią czytać w myślach innych ludzi.

Astorre posłał jej ponury uśmiech i ze skrucą powiedział:

- Wydawało mi się, że nadal mnie lubisz. Właśnie dlatego nigdy nie zapytałem, co usunęłaś z akt swojego ojca, zanim mi je pokazałaś.

- Niczego nie usunęłam - odparła oziębłe Nicole. - I nie dam ci taśmy, dopóki mi nie powiesz, o co w tym wszystkim chodzi.

Astorre milczał, a potem stwierdził:

- W porządku, jesteś teraz dużą dziewczynką. - Roześmiał się, spostrzegłszy, jak bardzo jest zła. Błyski w jej oczach i skrzywione z pogardą wargi przypomniały mu, jak wyglądała, gdy dawno temu stanęła przed nim i swoim ojcem.

- No cóż, zawsze chciałaś się bawić z dużymi chłopcami. I z pewnością to robisz. Jako prawniczka wystraszyłaś niemal równie wielu ludzi, jak twój ojciec.

- Nie był taki zły, jak przedstawiały go prasa i FBI - odparła gniewnie Nicole.

- W porządku - powiedział pojednawczo Astorre. - Zeszłej nocy Marc został porwany przez Timmonę Portellę. Ale nie martw się. Dostałem w swoje ręce jego brata Brunona. Teraz możemy się targować.

- Dokonałeś porwania? - zapytała z niedowierzaniem.

- Oni również. Naprawdę chcą, żebyśmy im sprzedali banki.

Nicole krzyknęła nieomal:

- W takim razie daj im te pieprzone banki!

- Nie rozumiesz - odparł Astorre. - Nie damy im niczego. Mamy Brunona. Zrobiją krzywdę Marcowi, ja zrobię krzywdę jemu.

Nicole patrzyła na niego z przerażeniem w oczach. Astorre spojrzał na nią spokojnie i jedną ręką dotknął złotego łańcuszka na swej szyi.

- Owszem - rzekł. - Musiałbym go zabić.

Stanowcza twarz Nicole zmarszczyła się z żalu.

- Nie ty, Astorre, nie ty.

- Więc teraz już wiesz. Nie jestem człowiekiem, który sprzeda banki po tym, jak zabili twojego ojca, a mojego stryja. Ale potrzebuję nagrania i tego dokumentu, żeby zawrzeć transakcję i odzyskać Marca bez rozlewu krwi.

- Po prostu sprzedaj im banki - powiedziała szeptem Nicole. - Będziemy bogaci. Jakie to ma znaczenie?

- Dla mnie ma. I miało dla twojego ojca.

Nicole w milczeniu sięgnęła do sejfu i wyjęła małą paczkę, którą położyła na skoroszybie.

- Odtwórz mi ją teraz - poprosił Astorre.

Nicole wyjęła z biurka mały odtwarzacz kasetowy. Włożyła do niego taśmę i wysłuchali, jak Cilke ujawnia swój plan wciągnięcia Portelli w pułapkę. Potem Astorre wsadził skoroszyt i kasetę do kieszeni i rzekł:

- Dzisiaj zwrócę ci to wszystko oraz Marca. Nie martw się. Nic się nie stanie. A jeżeli nawet, to z gorszym skutkiem dla nich niż dla nas.

Tuż po południu Astorre, Aldo Monza i Bruno Portella siedzieli w prywatnej jadalni restauracji „Paladyn” na Upper East Side.

Bruno nie wydawał się wcale strapiony rolą zakładnika i radośnie gawędził z Violą.

- Wiesz, całe życie mieszkam w Nowym Jorku, a nie miałem pojęcia, że w Central Parku jest zoo. Więcej ludzi powinno o tym wiedzieć i je odwiedzać.

- Więc dobrze się bawiłeś - powiedział dobrodusznie Astorre, myśląc, że gdyby wszystko poszło nie tak jak trzeba, Bruno przynajmniej miałby przyjemne wspomnienia przed śmiercią.

Drzwi jadalni otworzyły się na oścież i ukazał się w nich właściciel restauracji wraz z Timmoną Portellą i Marcantoniem. Szeroka postać Portelli w dobrze skrojonym garniturze niemal zupełnie zasłaniała kuzyna Violi. Bruno rzucił się bratu w ramiona i ucałował go w obydwie policzki. Astorre ze zdumieniem dostrzegł wyraz miłości i zadowolenia na twarzy Timmony.

- To się nazywa brat - głośno wykrzyknął Bruno. - To się nazywa brat.

Astorre i Marcantonio tylko uściśniły sobie ręce, po czym bratanek don Aprilego objął kuzyna ramieniem i powiedział:

- Wszystko w porządku, Marc.

Marcantonio odwrócił się od niego i usiadł. Nogi ugięły się pod nim po części z ulgi na myśl o tym, że jest bezpieczny, a po części z uwagi na wygląd Astorre. Ten młody chłopak, który uwielbiał śpiewać, uczuciowy i radosny młodzieniec, tak beztroski i oddany, objawił się teraz w swej prawdziwej postaci, jako anioł śmierci. Swą obecnością przyćmił przerażającego i zawadiackiego Portellę.

Astorre usiadł obok kuzyna i poklepał go po kolanie. Uśmiechnął się uprzejmie, jak

gdyby chodziło jedynie o lunch w gronie przyjaciół.

- Jesteś cały i zdrowy? - zapytał.

Marcantonio spojrzał mu prosto w oczy. Nigdy wcześniej nie zauważył, jak bardzo są przejrzyste i bezlitosne. Popatrzył na Brunona, człowieka, który zapłaciłby za jego życie. Mężczyzna paplał do brata, coś o zoo w Central Parku.

- Mamy kilka spraw do omówienia - rzekł Astorre do Portelli.

- W porządku - odparł mafioso. - Bruno, spierdalaj stąd. Na zewnątrz czeka samochód. Pogadamy, gdy wrócę do domu.

Monza wszedł do jadalni.

- Zawieź Marcantonia do jego domu - polecił mu Viola. - A ty, Marc, zaczekaj tam na mnie.

Portella i Astorre siedzieli teraz sami naprzeciwko siebie. Portella otworzył butelkę wina i napełnił swój kieliszek, ale rozmówcy kieliszka nie podsunął.

Astorre sięgnął ręką do kieszeni, wyjął z niej brązową kopertę i wysypał jej zawartość na stół. Znalazł się na nim poufny dokument, który podpisał Cilkemu, ten, w którym FBI prosiło, by wydał Portellę. Był jeszcze mały odtwarzacz z kasetą w środku. Portella spojrzał na dokument z logo FBI, zapoznał się z jego treścią i cisnął go na bok.

- To może być fałszywka - powiedział. - I czemu miałbyś być na tyle głupi, żeby to podpisać?

W odpowiedzi Astorre włączył odtwarzacz i usłyszeli głos Cilkego, proszącego o współpracę w zastawieniu sidła na Portellę. Mafioso słuchał i starał się ukryć zaskoczenie i opanować wściekłość, którą czuł, ale jego twarz splonęła ciemnoczerwonym rumieńcem, a wargi poruszały się w niemych przekleństwach. Astorre wyłączył odtwarzacz.

- Wiem, że pracowałeś z Cilkem przez ostatnich sześć lat. Pomogłeś mu zniszczyć nowojorskie Rodziny. Wiem też, że otrzymałeś za to od Cilkego gwarancję nietykalności. Ale teraz on cię ściga. Faceci, którzy noszą odznaki, są nienasycony. Chcą zgarnąć całą pulę. Sądziłeś, że jest twoim przyjacielem. Złamałeś dla niego prawo *omertà*. Uczyniłeś go sławnym, a teraz on chce posłać cię za kratki. Nie jesteś mu już potrzebny. Zamierza dobrać ci się do skóry, gdy tylko kupisz banki. Właśnie dlatego nie mogłem dobić targu. Nigdy nie złamałbym zasady *omertà*.

Portella był bardzo spokojny. Wydawało się, że podjął decyzję.

- Jaką transakcję zawarłbyś w sprawie banków, gdybym rozwiązał problem Cilkego?

Astorre włożył wszystko z powrotem do swojej teczki.

- Sprzedaż za gotówkę - odparł. - Wszystkiego, z wyjątkiem moich udziałów - zatrzymam pięć procent.

Portella sprawiał wrażenie, że otrząsnął się z szoku.

- W porządku - rzekł. - Możemy to skalkulować po rozwiązaniu problemu.

Uścisnęli sobie ręce na znak zgody i Portella wyszedł z jadalni. Astorre uświadomił sobie, że jest bardzo głodny i zamówił na lunch gruby krwisty stek. Jeden problem z głowy, pomyślał.

O północy Portella spotkał się w konsulacie peruwiańskim z Marriano Rubiem, Inzio Tulippą i Michaeliem Grazziellą.

Rubio wspaniale gościł Tulippę i Grazziellę. Towarzyszył im na przedstawieniach teatralnych, operowych i baletowych oraz dostarczał dyskretnych pięknych młodych kobiet, które zyskały już pewną sławę w sztuce i muzyce. Tulippa i Grazziella wspaniale spędzali czas i nie chcieli wracać do swoich naturalnych, znacznie mniej ekscytujących środowisk. Byli podrzędnymi królami, o których względy zabiegał cesarz, czyniąc wszystko, żeby ich zadowolić. Tego wieczora konsul generalny przeszedł samego siebie w swojej gościnności. Stół konferencyjny ugiął się pod ciężarem egzotycznych potraw, owoców, serów i wielkich cukierków czekoladowych; przy każdym fotelu stała butelka szampana w kubelku z lodem. Na delikatnych drabinkach z cukrowej waty spoczywały wspaniałe ciasteczka. Z ogromnego dzbanka z kawą wydobywała się para, a stół był usłany bezładnie pudełkami hawańskich cygar - ciemnych, jasnobrazowych i zielonych.

Rubio otworzył obrady, zwracając się do Portelli:

- No i cóż tak ważnego się stało, że aż musieliśmy odwołać nasze spotkania? - Mimo wyszukanej uprzejmości, z jaką to powiedział, w jego głosie pobrzmiwała protekcyjność, która rozwścieczyła Portellę. Wiedział, że sporo straci w ich oczach, gdy dowiedzą się o dwulicowości Cilkego. Opowiedział im o wszystkim.

Tulippa rzekł jedząc cukierka:

- Chcesz powiedzieć, że miałeś jego kuzyna Marcantonio Aprile i bez zasięgnięcia naszej rady zawarłeś ugodę, żeby uwolnić swojego brata? - Jego głos był pełen pogardy.

- Nie mogłem dopuścić do śmierci Brunona - wyjaśnił Portella. - A poza tym, gdybym nie zawarł ugody, wpadlibyśmy w pułapkę Cilkego.

- To prawda - przyznał Tulippa. - Ale decyzja nie należała do ciebie.

- Tak - rzekł Portella. - Kto w takim razie...

- My wszyscy! - warknął Tulippa. - Jesteśmy twoimi współnikami.

Portella spojrzał na niego i zastanawiał się, co powstrzymuje go od zabicia tego wypomadowanego sukinsyna. Potem jednak przypomniał sobie pięćdziesiąt fruujących w powietrzu panam.

Wydawało się, że konsul czyta w jego myślach, bo powiedział uspokajająco:

- Wszyscy wywodzimy się z różnych kultur i mamy różne wartości. Musimy dopasować się do siebie. Timmona jest Amerykaninem, człowiekiem sentymentalnym.

- Jego brat to głupi gnojek - zauważył Tulippa.

Rubio pokiwał palcem.

- Inzio, przestań siać niezgodę dla zabawy. Każdy z nas ma prawo decydować o osobistych sprawach.

Grazziella uśmiechnął się blado, z rozbawieniem.

- To prawda. Ty, Inzio, nigdy nie poinformowałeś nas o swoich tajnych laboratoriach. To twoje pragnienie posiadania własnej broni jądrowej. Szaleńczy zamiar. Wydaje ci się, że władze pogodzą się z takim zagrożeniem? Zmieniają wszystkie ustawy, które nas teraz chronią i pozwalają nam się rozwijać.

Tulippa uśmiechnął się. Bawiło go to spotkanie.

- Jestem patriotą - wyjaśnił. - Chcę, żeby Ameryka Południowa była w stanie obronić się przed takimi krajami, jak Izrael, Indie i Irak.

Rubio uśmiechnął się do niego dobrotliwie i rzekł:

- Nie wiedziałem, że jesteś nacjonalistą.

Portelli nie było do śmiechu.

- Mam poważny problem. Sądziłem, że Cilke jest moim przyjacielem. Zainwestowałem w niego sporo forsy. A teraz on dobiera się do skóry mnie i wam wszystkim.

Grazziella przemówił otwarcie i zdecydowanie:

- Musimy zaniechać całego projektu. Musimy się ograniczyć. - Przestał być sympatycznym człowiekiem, którego dotąd znali. - Trzeba znaleźć inne rozwiązanie. Zapomnijcie o Kurcie Cilke i Astorre Violi. Są zbyt niebezpiecznymi przeciwnikami. Nie wolno nam dalej iść drogą, która mogłaby doprowadzić nas wszystkich do ruiny.

- To nie rozwiąże mojego problemu - stwierdził Portella. - Cilke nadal będzie mnie ścigał.

Tulippa także zrzucił maskę uprzejmości.

- To, że zalecasz takie pokojowe rozwiązanie, stoi w sprzeczności ze wszystkim, co o tobie wiemy. Zabijałeś policjantów i sędziów na Sycylii. Zamordowałeś naczelnika i jego żonę. Ty i twoja *cosca* Corleonesich zabiliście generała armii, który został wysłany na wyspę, by zniszczyć waszą organizację. A teraz mówisz, byśmy zaniechali projektu, który przyniesie nam miliardy dolarów. I opuścili naszego przyjaciela Portellę.

- Mam zamiar pozbyć się Cilkego - rzekł Portella. - Bez względu na to, jakie jest wasze zdanie.

- To bardzo niebezpieczny krok - zauważył konsul. - FBI wypowie ci wojnę. Wykorzysta wszystkie środki, by schwytać jego zabójcę.

- Zgadzam się z Timmoną - rzekł Tulippa. - FBI działa w granicach prawa i można się z nim uporać. Dostarczę zespół szturmowy. Kilka godzin po akcji jego członkowie będą na pokładzie samolotu lecącego do Ameryki Południowej.

- Wiem, że to niebezpieczne, ale nic innego nie można zrobić - dodał Portella.

- Zgadzam się - przytaknął Tulippa. - Dla miliardów dolarów trzeba nadstawić karku, bo inaczej, po co tkwimy w tym interesie?

- Ty i ja ryzykujemy w minimalnym stopniu, ponieważ mamy status dyplomatów - rzekł

Rubio do Tulippy. - Michael, na razie wrócisz na Sycylię. A ty, Timmono, będziesz musiał przyjąć na siebie to, co nastąpi potem.

- W najgorszym razie - wtrącił Tulippa - mogę cię ukryć w Ameryce Południowej.

Portella rozłożył ręce w powietrzu w geście bezradności i powiedział:

- Mam wybór, ale potrzebuję waszego poparcia. Zgadzasz się, Michael?

Grazziella miał kamienną twarz.

- Tak, zgadzam się - odparł. - Ale bardziej obawiałbym się Astorre Violi niż Kurta Cilkego.

Rozdział 11

Gdy Astorre otrzymał zaszyfrowaną informację, że Heskow chce się spotkać, przedsięwziął środki ostrożności. Zawsze istniało niebezpieczeństwo, że Heskow może się zwrócić przeciwko niemu, więc zamiast odpowiadać na wiadomość, o północy nieoczekiwanie zjawił się w jego domu w Brightwaters. Zabrał ze sobą Aldo Monzę i dodatkowy samochód z czterema ludźmi. Włożył też kamizelkę kuloodporną. Gdy znalazł się na podjeździe, zawołał, by Heskow otworzył drzwi.

Heskow nie sprawiał wrażenia zaskoczonego. Przyrządził kawę dla siebie i Violi. Podał ją, po czym uśmiechnął się do swego gościa i rzekł:

- Mam dobrą i złą wiadomość. Od której zacząć?

- Po prostu mów.

- Zła wiadomość to fakt, że muszę na dobre wyjechać z kraju, a powodem wyjazdu jest właśnie dobra wiadomość. Chcę też prosić cię o dotrzymanie obietnicy. Że nawet jeżeli nie będę już mógł dla ciebie pracować, mojemu chłopcu nic się nie stanie.

- Masz moje słowo - odparł Astorre. - A dlaczego musisz wyjechać z kraju?

Heskow pokręcił głową w komicznym akcie żalu.

- Dlatego, że ten głupi kutas Portella przystępuje do ataku. Ma zamiar zabić Cilkego, faceta z FBI. I chce, żebym był szefem operacyjnym grupy szturmowej.

- Więc po prostu odmów.

- Nie mogę. Zabójstwo zlecił cały syndykat i jeżeli odmówię, sprzątną mnie, a może także mojego syna. Zorganizuję więc zamach, ale nie będę w nim uczestniczył. Zniknę. A gdy Cilke zginie, FBI pośle na miasto setkę ludzi, by znaleźć sprawców. Powiedziałem im o tym, ale gównu ich to obchodzi. Cilke przechytrył ich lub wykrecił im jakiś inny numer. Wydaje im się, że mogą go tak oszkalować, że jego śmierć nie będzie wielką sprawą.

Astorre starał się nie okazywać zadowolenia. Udało się. Cilke zginie w bezpieczny dla niego sposób. A przy odrobinie szczęścia FBI pozbędzie się Portelli.

- Chcesz mi zostawić adres? - zapytał.

Heskow uśmiechnął się do niego z pogardliwą niemal nieufnością.

- Chyba nie. Nie to, żebym ci nie ufał. Ale zawsze mogę się z tobą skontaktować.

- No cóż, dzięki za informację, ale kto naprawdę podjął tę decyzję?

- Timmona Portella. Lecz Inzio Tulippa i konsul podpisali się pod nią. Ten człowiek Corleonesich, Graziella, umył ręce. Dystansuje się od tej operacji. Sądzę, że wyjedzie na Sycylię. To zabawne, ponieważ sam pozabijał tam praktycznie wszystkich. Tak naprawdę oni nie rozumieją, jak funkcjonuje Ameryka, a Portella jest po prostu tępy. Wydawało mu się, że łączyła go z Cilkem prawdziwa przyjaźń.

- A ty masz zamiar stanąć na czele grupy szturmowej. To też nie jest zbyt rozsądne.

- Nie, powiedziałem ci przecież. Gdy zaatakują jego dom, mnie już dawno tu nie będzie.

- Dom? - zdziwił się Astorre i poczuł przerażenie na myśl o tym, co za chwilę usłyszy.

- Owszem. Potężny oddział szturmowy odleci z powrotem do Ameryki Południowej i zniknie.

- Bardzo profesjonalnie - zauważył Astorre. - Kiedy to wszystko się stanie?

- Pojutrze w nocy. Musisz jedynie trzymać się na uboczu, a oni sami rozwiążą wszystkie twoje problemy. To jest ta dobra wiadomość.

- Faktycznie - przyznał Astorre. Jego twarz pozostała bez wyrazu, lecz w myślach pojawiło się wyobrażenie urodziwej i dobrej Georgette Cilke.

- Pomyślałem, że powinienes o tym wiedzieć, tak abyś zapewnił sobie porządne alibi - rzekł Heskow. - Jesteś mi coś winien, więc zaopiekuj się moim chłopakiem.

- Święta racja. Nie martw się o niego - odparł Astorre.

Zanim wyszedł, uścisnął Heskowowi dłoń.

- Myślę, że postępujesz bardzo zręcznie, wyjeżdżając z kraju. Tutaj rozpęta się istne piekło.

- O tak - potwierdził Heskow.

Astorre przez chwilę zastanawiał się, co z nim zrobi. Ostatecznie ten człowiek siedział za kierownicą samochodu, z którego zastrzelono stryja. Mimo całej swej późniejszej pomocy musiał za to zapłacić. Z bratanka uszło jednak trochę energii, gdy się dowiedział, że razem z Cilkem ma zginąć jego żona i dziecko. Niech jedzie, pomyślał. Może się jeszcze przydać. Potem nadejdzie pora, by go zabić. Spojrzał na uśmiechniętą twarz Heskowa i uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Bardzo sprytny z ciebie człowiek - powiedział.

Heskow zarumienił się z zadowolenia.

- Wiem - odparł. - Dzięki temu jeszcze żyję.

Nazajutrz punktualnie o jedenastej rano Astorre przybył do kwatery głównej FBI w towarzystwie Nicole Aprile, która umówiła go na spotkanie.

Noc spędził na długim rozważaniu sposobu działania. Zaplanował to wszystko, żeby skłonić Portellę do zabicia Cilkego. Wiedział również, że w tej sprawie don Aprile nie przeszkodziłby losowi. Potem jednak przypomniał sobie opowieść o stryju, która wzbudziła w

nim wątpliwości.

Gdy miał dwanaście lat, przyjechali ze stryjem na Sycylię z doroczną wizytą. Pewnego wieczora Caterina podała im kolację w pawilonie ogrodowym. Nagle Astorre, z właściwą sobie niewinnością, zapytał:

- Jak się poznaliście? Czy dorastaliście razem jako dzieci?

Don i Caterina wymienili spojrzenia, a potem roześmiali się, rozbawieni jego dociekliwym zainteresowaniem. Don przyłożył palec do warg i kpiąco wyszeptał:

- *Omertà*. To tajemnica.

Caterina uderzyła chłopca w rękę drewnianą warząchwią.

- To nie twoja sprawa, mały diable - powiedziała. - A poza tym, nie mam z czego być dumna.

Don Aprile z czułością spojrział na bratanka.

- Czemu miałby o tym nie wiedzieć? Jest Sycylijczykiem do szpiku kości. Powiedz mu.

- Nie - odparła Caterina. - Ale jeżeli chcesz, możesz mu powiedzieć.

Po kolacji don Aprile zapalił cygaro, napełnił kieliszek anyżówką i opowiedział mu tę historię.

- Dziesięć lat temu najważniejszym człowiekiem w mieście był niejaki ojciec Sigismundo, osobnik wprawdzie bardzo niebezpieczny, ale dobroduszny. Gdy odwiedzałem Sycylię, często przychodził do mojego domu i grywał z moimi przyjaciółmi. W tym czasie miałem inną gospodynię.

Lecz ojciec Sigismundo nie był bezbożnikiem. Był pobożnym i pracowitym kapłanem. Besztaniem zmuszał ludzi do chodzenia na mszę, a raz nawet wdał się w bijatykę ze zirytowanym ateistą. Najbardziej zasłynął udzielaniem ostatnich sakramentów umierającym ofiarom mafii; spowiadał ich i oczyszczał z grzechów przed podróżą do nieba. Odnoszono się za to do niego z rewerencją, ale zbyt często to robił i niektórzy zaczęli szemrać, twierdząc, że zawsze znajdował się pod ręką, ponieważ był jednym z oprawców - że dla własnych celów zdradzał tajemnice spowiedzi.

W tym czasie mężem Cateriny był policjant zdecydowanie zwalczający mafię. Mimo że został ostrzeżony przez prowincjonalnego szefa mafii, dalej prowadził śledztwo w sprawie pewnego morderstwa - co wówczas było aktem niesłychanego nieposłuszeństwa. Tydzień po tej groźbie mąż Cateriny wpadł w zasadzkę i leżał konając w jakimś zaułku Palermo. I tak się złożyło, że ojciec Sigismundo zjawił się tam, aby udzielić mu ostatnich sakramentów. Sprawców tej zbrodni nigdy nie wykryto.

Caterina, pogrążona w smutku wdowa, spędziła rok w żałobie i na modlitwach w kościele. Pewnej soboty poszła się wyspowiadać u ojca Sigismundo. Gdy ksiądz wyszedł z konfesjonalu, na oczach wszystkich pchnęła go w serce sztyletem męża.

Policjanci wtrącili ją do więzienia, ale to było najmniej ważne. Szef mafii wydał bowiem na nią wyrok śmierci.

Astorre wytrzeszczył oczy na Caterinę.

- Naprawdę to zrobiłaś, ciociu?

Caterina spojrzała na niego z rozbawieniem. Pożerała go ciekawość, ale nie było w nim ani krztyny strachu.

- Musisz zrozumieć dlaczego. Nie dlatego, że zabił mojego męża. Tutaj na Sycylii mężczyźni zawsze zabijają się wzajemnie. Lecz ojciec Sigismundo był fałszywym kapłanem, nierozgrzeszonym mordercą. Nie mógł udzielać sakramentów. Czemu Bóg miałby go wysłuchać? Tak więc, mój mąż został nie tylko zamordowany, ale również odmówiono mu wstępu do nieba i strącono do piekła. No cóż, mężczyźni nie znają umiaru. Są rzeczy, których nie można robić. Właśnie dlatego zabiłam tego księdza.

- W takim razie, jak to możliwe, że jesteś tutaj? - zapytał Astorre.

- Dzięki temu, że don Aprile zainteresował się całą sprawą - wyjaśniła Caterina. - Więc naturalnie wszystko zostało załatwione.

- Miałem pewną pozycję w mieście i poważanie - rzekł nieco zakłopotany don do bratanka. - Pretensje władz łatwo było zaspokoić, a Kościół nie chciał skupiać powszechnej uwagi na skorumpowanym księdzu. Szef mafii nie był taki wrażliwy i nie miał ochoty unieważnić swojego wyroku śmierci. Znalaziono go z podejrzanym gardłem na cmentarzu, gdzie pochowano męża Cateriny, a jego *cosca* została pozbawiona władzy i zniszczona. Polubiłem wtedy Caterinę i uczyniłem ją gospodynią tego domu. A w ciągu ostatnich dziewięciu lat moje letnie pobyty na Sycylii były najprzyjemniejszymi chwilami w życiu.

Dla Astorre to wszystko brzmiało jak czary. Zjadł garść oliwek i wypuł pestki.

- Czy Caterina jest twoją dziewczyną? - zapytał.

- Oczywiście - odparła Caterina. - Jesteś dwunastoletnim chłopcem, potrafisz to zrozumieć. Żyję pod ochroną twego stryja, jak gdybym była jego żoną, i spełniam wszystkie małżeńskie obowiązki.

Don Aprile dalej wydawał się nieco zakłopotany - Astorre nigdy wcześniej nie widział go takim.

- Czemu się nie pobierzecie? - zapytał.

- Nigdy nie mogłabym opuścić Sycylii - odrzekła Caterina. - Żyję tu jak królowa, a don Aprile jest szczodrym człowiekiem. Tutaj mam przyjaciół, rodzinę, rodzeństwo i kuzynów. A twój stryj nie mógłby mieszkać na Sycylii. Robimy więc wszystko, co możemy.

- Stryjku, przecież możesz ożenić się z Cateriną i zamieszkać tutaj. Będę mieszkał z wami. Nie chcę opuszczać Sycylii. - Oboje wybuchnęli śmiechem.

- Posłuchaj - rzekł don. - Powstrzymanie zemsty wymierzonej przeciwko niej wymagało wielkiej pracy. Gdybyśmy się pobrali, znowu zaczęłyby się intrygi i waśnie. Oni potrafią zaakceptować fakt, że jest moją kochanką, ale nie żoną. Tak więc w tym układzie oboje jesteśmy szczęśliwi i oboje wolni. Poza tym nie potrzebuję żony, która nie chce pogodzić się z moimi decyzjami, a skoro nie chce wyjechać z Sycylii, to ja nie jestem dla niej mężem.

- Poza tym nasze małżeństwo byłoby hańbą - dodała Caterina. Pochyliła nieco głowę, a potem zwróciła oczy ku czarnemu sycylijskiemu niebu i zaczęła płakać.

Astorre miał mętlik w głowie. To wszystko wydawało mu się bezsensowne.

- Naprawdę? Ale dlaczego? Dlaczego? - zapytał.

Don Aprile westchnął. Pyknął z cygara, wypił łyk anyżówki i rzekł:

- Musisz wiedzieć, że ojciec Sigismundo był moim bratem.

Astorre pamiętał, że ich wyjaśnienia nie przekonały go. Z romantycznym uporem dziecka wierzył, że dwoje kochających się ludzi posiada wszelkie prawa. Dopiero teraz zrozumiał okropne przyczyny decyzji, którą podjęli jego stryj i ciotka. Gdyby bowiem don ożenił się z Cateriną, wszyscy jego krewni staliby się jego wrogami. Nie to, żeby nie wiedzieli, że ojciec Sigismundo był łajdakiem. Był jednak bratem i to usprawiedliwiało wszystkie jego grzechy. A człowiek taki jak don nie mógł poślubić zabójczynie swego brata. Caterina nie mogła prosić go o takie poświęcenie. A gdyby, z drugiej strony, sądziła, że don był zamieszany w zamordowanie jej męża? Jakaż ogromna ufność ze strony ich obojga i - być może - zdrada wszystkiego, w co wierzyli wcześniej.

Znajdował się jednak w Ameryce, nie na Sycylii. Podczas długiej nocy Astorre podjął decyzję. Rano zatelefonował do Nicole.

- Mam zamiar zabrać cię na śniadanie - powiedział. - A potem złożymy wizytę Cilkemu w siedzibie FBI.

- To pewnie poważna sprawa?

- Owszem. Powiem ci przy śniadaniu.

- Umówiłeś się z nim?

- Nie, to twoje zadanie.

Godzinę później jedli razem śniadanie w eleganckim hotelu. Stoliki na sali, stanowiącej miejsce wczesnoporannych spotkań nowojorskich szafarzy władzy, dla zapewnienia dyskrecji były odsunięte od siebie na sporą odległość.

Nicole wierzyła, że obfity posiłek dostarczy jej energii na dwunastogodzinny dzień pracy. Astorre zdecydował się na sok pomarańczowy i kawę, które wraz z koszykiem bułek kosztowały go dwadzieścia dolarów.

- Cóż za zdzierycy - powiedział do Nicole z szerokim uśmiechem.

Zirytował ją tym.

- Płacisz za atmosferę - odparła. - Za importowane obrusy, porcelanę. No, a teraz powiedz, co u diabła znowu nie gra?

- Mam zamiar spełnić obywatelski obowiązek. Posiadam informację z wiarygodnego źródła, że jutro w nocy Kurt Cilke i jego rodzina zostaną zabici. Chcę go ostrzec. I chcę zdobyć sobie zasługę z tego tytułu. On będzie chciał poznać moje źródło informacji, a ja nie mogę mu go ujawnić.

Nicole odsunęła talerz i odchyliła się do tyłu.

- Kto u licha jest takim idiotą? - zapytała. - Chryste, mam nadzieję, że nie jesteś w to zamieszany.

- Skąd ta myśl?

- Nie wiem. Po prostu nasunęła mi się. Czemu nie poinformować go anonimowo?

- Chcę, by doceniono moje dobre uczynki. Mam wrażenie, że nikt mnie nie kocha - odparł i uśmiechnął się.

- Ja cię kocham - powiedziała Nicole, nachylając się ku niemu. - No dobra, oto nasza wersja. Gdy weszliśmy do hotelu, zatrzymał nas obcy mężczyzna i przekazał ci tę informację szeptem do ucha. Miał na sobie szary prążkowany garnitur, białą koszulę i czarny krawat. Był średniego wzrostu, śniady, mógł być Włochem lub Latynosem. Od tego momentu nasze wersje mogą się różnić. Będę świadkiem twojej opowieści, a Cilke wie, że nie może ze mną igrzać.

Astorre roześmiał się. Jego śmiech zawsze brzmiał rozbajająco; miał w sobie nieskrępowaną wesołość dziecka.

- Więc ciebie obawia się bardziej niż mnie.

Nicole uśmiechnęła się i dodała:

- Poza tym znam dyrektora FBI. Jest wytrawnym politykiem, nie ma innego wyjścia. Zadzwoń do Cilkego i uprzedzę o naszej wizycie. - Wyjęła telefon z torebki i wybrała numer. - Panie Cilke - powiedziała do słuchawki - mówi Nicole Aprile. Jestem z moim kuzynem Astorre Violą. Ma ważną wiadomość, którą pragnie panu przekazać.

Po krótkiej przerwie stwierdziła:

- To za późno. Będziemy tam w ciągu godziny. - Rozłączyła się, zanim Cilke zdołał coś powiedzieć.

Godzinę później Astorre i Nicole zostali wprowadzeni do gabinetu Cilkego. Był to duży narożny pokój z kuloodpornymi szybami z filtrem polaryzującym, przez które nie było nic widać.

Cilke czekał na nich stojąc za wielkim biurkiem. Naprzeciw biurka znajdowały się trzy fotele z czarnej skóry. Za nim, rzecz dziwna, wisiała szkolna tablica. W jednym z foteli siedział Bill Boxtton, który nie wyciągnął ręki na powitanie.

- Ma pan zamiar to nagrywać? - zapytała Nicole.

- Oczywiście - odparł Cilke.

- Nagrywamy wszystko, nawet nasze zamówienia na kawę i pączki - powiedział uspokajającym tonem Boxtton. - Nagrywamy także każdego, kogo być może będziemy musieli wpakować za kratki.

- Cholernie zabawny z pana gość - zauważyła Nicole z twarzą bez wyrazu. - Nawet w najszcześniejszym dniu swego życia nie zdołalibyście wsadzić mnie za kratki. Myślcie w inny sposób. Mój klient spotyka się z wami dobrowolnie, żeby przekazać wam ważną informację.

Jestem tu, aby ochronić go przed wszelkim nadużyciem władzy po tym, kiedy to uczyni.

Kurt Cilke nie był już tak czarujący jak podczas poprzednich spotkań. Ruchem ręki wskazał im fotele i zajął miejsce za biurkiem.

- W porządku - rzekł. - Wysłuchajmy tej informacji.

Astorre czuł wrogość tego człowieka - jak gdyby, przebywając na własnym terenie, nie potrzebował swej zwykłej służbowej uprzejmości. Jak miał zareagować? Spojrzał Cilkemu prosto w oczy i powiedział:

- Otrzymałem informację, że jutrzejszej nocy nastąpi zbrojny atak na pański dom. Jego celem jest zgładzenie pana z jakiegoś nie znanego mi powodu.

Cilke nie odpowiadał. Znieruchomiał w swoim fotelu, ale Boxton poderwał się na nogi, stanął za Violą i powiedział:

- Kurt, zachowaj spokój.

Cilke wstał. Całe jego ciało wydawało się napompowane wściekłością.

- To stara mafijna sztuczka - wycedził. - Organizuje operację, a potem ją sabotuje. I wydaje mu się, że będę mu wdzięczny. Jak, u diabła, zdobył pan taką informację?

Astorre opowiedział mu historię, którą przygotowali z Nicole. Cilke odwrócił się do niej i zapytał:

- Była pani świadkiem tego incydentu?

- Tak, ale nie słyszałam, co ten człowiek powiedział.

- Jest pan aresztowany - oświadczył Cilke.

- Za co? - zapytała Nicole.

- Za groźby pod adresem funkcjonariusza FBI.

- Chyba powinien pan zadzwonić do swego szefa - zauważyła Nicole.

- Decyzja należy do mnie.

Nicole spojrzała na zegarek.

- Na mocy zarządzenia prezydenta mam prawo zatrzymać panią i pani klienta na czterdzieści osiem godzin bez kontaktowania się z waszym adwokatem, jako osoby stanowiące zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa.

Astorre był zaskoczony.

- To prawda? Może pan to zrobić? - zapytał w dziecinny sposób, wytrzeszczając oczy. Był pod silnym wrażeniem takiej władzy. Odwrócił się do Nicole i rzekł wesoło: - Hej, to mi coraz bardziej przypomina Sycylię.

- Jeżeli pan to zrobi, przez następnych dziesięć lat FBI będzie ciągnane po sądach, a pan skończony - powiedziała Nicole. - Ma pan czas, by wywieźć rodzinę i urządzić zasadzkę na napastników. Nie będą wiedzieli, że ich zadenuncjowano. Jeżeli któregoś złapiecie, możecie go przesłuchać. My zachowamy dyskrecję. I nie ostrzeżemy ich.

Wydawało się, że Cilke rozważa jej słowa.

- Pańskiego stryja darzyłem przynajmniej szacunkiem. On nigdy by się nie wygadał -

powiedział z pogardą do Violi.

Astorre posłał mu pełen zakłopotania uśmiech.

- To były dawne czasy i inny kraj, a poza tym pan, ze swoimi tajnymi zarządzeniami prezydenta, niewiele się ode mnie różni. - Był ciekaw, co powiedziała by Cilke, gdyby mu podał prawdziwy powód. Że uratował tego człowieka po prostu dlatego, iż spędził wieczór w obecności jego żony i zapalał romantyczną i daremną miłością do swego wyobrażenia o niej.

- Nie wierzę w pańską bzdurną opowieść, ale jeżeli jutrzejszej nocy rzeczywiście dojdzie do napaści, zajmiemy się tym. Jeżeli coś się stanie, przymknę pana, a być może również i panią, pani mecenas. A tak w ogóle, to dlaczego mi pan o tym powiedział?

Astorre uśmiechnął się.

- Bo pana lubię.

- Wynoście się stąd - powiedział Cilke i odwrócił się do Boxtona. - Sprowadź tu dowódcę oddziału specjalnego i każ mojej sekretarce zadzwonić do dyrektora.

Astorre i Nicole zostali przetrzymani przez następne dwie godziny w celu przesłuchania przez pracowników Cilkego. Tymczasem Cilke w swoim gabinecie rozmawiał przez telefon szyfrujący z dyrektorem.

- Nie aresztujcie ich, bez względu na okoliczności - powiedział dyrektor. - Wszystko przedostałoby się do mediów i zrobilibyśmy z siebie pośmiewisko. I niech pan nie igra z Nicole Aprile, jeżeli nie ma pan na nią haka. Utrzymajcie wszystko w ścisłej tajemnicy. Zobaczymy, co się wydarzy jutrzejszej nocy. Ochroniarze w pańskim domu zostali zaalarmowani, a pańska rodzina jest w tej chwili przeprowadzana. A teraz niech pan da mi Billa. On pokieruje operacją w miejscu zasadzki.

- To powinno być moim zadaniem, panie dyrektorze - zaprotestował Cilke.

- Pomoże mu pan w planowaniu, ale pod żadnym warunkiem nie będzie pan uczestniczył w działaniach taktycznych. Biuro funkcjonuje zgodnie ze ścisłymi regułami prowadzenia akcji bojowych, aby uniknąć zbędnej przemocy. Gdyby wszystko poszło źle, podejrzenia padłyby na pana. Rozumiemy się?

- Tak, panie dyrektorze - Cilke rozumiał to doskonale.

Rozdział 12

Po miesiącu spędzonym w szpitalu Aspinella Washington została wypuszczona do domu, lecz jeszcze nie wyzdrowiała na tyle, by można było jej wstawić sztuczne oko. Jej ciało, wspaniały okaz siły fizycznej, wydawało się odradzać wokół odniesionych obrażeń. Powłóczyła co prawda lewą stopą, a oczodół wyglądał odrażająco, ale zamiast czarnej opaski nosiła na nim zieloną kwadratową łątkę, a ciemna zieleń podkreślała piękno jej czekoladowej skóry. Zameldowała się z powrotem w pracy, mając na sobie czarne spodnie i zieloną bluzkę z dzianiny oraz zieloną skórzaną kurtkę. Gdy przejrzała się w lustrze, uznała, że wygląda imponująco.

Chociaż miała jeszcze zwolnienie lekarskie, od czasu do czasu przychodziła do siedziby wydziału śledczego i pomagała w przesłuchaniach. Kalectwo dawało jej poczucie wyzwolenia - czuła, że może zrobić wszystko, i nadużywała swej władzy.

Podczas pierwszego przesłuchania było dwóch podejrzanych, para niezwykła w tym sensie, że jeden był biały, a jeden czarny. Biały podejrzany, blisko trzydziestoletni, od razu się jej przestraszył, za to jego czarnoskóry wspólnik zachwyił się wysoką piękną kobietą z zieloną opaską na oku i zimnym, niewzruszonym spojrzeniem. Uznał ją za swą niesamowitą, czarną siostrę.

- Kurka wodna! - zawołał z radością na twarzy. Po raz pierwszy wylądował w areszcie, nie był notowany i naprawdę nie wiedział, że jest w poważnych tarapatach. Wraz ze swym wspólnikiem włamali się do jakiegoś domu, związali męża i żonę, a potem złupili mieszkanie. Zostali zadencjonowani. Czarny chłopak nosił jeszcze roleksa skradzionego właścicielowi domu.

- Hej, kapitanie Kidd, masz zamiar postać nas z zawiązanymi oczami na śmierć za burtą?
- powiedział wesoło, bez złośliwości, wręcz z podziwem, do Aspinelli.

Pozostali detektywi uśmiechnęli się z przekąsem na myśl o jego głupocie. Aspinella nie odpowiedziała. Chłopak był w kajdankach i nie mógł odparować jej ciosu. Gumowa pałka niczym wąż trzasnęła go w twarz, łamiąc nos i rozłupując kość policzkową. Nie upadł od razu; nogi ugięły mu się w kolanach i posłał jej pełne wyrzutu spojrzenie. Z jego twarzy została krwawa miazga. Potem runął na ziemię. Przez następnych dziesięć minut Aspinella

biła go bezlitośnie. Z uszu chłopca niczym ze świeżego źródła zaczęła płynąć krew.

- Chryste - zaniepokoił się jeden z detektywów - jak u diabła go teraz przesłuchamy?

- Nie chciałam rozmawiać z nim, tylko z tym facetem - odparła wskazując pałką białego podejrzanego. - Zeke, czy tak? Chcę z tobą pogadać, Zeke. - Chwyciła go brutalnie za ramię i pchnęła na krzesło stojące naprzeciwko biurka.

Zeke gapił się na nią przerażony. Uświadomiła sobie, że przesunęła się jej opaska na oku, i mężczyzna wpatruje się w jej pusty oczodół. Uniosła rękę i poprawiła łatkę, by zakryć zbielałą bliznę.

- Zeke, wysłuchaj mnie bardzo uważnie. Nie chcę tu marnować czasu. Chcę wiedzieć, jak wciągnąłeś w to tego dzieciaka. I jak sam się w to wpakowałeś. Rozumiesz? Masz zamiar z nami współpracować?

Zeke zbladł jak ściana. Nie wahał się.

- Tak, proszę pani. Wszystko wam powiem.

- W porządku - powiedziała Aspinella do drugiego detektywa. - Zabierzcie tego dzieciaka do szpitala i przyślijcie ludzi z kamerą wideo, by zarejestrować dobrowolne zeznania Zeke'a.

- Kto kupił od was towar? Kto nadał wam skok? Podaj mi szczegóły rabunku. Twój współnik to najwyraźniej miły dzieciak. Nie jest notowany i nie ma dość sprytu. Właśnie dlatego potraktowałam go łagodnie. Natomiast ty, Zeke, masz znakomity dorobek, domyślam się zatem, że to ty jesteś dupkiem, który go w to wpakował. Więc rozpocznij próbę do nagrania wideo.

Gdy Aspinella wyszła z komendy, pojechała Southern State Parkway do Brighwaters na Long Island.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że z jednym okiem prowadzenie samochodu sprawia dość dużą frajdę. Krajobraz wyglądał ciekawiej, gdyż był zogniskowany, niczym jakieś futurystyczne malowidło, które na brzegach przechodziło w sny. Tak jakby pół świata, sama kula ziemską została przepołowiona i widoczna dla niej połowa zasługiwała na większą uwagę.

W końcu znalazła się w Brightwaters i minęła dom Johna Heskowa. Widziała jego samochód na podjeździe i mężczyznę niosącego ogromną azalię ze szklarni do domu. Potem ze szklarni wyszedł jeszcze jeden mężczyzna, niosący skrzynkę wypełnioną żółtymi kwiatami. To interesujące, pomyślała. Opróżniali szklarnię.

Podczas pobytu w szpitalu zebrała informacje o Johnie Heskowie. Przejrzała archiwa stanowego wydziału komunikacji i znalazła jego adres. Następnie sprawdziła wszystkie bazy danych o przestępcach i odkryła, że John Heskow faktycznie nazywał się Louis Ricci; ten sukinsyn był Włochem, mimo że wyglądał jak niemiecki budyń. Lecz jego policyjna kartoteka była czysta. Kilkakrotnie został aresztowany za wymuszenia i napaść, ale nigdy go nie skazano. Szklarnia nie mogła przynosić dochodów wystarczających na prowadzenie

takiego trybu życia.

Aspinella zrobiła to wszystko, ponieważ domyśliła się, że jedyną osobą, która mogła wskazać ją i Di Benedetto, był Heskow. Intrygował ją tylko fakt, że dał im pieniądze. Przez tę forszę Biuro Spraw Wewnętrznych dobrało się jej do skóry, ale wkrótce Aspinella uwolniła się od ich niemrawych przesłuchań, ponieważ z radością zagarnęli pieniądze dla siebie. Teraz przygotowywała się do sprzątnięcia Heskowa.

Dwadzieścia cztery godziny przed planowanym atakiem na dom Cilkego Heskow jechał na lotnisko Kennedy'ego, żeby polecieć do Mexico City. Zniknąłby tam z cywilizowanego świata z fałszywymi paszportami, które przygotował sobie przed wieloma laty.

Szczegóły zostały ustalone, szklarnie opróżnione; jego była żona miała się zająć sprzedażą domu i ulokować wpływy z niej w banku na pokrycie wydatków ich syna w college'u. Heskow powiedział jej, że nie będzie go przez dwa lata. To samo powiedział swojemu synowi przy kolacji „U Shun Lee”.

Gdy dotarł na lotnisko, był wczesny wieczór. Sprawdził dwie walizki - cały potrzebny bagaż, jeśli nie liczyć stu tysięcy dolarów w banknotach studolarowych przyklejonych taśmą do ciała w małych woreczkach. Był wytapetowany pieniędzmi na nagłe wydatki. Na Kajmanach miał tajne konto, liczące prawie pięć milionów dolarów. Bogu dzięki, bo z pewnością nie będzie mógł się zgłosić po zasiłek. Był dumny, że wiódł rozropne życie i nie roztrwonił pieniędzy w kasynach, nie wydał ich na kobiety ani inne szaleństwa.

Odprawił bagaż na swój lot i otrzymał kartę pokładową. Teraz niósł jedynie teczkę z fałszywymi dokumentami i paszportami. Samochód zostawił na parkingu; żona miała go zabrać i przetrzymać do jego powrotu.

Przyjechał co najmniej o godzinę za wcześnie. Bez broni czuł się trochę niepewnie, ale żeby dostać się do samolotu, musiał przejść przez wykrywacze metalu; u pośredników w Mexico City będzie mógł uzbroić się po zęby.

Dla zabicia czasu kupił w księgarni parę czasopism, po czym poszedł do baru samoobsługowego. Umieścił na tacy deser i kawę i usiadł przy jednym z małych stolików. Przeglądał czasopisma i jadł swój deser - placek z niby-truskawkami pokryty niby-bitą śmietaną. Nagle uświadomił sobie, że ktoś siedzi przy jego stoliku. Uniósł wzrok i zobaczył detektyw Aspinellę Washington. Podobnie jak wszyscy, był zafascynowany kwadratową ciemnozieloną łąką na jej oku. Widok Aspinelli wzbudził w nim paniczny strach. Jednocześnie nie przypominał sobie, by wyglądała kiedyś równie pięknie.

- Cześć, John. Nie odwiedziłeś mnie w szpitalu.

Heskow był tak wzburzony, że potraktował ją poważnie.

- Przecież wiesz, że nie mogłem tego zrobić. Ale na wieść o waszej tragedii zrobiło mi się przykro.

Aspinella posłała mu szeroki uśmiech.

- Żartowałam. Ale naprawdę, miałam chęć uciąć sobie z tobą krótką pogawędkę przed twoim odlotem.

- Jasne - rzekł Heskow. Spodziewał się, że będzie musiał się okupić, i w teczce miał przygotowane dziesięć tysięcy na tego rodzaju niespodzianki. - Cieszę się, że tak dobrze wyglądasz. Martwiłem się o ciebie.

- Nie chrzań - odparta Aspinella; jej oko lśniło jak oko jastrzębia. - Szkoda Paula. Był nie tylko moim szefem, ale i dobrym znajomym.

- Pożalowania godne - zauważył Heskow. Cmoknął nawet, co wywołało uśmiech policjantki.

- Nie muszę ci pokazywać mojej odznaki, prawda? - zapytała i zawahała się. - Masz ze mną pójść do małej sali przesłuchań, którą mamy tutaj w hali odlotów. Podaś mi parę prawdziwych i interesujących informacji i możesz wsiadać do swego samolotu.

- W porządku - odparł Heskow. Podniósł się z krzesła, ściskając w ręce teczkę.

- I bez żadnych sztuczek, bo cię kropnę. To zabawne, z jednym okiem jeszcze lepiej strzelam. - Aspinella wstała, wzięła go za rękę i zaprowadziła schodami na półpiętro, na którym mieściły się biura linii lotniczych. Przeszła długim korytarzem i otworzyła drzwi jakiegoś pomieszczenia. Heskow był zaskoczony nie tylko jego wielkimi rozmiarami, ale również rzędami monitorów telewizyjnych na ścianach - co najmniej dwadzieścia ekranów, obserwowanych przez dwóch mężczyzn, którzy siedzieli w miękkich fotelach, jedli kanapki i pili kawę. Jeden z nich wstał i zapytał:

- Hej, Aspinello, co się dzieje?

- Mam zamiar porozmawiać z tym facetem na osobności w sali przesłuchań. Zamknijcie nas na klucz.

- Oczywiście. Chcesz, żeby jeden z nas został z tobą?

- Nie. To tylko przyjacielska rozmowa.

- Jedna z tych twoich słynnych przyjacielskich rozmów - zauważył policjant i roześmiał się. Przyjrzał się uważnie Heskowowi. - Widziałem cię na ekranach w hali odlotów. Jadłeś placek z truskawkami, prawda? - Zaprowadził ich do drzwi w głębi pokoju. Gdy Heskow i Aspinella weszli do sali przesłuchań, zamknął je za nimi na klucz.

Teraz gdy w sprawę zostali wmieszani inni ludzie, Heskow uspokoił się. Wnętrze sali, z kanapą, biurkiem i trzema sprawiającymi wrażenie wygodnych krzesłami, podziało na niego rozbijająco. W jednym kącie stał zbiornik z chłodzoną wodą i papierowe kubki. Różowe ściany były ozdobione fotografiami i rycinami maszyn latających.

Aspinella zmusiła Heskowa, by usiadł na krześle stojącym naprzeciw biurka. Sama siadła na biurku i spojrzała na niego.

- Możemy przejść do rzeczy? - zapytał Heskow. - Nie mogę spóźnić się na ten samolot.

Aspinella nie odpowiedziała. Sięgnęła ręką i zdjęła mu teczkę z kolan. Heskow skrzywił się. Otworzyła teczkę i przerzuciła jej zawartość, z plikami studolarowych banknotów łącznie.

Pilnie przyjrzała się jednemu z fałszywych paszportów, po czym włożyła wszystko z powrotem i oddała Heskowowi.

- Bardzo sprytny z ciebie gość. Wiedziałeś, że pora uciekać. Kto ci powiedział, że cię szukam?

- Czemu miałabyś mnie szukać? - Teraz gdy oddała mu teczkę, nabrał większej pewności siebie.

Aspinella uniosła łatkę na oku, żeby mógł zobaczyć paskudny krater. Heskow nie skrzywił się jednak - w swoim życiu widział o wiele gorsze rzeczy.

- Przez ciebie straciłam oko - powiedziała. - Tylko ty mogłeś donieść i zrobić mnie oraz Paula.

- Mylisz się, całkowicie się mylisz. - Heskow mówił z absolutną szczerością, która w jego fachu stanowiła jedną z najlepszych broni. - Musisz przyznać, że gdybym to zrobił, zatrzymałbym forszę. Słuchaj, ja naprawdę muszę zdążyć na ten lot. - Rozpiął koszulę i oderwał kawałek taśmy. Na stole pojawiły się dwie paczki banknotów.

- Są twoje, forsa w teczce także. W sumie trzydzieści kawałków.

- Chryste. Trzydzieści kawałków. To kupa szmalu za jedno oko. W porządku. Ale musisz mi podać nazwisko faceta, który ci zapłacił za wrobienie nas.

Heskow podjął decyzję. Dostanie się na pokład samolotu było jego jedyną szansą. Wiedział, że ona nie blefuje. W swojej pracy miał do czynienia ze zbyt wieloma szaleńcami o morderczych skłonnościach, żeby jej nie doceniać.

- Uwierz mi. Nawet mi się nie śniło, że ten facet zechce sprzątnąć dwoje wysokiej rangi policjantów. Dogadałem się z Astorre Violą, żeby mógł się przed wami ukryć. Nie przypuszczałem, że zrobi coś takiego.

- Dobra. A kto zapłacił ci za zabicie Violi?

- Paul wiedział, kto. Nie mówił ci? Timmona Portella.

Usłyszawszy to, Aspinella poczuła nagłą wściekłość. Jej gruby partner nie tylko był marnym jebaką, ale również kłamliwym sukinsynem.

- Wstań - powiedziała. Nagle w jej ręce pojawił się rewolwer.

Heskowa ogarnęło przerażenie. Widział to spojrzenie już przedtem, tyle że wtedy nie był ofiarą. Przez chwilę myślał o swoich ukrytych pięciu milionach dolarów, które umrą razem z nim, nie odebrane, i te pięć milionów wydało się żywym stworzeniem. Cóż za tragedia.

- Nie! - krzyknął i jeszcze bardziej skulił się w krześle.

Aspinella chwyciła go wolną ręką za włosy i podciągnęła na nogi. Odsunęła rewolwer od jego karku i strzeliła. Wydawało się, że Heskow wyleciał jej z ręki i runął na podłogę. Uklęka przy jego ciele. Kula wyrwała mu pół gardła. Potem wyjęła z kabury na kostce dodatkowy pistolet, włożyła go do ręki nieboszczyka i wstała. Usłyszała odgłos otwierania drzwi, po czym do środka wbiegło z rewolwerami w rękach dwóch policjantów z monitorowni.

- Musiałam go zastrzelić - wyjaśniła. - Próbował mnie przekupić, a potem wyciągnął broń. Wezwijcie lotniskową karetkę. Do wydziału zabójstw sama zadzwonię. Niczego nie dotykajcie i nie spuszczaście mnie z oka.

Nazajutrz Portella przystąpił do ataku. Żona i córka Cilkego zostały już ukradkiem przewiezione na teren zamkniętej, ściśle strzeżonej placówki FBI w Kalifornii. Cilke, na rozkaz dyrektora, pozostał w Nowym Jorku z całym swoim personelem na służbie. Billowi Boxtonowi powierzono ogólne dowodzenie oddziałem do zadań specjalnych; miał urządzić pułapkę w domu Cilkego. Jednakże zasady akcji bojowej były ściśle określone. Biuro nie życzyło sobie krwawej łaźni, która wywołałaby skargi środowisk liberalnych. Brygada FBI miała otworzyć ogień tylko wtedy, gdy znajdzie się pod ostrzałem. Miano dołożyć wszelkich starań, by dać napastnikom szansę kapitulacji.

Kurt Cilke, jako oficer uczestniczący w planowaniu akcji, spotkał się z Boxtonem i dowódcą oddziału do zadań specjalnych, stosunkowo młodym, trzydziestopięcioletnim człowiekiem, którego twarz zastygła w surowym władczym wyrazie. Nazywał się Sestak i mówił z czystym harwardzkim akcentem. Miał szarą skórę i żałośnie wyglądający dołek w podbródku. Spotkali się w gabinecie Cilkego.

- Oczekuję, że w czasie operacji będziecie utrzymywać ze mną stałą łączność, a zasady akcji bojowej będą ściśle przestrzegane - oświadczył Cilke.

- Nie obawiaj się - odparł Boxton. - Mamy stu ludzi, dysponujących znacznie większą siłą ognia. Tamci skapitulują.

- Ja mam następnych stu do obstawienia domu. Wpuścimy ich do środka i już nie wypuścimy.

- Dobrze - stwierdził Cilke. - Gdy ich schwytaście, wyślecie ich do naszego nowojorskiego ośrodka śledczego. Nie wolno mi uczestniczyć w przesłuchaniu, ale chcę jak najszybciej otrzymać informacje.

- A jeżeli coś pójdzie nie tak i skończą jako nieboszczycy? - zapytał Sestak.

- Wtedy przeprowadzone będzie wewnętrzne śledztwo, a dyrektor będzie bardzo niezadowolony. A realia są takie: żywi zostaną aresztowani za spisek w celu popełnienia morderstwa i wyjdą za kaucją. Potem znikną w Ameryce Południowej. Mamy więc tylko parę dni na to, by ich przesłuchać.

Boxton spojrział na Cilkego z nieznacznym uśmiechem, a Sestak dodał tonem wykształconego człowieka:

- Mniemam, że to by pana okropnie zmartwiło.

- Oczywiście. Niepokoję się tym - odparł Cilke. - Ale dyrektor musi się martwić ewentualnymi komplikacjami politycznymi. Oskarżenia o spisek zawsze są trudne do udowodnienia.

- Rozumiem - rzekł Sestak. - Więc macie związane ręce.

- Zgadza się - przyznał Cilke.

- To skandal. Oni nie mogą próbować zamordować funkcjonariusza FBI i wyjść z tego cało - stwierdził cicho Boxtton.

Sestak patrzył na nich z uśmiechem rozbawienia. Jego szara skóra przybrała czerwony odcień.

- Wniosłe kazania - zauważył. - Tak czy owak w tych operacjach zawsze zdarzają się błędy. Facetom ze spluwami w rękę wydaje się, że sami nie mogą dostać kulki. Bardzo zabawna przypadłość ludzkiej natury.

Tego wieczoru Boxtton dotrzymywał towarzystwa Sestakowi na terenie wokół domu Cilkego w New Jersey. Pozostawiono włączone światła, żeby wyglądało, jakby ktoś był w środku. Aby stworzyć wrażenie, że ochrona znajduje się wewnątrz, na podjeździe zaparkowano również trzy samochody. Zainstalowano w nich pułapki, żeby eksplodowały w razie uruchomienia silników. Poza tym Boxtton niczego nie widział.

- Gdzie u diabła podziało się stu pańskich ludzi? - zapytał.

Sestak uśmiechnął się do niego szeroko.

- Dobrze, co? Wszyscy są w pobliżu i nawet pan nie potrafi ich dostrzec. Zajęli już swoje pozycje. Gdy przyjdą napastnicy, droga za nimi zostanie zablokowana. Będziemy mieli klatkę pełną szcurków.

Boxton pozostał u boku Sestaka, na stanowisku dowodzenia pięćdziesiąt metrów od domu. Razem z nimi znajdowało się czterech łącznościowców zamaskowanych w kępach drzew, których użyli jako osłony. Sestak i jego zespół byli uzbrojeni w karabiny, ale Boxtton miał jedynie swój rewolwer.

- Nie chcę, żeby pan uczestniczył w walce - powiedział Sestak. - Poza tym pańska broń na nic się tu nie przyda.

- Czemu? Przez całą moją karierę czekam na okazję do zastrzelenia paru złoczyńców.

Sestak roześmiał się.

- Nie dzisiaj. Mój zespół jest chroniony rozporządzeniami prezydenta przed wszelkimi dochodzeniami i ściganiem sądowym. Pan nie.

- Ale ja jestem dowódcą - zauważył Boxtton.

- Dopóki nie przystąpimy do akcji - odparł bezczelnie Sestak. - Potem dowodzę wyłącznie ja. Ja podejmuję wszystkie decyzje. Nawet dyrektor nie może mnie zastąpić.

Czekali w ciemności. Boxtton spojrział na zegarek. Do północy zostało dziesięć minut. Jeden z łącznościowców poinformował szeptem Sestaka:

- Do domu zbliża się pięć samochodów wypełnionych ludźmi. Droga za nimi została zablokowana. Orientacyjny czas przyjazdu pięć minut.

Sestak nosił noktowizor zapewniający dobrą widoczność.

- W porządku - odparł. - Prześlij hasło. Strzelać tylko na mój rozkaz lub w odpowiedzi na

atak.

Czekali. Nagle przed dom podjechało z dużą szybkością pięć samochodów i wysypali się z nich napastnicy. Jeden z nich natychmiast wrzucił do domu bombę zapalającą, tłukąc szybę i wywołując słaby rozbłysk czerwonego ognia w pokoju.

Wtem cały teren został zalany jasnym światłem szperaczy, które unieruchomiło grupę dwudziestu napastników. Jednocześnie z warkotem nadleciał helikopter z oślepiającymi reflektorami. W mroku nocy zagrzmiał komunikat z głośników:

- Tu FBI. Rzućcie broń i połóżcie się na ziemi.

Schwytani w pułapkę mężczyźni, oślepieni przez szperacze i światła śmigłowca, zastygli w bezruchu. Boxton z ulgą spostrzegł, że zupełnie stracili ochotę do stawiania oporu.

Zdziwił się więc, gdy Sestak uniósł karabin i wystrzelił do napastników. Ci zaś natychmiast odpowiedzieli ogniem. I wtedy Boxton został ogłuszony hukiem wystrzałów, które omiotły podjazd i ścięły gangsterów z nóg. Jeden z samochodów-pułapek eksplodował. Wyglądało to tak, jakby huragan ołowiu obrócił plac przed domem w zgliszcza. Szyby rozleciały się w kawałki i opadły srebrzystym deszczem. Pozostałe samochody zapadły się w ziemię, tak bardzo podziurawione kulami, że ich karoserie straciły kolor. Wydawało się, że z ziemi trysnęło źródło krwi, która płynąc, tworzyła wiry wokół aut. Z dwudziestu napastników zostały tylko przesiąknięte krwią strzepy, wyglądające niczym worki z praniem.

Boxton był w szoku.

- Strzelił pan, zanim mogli się poddać - rzekł oskarżycielskim tonem. - Opiszę to w swoim raporcie.

- Jestem odmiennego zdania - odparł Sestak i wyszczerzył do niego zęby w uśmiechu. - W chwili gdy wrzucili do domu bombę zapalającą, nastąpiło usiłowanie zabójstwa. Nie mogłem narażać moich ludzi. Tak napiszę w moim raporcie. I dodam, że pierwsi otworzyli ogień.

- No cóż, mój raport będzie inny.

- Nie do wiary - rzekł Sestak. - Myśli pan, że dyrektor chce pańskiego raportu? Będzie pan miał u niego przechłapanie. Na zawsze.

- A pana będzie chciał wypieprzyć za sprzeciwienie się jego rozkazom. Razem pójdziemy na dno.

- Dobrze. Ale to ja jestem dowódcą. Moich rozkazów nie można uchylić. W chwili gdy mnie sprowadzają, kończą się dyskusje. Nie chcę, żeby przestępcy myśleli, że mogą bezkarnie napaść na funkcjonariusza FBI. Takie są fakty, a pan i dyrektor możecie się odpieprzyć.

- Dwadzieścia trupów - zauważył Boxton.

- Nie będę po nich płakał. Pan i Cilke chcieliście, żebym ich rozwalił, ale nie mieliście odwagi otwarcie tego powiedzieć.

Nagle Boxton zrozumiał, że to prawda.

Kurt Cilke przygotowywał się do kolejnego spotkania z dyrektorem w Waszyngtonie. Miał notatki z ogólnym zarysem tego, co powie, oraz sprawozdanie wyjaśniające wszystkie okoliczności ataku na jego dom.

Jak zawsze, towarzyszył mu Bill Boxtton, lecz tym razem czynił to na wyraźne życzenie dyrektora.

Cilke i Boxtton znaleźli się w dyrektorskim gabinecie, wyposażonym w rząd monitorów telewizyjnych, ukazujących raporty z działalności lokalnego wydziału FBI. Dyrektor, zawsze uprzejmy, uściśnął ręce obu mężczyznom i poprosił, żeby usiedli, choć Boxttonowi posłał zimne, niechętnie spojrzenie. Obecni byli dwaj jego zastępcy.

- Panowie - powiedział zwracając się do całej grupy - musimy uprzątnąć ten bałagan. Nie możemy pozwolić, by tak oburzające zdarzenie nie doczekało się naszej zdecydowanej odpowiedzi. Cilke, chce pan pozostać na stanowisku czy odejść na emeryturę?

- Zostaję.

Dyrektor zwrócił się do Boxttona. Jego szczupła, arystokratyczna twarz przybrała surowy wyraz.

- Był pan dowódcą. Jak to się stało, że wszyscy napastnicy zginęli, i nie mamy kogo przesłuchać? Kto rozkazał strzelać? Pan? I na jakiej podstawie?

Boxton sztywno wyprostował się na krześle i rzekł:

- Panie dyrektorze, napastnicy rzucili do domu bombę i otworzyli ogień. Nie było innego wyjścia.

Dyrektor westchnął. Jeden z jego zastępców mruknął szyderczo.

- Kapitan Sestak to jeden z naszych asów - rzekł dyrektor. - Czy przynajmniej próbował wziąć choć jednego jeńca?

- Panie dyrektorze, po dwóch minutach było już po wszystkim - wyjaśnił Boxtton. - Sestak to bardzo sprawny taktyk.

- Cóż, media i opinia publiczna nie narobiły wprawdzie szumu - rzekł dyrektor - ale muszę powiedzieć, że w moim mniemaniu była to krwawa łaźnia.

- A jakże - potwierdził nie pytany jeden z zastępców.

- No, ale teraz nic na to nie poradzimy - rzekł dyrektor. - Cilke, opracował pan plan operacyjny?

Cilke poczuł nagły gniew z powodu ich krytycznych uwag, ale spokojnie odparł:

- Potrzebuję stu ludzi przydzielonych do mojego biura. Chcę, żeby zażądał pan pełnej kontroli finansowej banków rodziny Aprile. Będę szperał w przeszłości wszystkich osób wplątanych w ten interes.

- Nie czuje pan się dłużnikiem tego Violi? Uratował pana i pańską rodzinę.

- Nie. Trzeba znać tych ludzi. Najpierw pakują człowieka w tarapaty, a potem pomagają się z nich wydostać.

- Proszę pamiętać, że interesuje nas głównie przejęcie banków rodziny Aprile na własność. Nie tylko dlatego, że na tym skorzystamy, ale także dlatego, że te banki mają się stać główną pralnią brudnych pieniędzy. A za ich pośrednictwem dopadniemy Portellę i Tulippę. Musimy na to spojrzeć w aspekcie globalnym. Astorre Viola nie chce sprzedać banków, a syndykat próbuje go usunąć. Jak dotąd nie zdołali tego zrobić. Dowiedzieliśmy się, że zniknęło dwóch płatnych morderców, którzy zastrzelili don Aprilego. Dwoje detektywów nowojorskiej policji wyleciało w powietrze.

- Astorre jest przebiegły i nieuchwytny i nie jest związany z żadnymi gangami, więc tak naprawdę nie możemy go o nic oskarżyć - odparł Cilke. - Syndykatomu być może uda się go pozbyć i wtedy dzieci don Aprilego sprzedadzą banki. Jestem pewien, że za parę lat członkowie syndykatu przekroczą granice prawa.

Prowadzenie długotrwałej gry, zwłaszcza z przemytnikami i handlarzami narkotyków, nie było dla wymiaru sprawiedliwości niczym niezwykłym. Lecz w tym celu musieli pozwalać na popełnianie przestępstw.

- Prowadzimy tę grę od dawna - zauważył dyrektor. - Ale to nie znaczy, że dacie Portelli wolną rękę.

- Oczywiście - rzekł Cilke. Wiedział, że wszyscy wypowiadają się oficjalnie.

- Przydzielę panu pięćdziesięciu ludzi. I zażadam pełnej kontroli finansowej banków, żeby ich trochę zdenerwować.

- Sprawdzaliśmy je już przedtem i nigdy niczego nie wykryliśmy - zauważył jeden z zastępców.

- Zawsze istnieje jakaś szansa - powiedział Cilke. - Viola nie jest bankierem i mógł popełnić błędy.

- Owszem - potwierdził dyrektor. - Prokuratorowi generalnemu wystarczy jedno drobne potknięcie.

Wróciwszy do Nowego Jorku, Cilke spotkał się z Boxtone i Sestakiem, żeby sporządzić plan swojej kampanii.

- Dostaniemy pięćdziesięciu dodatkowych ludzi do prowadzenia śledztwa w sprawie napaści na mój dom. Musimy bardzo uważać. Potrzebuję wszystkiego, czego zdołacie dowiedzieć się o Astorre Violi. Chcę zbadać sprawę zamachu na detektywów, wiedzieć, co się mówi o zniknięciu braci Sturzów, i mieć wszystkie informacje, jakie zdołamy zdobyć na temat syndykatu. Skupcie się na Violi oraz detektywie Washington. Jest znana z przyjmowania łapówek i brutalności, a to, co twierdzi o wysadzeniu samochodu i całej tej forsie na miejscu eksplozji, jest bardzo podejrzane.

- A co z Tulippą? - zapytał Boxtone. - W każdej chwili może wyjechać z kraju.

- Tulippa objeżdża teraz Stany, nawołując w swych przemówieniach do legalizacji narkotyków i zbierając pieniądze wymuszone od dużych spółek.

- Nie możemy go za to przyskrzynić? - zapytał Sestak.

- Nie - odparł Cilke. - Jest właścicielem firmy ubezpieczeniowej i sprzedaje im polisy. Moglibyśmy wszcząć sprawę, ale sprzeciwiają się temu ludzie biznesu. Rozwiązali w ten sposób problem bezpieczeństwa swoich pracowników w Ameryce Południowej. A Portella nie ma dokąd uciec.

Sestak wyszczerzył do niego zęby w zimnym uśmiechu i zapytał:

- Jakie są reguły prowadzenia walki w tym wypadku?

- Dyrektor zakazał dalszych masakr, ale zabezpieczcie się - odparł spokojnie Cilke. - Zwłaszcza przed Violą.

- Innymi słowy, możemy go skreślić z grona żywych - zauważył Sestak.

Cilke przez chwilę sprawiał wrażenie zamyślnego, po czym powiedział:

- Jeśli zajdzie taka potrzeba.

Zaledwie tydzień później w bankach rodziny Aprile zaroilo się od rewidentów FBI, którzy dobrali się do ksiąg, a Cilke osobiście odwiedził pana Pryora w jego gabinecie.

Uściskał mu rękę, po czym powiedział jowialnie:

- Zawsze lubię osobiście spotykać się z ludźmi, których być może będę musiał posłać za kratki. Czy potrafi nam pan jakoś pomóc i wysiąść z tego pociągu, póki nie jest za późno?

Pryor spojrział na młodego mężczyznę z życzliwą troską.

- Naprawdę? Zapewniam pana, że podąża pan zupełnie niewłaściwym torem. Kieruję tymi bankami w całkowitej zgodzie z prawem amerykańskim i międzynarodowym.

- No cóż, chciałem tylko, żeby pan wiedział, iż badam pańską przeszłość i przeszłość wszystkich innych pana współpracowników. I mam nadzieję, że wszyscy jesteście czysti. Zwłaszcza w sprawie braci Sturzów.

Pryor uśmiechnął się do niego.

- Jesteśmy czysti jak ła.

Gdy Cilke wyszedł, Pryor odchylił się do tyłu w fotelu. Sytuacja stawała się alarmująca. A jeżeli wpadną na trop Rosie? Westchnął. Jaka szkoda. Będzie musiał coś z nią zrobić.

Kiedy Cilke zawiadomił Nicole, że chce, aby nazajutrz zjawiała się wraz z Astorre w jego biurze, nadal nie miał pojęcia, jaki naprawdę jest Viola, ani nie pragnął go rozgryźć. Czuł jedynie pogardę, którą darzył każdego, kto łamał prawo. Nie rozumiał determinacji prawdziwego mafiosa.

Astorre wierzył w tradycję. Jego stronnicy kochali go nie tylko za jego charyzmę, ale i za to, że najwyższej cenił honor.

Prawdziwy mafioso miał dość silnej woli, by pomścić każdą zniewagę swojej *coski* lub osobistą. Nigdy nie mógłby się podporządkować woli innej osoby lub agencji rządowej. I w tym tkwiła jego siła. Jego wola była najważniejsza; sprawiedliwość była tym, czym z jego wyroku być musiała. Uratowanie Cilkego i jego rodziny wynikało ze słabości charakteru.

Mimo to szedł z Nicole do jego biura, podświadomie oczekując podziękowań, złagodzenia wrogości Cilkego.

Było oczywiste, że na ich przyjęcie starannie się przygotowano. Zanim Astorre i Nicole weszli do gabinetu Cilkego, przeszukali ich dwaj ochroniarze. Sam Cilke stał za swoim biurkiem i patrzył na nich z nienawiścią. Bez śladu życzliwości wskazał im fotele. Jeden z ochroniarzy zamknął ich w środku i czekał za drzwiami.

- Czy ta rozmowa jest nagrywana? - zapytała Nicole.

- Tak - odparł Cilke. - Na magnetofonie i magnetowidzie. Chcę uniknąć jakichkolwiek nieporozumień co do tego spotkania. - Wahał się przez chwilę, a potem rzekł do Violi. - Musisz zrozumieć, że nic się nie zmieniło. Uważam cię za nikczemnika, któremu nie pozwolę spokojnie żyć w tym kraju. Nie kupuję tych mafijnych bzdur. Nie wierzę w twoją bajkę o informatorze. Sądzę, że zaplanowałaś to z nim, a potem zdradziłaś współspiskowca, żeby uzyskać łagodniejsze traktowanie z mojej strony. Gardzę takimi chwytami.

Astorre był zdumiony tym, że Cilke dotarł tak blisko prawdy. Spojrzał na niego z szacunkiem. Mimo to Cilke zranił jego uczucia. Ten człowiek nie miał wdzięczności ani szacunku dla kogoś, kto uratował jego i jego rodzinę. Uśmiechnął się na myśl o targających nim sprzecznościach.

- Wydaje ci się, że to zabawne, że to jeden z twoich mafijnych żartów - rzekł Cilke. - Zaraz zetrę ten uśmieszek z twojej twarzy. - Odwrócił się do Nicole.

- Po pierwsze, Biuro żąda, by wyjawiała nam pani prawdziwe okoliczności, w jakich zdobyliście tę informację. Zamiast bajki, którą zaserwował nam kuzyn pani mecenas. Dziwię się pani. Zamierzam panią oskarżyć o współudział w spisku.

- Może pan spróbować, ale proponuję, by najpierw przedyskutował to ze swoim szefem - odparła beczelnie Nicole.

- Kto wam powiedział o ataku na mój dom? Poszukujemy prawdziwego informatora.

Astorre wzruszył ramionami i odparł:

- Uwierz nam albo zapomnij o tym.

- Nie licz na to - rzekł ozięble Cilke. - Powiedzmy sobie jasno. Jesteś tylko jeszcze jednym śmieciem. Kolejnym mordercą. Wiem, że to ty wysadziłeś w powietrze samochód Di Benedetto. Przyglądamy się sprawie zniknięcia braci Sturzów z Los Angeles. Zabiłeś trzech zbirów Portelli i wziąłeś udział w porwaniu. W końcu cię dostaniemy. A wtedy będziesz tylko zwykłym gnojkiem.

Po raz pierwszy wydawało się, że Astorre stracił zimną krew i maska uprzejmości opadła mu z twarzy. Spostrzegł, iż Nicole obserwuje go z przerażeniem i współczuciem. Dał więc upust swemu gniewowi.

- Nie oczekuję od ciebie żadnych przysług - powiedział do Cilkego. - Ty nawet nie wiesz, co znaczy honor. Uratowałem życie twojej żonie i córce. Gdyby nie ja, leżałyby w grobie. I teraz zapraszasz mnie tu, żeby mi złorzeczyć. Twoja rodzina żyje dzięki mnie. Okaż mi

szacunek przynajmniej za to.

Cilke obrzucił go surowym spojrzeniem.

- Niczego ci nie okażę - odparł i poczuł okropną złość na myśl, że jest dłużnikiem Violi.

Ten podniósł się z miejsca, żeby wyjść z gabinetu, ale ochroniarz pchnął go z powrotem na fotel.

- Uprzykrzę ci życie - dodał Cilke.

Astorre wzruszył ramionami.

- Rób, co chcesz. Ale posłuchaj. Wiem, że pomogłeś załatwić don Aprilego. I to tylko dlatego, że ty i Biuro chcecie dostać w swoje ręce nasze banki.

Na te słowa ochroniarz ruszył ku niemu, lecz Cilke odprawił go machnięciem ręki.

- Wiem, że możesz powstrzymać ataki na moją rodzinę - mówił dalej Astorre. - I teraz czynię cię za to odpowiedzialnym.

Bill Boxtton spojrzał na Violę z drugiego końca gabinetu i cedząc słowa zapytał:

- Grozisz funkcjonariuszowi FBI?

- Oczywiście, że nie. Prosi jedynie o pomoc - wtrąciła Nicole.

Cilke sprawiał teraz wrażenie spokojniejszego.

- A wszystko to dla twego ukochanego stryja. No cóż, najwyraźniej nie przeczytałeś akt, które dałem Nicole. Twój ukochany stryj zabił twój ojca, gdy miałeś trzy lata.

Astorre skrzywił się i rzucił spojrzenie kuzynce.

- Czy to ta część, którą próbowałaś wymazać? - zapytał.

Nicole potwierdziła skinieniem głowy.

- Nie sądziłam, że to prawda, a gdyby tak było, nie powinienes o tym wiedzieć. To mogło cię jedynie zranić.

Astorre poczuł, że pokój zaczyna wirować, ale zachował zimną krew i rzekł:

- To bez znaczenia.

- Czy teraz, gdy wszystko jest jasne, możemy iść? - zapytała Nicole.

Cilke nie mógł się powstrzymać, wyszedł zza biurka i półzartem poklepał Astorre po głowie. Zaskoczyło go to tak samo jak Violę, gdyż dotąd nigdy nic takiego nie zrobił. Chciał tym klepieniem okazać lekceważenie, za którym kryła się prawdziwa nienawiść. Zdał sobie bowiem sprawę, że nigdy nie zapomni, iż bratanek don Aprilego uratował jego rodzinę. Tymczasem Astorre wpatrywał się nieruchomo w twarz agenta. Doskonale rozumiał, jak on się czuje.

Oboje wrócili do jej mieszkania. Nicole starała się okazać współczucie upokorzonemu kuzynowi, ale to jeszcze bardziej go rozsierdziło. Przyrządziła lekki lunch, a potem przekonała go, by zdrzemnął się na jej łóżku. W trakcie drzemki Astorre poczuł, że Nicole leży obok i go obejmuje. Odepchnął ją.

- Słyszałaś, co mówił o mnie Cilke. Chcesz się uwikłać w moje życie?

- Nie wierzę jemu ani jego raportom. Ja chyba naprawdę wciąż cię kocham.

- Nie możemy wrócić do czasów dzieciństwa - powiedział łagodnie Astorre. - Nie jestem już tym samym człowiekiem, ty także się zmieniłaś. Po prostu chciałabyś, żebyśmy znowu byli dziećmi.

Leżeli wtuleni w siebie. Po chwili Astorre zapytał sennym głosem:

- Myślisz, że to, co o nim mówią, jest prawdą? Że zabił mojego ojca?

Następnego dnia Viola poleciał z Pryorem do Chicago, by naradzić się z Benito Craxxim. Przekazał im najświeższe informacje, a potem zapytał:

- Czy to prawda, że don Aprile zabił mojego ojca?

Craxxi zignorował pytanie i zapytał:

- Czy miałaś coś wspólnego z napaścią na dom Cilkego?

- Nie - odparł Astorre. Okłamał ich, gdyż nie chciał, by ktokolwiek zdawał sobie sprawę z jego przebiegłości. Wiedział również, że nie pochwaliliby jego postępowania.

- A jednak uratowałeś mu życie - zauważył don Craxxi. - Dlaczego?

Astorre znowu musiał skłamać. Nie mógł pozwolić, by jego sprzymierzeńcy wiedzieli, że jest zdolny do takiego sentymentalizmu, że nie mógł znieść świadomości, iż żona i córka Cilkego zginą.

- Dobrze zrobiłeś - rzekł mafioso.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

- Ponieważ to skomplikowana sprawa. Byłeś nowo narodzonym synem wielkiego mafijnego bossa na Sycylii, liczącego osiemdziesiąt lat i stojącego na czele potężnej *coski*. Twoja matka umarła bardzo młodo, podczas porodu. Stary don Zeno umierał i wezwał mnie, don Aprilego i Bianca do siebie. W momencie jego śmierci w całej *cosce* zapanowałby chaos i don Zeno obawiał się o twoją przyszłość. Kazał nam obiecać, że zaopiekujemy się tobą, i postanowił, iż to don Aprile zabierze cię do Ameryki. Tam zaś, ponieważ jego żona właśnie umierała i chciał ci oszczędzić dalszych cierpień, don Aprile ulokował cię u rodziny Viola. To był błąd, gdyż twój opiekun okazał się zdrajcą i musiał zginąć. Don zabrał cię do swego domu, gdy tylko uporał się z kłopotami. Miał makabryczne poczucie humoru, tak więc postarał się, by śmierć Violi w bagażniku samochodu wyglądała na samobójstwo. Potem, gdy dorosłeś, przejawiałeś wszystkie cechy swojego prawdziwego ojca, wielkiego don Zena. Don Aprile postanowił zatem, że będziesz obrońcą jego rodziny, i wysłał cię na Sycylię na przeszkolenie.

Astorre nie był tak naprawdę zaskoczony. Gdzieś w zakamarkach jego pamięci tkwił obraz bardzo starego mężczyzny i jazdy karawanem.

- Tak, i jestem wyszkolony - powiedział powoli Astorre. - Wiem, jak przystąpić do ataku. Portella i Tulippa są jednak dobrze chronieni. I muszę uważać na Grazziełłę. Jedyńm, którego mógłbym zabić, jest konsul generalny Marriano Rubio. Tymczasem tropi mnie Cilke.

Nawet nie wiem, od czego zacząć.

- Nie wolno ci atakować Cilkego - oświadczył Craxxi.

- Tak - potwierdził Pryor. - To byłoby fatalne w skutkach.

Astorre uśmiechnął się do nich uspokajająco i rzekł:

- Zgoda.

- Mam dobrą wiadomość - powiedział Craxxi. - Graziella poprosił Bianca, by zaaranżował spotkanie z tobą. W ciągu miesiąca Bianco zawiadomi cię o terminie. Graziella może być kluczem do rozwiązania twoich problemów.

Tulippa, Portella i Rubio spotkali się w sali konferencyjnej peruwiańskiego konsulatu. Michael Graziella z głębokim żalem zawiadomił, że nie może uczestniczyć w spotkaniu.

Inzio otworzył je bez swego zwykłego latynoskiego wdzięku. Był zniecierpliwiony.

- Musimy rozstrzygnąć kwestię banków. Zdobędziemy je czy nie? Zainwestowałem miliony dolarów, a efekty są bardzo rozczarowujące.

- Viola jest niczym zjawa - odparł Portella. - Nie możemy go przekupić. Nie weźmie więcej pieniędzy. Musimy go zabić. Wtedy pozostali sprzedadzą swoje udziały.

- Jesteś pewien, że twoja mała ukochana się zgodzi? - zapytał Inzio konsula.

- Przekonam ją.

- A jej dwaj bracia?

- Nie zależy im na zemście - odparł Rubio. - Nicole zapewniła mnie o tym.

- Jest tylko jedno wyjście - stwierdził Portella. - Porwać Nicole, a potem zwabić spieszącego jej na ratunek Violę.

- Dlaczego nie jednego z jej braci? - zaprotestował konsul.

- Dlatego, że Marcantonio jest teraz pilnie strzeżony - wyjaśnił Portella. - A nie możemy tracić czasu na Valeriusa, bo wtedy zwali się nam na karki wywiad wojskowy, a to niebezpieczna banda.

Tulippa zwrócił się do Rubia:

- Nie będę dłużej wysłuchiwał tych bzdur. Czemu mielibyśmy ryzykować miliardy dolarów, żeby oszczędzić twoją przyjaciółkę?

- Chodzi po prostu o to, że już próbowaliśmy tej sztuczki - rzekł Rubio. - I pamiętaj, że ona ma ochronę. - Konsul był bardzo ostrożny. Gniew Tulippy mógłby być dla niego zgubny.

- Ochrona nie stanowi problemu.

- Zgodzę się na to, jeżeli Nicole nie stanie się krzywda - powiedział Rubio.

Marriano Rubio zaplanował wszystko i zaprosił Nicole na doroczny bal w konsulacie peruwiańskim. Po południu w dniu balu Astorre odwiedził ją, aby powiedzieć, że wyjeżdża na krótko na Sycylię. Gdy brała kąpiel, wziął swoją gitarę, którą Nicole ciągle miała u siebie, i ochryplym, lecz przyjemnym głosem nucił włoskie piosenki miłosne.

Kiedy wyszła z łazienki, nie miała na sobie nic oprócz przewieszzonego przez ramię płaszcza kąpielowego. Astorre był niemal zawstydzony widokiem jej pięknego, ukrytego na co dzień ciała. Zbliżyła się do niego, a on okrył ją płaszczem.

Wsunęła mu się w ramiona i westchnęła.

- Już mnie nie kochasz.

- Nie wiesz, kim naprawdę jestem - odparł śmiejąc się. - A my nie jesteśmy już dziećmi.

- Ale wiem, że jesteś dobry. Uratowałeś Cilkego i jego rodzinę. Kto jest twoim informatorem?

Astorre znowu się roześmiał.

- To nie twoja sprawa - odparł, po czym wyszedł do salonu, żeby uniknąć dalszych pytań.

Wieczorem Nicole poszła na bal w towarzystwie Helene, która bawiła się tam lepiej niż ona. Rozumiała, że Rubio jako gospodarz nie może jej poświęcić szczególnej uwagi. Zamówił im jednak limuzynę.

Po balu szofer zawiózł Nicole pod jej dom. Helene wysiadła pierwsza. Lecz zanim zdołały wejść do budynku, otoczyło je czterech mężczyzn. Helene schyliła się po pistolet do kabury nad kostką, ale nie zdążyła go wyciągnąć. Jeden z mężczyzn strzelił jej w głowę. Wianek z kwiatów zabarwił się krwią.

W tym momencie z ciemności wyłoniła się druga grupa mężczyzn. Trzej napastnicy uciekli, a Astorre, który dyskretnie śledził Nicole w drodze na bal i z powrotem, zasłonił ją plecami. Zabójca Helene został rozbrojony.

- Zabierz ją stąd - polecił Astorre jednemu ze swoich ludzi, a sam przystawił rewolwer do ciała zabójcy i zapytał: - Dobra, kto was nasłał?

Bandyta nie wyglądał na wystraszonego.

- Pieprz się - mruknął.

Nicole spostrzegła, że twarz Astorre przybrała zimny wyraz zaraz potem strzelił mężczyźnie w pierś. Gdy ten upadał, chwycił go za włosy, po czym wpakował mu jeszcze jedną kulę w głowę. W tym momencie zrozumiała, kim musiał być jej ojciec. Zwymiotowała obok ciała Helene. Astorre odwrócił się ku niej z uśmiechem żalu na ustach. Nicole nie mogła na niego patrzeć. Zaprowadził ją do mieszkania i poinstruował, co ma powiedzieć policji - że zemdląca, gdy tylko zastrzelono Helene, i nic nie widziała. Gdy wyszedł, Nicole zadzwoniła na komisariat.

Nazajutrz, załatwiwszy kuzynce całodobową ochronę, Astorre poleciał na Sycylię, żeby spotkać się z Grazziellą i Biankiem w Palermo. Wybrał swą zwykłą trasę, lecąc najpierw do Meksyku i przesiadając się tam na prywatny odrzutowiec, tak aby w lotniskowych rejestrach nie było wzmianki o jego podróży.

W Palermo powitał go Octavius Bianco, tak wypielegnowany teraz i po palermeńsku

elegancki, że trudno było w nim poznać dawnego brodatego i okrutnego bandytę. Uradował się na widok Violi i z czułością wziął go w objęcia. Potem samochód zawiózł ich do willi mafiosa, położonej nad brzegiem morza.

- Więc jesteś w tarapatach - rzekł Bianco na dziedzińcu willi, ozdobionym posągami z czasów cesarstwa rzymskiego. - Ale mam dla ciebie dobre wieści. - Zboczył na chwilę z tematu, by zapytać: - Dokucza ci twoja rana?

Astorre dotknął złotego łańcucha i odparł:

- Nie. Zepsuła mi jedynie głos. Teraz rechoczę jak żaba, zamiast śpiewać tenorem.

- Lepszy baryton niż sopran - zauważył ze śmiechem Bianco. - Zresztą we Włoszech tenorów nie brakuje. Jeden mniej nie zaszkodzi. Jesteś prawdziwym mafiosem, i właśnie tego nam potrzeba.

Astorre uśmiechnął się i zaczął rozmyślać o tym odległym dniu, gdy poszedł popływać z Nellem. Teraz, zamiast ostrego żądła zdrady, pamiętał tylko, jak się czuł, gdy się ocknął. Dotknął amuletu na swej szyi i zapytał:

- Cóż to za dobre wieści?

- Zawarłem pokój z Corleonesimi i Grazziellą. On nie był zamieszany w zabójstwo don Aprilego. Do syndykatu dołączył dopiero później. Nie jest jednak zadowolony ze współpracy z Portellą i Tulippą. Uważa, że działają zbyt pochopnie, a w dodatku są partaczami. Nie aprobował zamachu na tego agenta FBI. Ma również wielki szacunek dla ciebie. Zna cię jeszcze ze służby u mnie. Uważa, że niezwykle trudno cię zabić. Teraz chce zaprzestać wzajemnych prób zemsty i pomóc ci.

Astorre poczuł ulgę. Gdyby nie musiał się wystrzegać Grazzielli, miałby łatwiejsze zadanie.

- Jutro spotka się tutaj z nami - dodał Bianco.

- Tak bardzo ci ufa?

- Musi. Bez mojego poparcia w Palermo nie może rządzić Sycylią. A obecnie załatwiamy sprawy w bardziej cywilizowany sposób niż podczas twojego ostatniego pobytu.

Nazajutrz po południu Michael Grazziella przyjechał do willi. Astorre zauważył, że jest ubrany bardzo nobliwie, w stylu włoskich polityków - ciemny garnitur, biała koszula i ciemny krawat. Towarzyszyło mu dwóch ochroniarzy odzianych w podobny sposób. Grazziella był drobnym, uprzejmym mężczyzną o bardzo łagodnym głosie - nikt by się nie domyślił, że jest odpowiedzialny za zamordowanie wysokiej rangi sędziów, którzy walczyli z mafią. Ucisnął Violi dłoń i rzekł:

- Przybyłem tu, żeby ci pomóc w dowód głębokiego szacunku dla naszego przyjaciela Bianca. Proszę, byś zapomniał o przeszłości. Musimy zacząć od nowa.

- Dziękuję - odparł Astorre. - To dla mnie zaszczyt.

Grazziella dał znak ochroniarzom, którzy wyszli na plażę.

- No więc, Michael, jak możesz mu pomóc? - zapytał Bianco.

- Portella i Tulippa są, jak na mój gust, zbyt lekkomyślni. A Marriano Rubio zbyt nieuczciwy. Ciebie natomiast, Astorre, uważam za inteligentnego i kompetentnego człowieka. Poza tym Nello jest moim siostrzeńcem. Dowiedziałem się, że go oszczędziłeś, a to wiele znaczy. Takie są moje motywy.

Astorre pokiwał głową. Za plecami Grazzielli widział czarnozielone fale sycylijskiego morza i iskrzące się w nich przyćmione promienie zabójczego sycylijskiego słońca. Poczul nagłą tęsknotę i ból, ponieważ wiedział, że nie może tu zostać. Wszystko to było mu bliższe niż kiedykolwiek mogła być Ameryka. Tęsknił do ulic Palermo, brzmienia włoskich głosów, własnego pierwszego języka, bardziej naturalnego dlań niż angielski.

- Co więc możesz mi powiedzieć? - zapytał powracając do rozmowy z Grazziellą.

- Członkowie syndykatu chcą, żebym się z nimi spotkał w Stanach - odparł mafioso. - Mogę ci przekazać informacje o miejscu spotkania i jego zabezpieczeniu. Jeżeli podejmiesz drastyczne działania, możesz się potem schronić u mnie na Sycylii, a jeżeli władze amerykańskie wystąpią o ekstradycję, to mam w Rzymie przyjaciół, którzy umieją zablokować postępowanie ekstradycyjne.

- Masz taką władzę? - zdziwił się Astorre.

- Oczywiście - rzekł Grazziella z lekkim wzruszeniem ramion. - Jak inaczej moglibyśmy egzystować? Ale pamiętaj, że nie wolno ci działać zbyt pochopnie.

Astorre wiedział, że gangster ma na myśli Cilkego. Uśmiechnął się do Grazzielli.

- Nigdy nie zrobiłbym nic nieprzemyślanego.

Mafioso uśmiechnął się z kurtuazją i stwierdził:

- Twoi wrogowie są moimi wrogami, a ja zobowiązuję się wspierać cię w sprawie, o którą walczysz.

- Zakładam, że nie będzie cię na tym spotkaniu - powiedział Astorre.

Grazziella znowu uśmiechnął się do niego.

- W ostatnim momencie coś mnie zatrzyma.

- A kiedy do niego dojdzie?

- W ciągu miesiąca.

Gdy Grazziella wyszedł, Astorre rzekł:

- Powiedz, dlaczego on to robi?

Bianco uśmiechnął się do niego z uznaniem.

- Jak dobrze rozumiesz Sycylińczyków. Wszystkie powody, które podał, były przekonujące. Ale jest jeszcze główny motyw, o którym nie wspomniał. - Zawahał się. - Tulippa i Portella pozbawiali go właściwego udziału w zyskach z handlu narkotykami, więc wkrótce i tak musiałby wszcząć z nimi wojnę. Nie mógł dłużej tolerować ich oszustw. Ma o tobie wysokie mniemanie i byłoby dla niego idealnie, gdybyś sprzątnął jego wrogów i stał się

sojusznikiem. Graziella to bardzo sprytny człowiek.

Wieczorem Astorre spacerował po plaży i myślał o tym, co powinien zrobić. Nareszcie zbliżał się koniec.

Pan Pryor nie obawiał się kontroli w bankach rodziny Aprile i konieczności bronięcia ich przed władzami. Ale gdy po próbie zamachu na Cilkego agenci FBI zalali Nowy Jork, zaniepokoił się trochę o to, co odkryją. Zwłaszcza po wizycie Cilkego.

We wczesnej młodości Pryor był jednym z cenionych zamachowców na usługach palermeńskiej mafii. Skończył jednak z zabijaniem i zajął się bankowością, w której sukces zapewniły mu wrodzony urok, inteligencja i koneksje w świecie przestępczym. W istocie został prawdziwym bankierem mafii. Szybko stał się ekspertem od zawirowań na rynku wymiany walut i ukrywania brudnych pieniędzy. Potrafił również kupować legalne firmy po korzystnych cenach. W końcu wyemigrował do Anglii, ponieważ uczciwe zasady angielskiego systemu mogły lepiej chronić jego bogactwo niż łapownictwo we Włoszech.

Jednak jego wpływy wciąż sięgały do Palermo i Stanów Zjednoczonych. Pełnił funkcję głównego bankiera *coski* Bianca w jej nadzorze nad branżą budowlaną na Sycylii. Był również ogniwem łączącym banki rodziny Aprile z Europą.

Teraz, wobec nasilenia działań policji, przypomniał sobie o potencjalnie niebezpiecznym szczególe: Rosie. Dzięki niej policjanci mogliby powiązać Violę ze sprawą zaginięcia braci Sturzów. Poza tym Pryor wiedział, że Astorre ma jeden słaby punkt i wciąż pociesza się w uroczych ramionach dziewczyny. W niczym nie umniejszało to jego szacunku dla bratanka don Aprilego; ta słabość mężczyzny istniała od zarania dziejów. A Rosie była mafiosem w spódnicy. Kto mógł się jej oprzeć? Ale choć podziwiał tę dziewczynę, nie uważał, by utrzymywanie z nią kontaktów było rzeczą rozsądną.

Postanowił więc odegrać pewną rolę w tym romansie, tak jak zrobił kiedyś w Londynie. Wiedział, że nie zyska aprobaty Astorre dla takiego czynu - znał jego charakter i nie lekceważył niebezpieczeństwa. Jednak Viola zawsze był rozsądnym człowiekiem. Pryor przekonałby go po fakcie, on zaś doceniłby dalekowzroczność kryjącą się za tym posunięciem.

Trzeba było jednak je wykonać, więc pewnego wieczora Pryor zatelefonował do Rosie. Ucieszyła się z kontaktu, zwłaszcza gdy zapewnił, że ma dobre wieści. Gdy odłożył słuchawkę, westchnął z żalem.

Jako kierowcę i ochroniarza zabrał ze sobą swoich siostrzeńców. Jednego zostawił w samochodzie przed budynkiem, a drugiego przyprowadził do jej mieszkania.

Rosie na powitanie rzuciła się Pryorowi w ramiona i wystraszyła tym jego siostrzeńca, który nerwowym ruchem wsunął rękę pod marynarkę.

Zaparzyła kawę i podała półmisek z rogalikami, specjalnie sprowadzonymi ponoć z Neapolu. Pryorowi, który uważał się za eksperta w takich sprawach, zupełnie nie

przypominały smakiem neapolitańskich wyrobów.

- Przemiała z ciebie dziewczyna - rzekł i odwróciwszy się do swego siostrzeńca, dodał: - Proszę, skosztuj. - Młodzieniec cofnął się już jednak w kąt pokoju i usiadł w fotelu, by przyjrzeć się tej małej komedii, odgrywanej przez wuja.

Rosie uderzyła dłonią w filcowy kapelusz Pryora i powiedziała figlarnie:

- Bardziej mi się podobał pana angielski melonik. Wtedy nie wyglądał pan tak pyszałkowato.

- Och, gdy człowiek zmienia kraj, zawsze musi zmienić kapelusz - odparł z poczuciem humoru Pryor. - Moja droga, przyszedłem tu, by prosić cię o wielką przysługę.

Dostrzegł lekkie wahanie dziewczyny, zanim rozradowana klasnęła w dłonie.

- Przecież pan wie, że spełnię każdą pańską prośbę. Tyle panu zawdzięczam. - Pryor zmiękł pod wpływem jej słodyczy, ale od tego, co należało zrobić, nie było odwołania.

- Chcę, żebyś tak ułożyła swoje sprawy, by jutro móc wyjechać, na krótko, na Sycylię. Astorre czeka tam na ciebie, a ty w największej tajemnicy musisz dostarczyć mu ode mnie pewne dokumenty. Tęskni za tobą i chce ci pokazać wyspę.

Rosie zarumieniła się.

- Naprawdę chce mnie zobaczyć?

- Oczywiście.

W rzeczywistości Astorre wracał z Włoch do domu i nazajutrz wieczorem miał się znaleźć w Nowym Jorku. Minęliby się nad Atlantykiem.

Przybierając nieśmiałą pozę, Rosie stała się teraz praktyczna.

- Nie mogę wyjechać tak szybko. Musiałabym zrobić rezerwacje, pójść do banku i załatwić mnóstwo innych drobnych spraw.

- Pewnie pomyślisz, że jestem bezczelny, ale wszystko już załatwiłem - odparł Pryor.

Wyjął długą białą kopertę z wewnętrznej kieszeni marynarki i dodał:

- Oto twój bilet na samolot. W pierwszej klasie. A także dziesięć tysięcy dolarów na ostatnie zakupy i wydatki podczas podróży. Jutro rano mój siostrzeniec, który tu siedzi olśniony tobą, przyjedzie po ciebie limuzyną. W Palermo powita cię Astorre lub jeden z jego przyjaciół.

- Powinam wrócić najpóźniej po tygodniu. Muszę zdać parę egzaminów do mojego doktoratu.

- Nie kłopotz się tym. Obiecuję, że nie będziesz musiała się obawiać spóźnienia na egzaminy. Czy kiedyś cię zawiodłem? - Głos Pryora brzmiał dobrotliwie, lecz on sam myślał: jaka szkoda, że Rosie już nigdy nie zobaczy Ameryki.

Wypili kawę i zjedli rogaliki. Siostrzeniec Pryora znowu odmówił przekąski, mimo że Rosie bardzo ładnie go prosiła. Dzwonek telefonu przerwał ich pogawędkę. Rosie podniosła słuchawkę.

- Och, to ty - powiedziała. - Dzwonisz z Sycylii? Pan Pryor mi powiedział. Siedzi tu i pije

kawę.

Pryor nadal spokojnie to robił, lecz jego siostrzeniec podniósł się z fotela, a potem znowu usiadł, gdy wuj posłał mu rozkazujące spojrzenie.

Rosie umilkła i patrzyła badawczo na bankiera, który pokiwał uspokajająco głową.

- Tak, przygotował mi tygodniowe spotkanie z tobą na Sycylii - powiedziała. Przez chwilę słuchała Astorre. - Tak, oczywiście, że jestem rozczarowana. Przykro mi, że musiałeś niespodziewanie wrócić. Więc chcesz z nim porozmawiać? Nie? W porządku, powiem mu. - Odłożyła słuchawkę i wyjaśniła: - Jaka szkoda. Musiał wcześniej wrócić. Ale chce, żeby pan tu na niego poczekał. Przez jakieś pół godziny.

Pryor sięgnął po jeszcze jeden rogalik i rzekł:

- Oczywiście.

- Gdy tu dotrze, wszystko wyjaśni. Jeszcze kawy?

Bankier potwierdził skinieniem głowy, a potem westchnął.

- A tak wspaniale byś się tam bawiła. Szkoda. - Wyobraził sobie jej pogrzeb na sycylijskim cmentarzu, smutek, jaki by mu towarzyszył.

- Zejdź na dół i zaczekaj w samochodzie - polecił siostrzeńcowi.

Młody mężczyzna wstawał niechętnie i wuj wygonił go ruchem ręki. Gdy Rosie wypuściła go z mieszkania, Pryor uśmiechnął się do niej z wielkim zatroskaniem i zapytał:

- Czy przez te ostatnie lata byłaś szczęśliwa?

Astorre przyleciał dzień wcześniej na małe lotnisko w New Jersey i został stamtąd zabrany przez Aldo Monzę. Oczywiście podróżował prywatnym odrzutowcem z fałszywym paszportem. Do Rosie zadzwonił odruchowo, chcąc ją zobaczyć i odprężyć się, spędzając z nią noc. Gdy mu powiedziała, że Pryor jest w jej mieszkaniu, błyskawicznie wyczuł niebezpieczeństwo. Słyszając o podróży na Sycylię natychmiast zrozumiał jego zamiary. Próbował opanować gniew. Pryor pragnął postąpić właściwie, kierując się doświadczeniem, lecz cena za bezpieczeństwo była w tym wypadku zbyt wysoka.

Otworzywszy drzwi, Rosie rzuciła mu się w ramiona. Pryor wstał z fotela, Astorre podszedł i uściskał go. Bankier ukrył zaskoczenie - zwykle młody człowiek nie był taki tkliwy.

Potem, ku jego zdumieniu, Astorre powiedział do Rosie:

- Leć jutro na Sycylię, jak planowaliśmy, a ja dołączę do ciebie za parę dni. Będzie wspaniała zabawa.

- Świetnie - stwierdziła Rosie. - Nigdy tam nie byłam.

- Dziękuję za załatwienie wszystkiego - rzekł Astorre do Pryora, po czym znowu zwrócił się do dziewczyny: - Nie mogę zostać. Zobaczymy się na Sycylii. Dziś wieczorem mamy z panem Pryorem ważną sprawę do załatwienia. Zacznij więc przygotowywać się do podróży. I nie zabieraj zbyt wielu ubrań. Na zakupy możemy pójść w Palermo.

- W porządku - odparła Rosie. Ucałowała Pryora w policzek, uścisnęła Violę i złożyła mu na ustach długi pocałunek. Potem otworzyła drzwi, by wypuścić ich z mieszkania.

Gdy obaj znaleźli się na ulicy, Astorre rzekł:

- Niech pan powie swym siostrzeńcom, żeby jechali do domu - dzisiaj nie będą już panu potrzebni - i pójdzie ze mną do mojego samochodu.

Dopiero wtedy Pryor poczuł lekkie zdenerwowanie.

- Robiłem to dla twojego dobra.

Na tylnym siedzeniu samochodu prowadzonego przez Monzę Astorre odwrócił się do bankiera i rzekł:

- Nikt nie ceni pana bardziej niż ja, ale to chyba ja jestem szefem?

- Bez wątplenia - odparł Pryor.

- Miałem zamiar zająć się tym problemem. Dostrzegam niebezpieczeństwo i cieszę się, że skłonił mnie pan do działania. Ale potrzebuję jej. Możemy zaryzykować. Oto moje instrukcje. Na Sycylii proszę ją umieścić w luksusowym domu ze służbą. Może się zapisać na uniwersytet w Palermo. Będzie otrzymywała bardzo okazałą pensję, a Bianco wprowadzi ją do najlepszego towarzystwa. Uszczęśliwimy ją tam, a Bianco już potrafi zapanować nad każdym problemem, jaki może powstać. Wiem, że nie pochwała pan mojego przywiązania do niej, ale to silniejsze ode mnie. Liczę na to, że wady Rosie pomogą jej znaleźć szczęście w Palermo. Ma słabość do pieniędzy i przyjemności życia, ale któż jej nie ma? Tak więc teraz czynię pana odpowiedzialnym za jej bezpieczeństwo. Żadnych wypadków.

- Jak wiesz, sam bardzo lubię tę dziewczynę - odparł Pryor. - To prawdziwy mafioso w spódnicy. Wracasz na Sycylię?

- Nie. Mamy ważniejsze sprawy.

Rozdział 13

Po złożeniu zamówienia kelnerowi, Nicole skupiła się na rozmowie z Marriano Rubiem. Tego dnia musiała przekazać dwie ważne wiadomości i chciała mieć pewność, że robi to, jak należy.

Rubio wybrał restaurację - eleganckie francuskie bistro, gdzie kelnerzy krążyli z wysokimi lakierowanymi młynkami do pieprzu i długimi wiklinowymi koszykami z kruchym świeżym pieczywem. Konsul nie przepadał za tutejszym jedzeniem, ale znał szefa sali, więc zapewniono mu dobry stolik w spokojnym kącie. Często przyprawdzał tu swoje kobiety.

- Jesteś dziś bardziej milcząca niż zwykle - zauważył, sięgając przez stolik po jej rękę. Nicole czuła, jak przenika ją dreszcz. Uświadomiła sobie, że nienawidzi go za tę władzę nad nią, i wyszarpnęła dłoń. - Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Miałam ciężki dzień.

- Rozumiem - powiedział z westchnieniem. - Cena za pracę ze zmijami. - Rubio nie darzył zbytnim szacunkiem firmy prawniczej Nicole. - Czemu znosisz ich towarzystwo? Czemu nie pozwolił, bym się o ciebie zatroszczył?

Nicole zastanawiała się, ile innych kobiet nabrało się na tę śpiewkę i rzuciło kariery, żeby z nim być.

- Nie kuś mnie - powiedziała kokieteryjnie.

Zaskoczyła tym Rubia, który wiedział, jak oddana jest swojej pracy. Ale na to właśnie liczył.

- Pozwól mi zatroszczyć się o ciebie - powtórzył. - A poza tym, ile korporacji możesz jeszcze pozwać do sądu?

Jeden z kelnerów otworzył butelkę zimnego białego wina, podał korek konsulowi i nalał niewielką ilość do eleganckiego kryształowego kieliszka. Rubio skosztował trunku i kiwnął głową. Potem skierował uwagę z powrotem na Nicole.

- Zrezygnowałabym już teraz, ale jest jeszcze parę spraw, które prowadzę społecznie i chcę je dociągnąć do końca. - Wypiła łyk wina. - Ostatnio sporo myślałam o bankowości.

Rubio zmrużył oczy i rzekł:

- No cóż, na twoje szczęście banki to rzecz dziedziczna.

- Owszem - przyznała Nicole - ale niestety, mój ojciec nie wierzył, że kobiety są w stanie kierować firmą. Muszę więc stać i przyglądać się, jak mój szalony kuzyn wszystko pieprzy. - Podnosząc głowę, by na niego spojrzeć, dodała: - Nawiasem mówiąc, Astorre sądzi, że próbujesz dobrać mu się do skóry.

Rubio starał się wyglądać na ubawionego tym zarzutem.

- Naprawdę? A jak miałbym tego dokonać?

- Nie wiem - odparła, zirytowana. - Pamiętaj, że to facet, który utrzymuje się ze sprzedaży makaronu. Ma mózg przyprószony mąką. Twierdzi, że chcesz wykorzystać banki do prania pieniędzy i Bóg jeden wie, czego jeszcze. Starał się nawet mnie przekonać, że próbowałeś mnie porwać. - Wiedziała, że teraz musi uważać. - Ale ja w to nie wierzę. Sądzę, że to on kryje się za wszystkim, co się dzieje. Wie, że chcę wraz z braćmi nadzorować banki, więc próbuje wpędzić nas w paranoję. Ale mamy już dosyć jego gadania.

Rubio pilnie przypatrywał się twarzy Nicole. Był dumny ze swej zdolności odróżniania prawdy od fikcji. W swojej wieloletniej karierze dyplomaty okłamywali go niektórzy z najbardziej szanowanych mężów stanu na świecie. I teraz, patrząc jej głęboko w oczy, doszedł do wniosku, że Nicole mówi mu całkowitą prawdę.

- Jak bardzo macie tego dosyć?

- Wszyscy jesteśmy wyczerpani.

Zjawiło się kilku kelnerów, którzy krzatali się przy nich przez długie minuty, żeby ustawić na stole główne danie. Gdy w końcu sobie poszli, Nicole nachyliła się ku konsulowi i szepnęła:

- Mój kuzyn przeważnie pracuje do późna wieczorem w swoim magazynie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Nicole uniosła nóż i zaczęła kroić swe główne danie, medaliony z kaczki, pływające w lekkim lśniącym sosie pomarańczowym.

- Nic - odparła. - Ale co główny akcjonariusz międzynarodowego banku robi przez cały czas w magazynie makaronu? Gdybym to ja miała pakiet kontrolny, stale byłabym w bankach i sprawdzała, czy moi wspólnicy uzyskują większe zyski ze swoich lokat. - Powiedziawszy to, skosztowała kaczki. Uśmiechnęła się do Rubia i dodała: - Wyśmienite.

Do wszystkich zalet Georgette Cilke dochodził fakt, że była dobrze zorganizowaną kobietą. Każdego wtorkowego popołudnia dobrowolnie poświęcała dokładnie dwie godziny na pracę w centrali krajowej Kampanii Przeciwko Karze Śmierci, gdzie pomagała odbierać telefony i rozpatrywała prośby adwokatów więźniów oczekujących egzekucji. Nicole dokładnie wiedziała zatem, dokąd dostarczyć swą drugą ważną wiadomość dnia.

Gdy Georgette zobaczyła, że Nicole wchodzi do biura, jej twarz rozpromieniła się. Wstała, by uściskać swą dobrą znajomą.

- Chwała Bogu - powiedziała. - Dzisiejszy dzień był straszny. Cieszę się, że tu jesteś.

Możesz mnie wesprzeć moralnie.

- Nie wiem, czy potrafię być pomocna. Jest coś, co nie daje mi spokoju i co muszę z tobą omówić.

W ciągu lat wspólnej pracy Nicole nigdy nie zwierzała się Georgette, choć utrzymywały serdeczne stosunki zawodowe. Georgette nigdy z nikim nie rozmawiała o pracy swego męża, Nicole zaś nie widziała sensu w paplaniu o swoich kochankach z mężatkami, którym zawsze wydawało się, że muszą służyć radą, jak zaciągnąć mężczyznę do ołtarza, na czym jej akurat nie zależało. Woląла rozmawiać o czystym seksie, ale zauważyła, że takie rozmowy większości zamężnych kobiet sprawiają przykrość. Być może, nie lubiły słuchać o tym, czego im brakowało.

Georgette zapytała, czy chce rozmawiać na osobności, a gdy Nicole potwierdziła skinieniem głowy, znalazły mały pusty gabinet w głębi korytarza.

- Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałam, ale musisz wiedzieć, że moim ojcem był Raymonde Aprile... znany jako don Aprile. Słyszałaś o nim?

Georgette wstała.

- Chyba nie powinnam prowadzić z tobą tej rozmowy...

- Usiądź, proszę - przerwała jej Nicole. - Musisz mnie wysłuchać.

Georgette sprawiała wrażenie skrepowanej, ale spełniła prośbę przyjaciółki. Prawdę powiedziawszy, zawsze była ciekawa jej rodziny, ale wiedziała, że nie może poruszać tego tematu. Podobnie jak wiele innych osób, Georgette przypuszczała, że prowadząc sprawy społecznie, Nicole stara się wynagrodzić grzechy swojego ojca. Jakże przerażające musiało być dzieciństwo córki takiego człowieka, dorastającej w cieniu przestępców. I jak żenujące. Georgette pomyślała o swojej córce, którą krępowało pokazywanie się publicznie z którymś z rodziców. Zastanawiała się, jak Nicole przetrwała te lata.

Nicole wiedziała, że Georgette nigdy nie zdradzi swego męża, ale też wiedziała, iż żona Cilkego jest kobietą o dobrym sercu i otwartym umyśle. Kimś, kto w wolnym czasie orędownał za skazanymi za morderstwo. Nicole utkwiała w niej wzrok.

- Mój ojciec został zabity przez ludzi, którzy są w bliskich stosunkach z twoim mężem. Ja i moi bracia mamy dowód, że twój mąż przyjmował od nich łapówki.

Pierwszą reakcją Georgette był szok, a potem niedowierzenie. Milczała. Ale już po paru sekundach poczuła pierwszy wyraźny przypływ złości.

- Jak śmiesz - wyszeptała i spojrzała Nicole prosto w oczy. - Kurt prędzej by umarł, niż złamał prawo.

Nicole była zaskoczona gwałtownością jej reakcji. Teraz wiedziała, że Georgette naprawdę wierzyła w uczciwość męża. Mówiła dalej:

- Twój mąż nie jest człowiekiem, którym się wydaje. Wiem, jak się czujesz. Właśnie przeczytałam akta mojego ojca z archiwum FBI, ale choć bardzo go kocham, wiem, że miał przede mną sekrety. Tak samo jak Kurt ma sekrety przed tobą.

Potem Nicole powiedziała jej o milionie dolarów, które Portella przelał na rachunek bankowy Cilkego, oraz o konszachtach Portelli z ważnymi figurami branży narkotykowej i płatnymi mordercami, którzy mogli wykonywać swą pracę tylko z cichym przyzwoleniem jej męża.

- Nie oczekuję, że mi uwierzysz - dodała. - Mam jedynie nadzieję, że zapytasz swego męża, czy mówię prawdę. Jeżeli jest takim człowiekiem, jakim twierdzisz, że jest, nie skłamię.

Georgette niczym nie okazywała swego wzburzenia.

- Dlaczego mi to mówisz? - zapytała.

- Dlatego, że twój mąż mści się na mojej rodzinie. Zamierza pozwolić swoim wspólnikom zamordować mojego kuzyna i przejąć kontrolę nad naszymi bankami. Ma do tego dojść jutro wieczorem w magazynie firmy makaronowej mojego kuzyna.

Słyszając o makaronie Georgette roześmiała się.

- Nie wierzę ci - powiedziała, po czym wstała, żeby wyjść. - Przykro mi, Nicole. Wiem, że jesteś zdenerwowana, ale nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

Tego wieczora w oszczędnie udekorowanej sypialni domu na ranczu, dokąd przeniesiono rodzinę Cilkego, urzeczywistnił się jego koszmarny sen. Zjedli kolację i siedzieli naprzeciw siebie, czytając. Nagle Georgette odłożyła książkę i powiedziała:

- Muszę z tobą porozmawiać o Nicole Aprile.

W ciągu wszystkich spędzonych razem lat Georgette nigdy nie prosiła męża, by mówił o swoich problemach zawodowych. Chciała być wolna od obowiązku zachowywania tajemnic państwowych. Wiedziała też, że tę część swego życia Kurt musi zachować dla siebie. Czasami wieczorem, leżąc obok niego w łóżku, zastanawiała się, jak wykonuje swoją pracę - nad sposobami zdobywania informacji, presją, jaką musiał wywierać na podejrzanych. Lecz zawsze wyobrażała go sobie jako doskonałego agenta federalnego, w starannie wyprasowanym garniturze, ze sfatygowanym egzemplarzem konstytucji wetkniętym do tylnej kieszeni. Była jednak wystarczająco rozzagnana, by wiedzieć, że to fantazja. Jej mąż był człowiekiem zdecydowanym. Żeby pokonać swoich przeciwników, posunąłby się daleko. Lecz tej rzeczywistości Georgette wołała nie zgłębiać.

Cilke czytał właśnie powieść detektywistyczną - trzecią z cyklu o seryjnym zabójcy, który wychowuje swego syna na księdza. Gdy Georgette zadała pytanie, natychmiast zamknął książkę i rzekł:

- Słucham.

- Nicole powiedziała mi dziś pewne rzeczy... o tobie i śledztwie, które prowadzisz. Wiem, że nie lubisz rozmawiać o swojej pracy, ale ona postawiła parę mocnych zarzutów.

Cilke czuł wzbierającą w nim złość, która przerodziła się w ślełą furję. Najpierw zabili jego psy. Potem zniszczyli dom. A teraz skalali jego najczystszy związek. W końcu, gdy

przestało mu walić serce, poprosił najspokojniejszym głosem, jaki zdołał z siebie wydobyć, by opowiedziała dokładnie, co się stało.

Georgette powtórzyła całą rozmowę z Nicole i uważnie obserwowała twarz męża, gdy jej słuchał. Nie okazał ani krztyny zaskoczenia lub oburzenia. Gdy skończyła, rzekł:

- Dziękuję, kochanie. Na pewno było ci bardzo ciężko to powiedzieć. I przykro mi, że musiałaś to zrobić. - Potem wstał z fotela i podszedł do drzwi frontowych.

- Dokąd idziesz?

- Muszę się przewietrzyć. I pomyśleć.

- Kochanie? - W głosie Georgette zabrzmiało pytanie; musiała rozproszyć swoje wątpliwości.

Cilke poprzysiągł sobie, że nigdy nie okłamie swojej żony. Gdyby domagała się prawdy, musiałby jej powiedzieć i ponieść konsekwencje. Miał nadzieję, że to zrozumie i zdecyduje, iż lepiej udać, że te sekrety nie istnieją.

- Czy możesz mi coś powiedzieć? - zapytała.

Pokręcił głową.

- Nie. Zrobiłbym dla ciebie wszystko. Wiesz o tym, prawda?

- Tak, ale muszę wiedzieć. Dla naszego dobra i dobra naszej córki.

Cilke zrozumiał, iż nie ma ucieczki. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli powie jej prawdę, Georgette już nigdy nie spojrzy na niego w dawny sposób. W tym momencie pragnął zmiażdżyć Violi czaszkę. Zastanawiał się, co mógłby powiedzieć żonie: przyjmowałem tylko te łapówki, które kazali mi przyjąć szefowie FBI? Przymykaliśmy oczy na drobne przestępstwa, żeby się skoncentrować na dużych? Łamaliśmy niektóre ustawy, żeby zmusić do przestrzegania ważniejszych? Wiedział, że te odpowiedzi tylko by ją rozsierdziły, i za bardzo ją kochał i szanował, żeby zrobić coś takiego.

Wyszedł z domu, nie mówiąc ani słowa. Gdy wrócił, jego żona udawała, że śpi. Wtedy powziął decyzję. Następnego dnia wieczorem stanie twarzą w twarz z Astorre Violą i odzyska swoje wyobrażenie sprawiedliwości.

Aspinella Washington nienawidziła wprawdzie nie wszystkich mężczyzn, ale wciąż na nowo dziwiła się, jak wielu z nich napawa ją wstrętem. Wszyscy byli tak... beużyteczni.

Po tym, jak załatwiła Heskowa, krótko przesłuchiwali ją dwaj funkcjonariusze ochrony lotniska, którzy byli albo zbyt głupi, albo zbyt onieśmieleni, by kwestionować jej wersję wydarzeń. Gdy policjanci odkryli sto tysięcy dolarów przyklejonych do ciała nieboszczyka, uznali motyw jego postępowania za oczywisty. Doszli do wniosku, że należy się im nagroda za pomoc przy sprzątnięciu bałaganu, którego narobiła Washington, przed przyjazdem karetki. Jej również dali plik uwalanych krwią banknotów, które dołączyła do trzydziestu tysięcy otrzymanych od Heskowa.

Pieniądze potrzebne jej były tylko w dwóch celach. Wszystko, oprócz trzech tysięcy,

zamknęła w skrytce depozytowej. Matkę poinformowała, że w razie, gdyby coś jej się stało, powinna ulokować wszystkie pieniądze ze skrytki - ponad trzysta tysięcy - w funduszu powierniczym dla wnuczki. Z pozostałymi trzema tysiącami pojechała taksówką na róg Piątej Alei i Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy, gdzie weszła do najbardziej luksusowego w mieście sklepu z wyrobami ze skóry i pojechała windą do prywatnego apartamentu na trzecim piętrze.

Kobieta w oryginalnych okularach i ciemnogrnatowym spodniem w drobne prążki przyjęła od niej pieniądze i zaprowadziła korytarzem do pokoju, w którym Aspinella wykapała się w wannie wypełnionej wonnymi olejkami sprowadzanymi z Chin. Moczyła się przez blisko dwadzieścia minut i słuchała gregoriańskich pieśni, czekając na Rudolfa, licencjonowanego specjalistę od terapii masażem erotycznym.

Rudolfo otrzymywał trzy tysiące dolarów za dwugodzinną sesję, czyli - na co z radością zwracał uwagę swoim bardzo zadowolonym klientkom - więcej niż najślawniejsi nawet prawnicy dostawali za godzinę.

- Różnica - powiedział z bawarskim akcentem i figlarnym uśmieszkiem - polega na tym, że oni cię tylko dymają. A ja dymam cię nieziemsko.

Aspinella usłyszała o Rudolfie podczas tajnego śledztwa w sprawie nierządu, które prowadziła w najlepszych nowojorskich hotelach. Pewien odźwierny obawiał się, że może zostać poproszony o złożenie zeznań, więc w zamian za niewzywanie go na świadka udzielił jej poufnej informacji o Rudolfie. Aspinella zamierzała go aresztować, ale gdy poznała terapeutę i doświadczyła jego masażu, uznała, że pozbawienie kobiet rozkoszy korzystania z niezwykłych uzdolnień masażysty byłoby jeszcze większym przestępstwem. Po kilkunastu minutach Rudolfo zapukał do drzwi i zapytał:

- Mogę wejść?

- Liczę na to, kotku.

Wszedł do pokoju, przyjrzał się jej i powiedział:

- Wspaniała opaska.

Podczas pierwszej sesji Aspinella zdziwiła się, gdy wszedł do pokoju nagi, ale wyjaśnił, że przecież nie ma sensu zawracać sobie głowy ubieraniem się tylko po to, żeby się rozebrać. Stanowił niezwykle okaz urody - wysoki i gibki, z tygrysem wytatuowanym na prawym bicepsie i jedwabistym gąszczem blond włosów na klatce piersiowej. Spodobały się jej zwłaszcza owłosione piersi, odróżniające Rudolfa od modeli z czasopism, których depilowano, golono i smarowano olejkami tak starannie, że nie można było poznać, czy są mężczyznami.

- Co u ciebie? - zapytał.

- Lepiej nie pytaj. Musisz jedynie wiedzieć, że potrzebuję kuracji seksualnej.

Rudolfo zaczął od pleców, uciskając głęboko, wygładzając wszystkie zgrubienia w jej mięśniach. Potem delikatnie ugniatał kark Aspinelli, po czym odwrócił ją na plecy i lekko masował piersi i brzuch. Gdy zaczął pieścić jej wzgórek łonowy, była już mokra.

- Dlaczego inni mężczyźni nie potrafią mi tego robić? - zapytała z ciężkim ekstatycznym westchnieniem.

Rudolfo miał właśnie rozpocząć dodatkową część usługi, masaż językiem, który wykonywał wprawnie i z niezwykłym wigorem. Był pod wrażeniem jej pytania, mimo że słyszał je już wiele razy. Zawsze go zdumiewało. Wydawało mu się, że miasto jest rozsadzane przez seksualnie nienasycone kobiety.

- Dla mnie też stanowi to zagadkę. A jak ty myślisz?

Aspinella nie znośła, gdy wyrывał ją z erotycznego snu na jawie, ale zorientowała się, że Rudolfo potrzebuje odpężającej rozmowy przed wielkim finałem.

- Mężczyźni są słabi - odparła. - To my podejmujemy wszystkie istotne decyzje. Kiedy zawrzeć małżeństwo. Kiedy mieć dzieci. Ściągamy im cugle i czynimy odpowiedzialnymi za to, co robią.

Rudolfo uśmiechnął się kurtuazyjnie i zapytał:

- Ale co to ma wspólnego z seksem?

Aspinella chciała, żeby z powrotem wziął się do roboty.

- Nie wiem. To tylko teoria.

Rudolfo znowu zaczął ją masować - powoli, sumiennie i rytmicznie. Wydawało się, że ma niespożyte siły. I za każdym razem gdy doprowadzał ją do wyżyn rozkoszy, wyobrażała sobie straszliwe głębie bólu, który jutrzejszego wieczoru zada Astorre Violi i bandzie jego zbirów.

Viola Macaroni Company mieściła się na Manhattanie, w dużym murowanym magazynie na Lower East Side. Pracowało tam ponad sto osób, wyładowujących ogromne jutowe worki importowanego włoskiego makaronu na przenośnik taśmowy, który je potem automatycznie sortował i pakował w skrzynie.

Rok wcześniej Astorre, zainspirowany artykułem o tym, jak małe firmy usprawniają swoje działania, który przeczytał w jakimś periodyku, zatrudnił konsultanta prosto z wydziału zarządzania Uniwersytetu Harvarda. Chciał, by zalecił on jakieś zmiany. Młody człowiek kazał mu podwoić ceny, zmienić nazwę makaronów na Uncle Vito's Homemade Pasta i zwolnić pięćdziesiąt procent pracowników, których za połowę ceny można było zastąpić dorywczą siłą roboczą. Po tej propozycji Astorre zwolnił konsultanta.

Jego biuro znajdowało się na poziomie głównym, który rozmiarami zbliżony był do boiska piłkarskiego i zastawiony po obu stronach lśniącymi maszynami ze stali nierdzewnej. Tył magazynu wychodził na rampę załadowniczą. Przed wejściami i wewnątrz fabryki zostały umieszczone kamery, żeby Astorre mógł obserwować gości i nadzorować produkcję ze swego biura. Normalnie firmę zamykano o szóstej po południu, ale na ten wieczór Astorre zatrzymał pięciu najwyższej wykwalifikowanych pracowników oraz Aldo Monzę. Czekał.

Poprzedniego dnia, gdy w mieszkaniu Nicole wyjawiał jej swój plan, gwałtownie pokręciła

głową i stanowczo się sprzeciwiła.

- Po pierwsze, to się nie uda. A po drugie, nie chcę być współsprawczynią morderstwa.

- Oni zabili twoją asystentkę i próbowali cię porwać - spokojnie zauważył Astorre. - Jeżeli nie zacznę działać, wszystkim nam to grozi. - Nicole pomyślała o Helene, potem zaś przypomniała sobie swoje liczne kolacyjne spory z ojcem, który z pewnością szukałby zemsty. Powiedziałaby, że winna jest to pamięci swojej przyjaciółki i przypomniał, iż przedsięwzięcie środków ostrożności, by chronić rodzinę, to rzecz konieczna i uzasadniona.

- Może zwrócimy się do władz? - zapytała.

Odpowiedź Astorre była krótka:

- Na to jest już za późno.

Teraz siedział w swoim biurze jak żywa przynęta. Dzięki Grazielli wiedział, że Portella i Tulippa przyjechali do Nowego Jorku na spotkanie członków syndykatu. Nie mógł mieć pewności, iż poufna informacja przekazana konsulowi przez Nicole zmusi ich do odwiedzin, ale liczył na to, że podejmą ostatnią próbę przekonania go, by przekazał banki, zanim uciekną się do przemocy. Zakładał, że sprawdzą, czy ma broń, więc uzbroił się jedynie w sztylet, który umieścił w specjalnej kieszeni w rękawie koszuli.

Obserwował właśnie monitor, gdy zobaczył sześciu mężczyzn wchodzących na tyły budynku od strony rampy załadowniczej. Wcześniej polecił swoim ludziom, żeby się ukryli i nie atakowali, dopóki nie da im sygnału.

Pilnie wpatrywał się w ekran i rozpoznał wśród szóstki intruzów Portellę i Tulippę. Gdy zniknęli z pola widzenia kamer, usłyszał odgłos zbliżających się kroków. Jeżeli już zdecydowali się go zabić, Monza i jego ekipa byli w pogotowiu i mogli go uratować.

Potem jednak Portella zawołał do niego.

Astorre nie odpowiedział.

Po niespełna paru sekundach gangsterzy zatrzymali się w drzwiach.

- Wejdźcie - rzekł Viola z serdecznym uśmiechem i wstał, by uścisnąć im ręce. - Cóż za niespodzianka. Nieczęsto miewam gości o tej porze. Mogę coś dla was zrobić?

- Owszem. Wydajemy kolację dla wielu osób i zabrakło nam makaronu - zażartował Portella.

Astorre rozłożył szeroko ręce i wielkodusznie stwierdził:

- Mój makaron jest do waszej dyspozycji.

- A twoje banki? - zapytał złowieszczo Tulippa.

Astorre był przygotowany na to pytanie.

- Czas, byśmy porozmawiali poważnie i ubili interes. Ale najpierw chciałbym was oprowadzić po fabryce. Jestem z niej bardzo dumny.

Tulippa i Portella wymienili zakłopotane spojrzenia. Nie chcieli ryzykować.

- W porządku, ale załatwmy to szybko - powiedział Tulippa, zastanawiając się, jak taki błazen zdołał przetrwać tak długo.

Astorre zaprowadził ich do hali. Czterech mężczyzn, którzy towarzyszyli Tulippie i Portelli, stało nieopodal. Astorre powitał ich serdecznie, ściskając każdemu dłoń i komplementując ubiór. Jego ludzie obserwowali go z uwagą, w oczekiwaniu na rozkaz ataku. Monza umieścił trzech snajperów na półpiętrze; byli w ukryciu. Pozostali rozlokowali się przy przeciwległych ścianach magazynu.

Mijały długie minuty, a Astorre nadal prowadził swych gości przez magazyn. W końcu Portella zauważył:

- Wyraźnie widać, że właśnie to cię rajcuje. Może więc pozwolisz nam kierować swoimi bankami? Złożymy ci jeszcze jedną ofertę i zapewnimy udział w zyskach.

Astorre miał już dać swoim ludziom sygnał do otwarcia ognia, gdy nagle usłyszał terkot wystrzałów i ujrzał, jak trzech z nich spadają z półpiętra i lądują sześć metrów niżej, na betonowej posadzce. Szybko skoczył za wielką pakowarkę i omiół wzrokiem magazyn szukając Monzy.

Stamtąd zobaczył, jak czarnoskóra kobieta z zieloną opaską na oku podbiega do jego gości i chwyta Portellę za kark. Dźgnęła go karabinem w sterczący brzuch, po czym wyciągnęła rewolwer i rzuciła karabin na ziemię.

- W porządku - powiedziała. - Rzućcie broń. Natychmiast. - Gdy żaden się nie ruszył, bez wahania odwróciła mafiosa i wpakowała mu dwie kule w brzuch. Kiedy zgiął się wpół, trzasnęła go rewolwerem w głowę i kopnęła w zęby.

Potem chwyciła Tulippę i dodała:

- Będziesz następny, chyba że wszyscy zrobią to, co każę. Oko za oko, sukinsynu.

Portella wiedział, że bez pomocy lekarskiej przeżyje jeszcze tylko parę minut. Zaczynał już tracić zdolność widzenia. Leżał rozwalony na posadzce, ciężko dysząc, jego kwiecista koszula przesiąkała krwią. Miał odrętwiałe usta.

- Róbcie, co mówi - wystękał słabo.

Jego ludzie usłuchali rozkazu.

Zawsze słyszał, że otrzymanie postrzału w brzuch to najboleśniejszy sposób umierania. Teraz wiedział dlaczego. Za każdym razem, gdy robił głęboki wdech, czuł, jakby wbijano mu nóż w serce. Stracił panowanie nad pęcherzem, mocz pozostawił ciemną plamę na jego nowych niebieskich spodniach. Próbował skupić wzrok na strzelającej, muskularnej Murzynce, której nie poznał. Starał się wypowiedzieć słowa „Kim jesteś?”, ale zaparło mu dech. Jego ostatnia myśl była dziwnie sentymentalna: zastanawiał się, kto powie jego bratu, że on nie żyje.

Astorre potrzebował tylko chwili, by uświadomić sobie, co się stało. Detektyw Aspinellę Washington widział dotąd tylko na zdjęciach w gazetach i w wiadomościach telewizyjnych. Wiedział jednak, że jeżeli odkryła prawdę o nim, to najpierw musiała dotrzeć do Heskowa. I tamten zapewne już nie żył. Astorre nie żałował chytrego kasjera mafii. Heskow miał wielką wadę - był człowiekiem, który powiedziałby i uczynił wszystko, żeby przeżyć. Dobrze się

stało, że wacha teraz swoje kwiaty od spodu.

Tulippa nie miał pojęcia, dlaczego ta wściekła suka przystawia mu broń do karku. Sprawę ochrony powierzył Portelli, a swoim wiernym ochroniarzom dał wolny wieczór. Głupi błąd. Nigdy nie wiadomo, skąd nadejdzie kolejna fala przemocy.

Gdy Aspinella wciskała lufę rewolweru głęboko w jego ciało, Tulippa obiecał sobie, że jeżeli ujdzie z życiem i zdoła powrócić do Ameryki Południowej, przyspieszy prace nad tworzeniem swego arsenału nuklearnego. Osobiście zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby wysadzić w powietrze możliwie największą część Stanów Zjednoczonych, a zwłaszcza Waszyngton, arogancką stolicę leniwych zbirów w miękkich fotelach, oraz Nowy Jork, gdzie najwyraźniej płodzono takich szaleńców, jak ta jednooka suka.

- W porządku. Zaproponowałeś nam pół miliona za załatwienie tego gościa - powiedziała Aspinella do Tulippy i wskazała na Violę. - Z przyjemnością przyjąłabym tę robotę, ale od czasu wypadku musiałam podwoić moją stawkę. Z jednym okiem muszę się dwa razy bardziej koncentrować.

Kurt Cilke obserwował magazyn przez cały dzień. Siedząc w błękitnym chevrolecie jedynie z paczką gumy do żucia i egzemplarzem „Newsweeka” czekał, aż Astorre wykona swój ruch.

Przyjechał sam, nie chcąc mieszać innych agentów FBI w coś, co, jak sądził, mogło położyć kres jego karierze. Gdy zobaczył, że Portella i Tulippa wchodzi do budynku, poczuł rosnącą irytację. Uświadomił sobie również, jakim przebiegłym przeciwnikiem jest Astorre. Gdyby, co podejrzewał, Portella i Tulippa zaatakowali Violę, on miałby obowiązek go chronić. Astorre byłby wolny i oczyściłby swe imię, nie przerywając milczenia. A on zniweczyłby dorobek wielu lat ciężkiej pracy.

Kiedy jednak ujrzał Aspinellę Washington, wpadającą niczym burza do budynku z karabinem używanym przez wojska desantowe, poczuł coś innego - zimny strach. Słyszał o roli, jaką odegrała w strzelaninie na lotnisku. Wydało mu się to podejrzane. Było po prostu niewiarygodne.

Sprawdził naboje w swoim rewolwerze i poczuł słabą nadzieję, że będzie mógł liczyć na jego wsparcie. Zanim wysiadł z samochodu, uznał, że czas poinformować Biuro. Wybrał numer Boxtona.

- Jestem przed magazynem Astorre Violi - powiedział i wtedy usłyszał szybkie strzały. - Wchodzę do środka i jeżeli coś pójdzie nie tak jak trzeba, masz powiedzieć dyrektorowi, że działałem na własną rękę. Nagrywasz tę rozmowę?

Boxton zawahał się, niepewny czy Cilke będzie z tego zadowolony. Odkąd jednak jego szef stał się celem gangsterów, wszystkie jego rozmowy telefoniczne były kontrolowane.

- Tak - odparł.

- To dobrze. Oświadczam, że ani ty, ani nikt inny w FBI nie jest odpowiedzialny za to, co mam zamiar teraz zrobić. Wkraczam w konflikt z udziałem trzech domniemych szefów

gangów oraz jednej wiarołomnej policjantki, która jest potężnie uzbrojona...

- Kurt, zaczekaj na wsparcie - przerwał mu Boxtton.

- Nie ma na to czasu. A poza tym, ja zrobiłem ten bałagan i ja go uprzątnę. - Cilke zastanawiał się, czy nie zostawić wiadomości dla Georgette, ale uznał, że byłoby to oznaką chorobliwego pobłażania własnej słabości. Lepiej pozwolić, by jego czyny mówiły za siebie. Rozłączył się, nie mówiąc nic więcej. Gdy wyszedł z samochodu, zauważył, że parkuje w niedozwolonym miejscu.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, gdy znalazł się w magazynie, był rewolwer Aspinelli wbity w kark Tulippy. W hali panowało milczenie. Nikt się nie poruszył.

- Jestem funkcjonariuszem FBI - oznajmił Cilke i uniósł rewolwer. - Połóżcie broń na ziemię.

Aspinella odwróciła się do Cilkego i powiedziała drwiąco:

- Wiem, kim, kurwa, jesteś. To moi aresztanci. Idź zgarnąć jakiś księgowych lub maklerów giełdowych albo zrobić to, na co wy, cioty w garniturach, trwonicie czas. To sprawa nowojorskiej policji.

- Rzuć broń - rzekł spokojnie Cilke. - Jeżeli tego nie zrobisz, w razie potrzeby użyję siły. Mam powody sądzić, że uczestniczysz w przestępczym spisku.

Aspinella nie wzięła tego pod uwagę. Z wyrazu oczu Cilkego i pewności, z jaką mówił, wywnioskowała, że się nie wycofa. Sama nie zamierzała jednak rezygnować, dopóki miała w ręce rewolwer. Cilke prawdopodobnie od lat do nikogo nie strzelał, pomyślała.

- Wydaje ci się, że uczestniczę w spisku?! - krzyknęła. - A mnie się wydaje, że to ty w nim uczestniczysz. Sądzę, że od lat bierzesz łapówki od tego gnoja. - Znowu szturchnęła Tulippę lufą rewolweru. - Zgadza się, *señor*?

Początkowo Tulippa milczał, ale gdy Aspinella uderzyła go kolanem w krocze, zgiął się i skinął głową.

- Ile? - zapytała.

- Ponad milion dolarów - wysapał Tulippa.

Cilke opanował wściekłość i rzekł:

- FBI wiedziało o każdym dolarze, jaki przelali na moje konto. To dochodzenie władz federalnych, detektywie Washington. - Wziął głęboki oddech, odliczając w myślach, po czym dodał: - Ostrzegam po raz ostatni. Odłóż broń, bo strzelę.

Astorre spokojnie ich obserwował. Aldo Monza stał niezauważony za następną z maszyn. Astorre dostrzegł skurcz na twarzy policjantki. Potem, jak gdyby działa się to w zwolnionym tempie, zobaczył, że Washington chowa się za Tulippę i strzela do Cilkego. Jednak gdy tylko padł strzał, Tulippa wyrwał się jej i rzucił na ziemię, sprawiając, że straciła równowagę.

Cilke dostał w klatkę piersiową, ale zdążył raz strzelić i zobaczył, jak policjantka zatoczyła się do tyłu; spod jej prawego ramienia trysnęła krew. Żadne z nich nie strzelało, żeby zabić. Do samego końca przestrzegali wyuczonych zasad, celując w najsłabsze części

ciała. Ale gdy Aspinella poczuła palący ból i spostrzegła ranę od kuli, zrozumiała, że czas zapomnieć o procedurze. Wymierzyła między oczy agenta. Strzeliła cztery razy. Każda kula trafiła do celu i w końcu nos Cilkego zmienił się w spłaszczoną miazgę; widać było kawałki mózgu rozbryznięte na tym, co zostało z jego czoła.

Tulippa spostrzegł, że Aspinella jest ranna i siania się na nogach. Przytrzymał ją i uderzył łokciem w twarz, pozbawiając przytomności. Zanim jednak udało mu się chwycić jej rewolwer, Astorre wyszedł zza maszyny i kopnął broń na drugą stronę hali. Potem stanął nad gangsterem i szarmancko podał mu rękę.

Tulippa chwycił ją i Astorre podciągnął go na nogi. Tymczasem Monza i pozostali przy życiu członkowie jego zespołu otoczyli resztę ludzi Portelli i przywiązali ich do stalowych słupów magazynu. Nikt nie ruszał Cilkego ani nieprzytomnego mafiosa.

- Sądzę, że mamy do załatwienia pewną sprawę - rzekł Astorre.

Tulippa był zaintrygowany. Viola stanowił zlepek sprzeczności - życzliwy przeciwnik, śpiewający zabójca. Czy można było stawiać na tak niepewną kartę?

Astorre przeszedł na środek magazynu i dał znak Tulippie, by podążył za nim. Gdy dotarł do otwartej przestrzeni, zatrzymał się i odwrócił twarzą do Latynosa.

- Zabiłeś mojego stryja i próbowałeś zawładnąć naszymi bankami. Nie powinienem nawet marnować czasu na rozmowę z tobą - powiedział, wyciągnął sztylet o srebrnym lśniącem ostrzu i pokazał go gangsterowi. - Powinienem po prostu poderżnąć ci gardło i skończyć z tym. Ale ty jesteś słaby, a zaszlachtowanie bezbronnego starca nie przynosi chwały. Dam ci więc szansę walki.

Z tymi słowami i niemal niedostrzegalnym skinieniem głową w kierunku Monzy Astorre uniósł obie ręce, jakby w geście kapitulacji, upuścił nóż i cofnął się o kilka kroków. Tulippa był starszy i grubszy od niego, ale w swym życiu wytoczył rzeki krwi. Niezwykle wprawnie władał nożem. Mimo to nie dorównywał Violi.

Podniósł sztylet i zaczął się zbliżać do Astorre.

- Jesteś głupi i lekkomyślny - powiedział. - Byłem gotów przyjąć cię na wspólnika. - Rzucił się kilka razy na Violę, ale ten był szybszy i unikał ciosów. Gdy zatrzymał się na chwilę, żeby złapać oddech, Astorre Viola zdjął z szyi złoty medalion i cisnął go na ziemię, odsłaniając szkarłatną bliznę.

- Chcę, żeby to była ostatnia rzecz, jaką zobaczysz przed śmiercią.

Tulippa był sparaliżowany widokiem szramy w odcieniu szkarłatu, jakiego nigdy jeszcze nie widział. Zanim zdążył się zorientować, Astorre wytrącił nogą sztylet z jego ręki i z błyskawiczną precyzją uderzył kolanem w plecy, chwycił za szyję i skrzył kark. Wszyscy usłyszeli trzask.

Nie zatrzymując się nawet, by spojrzeć na swoją ofiarę, podniósł łańcuch, zawiesił go sobie z powrotem na szyi i wyszedł z budynku.

Pięć minut później przed siedzibę Viola Macaroni Company zajechała grupa radiowozów

FBI. Jeszcze żywą Aspinellę Washington zabrano na szpitalny oddział intensywnej terapii.

Gdy funkcjonariusze FBI zakończyli przeglądanie taśmy wideo z niemym obrazem, zarejestrowanym przez kamery uruchomione przez Monzę, doszli do wniosku, że Astorre, który podniósł ręce i upuścił nóż, działał w samoobronie.

Epilog

Nicole z trzaskiem odłożyła słuchawkę telefonu i zawołała do swojej sekretarki:

- Mam dosyć wysłuchiwania, jak słaby jest ten cholerny eurodolar. Sprawdź, czy uda ci się namierzyć pana Pryora. Prawdopodobnie jest przy dziewiątym dołku jakiegoś pola golfowego.

Minęły dwa lata i Nicole przejęła obowiązki dyrektora banków rodziny Aprile. Gdy Pryor był gotów odejść na emeryturę, stwierdził, że ona najlepiej nadaje się na to stanowisko. Była osobą wprawioną w walce z korporacjami, która nie ugięłaby się pod naciskiem nadzoru bankowego i wymagających klientów.

Tego dnia Nicole nerwowo próbowała zrobić porządek na swoim biurku. Wieczorem wraz z braćmi miała polecieć na Sycylię na rodzinną uroczystość u Astorre. Przed wyjazdem musiała się jednak zająć Aspinellą Washington, która czekała na odpowiedź, czy Nicole będzie ją reprezentować w odwołaniu od wyroku śmierci. Myśl o tym przepełniła ją przerażeniem i to nie tylko dlatego, że pracowała teraz na pełnym etacie.

Początkowo, gdy zaproponowała, że pokieruje bankami, Astorre wahał się, pamiętając ostatnie życzenie stryja. Pryor przekonał go jednak, że Nicole jest nieodrodną córką swego ojca. Ilekroć zbliżał się termin spłaty dużej pożyczki, bank mógł liczyć na to, że Nicole przekonująco połączy pochlebstwa z zawołowanym zastraszaniem dłużnika. Potrafiła być skuteczna.

Zabrzączał wewnętrzny telefon i Pryor powitał ją w typowy dla niego wytworny sposób:

- Co mogę dla ciebie zrobić, moja droga?
- Te kursy walut są dla nas zabójcze. Co pan sądzi o tym, by kupić większą ilość niemieckich marek?
- Sądzę, że to doskonały pomysł.
- Cały ten handel walutami jest prawie tak samo logiczny jak wyjazd do Vegas i całodzienna gra w bakarata.

Pryor roześmiał się.

- Może to i prawda, ale straty w tej grze nie są gwarantowane przez Bank Rezerw Federalnych.

Gdy Nicole się rozłączyła, przez chwilę siedziała i rozmyślała o rozwoju banku. Od czasu objęcia swej funkcji nabyła sześć następnych banków w szybko rozwijających się krajach i podwoiła zyski spółki. Ale jeszcze bardziej cieszył ją fakt, że bank zapewniał większe pożyczki nowym firmom w rozwijających się częściach świata.

Uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie pierwszego dnia swojej pracy.

Gdy tylko nadeszła partia nowego papieru firmowego, Nicole napisała list do peruwiańskiego ministra finansów z żądaniem spłaty wszystkich zaległych pożyczek rządowych. Jak się spodziewała, wywołało to kryzys gospodarczy w Peru, który skończył się politycznym zamieszaniem i zmianą rządu. Nowa partia rządząca zażądała rezygnacji konsula generalnego Peru w Stanach Zjednoczonych Marriano Rubia.

Parę miesięcy później Nicole z ogromną przyjemnością dowiedziała się z gazet, że Rubio ogłosił bankructwo. Był również uwikłany w serię skomplikowanych procesów sądowych, wszczętych przeciwko niemu przez peruwiańskich inwestorów, którzy sfinansowali jedno z wielu jego przedsięwzięć - niedochodowy park rozrywki. Rubio zarzekał się, że stanie się on „latynskim Disneylandem”, ale zdołał zwabić tam jedynie właścicieli diabelskiego młyna i firmę Taco Bell.

Sprawa, którą brukowce nazwały „makaronową masakrą”, stała się znana na całym świecie. Gdy tylko Aspinella Washington wyleczyła ranę postrzałową - przebite płuco - udzieliła szeregu wypowiedzi środkom masowego przekazu. Czekaając na proces, przedstawiła się jako męczennica pokroju Joanny d’Arc. Pozwała FBI do sądu za usiłowanie zabójstwa, zniesławienie i naruszenie jej praw obywatelskich. Procesowała się również z policją nowojorską o wynagrodzenie należne za okres zawieszenia w obowiązkach służbowych.

Mimo jej protestów ława przysięgłych potrzebowała jedynie trzech godzin obrad, by uznać ją za winną. Gdy ogłoszono wyrok, Aspinella zwolniła swoich adwokatów i zwróciła się do Kampanii Przeciwko Karze Śmierci z prośbą o reprezentowanie w sądzie. Ponownie demonstrując umiejętność zdobywania rozgłosu zażądała, by jej sprawę wzięła Nicole Aprile. Z celi śmierci powiedziała prasie:

- Wpakował mnie w to jej kuzyn, to niech ona mnie teraz wyciągnie.

Z początku Nicole nie chciała się z nią spotkać, tłumacząc, że każdy dobry prawnik odmówiłby z uwagi na oczywisty konflikt interesów. Lecz Aspinella oskarżyła ją o rasizm, a Nicole - nie chcąc ściągnąć na siebie niechęci pożyczkobiorców należących do mniejszości - zgodziła się z nią zobaczyć.

W dniu widzenia musiała czekać dwadzieścia minut. W tym czasie Aspinella witała się z małą delegacją cudzoziemskich dygnitarzy. Okrzyknęli ją dzielną bojowniczką o nowelizację barbarzyńskiego kodeksu karnego Stanów Zjednoczonych. W końcu dała Nicole znak, żeby podeszła do szyby. Od pewnego czasu nosiła na oku żółtą opaskę z wyhaftowanym słowem WOLNOŚĆ.

Nicole zaczęła wyłuszczać wszystkie powody, z racji których chciała odrzucić tę sprawę. Na zakończenie zauważyła, że reprezentowała Astorre, gdy zeznawał przeciwko niej.

Aspinella słuchała uważnie, kręcąc świeżo zaplecione rastafariańskie warkoczyki.

- Rozumiem panią - powiedziała - ale nie wie pani o wielu rzeczach. Astorre miał rację: jestem winna przestępstw, za które zostałam skazana, i przez resztę życia będę za nie pokutować. Ale proszę, niech mi pani pomoże żyć wystarczająco długo, bym zaczęła naprawiać wszystkie szkody, które mogę naprawić.

Z początku Nicole sądziła, że to po prostu jeszcze jeden bluff Aspinelli, w celu zyskania współczucia, ale w głosie policjantki było coś, co ją wzruszyło. Nadal uważała, iż żadna ludzka istota nie ma prawa skazywać drugiej na śmierć. Nadal wierzyła w odkupienie. Czuła, że Aspinella zasługuje na obronę tak samo, jak każdy więzień z celi śmierci. Chciała jedynie uniknąć konieczności zajmowania się tą sprawą.

Wiedziała, że zanim podejmie ostateczną decyzję, musi stanąć przed jeszcze jedną osobą.

Po pogrzebie, na którym Cilke został pochowany jak bohater, Georgette poprosiła o spotkanie z dyrektorem. Eskorta z FBI odebrała ją z lotniska i zawiozła do kwatery głównej Biura.

Gdy weszła do jego gabinetu, dyrektor wziął ją w objęcia i obiecał, że Biuro uczyni wszystko co niezbędne, by pomóc jej oraz jej córce poradzić sobie z bolesną stratą.

- Dziękuję - odparła. - Ale nie dlatego przyjechałam. Muszę wiedzieć, dlaczego mój mąż zginął.

Dyrektor wahał się przez chwilę. Wiedział, że słyszała krążące pogłoski. Owe pogłoski mogły zagrozić wizerunkowi Biura. Musiał ją uspokoić. W końcu rzekł:

- Z zażenowaniem przyznaję, że musieliśmy nawet wszcząć śledztwo. Pani mąż był wzorem tego, czym powinien być funkcjonariusz FBI. Był oddany swej pracy i ściśle przestrzegał prawa. Wiem, że nigdy w niczym nie naraziłby na szwank Biura ani swojej rodziny.

- Więc dlaczego poszedł do tego magazynu sam? I jakie stosunki łączyły go z Portellą?

Dyrektor przeszedł do argumentów, które przeciwiczył ze swoimi pracownikami przed spotkaniem.

- Pani mąż był wspaniałym śledczym. Zyskał sobie szacunek przełożonych i swobodę stosowania własnych metod. Nie wierzymy, by kiedykolwiek wziął łapówkę lub naruszył granice prawa wobec Portelli czy kogokolwiek innego. Jego wyniki są tego wymownym świadectwem. Jest człowiekiem, który rozbił mafię.

Gdy Georgette wyszła z gabinetu dyrektora, zdała sobie sprawę, że mu nie wierzy. Wiedziała, że chcąc znaleźć ukojenie, będzie musiała uwierzyć w prawdę, którą czuła w sercu: że jej mąż, mimo swej gorliwości w zwalczaniu przestępców, był najlepszym człowiekiem, jakiego знаła.

Po śmierci męża Georgette Cilke nadal pracowała jako wolontariusz w nowojorskiej siedzibie Kampanii Przeciwko Karze Śmierci, lecz Nicole nie widziała jej od czasu ich pamiętnej rozmowy. Poinformowała, że z uwagi na swoje nowe obowiązki w banku jest zbyt zajęta, by pracować w Kampanii. W rzeczywistości nie mogłaby znieść konfrontacji z Georgette.

Kiedy jednak weszła do środka, Georgette powitała ją serdecznym uściskiem.

- Stęskniłam się za tobą - powiedziała.

- Przepraszam, że się nie kontaktowałam. Próbowałam napisać list kondolencyjny, ale nie umiałam znaleźć odpowiednich słów.

Georgette pokiwała głową.

- Rozumiem.

- Nie - powiedziała Nicole ze ściśniętym gardłem - nie rozumiesz. Ponoszę część winy za to, co stało się twemu mężowi. Gdybym nie rozmawiała z tobą tamtego popołudnia...

- To i tak by do tego doszło - wtrąciła Georgette. - Gdyby to nie był twój kuzyn, byłby ktoś inny. Prędzej czy później coś takiego musiało się stać. I Kurt, i ja wiedzieliśmy o tym. - Wahala się przez chwilę, po czym dodała: - Teraz najważniejsze jest to, że pamiętamy o jego dobroci. Więc nie mówmy już więcej o przeszłości. Jestem pewna, że wszyscy czegoś żałujemy.

Nicole chciałaby, żeby to było takie proste. Odetchnęła głęboko.

- To jeszcze nie wszystko. Aspinella Washington chce, żebym ją reprezentowała.

Choć Georgette starała się to ukryć, Nicole spostrzegła, jak krzywi się na wspomnienie policjantki. Żona Cilkego nie była kobietą religijną, ale w tym momencie miała pewność, że Bóg sprawdza siłę jej przekonań.

- W porządku - odparła zagryzając wargę.

- W porządku? - zdziwiła się Nicole. Miała nadzieję, że Georgette zaprotestuje, zabroni jej, a ona będzie mogła odmówić Aspinelli przez lojalność wobec przyjaciółki. Nicole słyszała, jak jej ojciec mówi: „Taka lojalność przyniosłaby zaszczyt”.

- Tak - rzekła Georgette zamykając oczy. - Powinnaś jej bronić.

Nicole była zdumiona.

- Nie muszę tego robić. Wszyscy rozumieją.

- To byłaby hipokryzja. Życie jest święte albo nie jest. Nie możemy korygować tego, w co wierzymy, tylko dlatego, że sprawia nam ból.

Georgette umilkła i wyciągnęła rękę, żeby się pożegnać. Tym razem obyło się bez uścisku.

Po całodziennym odtwarzaniu tej rozmowy w swoich myślach Nicole w końcu zadzwoniła do Aspinelli i niechętnie przyjęła jej sprawę. Za godzinę miała wyruszyć na Sycylię.

W następnym tygodniu Georgette przesłała koordynatorowi Kampanii Przeciwko Karze

Śmierci list. Napisała w nim, że przenosi się wraz z córką do innego miasta, żeby rozpocząć nowe życie, i życzy wszystkim powodzenia. Adresu kontaktowego nie zostawiła.

Astorre dotrzymał przyrzeczenia, złożonego don Aprilemu, że uratuje banki i zapewni pomyślność jego dzieciom. Pomścił śmierć stryja i przyniósł zaszczyt nazwisku Zeno. W swoim mniemaniu był teraz wolny od wszelkich zobowiązań.

Tydzień po uwolnieniu od odpowiedzialności za morderstwa w magazynie spotkał się w swoim biurze z Craxxim oraz Octaviusem Bianco i powiedział im o swym pragnieniu powrotu na Sycylię. Wyjaśnił, że tęskni za sycylijską ziemią, że jej obraz od wielu lat wkradał się do jego marzeń. Miał wiele radosnych wspomnień z dzieciństwa w Villa Grazia, wiejskim schronieniu don Aprilego, i zawsze liczył, że tam wróci. Było to życie prostsze, ale pod wieloma względami bogatsze.

I właśnie wtedy Bianco powiedział:

- Nie musisz wracać do Villa Grazia. Na Sycylii jest rozległa posiadłość, która należy do ciebie. Całe miasteczko Castellammare del Golfo.

- Jak to możliwe? - zapytał Astorre.

Benito Craxxi opowiedział mu o dniu, w którym wielki mafijny boss don Zeno na łożu śmierci wezwał do siebie trzech swoich przyjaciół.

- Jesteś jego młodym wcieleniem. I jedynym żyjącym spadkobiercą. Miasteczko zapisał ci w testamencie twój rodzony ojciec.

- Gdy don Aprile zabrał cię do Ameryki, don Zeno zapewnił wszystkim mieszkańcom byt do czasu, aż przyjedziesz, by zgłosić do niego roszczenia. Po śmierci twojego ojca, zgodnie z jego życzeniem, zapewnił miasteczku ochronę. Gdy rolnicy ucierpieli wskutek nieurodzaju, oferowaliśmy środki na zakup owoców i ziarna siewnego, wyciągnęliśmy pomocną dłoń - dodał Bianco.

- Czemu nie powiedzieliście mi o tym wcześniej?

- Don Aprile zobowiązał nas pod przysięgą do zachowania tajemnicy - odparł Bianco. - Twój ojciec pragnął twojego bezpieczeństwa, a don Aprile chciał, byś stanowił część jego rodziny. Byłeś mu również potrzebny do ochrony jego dzieci. Prawdę powiedziawszy, miałeś dwóch ojców. Szczęściarz z ciebie.

Astorre wylądował na Sycylii w piękny słoneczny dzień. Dwaj ochroniarze Michaela Grazzielli powitali go na lotnisku i zaprowadzili do ciemnoniebieskiego mercedesa.

Gdy jechali ulicami Palermo, podziwiał piękno miasta; dzięki marmurowym kolumnom i ozdobnym rzeźbom mitycznych postaci niektóre budynki przypominały greckie świątynie, a inne - hiszpańskie katedry z postaciami świętych i aniołów, wyrytymi głęboko w szarym kamieniu. Podróż skalistą wąską drogą z Palermo do Castellammare del Golfo trwała dwie godziny. Dla Astorre jak zwykle najbardziej imponującą rzeczą na Sycylii było piękno

krajobrazu, z zapierającym dech w piersiach widokiem Morza Śródziemnego.

Miasteczko, usytuowane w głębokiej, otoczonej górami dolinie, tworzyło labirynt wybrukowanych kocimi łbami uliczek, biegnących między piętrowymi, pokrytymi stiukiem domami. Astorre zauważył kilkoro ludzi zerkających przez szpary w pomalowanych na biało okiennicach, zamkniętych w ochronie przed upalnym południowym słońcem.

Powitał go burmistrz, niski mężczyzna w szarych workowatych spodniach, podtrzymywanych czarnymi szelkami, który przedstawił się jako Leo DiMarco i uklonił z szacunkiem.

- Witamy, *Il padrone*.

Astorre, skrzepowany, uśmiechnął się i zapytał w sycylijskim dialekcie:

- Mógłby mnie pan oprowadzić po miasteczku?

Minęli dwóch starszków grających w karty na drewnianych ławkach. Po przeciwnej stronie placu stał okazały kościół. I właśnie do tego kościoła, pod wezwaniem świętego Sebastiana, burmistrz zaprowadził najpierw swego gościa. Astorre, który nie modlił się od czasu zamordowania don Aprilego, uklęknął z pochyloną głową, by przyjąć błogosławieństwo ojca Del Vecchio, miejscowego proboszcza. Mahoniowe ławki miały ozdobne rzeźbienia, a w ciemnoniebieskich świecznikach tkwiły poświęcone świece wotywnie.

Potem burmistrz DiMarco zaprowadził go do małego domu, w którym Astorre miał się zatrzymać. Po drodze Astorre zauważył kilku *carabinieri*, czyli włoskich policjantów, opierających się o ściany budynków, z gotowymi do strzału karabinami.

- Gdy zapadnie zmrok, bezpieczniej jest zostać w miasteczku - wyjaśnił burmistrz. - Ale za dnia spacer po polach jest bardzo przyjemny.

Przez następnych parę dni Astorre odbywał długie spacery po okolicy przesyconej świeżą wonią sadów pomarańczowych i cytrynowych. Głównym jego celem były spotkania z mieszkańcami miasteczka i zwiedzanie starych kamiennych domów, budowanych jak rzymskie wille. Chciał znaleźć jeden, w którym mógłby zamieszkać na stałe.

Pod koniec trzeciego dnia wiedział, że będzie tam szczęśliwy. Zwykle ostrożni i poważni mieszkańcy miasteczka pozdrawiali go na ulicy, a gdy siedział w kawiarni na placu, dzieci i starcy nagabywali go żartobliwie.

Musiał jeszcze zrobić tylko dwie rzeczy.

Nazajutrz rano poprosił burmistrza, by wskazał mu drogę na miejscowy cmentarz.

- W jakim celu? - zapytał DiMarco.

- Chciałbym złożyć hołd moim rodzicom.

Burmistrz pokiwał głową i szybko zdjął ze ściany swego biura duży klucz z kutego żelaza.

- Jak dobrze znał pan mojego ojca?

DiMarco pośpiesznie zrobił znak krzyża na piersi.

- Któż nie znał don Zena? Przecież to jemu zawdzięczamy życie. Ratował nasze dzieci kosztownymi lekarstwami z Palermo. Chronił nasze miasteczko przed rabusiami i bandytami.

- Ale jaki był jako człowiek?

DiMarco wzruszył ramionami.

- Niewielu zostało ludzi, którzy powiedzą panu o nim. Stał się legendą, więc kto by tam chciał znać prawdziwego człowieka?

Ja, pomyślał Astorre.

Przeszli przez okoliczne pola i wspięli się na strome wzgórze; DiMarco przystawał od czasu do czasu, by złapać oddech. W końcu Astorre ujrzał cmentarz. Zamiast nagrobków stały na nim rzędy małych kamiennych budowli. Mauzolea, otoczone wysokim żeliwnym ogrodzeniem, z zamkniętą na klucz bramą. Napis ponad nią obwieszczał: ZA TYMI BRAMAMI WSZYSCY SĄ NIEWINNI.

Burmistrz otworzył bramę i zaprowadził Astorre do ojcowskiego mauzoleum z szarego marmuru, na którym wyryto epitafium VINCENZO ZENO - DOBRY I SZCZODRY CZŁOWIEK. Astorre wszedł do środka i uważnie obejrzał zdjęcie swego ojca na ołtarzu. Po raz pierwszy widział jego fotografię i był pod wrażeniem tego, jak znajomo wyglądała jego twarz.

Potem DiMarco zabrał go do innej małej budowli, usytuowanej kilka rzędów dalej. Była z białego marmuru, a jedyny ślad koloru stanowiły jasnoblękitne szaty Matki Boskiej, której postać wyrzeźbiono na łuku wejścia. Astorre wszedł do grobowca i uważnie obejrzał zdjęcie. Widoczna na nim dziewczyna miała niespełna dwadzieścia dwa lata. Jej duże zielone oczy i promienny uśmiech wzbudziły w nim sympatię.

- Gdy byłem dzieckiem, śniłem o kobiecie takiej jak ona, ale wydawało mi się, że to anioł - powiedział do burmistrza, gdy znalazł się na zewnątrz.

DiMarco pokiwał głową.

- Była piękną dziewczyną. Pamiętam ją z kościoła. I ma pan rację. Śpiewała niczym anioł.

Astorre jechał na oklep przez okolicę, zatrzymując się tylko po to, by zjeść świeży ser z koziego mleka i chleb z chrupiącą skórką, które zapakowała mu na podróż jedna z kobiet w miasteczku.

W końcu dotarł do Corleone. Nie mógł dłużej odkładać wizyty u Michaela Grazzielli. Był mu winien przynajmniej tę grzeczność.

Od ciągłego przebywania na polach miał opalone ciało i Grazziella, witając go z otwartymi ramionami i miazdzącym niedźwiedzim uściskiem, zauważył:

- Widzę, że sycylijskie słońce ci służy.

Astorre uderzył w stosowną nutę wdzięczności.

- Dziękuję ci za wszystko, a zwłaszcza za twoje poparcie.

Szli w stronę willi.

- Co cię sprowadza do Corleone?

- Chyba wiesz, dlaczego tu jestem.

Mafioso uśmiechnął się.

- Taki krzepki młodzieniec jak ty? Jasne, że wiem! I zaraz cię do niej zaprowadzę. Ta twoja Rosie jest radością dla oczu. Sprawia przyjemność wszystkim, których spotyka.

Znając seksualny apetyt Rosie, Astorre zastanawiał się przez chwilę, czy gospodarz próbuje mu coś zasugerować, szybko jednak się zreflektował. Graziella był zbyt przyzwoity, by powiedzieć coś takiego, i zbyt sycylijski, by dopuścić do takiej nieprzyzwoitości na swoich czujnych oczach.

Jej willa znajdowała się niedaleko. Gdy po kilku zaledwie minutach dotarli na miejsce, Graziella zawołał:

- Rosie, moja droga, masz gościa!

Rosie miała na sobie prostą wydekolowaną sukienkę w błękitnym kolorze. Blond włosy związała na karku. Bez makijażu wyglądała młodziej i niewinniej, niż ją pamiętał.

Gdy go ujrzała, przystanęła zaskoczona. Potem krzyknęła: - Astorre! - podbiegła doń, pocałowała i zaczęła z podnieceniem mówić:

- Nauczyłam się już biegle posługiwać sycylijskim dialektem. Poznałam też parę słynnych przepisów. Lubisz kluski ze szpinakiem?

Zabrał ją do Castellammare del Golfo i przez następny tydzień oprowadzał po miasteczku i okolicy. Codziennie pływali, całymi godzinami rozmawiali i kochali się ze swobodą, która przychodzi dopiero z czasem.

Astorre uważnie obserwował Rosie, by sprawdzić, czy nudzi się z nim lub niecierpliwi prostym życiem. Ale sprawiała wrażenie naprawdę spokojnej. Zastanawiał się, czy po wszystkim, co razem przeszli, może jej naprawdę ufać. Potem jednak zadał sobie pytanie, czy jest rzeczą rozsądną kochać kobietę tak bardzo, by darzyć ją całkowitym zaufaniem. Oboje musieli chronić swoje tajemnice - rzeczy, których on nie chciał pamiętać ani dzielić z innymi. Lecz Rosie znała go i nadal kochała. Ona dochowałaaby jego tajemnic, a on jej.

Tylko jedna rzecz nie dawała mu spokoju. Rosie miała słabość do pieniędzy i luksusowych podarunków. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek zadowolili ją to, co mógł jej zaproponować jeden mężczyzna. Musiał się tego dowiedzieć.

Ostatniego dnia spędzanego razem w Corleone aż do zmierzchu jeździli konno po okolicznych wzgórzach. Potem zatrzymali się w winnicy, gdzie zrywali winogrona i wkładali je sobie nawzajem do ust.

- Nie mogę uwierzyć, że jestem tu tak długo - powiedziała Rosie, gdy odpoczywali na trawie.

Jego zielone oczy jaśniały blaskiem.

- Sądzisz, że mogłabyś zostać trochę dłużej?

Rosie wyglądała na zaskoczoną.

- Co masz na myśli?

Astorre ukląkł na jedno kolano i wyciągnął rękę.

- Pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat - odparł ze szczerym uśmiechem. Na jego dłoni leżał skromny pierścionek z brązu. - Wyjdiesz za mnie?

Szukał w oczach Rosie oznak wahania, jakiegoś lekkiego rozczarowania jakością pierścionka, ale jej reakcja była natychmiastowa. Zarzuciła mu ręce na szyję i obsypała pocałunkami. Potem opadli na ziemię i sturlali się po zboczu wzgórza.

Miesiąc później brali ślub w jednym z gajów cytrusowych. Ceremonię odprawił ojciec Del Vecchio. Uczestniczyli w niej wszyscy mieszkańcy obu miasteczek. Wzgórze zostało usłane purpurowymi kwiatami wisterii, powietrze przepelniała woń cytryn i pomarańczy. Astorre był ubrany w biały chłopski garnitur, a Rosie miała na sobie różową jedwabną suknię.

Było prosię na rożnie, piekące się nad czerwonymi węglami, i ciepłe dojrzałe pomidory zebrane z pól. Były gorące bochny chleba i świeżo zrobiony ser. Wino domowej roboty lało się strumieniami.

Kiedy oboje złożyli przyrzeczenie i uroczystość dobiegła końca, Astorre śpiewał pannie młodej swoje ulubione serenady. Pito i tańczono tak zapamiętale, że wesele trwało aż do świtu.

Nazajutrz rano, gdy Rosie się zbudziła i wyszła przed dom, zobaczyła, że Astorre siodła konie.

- Pojedziesz ze mną? - zapytał.

Podróżowali cały dzień, dopóki Astorre nie znalazł tego, czego szukał - Villa Grazia.

- Ukryty raj mojego stryja. Tutaj spędziłem najszcześniejsze chwile dzieciństwa.

Wszedł do ogrodu za domem, prowadząc za sobą Rosie. I w końcu stanęli przed jego drzewem oliwnym, wyrosłym z pestek, które zasadził jako chłopiec. Było równie wysokie jak on, a pień dość gruby. Astorre wyjął z kieszeni ostry nóż i odciął jedną z gałęzi.

- Zasadzimy ją w naszym ogrodzie. Kiedy będziemy mieli dziecko, ono również będzie miało radosne wspomnienia.

Rok później świętowali narodziny swojego syna Raymonde Zeno. Gdy nadeszła pora chrztu, zaprosili rodzinę Astorre do kościoła Świętego Sebastiana.

Gdy ojciec Del Vecchio zakończył ceremonię, Valerius, jako najstarszy z dzieci don Aprilego, wznosił toast kieliszkiem wina:

- Życie wszyscy w zdrowiu i radości. I niech wasz syn dorasta z sycylijską namiętnością i amerykańskim romantyzmem w sercu.

Marcantonio uniósł swój kieliszek i dodał:

- A jeżeli kiedyś zechce wystąpić w komedii sytuacyjnej, to wiecie do kogo zadzwonić.

Teraz kiedy banki rodziny Aprile przynosiły tak duże zyski, Marcantonio ustanowił dwudziestomilionową linię kredytową, aby realizować własne filmy. Wraz z Valeriuszem pracowali nad scenariuszem opartym na aktach ich ojca z archiwum FBI. Nicole uważała, że to okropny pomysł, ale wszyscy zgodzili się, że ojcu spodobałby się zamiar uzyskania sporych pieniędzy za sfilmowanie legendy o jego przestępstwach.

- Domniemanych przestępstwach - dodała Nicole.

Astorre zastanawiał się, dlaczego ktokolwiek przywiązywał jeszcze do tego wagę. Wielcy donowie osiągnęli swoje cele i w elegancki sposób zasymilowali się w społeczeństwie, jak zawsze czynią najwytrawniejsi przestępcy. Nieliczni oszuści, którzy zostali poza jego nawiasem, stanowili marny zestaw tępych, podrzędnych kryminalistów i bezsilnych rzezimieszków. Dlaczego ktoś miałby sobie zawracać głowę zorganizowaną przestępczością, skoro znacznie łatwiej było kraść miliony, otwierając własną firmę i sprzedając jej akcje w ofercie publicznej?

- Astorre, myślisz, że mógłbyś zostać specjalnym konsultantem naszego filmu? - zapytał Marcantonio. - Chcemy dopilnować, by był jak najautentyczniejszy.

- Jasne - z uśmiechem odparł Astorre. - Każę mojemu agentowi skontaktować się z wami.

Wieczorem, już w łóżku, Rosie zapytała:

- Sądzisz, że kiedyś zechcesz wrócić?

- Dokąd? Do Nowego Jorku? Do Stanów?

- Przecież wiesz - z wahaniem powiedziała. - Do swojego dawnego życia.

- Moje miejsce jest tutaj, przy tobie.

- To dobrze. Ale co z dzieckiem? Nie powinien mieć szansy doświadczyć wszystkiego, co Ameryka ma do zaoferowania?

Astorre wyobraził sobie Raymonde biegnącego po wiejskich pagórkach, jedzącego oliwki z beczek, słuchającego historii o wielkich donach i dawnej Sycylii. Już cieszył się na te opowieści. Wiedział jednak, że same mity nie wystarczą.

Pewnego dnia jego syn pojedzie do Ameryki, kraju zemsty, miłosierdzia i wspaniałych możliwości.

Podziękowania

Szczególnie dziękuję Carol Gino, moim agentom literackim Candidzie Donadio i Neilowi Olsonowi, moim prawnikom Bertowi Fieldsowi i Arthurowi Altmanowi, mojemu redaktorowi w Random House Jonathanowi Karpowi oraz moim dzieciom i wnukom.